

James Grippando

Prawo Łaski

(The Pardon)

Przełożył Grzegorz Woźniak

Moim Rodzicom

PODZIĘKOWANIA

Mam ogromny dług wdzięczności wobec wielu osób, które przyczyniły się do tego, że moje marzenie się spełniło – powstała ta książka.

Serdeczne podziękowania składam jej pierwszym czytelnikom. Moi przyjaciele – Carlos Sires, James C. Cunningham, Jr, Terri Pepper, Denise Gordon i Jerry Houlihan, nie bacząc na trudy, przebrnęli przez surowe jeszcze brudno pisy. Jerry zwłaszcza okazał wielką pomoc. Jego rady, a nade wszystko znajomość procedury sądowej były wręcz bezcenne dla mnie jako autora, a także – to wcześniej – jako młodego prawnika. Dziękuję także Jamesowi W. Hallowi – zastępcy szeryfa i koordynatorowi operacji poszukiwawczo-ratunkowych powiatu Yakima w stanie Waszyngton – za wiedzę w zakresie działań policyjnych, którą zechciał się ze mną podzielić.

Miałem wielkie szczęście, że od samego początku trafiłem na najlepszych specjalistów w branży wydawniczej. Szczególne dzięki składam agentom literackim – Artiemu i Richardowi Pine'om, którzy cierpliwie czekali, aż wreszcie uporam się z pisaniem, a gdy uznali, że coś z tego wyszło, z całą energią zajęli się książką. Jestem tak samo wdzięczny Joan Sanger, którą poznałem przez Artiego. To dzięki jej redaktorskim wskazówkom szkic zamienił się w powieść. Wyrazy wdzięczności składam także Rickowi Horganowi – redaktorowi i mojemu wspianiałemu nauczycielowi. Nie tylko miał wpływ na tę książkę, ale ukształtował mnie jako pisarza, a za jego sprawą pozostanę do zgonnie wdzięczny znakomitemu i szacownemu wydawnictwu HarperCollins.

Dziękuję także adwokatom, kancelistom i sekretarkom z kancelarii Steel Hector & Davis za pomoc i poparcie. Miło mi podkreślić, że przez ostatnie dziesięć lat miałem szczęście pracować z przyjaciółmi i kolegami, którzy mają wszelkie prawo do dumy z zawodu, jaki uprawiają.

Na koniec składam najserdeczniejsze podziękowania mojej żonie – Tiffany – i całej rodzinie. Bez ich miłości, modlitw i zachęty książka ta pozostałaby wyłącznie w sferze projektu.

I

Październik 1992

PROLOG

Ludzie zebrali się o zmroku, aby czuwać całą noc. Była pełnia, ale po północy gęste chmury zakryły księżyc, jakby niebiosa – z żalu albo przeciwnie, obojętności – chciały zasłonić wszechogarniający wzrok. Za sześć godzin ciemności ustąpią, skończy się wyczekiwanie. Wschodzące słońce obleje czerwienią sosny, palmy i całą północnowschodnią Florydę. Wtedy, punktualnie o siódmej, Raul Fernandez zostanie stracony.

Zwarty tłum stał przy ogrodzeniu otaczającym największe i najcięższe więzienie w całym stanie. Wewnątrz panowała cisza. Tylko pośrodku więzienia, w kilku oknach trzypiętrowego budynku – wysypiska ludzkich śmieci i straconych dusz – paliło się światło. Od czasu do czasu reflektory wyławiały z ciemności sylwetki uzbrojonych strażników na wieżyczkach obserwacyjnych. Gapiów, choć było ich sporo, zgromadziło się jednak mniej niż ongiś, kiedy o egzekucjach na Florydzie pisano na pierwszych stronach, a nie jak teraz – drobnym drukiem obok notatek o pogodzie. Ale i tak tłum zaszumiał głośno, gdy pojawił się karawan, który zabierze zwłoki. Bardziej hałaśliwi z widzów, którzy popijali piwo siedząc na półciężarówkach, zaczęli zadymę: powiewali transparentami z napisem: „Kilowaty nie na straty” – słynnym hasłem zwolenników kary śmierci, którą na Florydzie wykonuje się na krześle elektrycznym.

Rodzice ofiary zbrodni spoglądali przez ogrodzenie z milczącą rezygnacją. Nie przyszli po sprawiedliwość, bo jakaż to sprawiedliwość, skoro córce podcięto gardło; czekali tylko, aby morderstwo zostało ukarane. Dalej, po przeciwnej stronie ulicy, garstka niegdysiejszych dzieci kwiatów – starzejących się przedstawicieli pokolenia, które jeszcze o coś walczyło – paliła świece, uderzała w struny gitar, wspominając Johna Lennona i Joan Baez. Upływ czasu i problemy tego świata pokryły ich oblicza głębokimi zmarszczkami. Grupa kłęzących zakonnic w kornetach pograżyła się w modlitwie, a tuż obok kilku przyjaciół i sympatyków skazańca z Małej Hawany (kubańskiej dzielnicy Miami) wykrzykiwało w rodzinnym języku Fernandeza: *Raules inocente, inocente!* – „Raul jest niewinny!”

Tymczasem za więziennymi murami i kratami Raul Fernandez kończył ostatni posiłek w życiu – sporą porcję pieczonych w miodzie kurzych skrzydełek z ziemniakami puree – i szykował się do wizyty u więziennego fryzjera. Pod okiem strażników w wykrochmalonych beżowo brązowych uniformach zasiadł na skórzanym fotelu, równie zresztą niewygodnym jak drewniany tron, na którym

niebawem miał zostać stracony. Strażnicy przywiązali go rzemieniami i zajęli przewidziane regulaminem miejsca, jeden przy drzwiach, drugi obok więźnia.

– Fryzjer zaraz przyjdzie – oznajmił jeden z nich – siedź spokojnie.

Fernandez siedział więc sztywno i czekał, jakby prąd już za chwilę miał przeszyć jego ciało. Ostre światło lamp pod sufitem odbijało się od bielonych betonowych ścian i białej glazury na podłodze, rażąc jego zmęczone, poczerwieniałe oczy. Z gorzką ironią zauważył, że wszystko wokół jest białe, nawet twarze strażników.

Tylko on, człowiek, który zostanie stracony, miał inny kolor skóry. Raul Fernandez był jednym z tysięcy uchodźców, jacy dotarli do Miami w 1980 roku, w czasie słynnej operacji „Mariel”, kiedy to setki łodzi i motorówek przewiozły na Florydę licznych Kubańczyków, których Fidel Castro chciał się pozbyć. Nie minął nawet rok, gdy Raula aresztowano za morderstwo z premedytacją. Ława przysięgłych debatowała krócej, niż trwała agonია nieletniej ofiary, która udusiła się własną krwią. Uznano go za winnego i skazano na krzesło elektryczne. I oto, po dziesięciu latach apelacji i rewizji, życie Fernandeza dobiegało kresu.

– Cześć, kolego – odezwał się potężny strażnik przy drzwiach.

Fernandez łypnął okiem na otyłego fryzjera z uszami jak dwa kalafiory, który właśnie raczył się zjawić. Miał ścięte krótko włosy jak w piechocie morskiej i widać było, że sam jest autorem swojej fryzury. Poruszał się wolno i metodycznie, jakby bawiło go, że Fernandezowi każda chwila wydawała się wiecznością. Ze sztucznym uśmiechem stanął przed związanym klientem. W jednej ręce trzymał elektryczną maszynkę do strzyżenia, w drugiej wielki plastikowy kubek herbaty tak mocnej, jakiej Fernandez w życiu nie widział.

– W samą porę – oznajmił, odsłaniając żółte od nikotyny zęby. Wypluł kłęb brunatnej śliny do kubka, postawił naczynie na stoliku i obrzucił Fernandezą uważnym spojrzeniem. – Wyglądasz dokładnie tak jak w telewizorze – gwizdnął z podziwem.

Fernandez udał, że nie słyszy. Siedział i milczał jak zamurowany.

– No to zrobimy cię na Kojaka. – Fryzjer włączył maszynkę.

Czarne pukle sypały się na podłogę, spod kędzierzawej czupryny wyłaniała się goła czaszka zroszona błyszczącymi kroplami potu. W pewnym momencie strażnik podciągnął nogawki Fernandezą, odsłaniając nogi, które fryzjer ogolił równie starannie jak głowę. Łysa czaszka i nieowłosione kostki staną się dobrym przewodnikiem kilowatów, które spalą skórę, doprowadzą krew do wrzenia i położą kres istnieniu człowieka.

Fryzjer cofnął się o krok i podziwiał dzieło swoich rąk.

– Wspaniale – powiedział – i z dożywotnią gwarancją.

Strażnicy zachichotali. Fernandez zacisnął pięści.

Pukanie do drzwi rozładowało napięcie. Zadźwięczały klucze, gdy wielki strażnik jął otwierać zamek. Raul nadstawił uszu, ale nie dosłyszał, o czym mówią. Wreszcie strażnik zwrócił się do niego:

– Fernandez, telefon do ciebie. Dzwoni adwokat – oznajmił jakby zmartwiony.

Raul ożywił się nagle.

– Idziemy – strażnik wziął więźnia pod rękę.

Fernandez niecierpliwie skoczył z miejsca.

– Tylko spokojnie – warknął strażnik.

Fernandez znał regulamin. Wyciągnął ręce, aby strażnik mógł go skuć. Następnie klęknął, drugi ze strażników założył mu pęta na nogi i spiął łańcuchem w pasie. Raul wstał z klęczek ostrożnie, ale niecierpliwie i tak szybko, jak tylko pozwalały łańcuchy. Orszak ruszył korytarzem, by po chwili zatrzymać się przy wnęce z automatem, gdzie więźniowie odbierali telefony od adwokatów. Drzwi do wewnątrz były oczywiście przeszklone. Strażnicy widzieli więźnia, ale nie słyszeli treści rozmowy.

– I co powiedzieli? Mów, człowieku?!

Po drugiej stronie zaległa cisza, co nie wróżyło niczego dobrego.

– Bardzo mi przykro, Raul – odezwał się wreszcie adwokat.

– Nie! – zawył więzień. Uderzył pięścią w pulpit pod telefonem. – Tak przecież nie może być. Jestem niewinny, niewinny! – Dyszał ciężko, szukając ucieczki nieprzytomnym z trwogi wzrokiem.

– Obiecałem ci, że niczego nie będę ukrywał – ciągnął adwokat cichym, chłodnym tonem. – Zrobiłem absolutnie wszystko, co tylko było możliwe. Niestety poszło jak najgorzej. Sąd Najwyższy nie tylko nie wyraził zgody na wstrzymanie egzekucji, ale jeszcze wydał postanowienie, że nie może tego uczynić żaden sędzia w całym kraju.

– Dlaczego? Chcę, do cholery, wiedzieć: dlaczego?

– Sąd nie wydał uzasadnienia, nie ma takiego obowiązku.

– Więc ty mi powiedz. Niech mi ktoś, u diabła, powie: dlaczego?!

Adwokat milczał.

Fernandez złapał się za głowę bezradnym gestem. Dotknięcie wygolonej skóry spotęgowało jeszcze uczucie przerażenia i trwogi.

– Ale przecież – mówił drżącym głosem – przecież musi być jakieś wyjście. Już

o tym rozmawialiśmy. Złóż apelację, wyślij prośbę, czy jak to nazywacie po swojemu. Muszą mi dać jeszcze trochę czasu. I zrób to zaraz. Właśnie ogolili ten mój pieprzony łeb.

Adwokat westchnął ciężko, aż pogłos zabrzmiał w słuchawce.

– Powiedz coś wreszcie – domagał się Raul rozpaczliwie – przecież musi być jakieś wyjście.

– Jest jeszcze ostatni ruch – odparł adwokat bez przekonania.

– A widzisz – ożywił się Raul. Zacisnął pięści jakby szykował się do kolejnej rundy.

– Jedna szansa na miliard – adwokat starał się nie robić mu fałszywych nadziei.

– Jest pewien nowy aspekt sprawy, więc mogę zwrócić się do gubernatora o złagodzenie wyroku. Ale niczego nie obiecuję. Lepiej przygotuj się na najgorsze. Pamiętaj, że to gubernator podpisał nakaz egzekucji i jest naprawdę mało prawdopodobne, aby skorzystał z prawa łaski i zamienił to na dożywocie. Rozumiesz?

Fernandez zamknął powieki, przełknął ślinę, nie chciał tracić nadziei.

– Rozumiem, wszystko rozumiem, ale zrób to, człowieku. Zrobisz? Spróbuj i... dziękuję, niech cię Bóg błogosławi – dodał i odłożył słuchawkę.

Westchnął głęboko, spojrzął na zegar na ścianie. Osiem po drugiej. Zostało mu mniej niż pięć godzin życia.

1

Była piąta nad ranem, gdy gubernator Harold Swytek zasnął wreszcie na kozetce w sypialni. Wieść o tym, że w noc egzekucji gubernator nie zaznaje spokoju, zdumiałaby wszystkich, którzy znali jego ostre wystąpienia w sprawie konieczności oczyszczenia zatłoczonych florydzkich cel śmierci ze „zbyt długo przebywających tam lokatorów”. Były policjant i kongresman stanowy wygrał wybory na gubernatora pod hasłem walki o „ład i porządek”, co w praktyce oznaczało budowę nowych więzień, surowsze wyroki i więcej egzekucji. Miało to być skutecznym i szybkim remedium na rosnącą przestępczość. Wygrał znaczną większością głosów i natychmiast przystąpił do wypełniania obietnic. Pierwszy nakaz egzekucji podpisał już w dniu objęcia urzędu, w styczniu 1991 roku. W ciągu dwudziestu jeden miesięcy gubernator Harold Swytek podpisał więcej nakazów egzekucji niż dwóch jego poprzedników razem wziętych.

Dwadzieścia pięć po piątej głośny dzwonek wyrwał gubernatora ze snu. Instynktownie sięgnął do nocnego stolika, aby wyłączyć budzik. Budzika nie było, a dzwonek nie ustawał.

– Telefon – mruknęła pani Swyteck z głębi małżeńskiego łóżka.

Gubernator oprzytomniał, uświadomił sobie, że leży na kozetce, więc wstał, ruszył w kierunku łóżka. Na nocnym stoliku błyskał czerwonym światłem telefon alarmowy.

Sięgając po słuchawkę potknął się i uderzył boleśnie o nogę łóżka.

– Niech to diabli! – zaklął. – Co się dzieje?

– Tu ochrona, panie gubernatorze.

– Wiem, że to ty, Mel, ale o co chodzi, i to o tej porze?

Po drugiej stronie kabla ochroniarz wiercił się zakłopotany, jak każdy, kto budzi szefa przed świtem.

– Jest tu ktoś, kto chce się z panem widzieć. Chodzi o egzekucję.

Gubernator zacisnął zęby, starając się uspokoić i nie wyladowywać złości za to, że uderzył się w nogę i spędził bezsenną noc, na człowieku, który dbał o jego bezpieczeństwo.

– Posłuchaj, Mel. Nie powinieneś mnie budzić za każdym razem, gdy ktoś w ostatniej chwili przynosi prośbę o ułaskawienie. Istnieją stosowne procedury. Zajmują się tym doradcy. Zadzwoń do nich, a teraz...

– Rozumiem, szefie, ale chodzi o wyjątkową sprawę. Pana gość mówi, że ma informacje, które mogą przekonać, że Fernandez jest niewinny.

– A któż to taki? – Gubernator zwrócił oczy ku niebu. – Ojciec? Przyjaciel rodziny?

– Nie, szefie. Mówi, że jest pańskim synem.

Gubernator strząsnął z siebie resztki snu.

– Niech wejdzie – polecił, odkładając słuchawkę. Sprawdził czas. Dochodziło wpół do szóstej. Zostało dziewięćdziesiąt minut.

Wybrałeś sobie, synu, diablo stosowną porę na pierwszą wizytę w rezydencji gubernatora, pomyślał.

Jack Swyteck stał sztywno na werandzie, nie bardzo wiedząc, co oznacza zasepione oblicze ojca.

– No, no – rzucił gubernator od drzwi. Miał na sobie bordowy szlafrok ze stosownym monogramem. Dwudziestosześcioletni Jack był jego jedynym dzieckiem. Matka Jacka umarła wkrótce po połogu. Harold naprawdę bardzo się

starał, ale w istocie nigdy jej śmierci synowi nie wybaczył.

– Jestem tu urzędowo – pośpieszył Jack z wyjaśnieniem – nie zajmę ci więcej niż dziesięć minut.

Gubernator spoglądał chłodnym wzrokiem na Jacka, którego ciemne i uważnie patrzące oczy świadczyły dowodnie, że należy do rodu Swytecków. Jack był ubrany w wypłowiałe niebieskie dżinsy, lotniczą kurtkę z brązowej skóry i wysokie buty. Gdyby nie doskonała dykcja i dyplom prawnika z uniwersytetu Yale można by go wziąć za popularnego piosenkarza w stylu country. Ojciec w jego wieku wyglądał podobnie, a i teraz – mając pięćdziesiąt trzy lata – był szczupły i silny. W 1965 roku skończył uniwersytet stanowy. Jako student odnosił sukcesy w szermierce, potem wstąpił do policji, został posterunkowym, a jeszcze później rozpoczął karierę polityczną. Potrafił odparować każdy cios, a jeśli przeciwnik nie miał się na baczności – nokautował. Jego syn zawsze miał się na baczności.

– Wejdz – rzekł wreszcie.

Jack wszedł do środka, zatrzasnął za sobą drzwi. Ruszył w ślad za ojcem. Pokoje były mniejsze, niż tego oczekiwał, skromne, ale eleganckie, z kasetonowymi sufitami i dębową posadzką intarsjowaną mahoniem. Stylowe meble, perskie dywany z jedwabiu i kryształowe żyrandole dopełniały całości. Wystrój wnętrza nawiązywał do historii Florydy.

– Siadaj – rzekł ojciec, gdy weszli do biblioteki przy końcu korytarza.

Zdobione ciemną boazerią pomieszczenie przypomniało Jackowi dom, w którym dorastał. Usiadł w skórzanym fotelu przy kominku, założył nogę na nogę, dotykając butami łba wielkiego grizzly z Alaski, którego ojciec wytropił przed laty i przemienił w dywanik. Gubernator odwrócił wzrok, powstrzymał się przed zwróceniem uwagi synowi, aby siedział prosto. Podeszedł do baru – wielkiego mebla z czarnego dębu – i wrzucił kilka kostek lodu do staromodnej szklanki.

Jack zdumiał się. Sądził, że ojciec przestał pić. Nie widział go od wielu lat. W istocie po raz pierwszy znalazł się w obliczu GUBERNATORA SWYTECKA.

– Musisz pić? Uprzedziłem cię, że chodzi o ważną sprawę.

Gubernator zerknął na syna, sięgnął po butelkę *chivas regal* i nalał sobie do pełna.

– Nie twój interes. – Podniósł szklankę. – Na zdrowie! – Upił spory łyk.

Jack nie zareagował. Powtarzał sobie w myślach, że liczy się tylko sprawa, z którą przyszedł do ojca.

– A więc? – odezwał się gubernator, oblizując wargi. – Nawet nie pamiętam, kiedy rozmawialiśmy ze sobą po raz ostatni, nie mówiąc już o tym, kiedy się

widzieliśmy. Właśnie, kiedy?

– Dwa i pół roku temu – Jack wzruszył ramionami.

– Z okazji dyplomu na wydziale prawa, dobrze mówię?

– Nie – odrzekł Jack z cieniem uśmiechu. – To było wtedy, gdy ci powiedziałem, że podejmuję pracę w Instytucie Wolności.

– Ach tak, Instytut Wolności – Harry Swytek spojrzał wymownie na syna – osławiona instytucja, w której sukces mierzy się liczbą uwolnionych od kary morderców, gwałcicieli i rabusiów, firma, gdzie litościwi liberałowie bronią zbrodniarzy i jak świętoszki obnoszą swoją cnotę, bo przecież nie biorą honorariów od tych wszystkich pasożytów, których reprezentują przed sądem. – Gubernator spoglądał coraz bardziej ponuro. – Tak, Instytut... Dokładnie wiedziałeś, że dotknie mnie do żywego, jeśli tam podejmiesz pracę.

Jack zacisnął palce na poręczy fotela.

– Nie jestem tu po to, aby rozdrapywać stare rany.

– Zapewne, zapewne. Zawsze tak było, ale po ostatnim twoim wyczynie przepaść między nami pogłębiła się, choć, Bogiem a prawdą, wcale nie różnił się od wszystkich innych twoich postępów od czasu, gdy wyłączyłeś mnie ze swojego życia. Nigdy nie mogłeś zrozumieć, że zawsze chciałem jak najlepiej dla ciebie.

Jack chciał już rzucić jakąś kwaśną uwagę na temat niezłomnej postawy ojca, gdy coś na półce z książkami przykuło jego uwagę: stare zdjęcie, pamiątka z wyprawy na ryby, jedno z nader nielicznych wspólnych i szczęśliwych wspomnień. Gadaj zdrow, tato, ale przecież wystawiłeś to zdjęcie po to, żeby wszyscy widzieli, pomyślał.

– Posłuchaj ojcze, zdaję sobie sprawę, że mamy wiele problemów do omówienia. Ale teraz brakuje nam na to czasu i nie po to tu przyszedłem.

– Wiem. Przyszedłeś, bo Raul Fernandez ma zginąć na krześle elektrycznym i – gubernator sprawdził czas na zegarku – i to już za osiemdziesiąt minut.

– Przyszedłem, bo jest niewinny.

– Dwunastu sędziów przysięgłych było innego zdania, Jack.

– Bo nie wiedzą wszystkiego.

– Ale poznali dość faktów, aby orzec o winie, i to po dwudziestominutowej ledwie naradzie. Dłużej dyskutują o tym, który z ławników ma przewodniczyć.

– A może jednak najpierw posłuchaj – ostro przerwał Jack. – Proszę, ojcze – dodał już łagodniejszym tonem.

Gubernator znów napełnił szklanekę.

– Już dobrze, słucham.

– Mniej więcej pięć godzin temu – zaczął Jack, pochylając się do przodu, aby podkreślić wagę słów – zadzwonił do mnie pewien człowiek. Powiedział, że musi się pilnie ze mną spotkać, w cztery oczy, jak klient z adwokatem. Nie podał nazwiska, dodał tylko, że to sprawa życia lub śmierci. Zgodziłem się. Dziesięć minut później zjawił się u mnie w gabinecie. Miał kominiarkę na głowie. Najpierw pomyślałem, że to napad, okazało się jednak, że ów człowiek chce pomówić o sprawie Fernandez, i tak też się stało. Zaczęliśmy rozmawiać – Jack zawiesił głos patrząc prosto w oczy ojca. – W ciągu pięciu minut przekonał mnie, że Fernandez jest niewinny.

– No i cóż takiego ów tajemniczy nocny gość ci powiedział? – spytał gubernator sceptycznie.

– Tego nie mogę ujawnić.

– A dlaczego to?

– Mówiłem już, że postawił warunki. Przyszedł jako klient, a adwokata obowiązuje tajemnica zawodowa. Nie zdjął kominiarki, więc nie widziałem jego twarzy, nie sądzę również, abym go kiedyś jeszcze miał spotkać, ale formalnie rzecz biorąc, jestem jego adwokatem, a przynajmniej byłem w czasie rozmowy, zatem wszystko, co mi powiedział, muszę traktować jako tajemnicę zawodową i bez jego zgody nie wolno mi niczego ujawnić. A on takiej zgody zapewne nie wyrazi.

– Po co więc przyszedłeś?

– Ponieważ niewinny człowiek ma zostać stracony na krześle elektrycznym – odparł rzeczowo Jack – chyba że skorzystasz z prawa łaski i natychmiast wydasz nakaz wstrzymania egzekucji.

Ze szklanką w jednej ręce i otwartą butelką szkockiej w drugiej gubernator wolno przemierzył pokój. Usiadł w fotelu naprzeciwko Jacka.

– Jeszcze raz powtórzę pytanie: skąd wiesz, że Fernandez jest niewinny.

– Jak to, skąd wiem? – Jack poczerwieniał zirytowany. – Dlaczego zawsze wymagasz ode mnie więcej, niż jestem w stanie dać? Czy nie wystarczy, że zarwałem noc, aby się tu zjawić? Czy nie wystarczy to, co mogę powiedzieć bez naruszania prawa i zasad etyki zawodowej?

– Chodzi mi tylko o dowód. Nie mogę ot tak sobie, bez żadnych podstaw, odwołać egzekucji.

– A więc moje słowo nic nie znaczy? – naciskał Jack.

– W tych okolicznościach – nic. Tak to już jest. Rozmawiamy jak adwokat z

gubernatorem.

– Nie. Jak świadek z mordercą, bo to ty zadasz śmierć Fernandezowi, a ja wiem, że jest niewinny.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ dziś w nocy poznałem prawdziwego zabójcę. Zaufał mi, powiedział wszystko, więcej nawet – pokazał mi coś: dowód, że mówi prawdę.

– Cóż takiego? – Gubernator był szczerze zaintrygowany.

– Tego nie mogę powiedzieć – Jacka coraz bardziej ogarniało zdenerwowanie.

– I tak już dałem ci do zrozumienia więcej, niż powinienem jako adwokat.

Gubernator zagłębił się w fotelu, a na jego obliczu pojawił się niewyraźny, ojcowski uśmiech.

– Czy nie wydaje ci się, że to naiwne? Takie prośby o ułaskawienie wnoszone w ostatniej chwili trzeba widzieć w pewnym kontekście. Fernandez został skazany za morderstwo. On i jego bliscy są oczywiście zdesperowani, trzeba więc dość krytycznie podchodzić do wszystkiego, co mówią. Ten tak zwany klient, który tak nagle się objawił, to pewnie jakiś kuzyn, brat, czy po prostu kumpel Raula Fernandeza, który gotów jest zrobić wszystko, żeby uratować jego nędzne życie.

– Skąd ta pewność?!

– Masz rację. – Gubernator głośno westchnął, spuścił wzrok i obiema rękami, zmęczonym gestem zaczął masować skronie. – Całkowitej pewności nigdy nie ma. Może dlatego zacząłem sięgać po to – wymownym gestem wskazał butelkę. – Ale jest, jak jest. Ubiegałem się o urząd gubernatora pod hasłem obrony prawa i porządku. Kwestia kary śmierci była głównym punktem mojej kampanii. Przrzekałem, że podejść do tych spraw z całą energią i stanowczością, i byłem przekonany, że tak się stanie. A teraz? No cóż... To wcale nie takie łatwe składać podpis na nakazie egzekucji. Widywałeś pewnie takie dokumenty, w czarnych ramkach, z oficjalną pieczęcią, ale czy kiedykolwiek uważnie przeczytałeś coś takiego? Bo ja tak, możesz mi wierzyć. Dają ci władzę nad życiem i śmiercią, ale taka władza uwiera, jeśli tylko zaczniesz wątpić – powiedział cicho. – Tam do diabła – dodał, pociągając łyk ze szklanki – a lekarzom wydaje się, że są bogami.

Jack milczał. Nie bardzo wiedział, jak zareagować na to tak bardzo osobiste wyznanie.

– A może właśnie dlatego powinieneś mnie wysłuchać – rzekł wreszcie. – Właśnie po to, aby nie popełnić błędu.

– Tym razem nie ma mowy o błędzie, Jack. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że nie jest ważne to, co mówisz, ale to, co ukrywasz. Nie chcesz złamać tajemnicy

zawodowej, choć tylko w ten sposób mógłbyś mnie skłonić do zmiany zdania, i ja to szanuję, ale też chciałbym, żebyś mnie uszanował. Jest prawo, mnie też obowiązują przepisy. Mam obowiązki wobec ludzi, którzy na mnie głosowali i którzy oczekują, że wypełnię przyrzeczenia dane w czasie kampanii.

– To nie to samo.

– To prawda – zgodził się gubernator – rzeczywiście nie to samo, ale też nie chciałbym, abyś wyszedł stąd z poczuciem winy. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, ale decyzja należy do mnie. Ty wierzysz, że Raul Fernandez jest niewinny, ja nie, i to ja będę dźwigał odpowiedzialność za to, co się stanie, a nie ty.

Jack spojrział prosto w oczy gubernatora. Wiedział, że ojciec czeka na odrobinę zrozumienia, jakiś gest, świadczący o tym, że on, Jack, nie potępia go za to, co jako gubernator musi uczynić. Harold Swytek łaknął rozgrzeszenia, wybaczenia, aktu łaski.

Jack odwrócił wzrok. Nie chciał i nie mógł pozwolić, aby chwila słabości zmieniła wszystko.

– Nie przejmuj się, tato, nie będę siebie potępiał. Stale uczyłeś mnie, że każdy odpowiada za swoje czyny. Jeśli niewinny człowiek zginie na krześle elektrycznym, to za twoją sprawą. Ty jesteś gubernatorem, ty dźwigasz odpowiedzialność i ty będziesz winny.

Słowa trafiły celnie. Gubernator poczerwieniał, zrozumiał, że nie znajdują wspólnego języka.

– Winny jest tylko Fernandez i nikt poza nim, a ciebie zwyczajnie chcą wykorzystać. Fernandez i któryś z jego kompanów próbują cię omamić, bo – jak myślisz – dlaczego ów dziwny gość ani się nie przedstawił, ani nawet nie pokazał ci swego oblicza?

– Bo nie chce, aby go złapano. Ale też nie chce, aby zginął niewinny człowiek.

– Morderca, i w dodatku sprawca tak niehumanitarnego czynu, ma wyrzuty sumienia, ma skrupuły, że śmierć poniesie niewinny człowiek? – Harry Swytek pokiwał głową. – Toż to absurd, Jack – wyrzucił z siebie ze złością – czasami wręcz cieszę się, że matka nie dożyła i nie widzi, jakiego barana wydała na świat.

– Nie będę tego słuchał – Jack zerwał się z miejsca.

– Jestem twoim ojcem – wybuchnął Harry – i nie będę się przed tobą krygował...

– Dość tego! – krzyknął Jack ruszając do drzwi. – Dobrze wiesz, że nigdy cię o nic nie prosiłem i nigdy więcej nie poproszę. Nigdy – powtórzył.

– Zaczekaj – zatrzymał go gubernator. Jack stanął i wolno obrócił się do ojca. –

Posłuchaj mnie, młody człowieku. Fernandez zostanie stracony dziś rano, ponieważ nie wierzę w nonsensowną opowieść o tym, że jest niewinny, tak jak nie uwierzyłem w żadne „dowody”, jakie przedstawiono mi w ostatniej chwili, gdy wykonywano wyrok na innym „niewinnym” mordercy, który zabił nożem swoją narzeczoną. – Zamilkł, ze złości stracił oddech. – Niewinny... Dźgnął ją nożem dwadzieścia jeden razy!

– Na starość stałeś się strasznie ograniczony.

– Wynoś się, Jack, nie chcę cię widzieć w moim domu – rzekł gubernator wyniośle.

Jack odwrócił się na pięcie, tylko echo kroków po drewnianej podłodze poniosło się pustym korytarzem. Z rozmachem otworzył drzwi i na chwilę zatrzymał się w progu, słysząc bulgotanie whisky nalewanej do szklanki.

– Niech pan pije, panie gubernatorze, niech pan się zapije na śmierć! – krzyknął na cały dom.

Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Raulowi Fernandezowi zostało już tylko kilka minut życia. Przysiadł zgarbiony na skraju pryczy, opuściwszy łysą głowę. Splecione ręce wcisnął między kolana. Był przy nim ksiądz Jose Ramirez, cały w czerni, jeśli nie liczyć białej jak śnieg koloratki i siwych włosów. W jednej ręce trzymał różaniec, w drugiej Biblię. Patrzył z troską, niemal z rozpaczą, na Fernandezę i raz jeszcze próbował namówić go, by pomyślał o zbawieniu swojej duszy.

– Zabójstwo to grzech śmiertelny, mój synu, a człowiek, który nie żałuje za grzechy, nie pójdzie do nieba. W Ewangelii św. Jana Chrystus tak rzecze do swoich uczniów: „Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”. Wyznaj mi swoje grzechy, aby Bóg ci je wybaczył.

Fernandez podniósł wzrok i popatrzył księdzu prosto w oczy.

– Ojczy – rzekł z całą szczerością, na jaką było go stać. – Nie mam już nic do stracenia, ale też nie mam się z czego spowiadać.

Ksiądz Ramirez nie zareagował, poczuł tylko, jak ogarnia go chłód. Drgnął dopiero wtedy, gdy usłyszał szcęk klucza w zamku.

– Już czas – oznajmił jeden z dwóch strażników, którzy przyszli po Fernandezę. Ksiądz Ramirez wstał z krzesła, pobłogosławił więźnia znakiem krzyża i odsunął się, ustępując miejsca funkcjonariuszom. Fernandez ani drgnął.

– Idziemy – ponaglił strażnik.

– Dajcie mu jeszcze chwilę – poprosił ksiądz.

– Nie ma już ani sekundy. – Konwojent ruszył energicznie w stronę więźnia, a wtedy Fernandez rzucił się do przodu i bykiem trafił go prosto w brzuch. Zwalili się na posadzkę.

– Jestem niewinny! – krzyczał, machając rękami jak cepem, ale sparaliżowało go niemal, gdy drugi strażnik wymierzył mu kilka ciosów pałką w plecy.

– Skurwysyn oszalał! – krzyknął ten, którego Fernandez przewrócił na ziemię. Podniósł się już i przyciskał więźnia kolaniem do ziemi. – Skuj go! – rzucił do swego towarzysza. We dwóch wykręcili więźniowi ramiona, skuli mu ręce na plecach i nogi w kostkach.

– Jestem niewinny – jęczał Fernandez z twarzą wciśniętą w beton. – NIEWINNY!

– Do diabła! – zaklął ten, który przed chwilą mocował się ze skazańcem. Wepchnął więźniowi w usta skórzany knebel. Zaciśnął rzemienie z tyłu głowy.

Ksiądz Ramirez patrzył przerażony, jak strażnicy stawiają Fernandeza na nogi. Więzień był półprzytomny od ciosów pałką, więc potrząsnęli nim, żeby się ocknął. Wedle prawa skazany musi mieć świadomość, że zostanie stracony. Wzięli go pod rękę i wywlekli z celi.

Ksiądz szedł za nimi jasno oświetlonym korytarzem i nie mógł zebrać myśli. Widział wiele takich scen, ale żaden lokator celi śmierci nie walczył tak jak ten, a już na pewno nie przekonywał tak gorąco o swojej niewinności.

Na końcu korytarza konwój przystanął, czekając na otwarcie stalowych drzwi do pomieszczenia, w którym wykonuje się egzekucje. Tu strażnicy przekazali więźnia dwóm innym funkcjonariuszom, do których należało wykonanie wyroku. Ci działali szybko i sprawnie. Zegar na ścianie odmierzał cenne sekundy. Fernandeza przytroczono do ciężkiego, dębowego krzesła. Jedną elektrodę przymocowano do wygolonej czaszki, drugą do kostek. Zamiast knebla wciśnięto mu w usta żelazny pręt.

Wszystko to odbywało się w całkowitej ciszy, którą zakłócało tylko brzęczenie świetlówek pod sufitem. Fernandez siedział bez ruchu. Strażnicy założyli mu czarny kaptur na głowę i stanęli pod szarozieloną ścianą. W tym momencie rozsunięto żaluzje przysłaniające wewnętrzne okno, tak aby prawie dwudziestu świadków, zebranych w zaciemnionym pomieszczeniu obok, mogło zobaczyć więźnia. Kilku dziennikarzy poruszyło się nerwowo. Przedstawiciel prokuratury patrzył obojętnie. Stryj zamordowanej dziewczyny, jedyny krewny ofiary obecny przy wykonaniu wyroku, wstrzymał oddech. Wszyscy, poza skazańcem, zwrócili wzrok na zegar. Fernandez nic nie widział. Na głowie miał kaptur, a na oczach ciasną skórzaną przepaskę. Zakłada się ją, aby gałki oczne nie eksplodowały pod wpływem wstrząsu, jaki wywołuje uderzenie prądu elektrycznego.

Ksiądz Ramirez dołączył do grupki w zaciemnionym pomieszczeniu. Strażnik przy drzwiach, zaciekawiony, uniósł brwi.

– Tym razem będzie ksiądz oglądał? – spytał szeptem.

– Wiesz, że nigdy tego nie robię.

– No cóż, zawsze bywa ten pierwszy raz.

– Właśnie – odparł Ramirez – ten pierwszy i ostatni. Miejmy nadzieję, że po raz ostatni uśmiercisz niewinnego człowieka. Jeśli nie zawodzi mnie przecucie – dodał. Przymknął oczy i zagłębił się w modlitwie.

Strażnik odwrócił wzrok. Słowa księdza dotknęły go, ale starał się nie myśleć o tym. A zresztą – pocieszał się – to nie on odpowiada za śmierć. Nakaz wykonania wyroku podpisał sam gubernator Harold Swytek, a prąd, który uśmierci więźnia,

włączy jeszcze ktoś inny.

W tej chwili duża wskazówka zegara doszła do szczytu tarczy. Naczelnik więzienia dał znak: dwa i pół tysiąca woltów przepłynęło przez ciało skazańca. W całym budynku na krótką chwilę przygasło światło. Fernandezem rzuciło potężnie do przodu, jego plecy wygięły się w łuk, skóra zaskwierczała, uniósł się swąd palonego ciała. Więzień tak mocno ścisnął żelazny gryzak, że zgruchotał sobie zęby. Palce zaś wbił w drewnianą poręcz fotela z taką siłą, że połamał kości dłoni.

Drugie uderzenie prądu elektrycznego unieruchomiło serce.

Dla pewności włączono prąd jeszcze raz.

Wszystko razem trwało niewiele ponad minutę – ostatnie i najdłuższe sześćdziesiąt siedem sekund w całym trzydziestopięcioletnim życiu tego człowieka. Potem włączono wentylator, aby wywietrzyć z celi duszący odór spalenizny. Do środka wszedł lekarz. Przyłożył stetoskop do piersi skazańca i przez chwilę uważnie nasłuchiwał.

– Nie żyje – obwieścił.

Ksiądz Ramirez westchnął z goryczą. Otworzył oczy, spuścił głowę i przeżegnał się nabożnie.

– Niech Bóg nam wybaczy – szepnął – bośmy śmierć zadali niewinnemu.

II

Lipiec 1994

Eddy'ego Gossa sądzono za wyjątkowo okrutne przestępstwo, akt przemocy tak niezwykajny, że zadziwiał nawet jego samego. Otóż pewnego wieczoru jego uwagę przyciągnęła dziewczyna, na oko szesnastoletnia, a przynajmniej tak mu się wydawało. Wracała właśnie ze szkoły, ubrana w kostium majoretki. Lubił takie panienki – z lokami do ramion, ładniutkie, zgrabne, a co najważniejsze, bez szminki i pudru. Świeży wygląd dawał gwarancję, że będzie tym pierwszym.

Zorientowała się chyba, że coś się dzieje, gdy tylko ją dogonił. Był tego prawie pewien, bo zaczęła zerkać przez ramię i wyraźnie przyśpieszyła kroku. Uznał więc, że jest przerażona, a przynajmniej wystraszona na tyle, że nie sprawi mu kłopotów. I rzeczywiście, wystarczyło parę sekund, żeby wpakować ją do forda pinto. Pięć mil za miastem, w sosnowej gęstwinie, przyłożył jej nóż do gardła i zagroził, że ma robić wszystko, co każe, bo inaczej... Oczywiście nie protestowała, bo przecież nie miała wyjścia. Zadarła spódniczkę, ściągnęła rajstopy, takie cieliste, jakie noszą wszystkie licealistki z zespołu musztry paradnej, o czym Eddy doskonale wiedział. Siedziała jak zamurowana, gdy sięgnął palcami między jej nogi, ale w pewnej chwili zaczęła płakać, ronić wielkie łzy, a tego nie lubił. Zezłościł się, bo naprawdę nie znosił, kiedy dziewczyny zaczynają ryczeć, więc zarzucił jej rajstopy na szyję i ścisnął, mocno, bardzo mocno, tak mocno, że stało się to, co się stało. Po prostu złamał jej kark i urwał głowę.

Był to największy wyczyn Eddy'ego, jego duma, i dlatego teraz stał przed sądem, a bronił go Jack Swytek.

– Proszę wstać, sąd idzie! – zawołał woźny, gdy przysięgli w milczeniu, gęsiego, zaczęli wysypywać się z sali narad. Studentki szkoły pielęgniarstwa, kierowca autobusu, dozorca, pięciu czarnych, dwoje Żydów. Czterech mężczyzn, osiem kobiet. Siedmiu pracowników fizycznych, dwóch przedstawicieli wolnych zawodów i trzy osoby, których profesję trudno było rozpoznać, co zresztą nie miało już żadnego znaczenia, bo nie liczyło się indywidualne zdanie poszczególnych ławników, ale werdykt, który wspólnie uzgodnili. Stanęli w dwóch rzędach, każdy za swoim plastikowym krzesłem w ławie przysięgłych, i wpatrywali się w miejsce, gdzie „tryska magiczne źródło”. Jack nazywał w ten sposób wolną przestrzeń między stołem sędziego a ławą przysięgłych, scenę, na której adwokaci, broniąc oskarżonych, popisują się kiepskimi tyradami, licząc, że się uda i wszystko będzie dobrze.

Jack przełykał ślinę, próbując wyczytać cokolwiek z twarzy przysięgłych. Miał już pewne doświadczenie, więc nie dał po sobie nic poznać, choć podskoczył mu poziom adrenaliny. Dziś kończył się proces, który przez ponad miesiąc nie schodził z czołówek gazet. Jack niewiele się zmienił przez ostatnie dwa lata, tylko w oczach pojawiła się odrobina cynizmu, a we włosach trochę siwych pasemek, przez co wyglądał poważniej, jak na prawnika z czteroletnim ledwie stażem. Zapiął marynarkę – nosił garnitur z tenisu – zerknął na swego klienta, który stał sztywno obok niego. Kawał dobrej roboty, pomyślał.

– Proszę usiąść – odezwał się siwowłosy sędzia. Sala była przepelniona.

Oskarżony Eddy Goss łypał ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami na przysięgłych, którzy zajmowali miejsca. Patrzył uważnie, z napięciem, jak saper na minę, którą ma rozbroić. Miał wielkie ręce, ręce dusiciela (czego prokurator nie omieszkął w stosownym momencie podkreślić) paznokcie obgryzione do połowy, wydatną – szczękę i wielkie błyszczące czoło, co razem wyglądało złowieszczo. Łatwo też było go sobie wyobrazić przy „robocie”, za którą wytoczono mu sprawę. Dziś miał w sobie coś wyniosłego, jakby czuł się dumny z jakiegoś powodu, pomyślał Jack.

W istocie takie samo wrażenie odniósł cztery miesiące temu, gdy oglądał na wideo, jak jego klient z niejaką chełpliwością opowiada oficerom śledczym o koszmarnym morderstwie. Sprawa wydawała się oczywista. Prokurator miał przecież kasetę, na której Eddy przyznawał się do winy. Ale przysięgłym nie pokazano nagrania. Jack postarał się, aby kasetę wyłączono z materiałów dowodowych.

– Czy przysięgli uzgodnili werdykt? – spytał sędzia.

– Tak jest – odparł przewodniczący ławników.

Napięcie doszło do zenitu. Wśród publiczności było cicho jak makiem zasiał, szumiał tylko wielki wentylator pod sufitem. Woźny przekazał kartkę z werdyktem sędziemu.

Ich orzeczenie w istocie nie ma znaczenia, myślał Jack. Ważne jest coś innego: system, a więc święte zasady sprawiedliwości. Na tym właśnie polega jego – Jacka – rola, że służy sprawiedliwości. Patrząc, jak sędzia przekazuje kartkę protokolantowi, zaczął wspominać, jak w czasie studiów uczono go fundamentalnych zasad systemu: że wszyscy obywatele są równi w obliczu sądu i każdy ma prawo do obrony; że powinnością adwokatów jest dowodzić niewinności oskarżonego, a tym samym strzec należnych mu praw. Same szlachetne zasady, ale życie jest życiem, bo oto przyszło mu bronić człowieka, który nie okazywał nawet

cienia skruchy, cienia żalu za to, czego się dopuścił. A werdykt przysięgłych brzmi...

– Niewinny!

– Nie... ! – krzyknęła siostra ofiary, a po chwili gniewny pomruk wypełnił całą salę.

Jack przymknął oczy. Odniósł gorzkie zwycięstwo.

– Proszę o spokój! – Sędzia kilkakrotnie uderzył młotkiem w pulpit, aby uciszyć wzburzoną do granic hysterii salę. W stronę Jacka Swytecka i zabójcy, którego wybronił, posypały się przekleństwa, złorzeczenia i papierowe kule.

– Spokój, proszę o spokój!

– Jeszcze odpowiesz za swoje, Goss! – krzyknął przyjaciel domu zamordowanej dziewczyny. – Ty też, Swyteck.

Jack wlepił wzrok w sufit. Starał się wyłączyć, nie zwracać uwagi, nic nie słyszeć.

– Obyś nie zaznał dziś spokoju – mruknął pod jego adresem rozwścieczony prokurator, wychodząc z sali.

Jack gorączkowo szukał w myślach jakichś argumentów, czegoś, za czym mógłby się skryć jak za tarczą. Niczego jednak nie znalazł. Zmilczał, własną postawę zaś zmanifestował w ten sposób, że nie powinszował Eddy'emu Gossowi zwycięstwa, nie podał mu ręki, nawet na niego nie spojrział. Zajął się swoimi papierami.

Goss tymczasem patrzył nań z uśmiechem zadowolenia.

– Niech mi pan da wizytówkę, Mr. Swyteck – poprosił. Patrzył z wysoka, ręce wsparł na biodrach. – Przyda mi się następnym razem...

Może te słowa, a może jeszcze coś innego sprawiło, że patrząc na Gossa, Jack miał przed oczami wszystkich zbrodniarzy bez cienia skruchy, których bronił w ciągu tych kilku lat. Podszedł do Gossa i rzucił mu prosto w twarz:

– Coś ci powiem, ty skurwysynu. Lepiej nie myśl o następnym razie, bo ja na pewno nie będę cię bronił. I powiem więcej: osobiście postaram się, żebyś dostał najgorszego adwokata, jaki tylko praktykuje w tym stanie. Bądź pewien, że jako syn gubernatora mogę to załatwić.

Uśmiezek spłynął z twarzy Gossa, który zmrużył złowrogo oczy.

– Tylko bez grózb, Swyteck.

– Możesz mi naskoczyć.

Goss pogardliwie skrzywił wargi.

– Dość tego. Obraziłeś mnie i tego ci nie odpuszczę, Swyteck. – Przynęnął się

jeszcze bliżej do adwokata. – Jedno ci tylko powiem, nadejdzie dzień, i to szybciej, niż ci się wydaje, kiedy będziesz mnie błagał o wybaczenie – odsunął się i patrzył świdrującymi oczami na Jacka – błagał o litość i łaskę.

Jack starał się zachować spokój, ale ten świdrujący wzrok palił go do żywego.

– Cóż ty możesz wiedzieć o litości, Goss – rzekł na koniec, odwrócił się na pięcie, zabrał teczkę i ruszył do wyjścia. Przeciskał się przez gniewny tłum. W poczuciu ogromnej samotności zmierzał do mahoniowych, rzeźbionych drzwi z napisem: WYJŚCIE.

– Panie, panowie, oto on – nad tłumem uniósł się głos Gossa. Wymachiwał rękami jak konferansjer w cyrku. – Oto on, mój były przyjaciel, mecenas Jack Swyteck.

Jack udawał, że nie słyszy. Czuł na sobie wzrok tłumu.

– Wał – syknął ktoś z tłumu.

– Padalec.

Wszyscy patrzyli na niego i nagle zdał sobie boleśnie sprawę, co to naprawdę znaczy być pełnomocnikiem procesowym, reprezentować interesy klienta. Właśnie, jak flaga jest symbolem państwa, jak szatan uosabia zło, tak on uosabiał teraz Eddy'ego Gossa.

– Idzie, idzie – rozległo się w tłumie dziennikarzy na korytarzu, gdy Jack pojawił się w drzwiach sali rozpraw. Czekali całą gromadą, uzbrojeni w mikrofony i kamery.

– Mr. Swyteck – nie sposób było ominąć natrętnych mikrofonów – prosimy o komentarz... Pański klient... jakie mogą być konsekwencje... ? A co pan powie rodzinie ofiary? – Pytania nakładały się na siebie.

Z tyłu napierał tłum wylewający się z sali, przed sobą miał zwarty front reporterów i żadnej ucieczki. Nie da się wykpić zwykłym „bez komentarza”. Przystanął, zastanowił się chwilę.

– Sądzę, że dzisiejszy werdykt można określić tylko w jeden sposób. Było to zwycięstwo zasad, wedle których najmniejsza wątpliwość działa na korzyść oskarżonego...

Gdzieś z tłumu trysnęła fontanna czerwieni, krwawy strumień oblał Jacka, a krzyki ogarniętych paniką ludzi wypełniły cały sądowy korytarz. Rozgardiasz pogłębił się, gdy jeszcze jeden gęsty strumień czerwieni oblał Jacka i wszystkich dookoła.

Zamurowało go na chwilę. Nie pojmował, co się stało. Starł czerwoną maź z twarzy, nie wiedząc, czy to krew, czy farba, ale nie zareagował ani słowem.

Czerwone krople zaczęły ściekać na podłogę.

– Masz krew na rękach, Swyteck! – zawołał z tłumu anonimowy napastnik. –
To jest jej krew.

Do domu jechał w samych spodenkach. Musiał złożyć dach w swoim kabriolecie – mustangu rocznik 73, bo od smrodu nie dało się oddychać. Koszulę i poplamione ubranie rzucił na tylne siedzenie. No cóż, zakończenie procesu było niezwykle, ale też prasa całkiem na serio przewidywała, że zapadnie taki, a nie inny werdykt. Uniewinnienie widać dotknęło kogoś do żywego, a przynajmniej na tyle, że ów ktoś zadał sobie trud, by przygotować parę pojemników z farbą, i postąpił tak jak fanatycy ochrony zwierząt, którzy oblewają farbą damy w futrach na ulicach w Nowym Jorku. Zastanawiał się tylko, czym naprawdę go oblano. Krwią? A jeśli tak, to jaką? Zwierzęcą? Ludzką? Zarażoną AIDS? Skrzywił się na myśl o tytułach w jutrzejszych gazetach: „Jack Swytek, krwawy liberał”. Tam do licha, oby nie było gorzej – pomyślał.

Ściemniało się, gdy dotarł do domu. Na podjeździe – na co zaraz zwrócił uwagę – nie było czerwonego pontiaca, a więc Cindy Paige, jego dziewczyna, nie przyjechała i nie będzie z kim pogadać o wydarzeniach mijającego dnia. Jego dziewczyna. Czasami zastanawiał się, czy naprawdę jego. Ostatnio nie układało się między nimi najlepiej. Cindy coraz częściej zostawała u swojej przyjaciółki Giny, bo „Gina ma kłopoty” – wyjaśniała, co brzmiało niezbyt przekonująco. Rzekome kłopoty Giny były raczej pretekstem, żeby uwolnić się od tych wszystkich problemów, z jakimi borykali się od kilku miesięcy. „Niech to diabli wezmą” – zaklął. A zresztą trudno mieć pretensje, bo przecież naprawdę było tak, że jeśli nie siedział po uszy w robocie, to zamykał się w sobie, rozmyślał w skrytości ducha, zastanawiał się nad życiem, sam, niczego z nią nie dzieląc.

– Cześć, koleś! – zawołał, gdy jego kudłaty przyjaciel, najlepszy ze wszystkich, szalał na powitanie pana. Wielkie, jak u niedźwiedzia, kosmate łapy oparł Jackowi na piersi, mokry nos przycisnął do twarzy. Nazywał się Czwartek, bo właśnie w pewien czwartek z Cindy i jej pięcioletnią siostrzenicą wzięli go ze schroniska, ratując przed niechybnym uśpieniem. Z pewnością Czwartek zasługiwał na ulaskawianie bardziej niż jakikolwiek więzień z celi śmierci. Miał coś z labradora, lecz naprawdę był mieszańcem, obdarzonym cechami niezliczonych psich ras. Ogromnymi, czekoladowymi ślepiami potrafił wyrazić absolutnie wszystko. Teraz oczy wołały: jeść!

– Chyba mamy dla ciebie pudełko tego, co trzeba. – Jack wyzwolił się z psich objęć i ruszył do kuchni. Nasypał trochę karmy do miski. Znalazł też w lodówce

resztki wczorajszej pizzy. Cindy nigdy nie dojadła pizzy do końca. Zostawiała ją dla psa.

Postawił miskę na podłodze i przyglądał się, jak Czwartek zaczyna pochłaniać jedzenie.

Na szczęście krew, farba, czy co tam napastnik użył w sądzie, zmyła się pod prysznicem bez śladu. Wycierając się w łazience, Jack słyszał, jak Czwartek suwa miskę nosem po posadzce w kuchni. Uśmiechnął się, wciągnął spodenki, poszedł do sypialni, przysiadł na skraju podwójnego łóżka. Bez specjalnego celu rozglądał się wokół, aż popatrzył na zdjęcie Cindy – pamiątkę po wspólnej wyprawie w góry, w Utah. Stała na skale, uśmiechnięta, szczęśliwa, a wiatr rozwiewał jej blond loki. Lubił to zdjęcie, chyba najbardziej ze wszystkich, gdyż uwidaczniało najlepsze cechy Cindy, które sprawiały, że była naprawdę nadzwyczajna. To, że jest ładna, i niebywale zgrabna, widzieli wszyscy. Jack znacznie wyżej cenił jej cudowne oczy i czarujący uśmiech. To było w niej najlepsze.

Odruchowo sięgnął po słuchawkę. Skrzywił się, gdy pod numerem Giny Terisi usłyszał tylko: „Przykro mi, ale nie mogę teraz podejść do telefonu...” – nagranie na automatycznej sekretarce.

– Cindy, zadzwoń do mnie – poprosił. – Tęsknię – dodał po sekundzie i odłożył słuchawkę. Wyciągnął się na łóżku, przymknął oczy i po raz pierwszy od wielu dni nareszcie się rozluźnił. Martwił się tylko, że wiadomość na sekretarce najpierw usłyszy Gina i że zaraz zacznie przekonywać Cindy, że wcale mu na niej nie zależy. Nie bez racji zresztą.

Włączył telewizor, przeleciał kilka kanałów szukając programu, w którym nie rozrabiano by sprawy uniewinnienia Eddy'ego Gossa. Wybrał MTV, gdzie dwóch niechlujnych szarpidrutów brzdąkało coś na gitarach, podczas gdy blond dziewczyna w stylu Cindy Crawford lizała ich po twarzach.

Wyłączył odbiornik, wtulił się w poduszkę leżąc w ciemności. Sen nie nadchodził. Otworzył oczy, patrzył bezmyślnie przed siebie, na wygasły ekran telewizora. Nie miał na nic ochoty, ale ponure wydarzenia dnia nadal nie dawały mu spokoju. Nagle poczuł, że jest coś, co musi raz jeszcze obejrzeć.

Zerwał się z łóżka, sięgnął po teczkę, po omacku znalazł to, czego szukał. Włączył telewizor, wsunął kasetę do magnetowidu, usiadł na łóżku.

– Nazywam się Eddy Gross – mówił człowiek na ekranie. Patrzył prosto w obiektyw policyjnej kamery. Zwykle starannie zaczesany, teraz miał zmierzwioną, przetłuszczoną czuprynę. Wyglądał obrzydliwie, jakby z tydzień sypiał pod mostem, i zapewne śmierdział jak z rysztocka. Ubrany był w brudne levisy,

pożółkły podkoszulek rozerwany na piersiach, z plamami potu pod pachami, ale sprawiał wrażenie pewnego siebie. Siedział wyraźnie zadowolony na składanym krzeselku, z rękami założonymi na piersiach. Na szyi widać było cztery świeże, długie zadrapania. W rogu ekranu widniała data nagrania: godzina 23. 04, 12 marca – cztery i pół miesiąca temu.

– Mój adres: East Adams Street 409, mieszkania 217.

Kamera odjechała, ukazując szerszy obraz. Przesłuchiwany siedział u szczytu długiego stołu konferencyjnego, obok niego, po prawej stronie, zajął miejsce przesłuchujący – starszy mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce, siwy, w rogowych okularach na orlim nosie.

– Panie Goss – mówił właśnie – nazywam się Lonzo Stafford, jestem oficerem śledczym. Jest tu z nami detektyw Jamahl Bradley, stoi za kamerą. Zapewne wiesz, synu, że przysługuje ci prawo odmowy zeznań, a także masz prawo...

Jack przyspieszył taśmę, szukając fragmentu, który oglądał już setki razy. Oto na ekranie znów ukazał się Goss – ożywiony, dumny, jak młody tata na wieść o urodzinach potomka.

– ... no i wykończyłem tę małą kurwę – mówił wzruszając ramionami, jakby nigdy nic.

Zatrzymał taśmę, cofnął i puścił jeszcze raz, jakby wymierzał sobie karę.

– ... no i wykończyłem tę małą kurwę – zabrzmiało jeszcze raz. Zdanie, które telewizja powielala po wielokroć, wycinając wulgarne słowo, wyznanie, które i dziś powtórzyły wszystkie dzienniki. Jack nie patrzył, słuchał tylko, jak Goss, nie pomijając żadnego szczegółu, opisuje ponurą zbrodnię: jazdę samochodem do lasu, nóż na gardle ofiary, łzy, po których odechciało mu się pieszczot, i wreszcie to, jak zarzucił rajstopy na szyję dziewczyny i zaczął zaciskać pętlę...

Jack westchnął nie otwierając oczu. Pod wrażeniem okrucieństwa zamilkli nawet przesłuchujący policjanci. Gdyby przysięgli zobaczyli to nagranie, zareagowaliby pewnie podobnie, ale on – Jack – postarał się, aby do tego nie doszło. Złożył wniosek o wyłączenie taśmy z materiałów dowodowych, argumentując, że zeznanie zostało wymuszone, a tym samym naruszono konstytucyjne prawa oskarżonego. Nie chodzi o to, że go bito w śledztwie, nawet go nie straszono, co to, to nie, ale tak czy owak „zeznanie wymuszone w sposób naruszający prawo” – wywodził wskazując na niezręczne sformułowanie doświadczonego skądinąd policjanta, który chciał zapiąć – wszystko na ostami guzik, tak żeby nie było cienia wątpliwości, i... przesadził, choć tylko wyjątkowo skrupulatny sędzia mógłby w jego postępowaniu dopatrzeć się naruszenia prawa.

– Nie zmuszam cię do przyznania się – zapewniał detektyw Stafford Gossa – chcę tylko, żebyś nam powiedział, gdzie jest ciało Kerry, tak aby można było ją pochować jak należy, po chrześcijańsku.

I to wystarczyło. To był hak, z którego Jack nie omieszkał skorzystać.

– Wysoki Sądzie – uzasadniał wniosek – przesłuchujący wymusili zeznanie, grając na religijnych uczuciach mojego klienta. Podnieśli kwestię wiary, a to – Wysoki Sądzie – jest działaniem absolutnie pozaprawnym – przekonywał i, szczerze mówiąc, zdziwił się, gdy sąd uznał tę argumentację. Nagranie wyłączono z materiału dowodowego. Przysięgli nie obejrzeliby kasety i w efekcie uniewinnili sprawcę morderstwa. Jawny akt nadużycia reguł systemu sprawiedliwości. Dobra robota, Swytek.

Wyłączył wideo, wyjął kasetę pełen obrzydzenia do siebie i do zawodu, który uprawiał. Z półki obok telewizora wyciągnął coś innego. Po raz nie wiadomo który od czasu, gdy związał się z Instytutem Wolności, zaczął oglądać „Zabić drozda”. Patrzył, jak Gregory Peck – filmowy adwokat Atticus Finch – broni przed sądem niewinnego człowieka.

I właśnie gdy Peck-Finch zaczynał słynną mowę obrończą, rozległ się głośny dzwonek, wyrrywając Jacka z półsnu.

Podniósł słuchawkę, mając nadzieję, że usłyszy Cindy. Tymczasem przez dobrą chwilę nikt się nie odzywał, aż wreszcie rozległo się chrapliwe pytanie:

– Swytek?

Jack nie odpowiedział. Głos wydawał mu się znajomy, ale miał wrażenie, jakby mówiący starał się go zmienić. Jack czekał. Znowu minęła chwila, gdy wreszcie dotarło do niego krótkie, przejmujące zdanie:

– Morderca jest na wolności, Swytek. Morderca...

– Kto mówi? – Jack przycisnął słuchawkę do uszu.

Cisza.

– Kto mówi? Kim pan jest? – Jack odczekał chwilę. Słyszał tylko ciężki oddech po drugiej stronie, aż wreszcie...

– Śpij spokojnie, Swytek! – Chłodno, niemal obojętnie, po czym przerwano połączenie. Słyszał tylko sygnał centrali.

Biegając wysypaną skrawkami kory ścieżką zdrowia, gubernator Harold Swytek kłął pod nosem na myśl o politycznych konsekwencjach wczorajszego sukcesu Jacka w sądzie. Już od kilku tygodni analizował z doradcami, w jaki sposób głośny proces może wpłynąć na kampanię wyborczą. Wspólnie doszli do wniosku, że wystarczy parę ostrych przemówień na temat walki z przestępczością, aby zneutralizować udział Jacka w całej sprawie. Ani przez chwilę jednak nie przypuszczali, że Jackowi uda się uzyskać dla swego klienta werdykt uniewinniający. Gdyby liczyli się z taką możliwością, to oczywiście postaraliby się stosownie zareagować na doniesienia prasowe, w których podkreślano, że to właśnie syn gubernatora dzięki trickom proceduralnym doprowadził do zwolnienia zbrodniarza.

– Niech to wszyscy diabli – mruczał Harry, dysząc z wysiłku. Przyspieszył, mocno pracował ramionami, czuł narastającą złość, i to raczej nie jako polityk, któremu pomieszano szyki, ale jako ojciec wielce rozczarowany postępowaniem własnego dziecka.

Starał się nie zwalniać tempa. Zaczął uprawiać jogging po sprawie Fernandez. Przyrzekł też sobie ograniczyć alkohol. Od tamtego poranka, w ciągu tysiąca dwustu dni sprawowania urzędu gubernatora, przebiegł tyleż mil i tyle też razy myślał o owej nocy, kiedy to powinien posłuchać Jacka i wstrzymać wykonanie wyroku, choćby na parę dni – na tyle, ile trzeba było, aby sprawdzić wersję podaną przez Jacka. Biegając samotnie miał czas na refleksje, na zastanawianie się w cichości ducha. Doradcy podnosili kwestie bezpieczeństwa, on jednak z zasady nie korzystał z ochrony, chyba że w wyjątkowych sytuacjach, gdy wybierał się gdzieś późno w nocy, czy też miał wystąpić w jakimś wielkim mieście.

– Jeśli jakiś szaleniec zechce mnie zabić – mawiał – to przecież nie będzie rozglądał się za facetem w wyświechtanym dresie i czapce baseballowej, który kłusuje po zapomnianych ścieżkach na odludziu.

Na razie wszystko było w porządku.

Zwolnił dobiegając do kępy rozłożystych dębów, wśród których gęsto słały się krzaki brezyłki. To była połowa trasy i stąd zawsze zawracał. Powtórzył sobie w myślach zasadę: pierwsza połowa dystansu to czas na wyrzucenie z siebie złości, druga – to czas na pozytywne wnioski.

Rodacy... – zaczął zastanawiać się nad treścią przemówienia biegając wśród

rozkwitających na pomarańczowo pęków brezyliki. Czuł, jak zmienia się jego nastrój. Odsunął kłopoty, zajął się tym, co go czeka dzisiejszego ranka – przemówieniem do wiernych wyborców. Za parę godzin miał bowiem oficjalnie rozpocząć kampanię przed wyborami na drugą kadencję.

... oto stoicie w obliczu prawdziwego wyboru – układał sobie w myślach, gdy nagle zawiodły go nogi i padł jak długi na ścieżkę. Z prawego łokcia i kolana sączyła się krew. Pomyślał najpierw, że potknął się o wystający korzeń, czy coś takiego, ale w tym momencie zza potężnego dębu – co dostrzegł kątem oka – wyskoczył jakiś cień i rzucił się na gubernatora, przyciskając go do ziemi. Dwa ciała zwarte w uścisku potoczyły się w stronę rwącego potoku, który w tym odludnym miejscu płynął nie opodal ścieżki. Wylądowali wśród chaszczki, tuż nad strumieniem. Gubernator sięgnął do kieszeni po elektroniczny aparat przyzywający ochronę, nim jednak zdołał nacisnąć czerwony guzik alarmowy, napastnik wymierzył mu potężny cios prosto w splot słoneczny. Harry stracił oddech i padł jak długi twarzą w błoto.

– Aaa...! – wykrztusił z siebie, z trudem łapiąc powietrze. Nim jednak zdołał powiedzieć coś bardziej zrozumiałego, poczuł na gardle chłodną stal noża.

– Nie ruszaj się! – usłyszał.

Zamarł, nie potrafił jednak opanować drżenia, choć ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Leżał twarzą w błocie, kątem lewego oka dostrzegł jednak zarys napastnika, który przygniatał go do ziemi, wbijając kolana w nerki. Był tak ciężki, że Harry ledwo łapał oddech. Potężny mężczyzna miał niski, chrapliwy głos, a na wielkich dłoniach – skórkowe rękawiczki. Odziany był w maskujący drelich piechoty morskiej. Rysów twarzy nie można było dostrzec, gdyż napastnik na twarz naciągnął kominiarke.

– I kogóż my widzimy? – zaczął chrapliwie. – Wielki pan polityk na porannej przebieżce.

Gubernator zacisnął pięści. Nie myślał o walce, chciał się tylko opanować. Tymczasem napastnik milczał. Słyszać było tylko jego ciężki oddech. Przeszkadzały mu pewnie kłęby waty, które wcisnął w usta, aby zmienić brzmienie głosu.

– Witamy, panie gubernatorze – odezwał się wreszcie kpiąco-przyjacielskim tonem. – Wy, politycy, jak słyszałem, jesteście skorzy do interesów. Mam więc dla pana, mój dobry człowieku, propozycję. Co pan powie, jeśli przedstawię dowody, że Raul Fernandez był niewinny?

Raul Fernandez? Dziesiątki myśli przebiegły przez głowę zaskoczonego

Harry'ego – czemu padło akurat to nazwisko?

– A w zamian za to, że pan nie straci posady gubernatora, bo nie ujawnię, jak to wraz z synem zamordowaliście niewinnego człowieka, dostanę trochę pieniędzy, prawdę mówiąc – kupę pieniędzy.

Gubernator milczał.

Napastnik przycisnął mu kark do ziemi, jakby obawiał się, że nóż na gardle jest jeszcze za słabym argumentem.

– Chyba że woli pan, abym pogadał o wszystkim z pismakami.

Gubernator opanował się, strząsnął z siebie strach, a przynajmniej na tyle, żeby wykrztusić:

– Czego chcesz?

– Na rogu ulicy Dziesiątej i Monroe jest taki drugstore „U Alberta”. Wisi tam automat telefoniczny, zaraz przy wejściu. Niech pan tam będzie we czwartek w południe. Sam. I niech panu do głowy nie przyjdzie, żeby ściągać policję, bo zaraz zawiadomię prasę i o wszystkim opowiem. Zrozumiano?

– Tak – gubernator z trudem przełknął ślinę.

Napastnik wcisnął mu twarz w błoto.

– A teraz – rzekł wstając – niech pan liczy do stu, zanim pan choćby palcem ruszy. No, zaczynać! Głośno i wyraźnie. Już!

– Jeden, dwa – Harry zrobił, co mu kazano, nad słuchując coraz cichszych kroków napastnika. Leżał bez ruchu. Gdy doliczył do trzydziestu, uznał, że niebezpieczeństwo minęło. Przekręcił się na plecy, wyrwał z kieszeni aparat przyzywający. Wystarczy nacisnąć czerwony guzik, a chłopcy z ochrony zjawią się w mniej niż minutę. Zawahał się jednak, bo co im powie? Że jakiś szaleniec zagroził mu ujawnieniem faktu, iż dopuścił do egzekucji niewinnego człowieka?

Schował aparat. Zastanowił się chwilę. Napastnik przecież ostrzegł, że jeśli zaalarmuje ochronę, to sprawa Fernandesa trafi natychmiast do gazet. Czy oznacza to katastrofę? Bez wątpienia. To byłaby katastrofa, ale chodzi też o coś innego. Harry bał się, że nawet jeśli szantażysta nie piśnie słowa prasie, to nie zjawi się w drugstorze „U Alberta” i w ogóle zniknie, a wtedy on – gubernator Swytek – nigdy nie dowie się prawdy o Fernandezie.

Patrzył na zarośla i kępę drzew, gdzie zniknął szantażysta. Skrzyżowanie Dziesiątej i Monroe to ruchliwe miejsce, a więc bezpieczne, nie jakiś zaułek, gdzie nikogo nie ma. Tam, do licha, gdyby ten facet chciał go zabić, to już byłoby po wszystkim. Decyzja przyszła sama.

– Jutro – powtórzył głośno, jakby potwierdzał umowę. – Jutro w południe przy

automacie telefonicznym.

Pełen uznania dla sprytu adwokatów i wdzięczny za luki prawne, Eddy Goss znów przemierzał ulice Miami. Szedł znanym sobie szlakiem, kierując się w pewne szczególne miejsce. Lubił tam chodzić. Była to uboga dzielnica, gdzie samotne kobiety wystawały na rogach, by zarobić na pokrycie kosztów nałogu, który pochłaniał setkę dolarów dziennie, a żonaci mężczyźni wysiadali z samochodów, by za dwudziestkę zaspokoić żądze. Goss omijał kobiety, udawał, że nie słyszy nagabywań, propozycji „numerku” czy „loda”. Zdązał w stronę pomalowanego na jasnożółto pawilonu bez okien, z trzema wielkimi literami X na drzwiach, bo tam na półkach pod sam sufit leżały kolorowe magazyny, starannie opakowane w celofanowe torebki, żeby nikt za darmo nie mógł zajrzeć do środka. Goss uwielbiał kolorowe pisma, już choćby dlatego, że dziewczęta na zdjęciach były znacznie ładniejsze niż kobiety na ulicy.

Czuł się w tym sklepie porno jak u siebie. Znał tu każdy kąt i cenił sobie sposób, w jaki wykładano towar na półkach. Na tej po lewej od wejścia – seks oralny, na prawo – grupowy. Jeśli zachciało mu się czegoś jeszcze brutalniejszego, wystarczyło zatrzymać się przy półce na wprost. Najbardziej jednak lubił półkę na zapleczu, tam gdzie leżały pisma dla amatorów małych dziewczynek.

– Kupuje pan? – odezwał się tłusty facet za kontuarem przy kasie.

– Bo co? – odpalił Goss.

Tłuscioch wytrzeszczył oczy. Brudnymi paluchami wpychał w siebie wielką kanapkę.

– Bo śmo – powtórzył tłustymi od majonezu ustami. Resztki zielonej sałaty spadały na siwiejący, nie ogolony podbródek. – Pytam, czy kupujesz coś, czy nie, kutasie.

– Zastanawiam się. – Goss odłożył na półkę egzemplarz Kolorowych Czarownic.

– I tak już od półtorej godziny, chuju – dokończył tłuscioch. – Wynocha!

Goss zeszywniał, patrzył złowrogo prosto w oczy grubasa. Ten z początku wytrzymał wzrok, ale po chwili się speszył. Pracował tu od trzech tygodni i widział niejedno, ale nikt do tej pory nie spoglądał nań z taką przejmującą do szpiku kości pogardą.

– Chyba nie wiesz, do kogo mówisz? – syknął Goss.

– Gównu mnie to... – wzruszył ramionami tłuscioch.

– Jestem Eddy Goss.

Sprzedawcę zamurowało. Oczywiście, ta sama twarz, widział przecież sprawozdania z procesu w telewizji i zdjęcia w gazetach.

Goss wysunął się na środek sklepu, gdzie w blaszanym koszyku leżała kupka sztucznych penisów i jeszcze innych gadżetów tego typu. Podeszedł do kasjera.

– Jestem Eddy Goss – powtórzył, jakby to wszystko wyjaśniało, i już bez słowa, jednym ruchem ręki, rozsypał towar z blaszanego koszyka po całym sklepie.

Kasjer oprzytomniał. Sięgnął pod ladę i w ułamku sekundy mierzył w Gossa z pistoletu.

– Wynoś się! – krzyknął drżącym głosem. – Wynoś się, albo rozwalę ten twój pieprzony łeb.

Goss cofnął się i pokręcił głową.

– Daję ci dziesięć sekund – ostrzegł kasjer.

Goss patrzył na niego bez słowa.

Kasjer zaczął się nerwowo kręcić na krześle. Ręka z bronią zadrżała, na czole ukazały się krople potu.

– Ostrzegam cię, gnojku – powtórzył.

Goss nie ruszał z miejsca. Instynktownie czuł, że kasjer nie zdobędzie się na spełnienie groźby. Trwało to dobrą chwilę, aż uznał, że wystarczy.

– Niech ci będzie – rzucił na koniec i ruszył do drzwi.

Słońce stało wysoko, gdy tu przyszedł, teraz zaś schowało się za chmury i miało się ku zachodowi. Eddy poczuł głód i pragnienie. Przeszedł skrótem przez parking do sąsiedniego drugstore'u. W sklepie nie było nikogo poza sprzedawcą – Haitańczykiem, który stał za ladą. Goss wziął z półki parę batonów, rozwinął z papierków i wpakował sobie do ust, idąc dalej, w stronę szaf chłodniczych na zapleczu. Otworzył jedną z nich. Wcisnął papier z batonów głęboko za butelki, biorąc jednocześnie puszkę schłodzonego piwa. Zapłacił przy kasie. Po drodze do wyjścia zerknął, czy sprzedawca nie patrzy. Upewniwszy się, że nie, wziął jeszcze gazetę z półki i dopiero wyszedł. Z czasopismem pod pachą skierował się w zaciszny, mroczny kąt za sklepem. Zasył się przy śmietniku, za zwałami kartonów pod drewnianym płotem, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał. Nadszedł już bowiem czas...

Szybko przejrzał magazyn, rzucając na ziemię niepotrzebne stronice z ogłoszeniami i wiadomościami, dopóki nie znalazł tego, na co liczył – wkładkę z reklamą damskiej bielizny. Przejrzał uważnie zdjęcia i wybrał fotografię dziewczyny z naburmuszoną miną. Rozłożył stronicę na ziemi, nerwowo rozpiął

spodnie, napluł w dłoń i sięgnął do rozporka. Oczy zwęziły mu się jak szparki, gdy zadziałała wyobraźnia: oto kładzie się na niej... zaczął dyszeć w rytm posuwistych ruchów własnej dłoni.

– Pierdolone kurwy – wyrzęził, gdy jego ciało przeszedł dreszcz. Przymknął oczy, otworzył je po dobrej chwili, pilnie patrząc na efekt rękodzieła.

Wstał wolno, zapiął rozporek. Nie spuszczał wzroku z poplamionego zdjęcia. Sięgnął do kieszeni i rzucił w białawą, wilgotną wydzielinę coś drobnego. Ziarenko. Nasionko chryzantemy.

– Moja wizytówka – szepnął ze złowrogim grymasem na ustach.

We czwartek gubernator wstał o szóstej. Wziął prysznic, ogolił się, gdy Agnes leżała jeszcze w łóżku po bezsennej nocy. Harold Swytek należał do tych mężczyzn, którzy niczego przed żoną nie ukrywają. Chłopcom z ochrony zamydlił oczy zmyśloną naprędce historią o fatalnym upadku, aby wytłumaczyć siniaki, Agnes natomiast powiedział prawdę, bo zawsze był wobec niej szczerzy, a poza tym chodziło także o jej bezpieczeństwo.

Agnes w milczeniu przełączała pilotem programy telewizyjne. Wybrała wreszcie „Teleświt” – poranny dziennik regionalny. Pokazywali Harry'ego, tym razem w otoczeniu grupy księży, pastorów i rabinów, którzy popierali jego kandydaturę. Słuchając, jak dziękuje gościom za życzliwość, poczuła się dumna z męża, jednak spoważniała, gdy pamięć podsunęła jej to, co opowiedział poprzedniego wieczora.

Agnes zawsze żywiła obawy, że działalność publiczna naraża Harry'ego na niebezpieczeństwo, że nadejdzie dzień, kiedy któryś z wrogów nie ograniczy się wyłącznie do gróźb, lecz posunie się krok dalej. Wczoraj jednak, gdy Harry mówił, że ów napastnik wie coś szczególnego o sprawie Fernandez, nie myślała w ten sposób. Doskonale pamiętała, jak ciężko mąż przeżył decyzję o wykonaniu wyroku, do tej pory ciągle jeszcze zastanawiał się, czy uczynił słusznie, ważył racje i argumenty. Rozumiała go i dzieliła jego wątpliwości, bardziej zresztą te związane z Jackiem niż z podpisaniem wyroku śmierci.

Nie była wymarzoną macochą i zdawała sobie z tego sprawę. Wiele razy próbowała zbliżyć się do pasierba, ale bez skutku. Pogodziła się z jego niechęcią, bo nie miała innego wyjścia, choć gdyby nie pewne wydarzenie przed dwudziestu pięciu laty, to kto wie, czy wszystko nie ułożyłoby się inaczej. Stało się to wówczas, kiedy lekarze orzekli, że ona i Harry nie mogą mieć własnych dzieci. Właśnie wtedy Agnes sięgnęła po kieliszek...

Była zbyt pijana, aby odebrać Jacka z przedszkola. Przywiozła go sąsiadka. Mały wszedł jakby ukradkiem, przez drzwi od podwórza. Zawsze zresztą starał się uniknąć nowej „mamusi”, bo ciągle jej nie ufał.

– Jack – szepnęła Agnes otwierając oczy. W ustach czuła lepkość, jakby po zmrożonej melasie. – Chodź tu do mnie, kochanie.

Chciał ją wyminąć, ale udało jej się złapać go za portki. Objęła chłopca,

przytuliła niezdarnie do piersi i wilgotnymi ustami wycisnęła pocałunek na policzku.

– Pocałuj mamusię – domagała się, rozsiewając wokół woń przetrawionego ginu z martini. Jack wyrywał się z objęć. Agnes tuliła jeszcze mocniej. – Nie pocałujesz swojej mamusi? – pytała natarczywie.

– Nie – skrzywił się – wcale nie jesteś moją mamusią.

I wtedy poczuła narastającą złość. Zrzuciła małego z kolan, ale przytrzymała za rękę, tak że nie mógł uciec.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! – krzyknęła i wymierzyła mu policzek. Chłopiec wybuchnął płaczem i starał się wyzwolić z jej objęć. Agnes nie puszczała.

– Puść mnie, boli.

– Ból, tylko to do ciebie przemawia, młody człowieku. Nic innego. Nie pomyślisz nawet, że to ja zmieniałam ci zafajdane pieluszki, że to... – zabrakło jej słów – ... że to ja spędzałam bezsenne noce, gdy ryczałeś całymi godzinami, ja, a nie jakaś tam mamusia. Właśnie ja, i to ja jestem matką, a nie kto inny.

– Wcale nie jesteś moją mamą. Moja mama jest w niebie.

Skąd przyszły jej do głowy podłe słowa, tego Agnes nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Nie potrafiła zapanować nad sobą.

– Twoja matka wcale nie umarła, ty mały draniu. Żyje, tylko cię nie chce.

Jack dygotał patrząc na macochę.

– To kłamstwo! – krzyknął. – Kłamiesz, kłamiesz i tyle.

– Teleświt – głos prezentera wyrwał wreszcie Agnes z myśli o przeszłych wydarzeniach – życzy państwu miłego dnia.

Wyłączyła odbiornik. Gubernator wychodził właśnie z łazienki, ubrany, gotów przyjąć wszystko, co przyniesie dzień – rozmowę z automatu telefonicznego na rogu Dziesiątej i Monroe, prawdę o sprawie Raula Fernandez. Wczoraj wieczorem obiecał jednak żonie, że nie podejmie żadnej decyzji bez jej zgody. Ona zaś przyrzekła, że wszystko przemyśli. I oto stał teraz przy łóżku, wiązał krawat, czekał, co powie.

– A więc? – ponaglił Agnes. Dotarło do niej, że dłużej nie da się zwlekać. Westchnęła głośno. Decyzja była trudna, bo nawet w ruchliwym punkcie miasta nie można wykluczyć niebezpieczeństwa. Ów człowiek groził przecież nożem. Z drugiej jednak strony, jeśli ostateczne wyjaśnienie mogłoby złagodzić koszmar, jaki przeżywał jej mąż, jeśli wyjawienie tajemnicy Fernandez przyczyni się do poprawy stosunków między ojcem a synem, to nie wolno jej czynić żadnych

przeszkód.

– Ale pamiętaj, bądź ostrożny.

Gubernator uśmiechnął się z wdzięcznością, pochylił się i pocałował Agnes w usta.

– Zadzwońę po wszystkim – obiecał – i nie bój się, nie zrobię żadnego głupstwa, wiesz przecież.

Przytaknęła, choć raczej bez przekonania. Na początku małżeństwa, kiedy Harry służył jeszcze w policji, codziennie składał podobne obietnice, a ona dobrze go znała, był odważny aż do przesady i to ją zawsze martwiło.

Ruszył do drzwi, zatrzymał się na progu.

– Ale gdybym nie zadzwonił przed pierwszą...

– Nic nie mów Harry. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nawet nie myśl o tym.

– Zadzwońę – obiecał solennie i wyszedł.

Bardziej z poczucia obowiązku, niż z przekonania do tego typu stroju, Jack nałożył dzinsy i koszulkę polo – typowy letni „uniform” pracowników Instytutu Wolności. Poklepał Czwartka po grzbiecie i wyszedł z domu. W samochodzie zastanawiał się, czy nie złożyć rezygnacji. Nie zachodził do biura od trzech tygodni, od początku procesu Gossa, więc teraz zatrzymał się w drzwiach i popatrzył uważnie na otoczenie. Spędził tu cztery lata. Na środku niewielkiego holu stało metalowe biurko recepcjonistki. Ostre światło jarzeniówek wyławiało wszystkie plamy z zdeptanego dywanu. Pod gołymi, bielonymi ścianami stało kilka krzeseł, każde z innego kompletu. Recepcjonistka w widocznej ciąży pełniła także funkcje sekretarki Instytutu. Więcej personelu nie było. Za jej biurkiem widniało czworo drzwi do tyluż małych pomieszczeń bez okien – pożał się Boże „gabinetów” czworga adwokatów zatrudnionych w Instytucie. Jeszcze dalej znajdowała się kuchnia ze starymi gratami, gdzie jadało się kanapki, rozmawiało i przyjmowało interesantów, gdzie – krótko mówiąc – skupiało się całe życie.

– Zwycięstwo! – zakrzyknęli chórem wszyscy obecni, gdy Jack wkroczył do kuchni. Troje adwokatów z uśmiechem od ucha do ucha ustawiło się w triumfalnym ordynku wokół stolika wyłożonego plastikiem: Brian – opalony blondyn, typ sportowca – równie sprawny na desce surfingowej jak na sali sądowej; Ewa – wieczna śmieszka – dzięki niej żaden z nich nie oszalał do końca, jedyna paląca fajkę kobieta, jaką Jack w życiu znał; no i Neil Goderich, który dwadzieścia osiem lat temu zakładał Instytut. Nosił wtedy długie włosy związane w kitkę na karku. Kitki już nie miał, ale ciągle jeszcze nie zapinał kołnierzyka pod

krawatem. Nie dlatego, że miał taki nonszalancki styl, ale dlatego, że od czasu, kiedy po raz ostatni zafundował sobie koszulę, utył o parę dobrych numerów i wszystko zrobiło się przyciasne.

Koledzy z drużyny, cali w uśmiechach, wyciągnęli butelkę perlistego trunku za całe sześć dolarów. Strzelił korek.

– Nasze gratulacje! – zawołał Neil, napełniając cztery nie domyte filiżanki po kawie.

Wzniesli toast, Jack uśmiechał się z wdzięcznością. Nie dzielił nastroju zwycięstwa, ale doceniał gest. Uważał ich za przyjaciół od początku, od czterech lat, od kiedy zgłosił się do Instytutu na wstępną rozmowę i przekonał, że są jeszcze na świecie ludzie uczciwi, z charakterem i zasadami. Byli na tyle szczerzy, że bez żadnych skrupułów oświecili syna znanego polityka, iż pojęcie „politycznej uczciwości” jest po prostu wewnętrznie sprzeczne. Jack cenił ich charakter i właśnie dlatego trudno mu było odejść. Teraz jednak pojął, że już czas.

– Wspaniała robota – nie szczędził pochwał Neil, a za nim reszta.

– Dziękuję wam – odparł Jack, mając nadzieję, że skończą wreszcie z tym poklepywaniem po plecach. – Jestem wam wdzięczny, ale... chcę skorzystać z okazji, że jesteśmy tu wszyscy i powiedzieć... – Przerwał na sekundę i patrząc im w oczy dokończył z lekkim westchnieniem: – ... że była to moja ostatnia sprawa. Odchodzę z Instytutu.

Wrażenie było takie, jakby z szampana uleciały raptem wszystkie bąble.

Jack odstawił filiżankę i bez słowa poszedł do swego gabinetu. Koledzy spojrzeli po sobie. Oświadczenie było brutalne, ale też Jack nie miał ochoty niczego wyjaśniać, niczego tłumaczyć. Sobie zresztą też. Nie miał żadnych planów ani propozycji nowej pracy, więc sam też nie pojmował, skąd ta nagła decyzja.

Zajął się pakowaniem swoich rzeczy, przeglądał papiery i akta. O jedenastej przyszedł Neil Goderich.

– Kiedy zjawiłeś się u nas – zaczął bez większych wstępów – zastanawialiśmy się, czy rzeczywiście znajdziesz tu swoje miejsce.

– Ja też – rzekł Jack, pakując książki do kartonów.

Neil uśmiechnął się ze smutkiem, jak rodzice żegnający dziecko udające się po raz pierwszy w świat. Przysiadł na biurku obok góry spakowanych już kartonów.

– Szczerze powiem, że nie zatrudnilibyśmy nikogo takiego jak ty – ciągnął głaszcząc się po siwiejącej brodzie – kto bardziej nadaje się do jakiejś wielkiej kancelarii dla bogaczy (tak przynajmniej wynikało z twoich dokumentów). Wiesz, co mam na myśli? Firmy prawnicze, w których bardziej dbają o honoraria i

procenty niż o zasady.

– Więc dlaczego mnie przyjęliście?

– Bo twoim ojcem był Harold Swytek – odparł Neil z niewyraźnym uśmiechem. – Nadarzyła się nam więc wymarzona okazja, aby wyciąć numer przyszłemu gubernatorowi, który zapowiadał policyjne rządy. Pomyśl tylko, jego syn staje się obrońcą długowłosych hippisów, którzy przeżyli swoje pokolenie.

– Mieliście więc ten sam pomysł co ja – Jack też się zaśmiał.

– Tak właśnie przypuszczałem – Neil nagle spoważniał. – Gdy zjawiłeś się u nas, czułem, że masz dość swojego starego i tego, że narzuca ci swoją wolę, a Instytut to była prawdziwa ucieczka. Dalej niż tu uciec się nie dało.

Jack nie odpowiedział. Nigdy z Neilem nie rozmawiali o ojcu, ale to, co Neil mówił teraz, sposób, w jaki postrzegał jego stosunki z ojcem, dotyczyła sedna.

Neil pochylił się nieco, złożył ręce, jak zawsze, gdy miał powiedzieć coś poważnego.

– Widzisz, Jack, czytam gazety, oglądam telewizję i dobrze wiem, że dobierają się do ciebie za Gossa. Wiem też, że niechętna prasa może zaszkodzić kampanii wyborczej gubernatora. Nie wykluczam, że na tym tle masz poczucie winy... być może – tego też nie wykluczam – stary naciska na ciebie, żebyś się wycofał z Instytutu. Być może – jak powiadam – ale to nie moja sprawa. Coś jednak ci powiem. Otóż masz nieprawdopodobny talent, jesteś naprawdę zdolny i wiem też, że nie przymykasz oczu na nędzę, narkotyki, bezdomnych i w ogóle na wszystko, co sprawia, że młodzi ludzie stają się przestępcami. Nie jesteś taki jak ci, co się na to godzą pod warunkiem, że tak zwany system wymiaru sprawiedliwości pozwala im mścić się, bo tak pojmują sprawiedliwość. Otóż nasz Instytut odbiera im możliwość dokonania zemsty, wyklucza to ich pojęcie sprawiedliwości i to jest słuszne, tak powinno być i ty też postępowałeś słusznie.

Jack westchnął i odwrócił wzrok. W przeciwieństwie do Neila zawsze miał wątpliwości, nie potrafił tak jednoznacznie stwierdzać, że coś jest dobre, a coś złe. Owszem, wierzył w wyższe cele, ufał, że w każdym uniewinniającym wyroku potwierdzają się prawa człowieka i obywatela, ale w przypadku Eddy'ego Gossa to nie wystarczało. Żeby go bronić dzień po dniu, potrzebne było jeszcze coś: pasja, całkowite oddanie sprawie, coś, od czego zaczynają się wszelkie rewolucje. Tymczasem on – Jack – raz tylko czuł ogarniającą go pasję. Wtedy, gdy ojciec wydał nakaz egzekucji Raula Fernandez, a Fernandez był przecież niewinny.

– Przykro mi, Neil, ale te szczytne cele już do mnie nie przemawiają. Być może nie złożyłbym rezygnacji, gdyby przyszło mi bronić jakiegoś zwykłego zabójcy,

faceta, który okazałby przynajmniej cień skruchy. Nie chodzi o niewinnego, zauważ, ale o kogoś, kto potraktowałby zwolnienie jako szansę na rozpoczęcie nowego życia, a nie okazję do nowej zbrodni. Tymczasem wszyscy moi klienci są tacy jak Goss. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale nie daję już rady, a nie chcę być hipokrytą.

Neil pokiwał głową. Rozumiał Jacka, choć się z nim nie zgadzał.

– No cóż, to przykre – rzekł – ale nadal mam do ciebie zaufanie. – Wstał z biurka i podał Jackowi rękę. – I pamiętaj, te drzwi są zawsze otwarte, gdybyś kiedyś zmienił zdanie.

– Dzięki.

– Masz czas na lunch?

Jack spojrział na zegarek, dochodziło wpół do dwunastej. Nie miał żadnych zajęć, ale czuł potrzebę większej serdeczności niż tylko dobre słowo Neila. – Nie gniewaj się, ale może innym razem...

– Nie ma sprawy. – Neil podniósł dłoń, jakby salutował, i wyszedł.

W chwilę później Jack maszerował już do auta. Dźwigając kartony z książkami myślał o Cindy. Nie odezwała się, choć zostawił jej wiadomość, co mogło oznaczać, że albo jej nie odebrała, albo zwyczajnie nie zamierza się odezwać.

Wspomniawszy ostatnią wspólną noc, kiedy to powiedziała, że przenosi się do Giny, najlepszej przyjaciółki, żeby ją pocieszać. Brzmiałoby to dość prawdopodobnie, gdyby chodziło o kogoś innego, bo Gina tak naprawdę nigdy nikogo nie potrzebowała, tak przynajmniej uważał, a znał ją całkiem nieźle. To dzięki niej spotkał Cindy. Było to rok i dwa miesiące temu. Wspólny znajomy załatwił mu randkę w ciemno z Gina. Nigdy potem już się nie spotykali. Najpierw kazała mu czekać prawie godzinę, bo nie zdążyła się wyszykować. Na szczęście Cindy, współlokatorka Giny, dotrzymywała mu towarzystwa przez tę godzinę. No i coś tam między nimi zaiskrzyło. Podczas wieczoru, spędzonego z Gina, starał się wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji o Cindy, a zaraz po tym zdarzeniu zaczął się umawiać tylko z Cindy. Gina dąsała się na początku, ale wreszcie pogodziła się z losem.

Sprawdził, czy nikt nie nadjeżdża, i na zielonym świetle ruszył na drugą stronę ulicy, na parking należący do Instytutu. Myślami był zupełnie gdzie indziej, ugiął się pod ciężarem kartonów z książkami i tylko kątem oka dostrzegł auto, które wjechało na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Przyspieszył kroku, auto też zaczęło jechać szybciej i raptem skręciło ostro w jego stronę. Jack zdołał skoczyć na chodnik i tylko dzięki temu nie dostał się pod koła. Upadł, auto błyskawicznie

odjechało, ale Jack zapamiętał pierwszą literę numeru rejestracyjnego – „Z”. Na Florydzie literę „Z” mają samochody z wypożyczalni.

Serce podeszło mu do gardła, cały dygotał. Rozejrzył się, czy nie znajdzie jakiegoś świadka incydentu, ale ulica była pusta. W tej dzielnicy niewiele osób ryzykowało piesze spacerowanie. Przez chwilę jeszcze leżał na chodniku, zastanawiając się, czy był to wypadek, głupawy żart jakiegoś szczeniaka, który chciał się popisać przed kolegami, czy też coś innego. Nie chciał wpadać w histerię, ale też trudno było potraktować to jako przypadek. Pozbierał się, wstał i zamarł słysząc dzwonek telefonu. Zaczął nadśluchować. Tak, to jego komórka – tani, ale dość solidny aparat, jaki zainstalował sobie w aucie za namową Neila Godericha. Neil był zdania, że coś takiego może się przydać, gdyby dwudziestoletni ford mustang odmówił nagle posłuszeństwa w jakiejś nieciekawej okolicy, skąd wywodzą się klienci Instytutu Wolności.

Rozejrzył się. Na ulicy ani ducha. Telefon nadal dzwonił. Podeszedł do auta. Wyłączył alarm, otworzył drzwi. Przebrzmiało już chyba ze dwadzieścia dzwonek, a telefon nadal dzwonił. Podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Swyteck?

Jack wstrzymał oddech. To był ten sam głos – chrapliwy, celowo sztuczny głos, jaki rozległ się w słuchawce domowego telefonu dwa dni temu.

– Kto mówi?

Cisza.

– Kto mówi?

– Wypuściłeś mordercę. To ty go uwolniłeś.

– Czego chcesz?

Po drugiej stronie zapadło milczenie, dał się tylko słyszeć ciężki oddech. Dopiero po chwili padła odpowiedź:

– Powstrzymaj zabójcę, Swyteck, apeluję do ciebie...

– O co cho... – Jack nie dokończył, bo w słuchawce rozległ się tylko trzask przerwanej linii połączenia.

O jedenastej czterdzieści Harry Swytek włożył alpakową marynarkę i opuścił rezydencję tylnym wyjściem. Skierował się do drugstore'u „U Alberta” w uczęszczanym punkcie miasta, u zbiegu Dziesiątej i Monroe. Słoneczny ranek zapowiadał kolejne upalne popołudnie, ale na szczęście powietrze było stosunkowo suche, gubernator miał więc nadzieję, że obejdzie się bez deszczu. Krótko mówiąc: dzień wymarzony na spacer po ulicach, ściskanie dłoni wyborcom i pokazanie się wśród ludzi, co należy do stałych punktów każdej kampanii politycznej.

Dotarł do sklepu parę minut przed dwunastą. Kryjąc wewnętrzny niepokój rozdawał uśmiechy, witając się po drodze z tym i owym. Drugstore funkcjonował w tym samym miejscu od dobrych czterdziestu lat. Sprzedawano w nim wszystko – od maści na hemoroidy po superostrą paprykę chili. Przy wejściu znajdowała się tam staroświecka budka telefoniczna, w której można było spokojnie porozmawiać, idealna jak na potrzeby Harry'ego. Niewiele takich zostało w mieście. Harry zastanawiał się, czy napastnik celowo wybrał to, a nie inne miejsce.

– Dzień dobry, panie gubernatorze – powitał go uprzejmie właściciel, siedemdziesięciodziewięcioletni Albert, który zamiatał właśnie przed sklepem.

– Dzień dobry – uśmiechnął się Harry na powitanie. – Piękny dzień na spacer, nieprawdaż?

– Racja – odparł stary, ocierając krople potu z czoła, i zaraz wszedł do środka. Harry też powinien ruszyć z miejsca, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Cóż, kiedy najpierw musiał poczekać na telefon. Wszedł więc do kabiny, zdjął słuchawkę, udając że rozmawia, ale rękę, jakby od niechcenia, oparł na aparacie, dyskretnie naciskając widełki. Spojrzał na zegar w witrynie banku. Była dokładnie dwunasta. Nagle przestraszyła go cała ta dziwna operacja, nie to, że telefon już powinien zadzwonić, ale – przeciwnie – że w ogóle nie zadzwoni. Na szczęście w tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka. Harry pośpiesznie zwolnił widełki.

– Jestem, jestem, halo – rzucił do mikrofonu.

– Słyszę, dobry człowieku – rozległ się znajomy już, jakby sztuczny głos. – Nie traćmy czasu.

– Nie ma obawy, nikt nie namierza pańskiego aparatu.

– Nie obawiam się i wiem, że nie zawiadomił pan gliniarzy – odrzekł rozmówca z nutą szyderstwa w głosie.

– Skąd pan wie? – spytał Harry. Oszołomiła go ta pewność siebie.

– Bo czytam w panu jak w otwartej książce. Widziałem błysk w pańskich oczach, gdy napomknąłem o Fernandezie. Ciągłe pan o nim myśli, prawda?

Gubernator słuchał pilnie. Za szklaną ścianą budki przewalał się tłum przechodniów, przejeżdżały auta. Peszyło go, że obcy człowiek tak go obnaża. Zastanawiał się, kto to może być: wygląda jak bandzior, a mówi jak psycholog. Kamuflaż, wytłumaczył sobie.

– Jakie ma pan propozycje? – spytał.

– Prosta sprawa. Dam panu dowody, pokażę dokładnie to samo, co pokazałem pańskiemu synowi dwa lata temu, i przekona się pan na własne oczy, że to ja podciąłem gardło tej dupie. A pan mi dostarczy pieniądze.

Harry przeanalizował sytuację. A więc to był ten sam człowiek, który przyszedł do Jacka w noc poprzedzającą egzekucję Fernanda. Pytanie tylko, czy mówi prawdę, czy rzeczywiście był zabójcą.

– Sekundę. Czy mam rozumieć, że to pan uśmiercił tę dziewczynę?

– Panie, czy pan ogłuchł? Przecież mówię...

Gubernator miał wrażenie, że oto otworzyła się przed nim otchłań i że spada w przepaść bez dna. Potrzebował dobrych kilku sekund, żeby się opanować.

– Wspomniał pan o pieniądzach?

– Dziesięć tysięcy, w banknotach po pięćdziesiąt, i mają być czyste, nie do rozpoznania.

– A jak mam je przekazać? – Pytanie zadał automatycznie, bez zastanowienia, i dopiero gdy padło, zdał sobie sprawę, że właśnie wchodzi w układ z przestępcą. – A co z dowodami, jak je dostanę?

– Niech się pan zjawi z pieniędzmi w parku Bayfront, wie pan, nad samą zatoką w Miami. Pójdzie pan na postój, jak im tam... powozów, zaraz obok pomnika Kolumba. Niech pan weźmie taką białą dorożkę z czerwonymi aksamitnymi siedzeniami. Powozi nią stary Murzyn – Calvin. Koniecznie o dziewiątej wieczorem, bo wtedy ten Calvin robi sobie przerwę na trasie. Przy amfiteatrze. Idzie na mrożoną herbatę do kiosku, w którym sprzedaje taka cyncata seńorita. Wtedy niech pan sprawdzi siedzenie po prawej stronie. Trzeba podnieść poduszki, pod nimi jest taki schowek. Znajdzie pan tam pudełko po butach, a w nim instrukcję. Zostawi pan pieniądze i dalej postąpi dokładnie według instrukcji. Rozumie pan?

– A jeśli woźnica się nie zatrzyma?

– Zatrzyma się, spokojnie. Załatwi pan wszystko, jeśli weźmie pan kurs dokładnie o dziewiątej, bo wtedy ten stary pierdoła zawsze przystaje przy

amfiteatrze. Można zegarki regulować według niego.

– Nie mogę przecież wsiadać do dorożki z workiem pełnym pieniędzy.

– Może pan i tak pan zrobi – odpowiedział tamten tonem wykluczającym wszelki sprzeciw.

– Potrzebuję trochę czasu. Kiedy pan chce dostać pieniądze?

– W sobotę o dziewiątej wieczorem. A teraz muszę już kończyć. Nie sądzę, co prawda, aby kazał pan namierzyć, skąd dzwonię, ale na wszelki wypadek wyłączam się, bo minęło już siedemdziesiąt sekund.

Gubernator usłyszał tylko trzask odkładanej słuchawki. Z wolna odwiesił także swoją. Odetchnął głęboko. Bał się, żeby się w coś nie wplątać, tymczasem jednak musi się upewnić, czy nieznajomy mówi prawdę. Nie bardzo jeszcze wiedział, co wtedy zrobi, jak będzie żył mając już tę świadomość, jak wytłumaczy się przed Jackiem. Najpierw jednak musi się upewnić.

A zresztą przecież mogło być znacznie gorzej. Takiemu typowi nie należało dawać nawet dziesięciu centów, ale z drugiej strony dziesięć tysięcy to żaden uszczerbek dla ich majątku. Napastnik mógł zażądać znacznie więcej.

Zastanawiał się, dlaczego tego nie uczynił. Ryzykował przecież sporo. Dlaczego więc nie zażądał więcej? A może prowadzi jeszcze inną grę, o której Harry na razie nie wie.

Taka perspektywa nappełniła go jeszcze większą trwogą.

– No to za zdrowie mojego kumpla, Jacka! – Najlepszy przyjaciel Jacka, Mike Mannon „Wariat”, właściciel sklepu „Mike's Bike”, wzniosł toast butelką piwa Michelob. – Obyś wreszcie zmądrzał i przestał bawić się w adwokata! – dokończył.

Jack przyłączył się do toastu butelką amstela. Pociągnął spory łyk. Przez cały dzień wydzwaniał do przyjaciół i znajomych, pytając, czy nie słyszeli o jakiejś posadzie, a wieczorem dał się namówić Mike'owi na kolację w restauracji przy plaży. Skusiła go perspektywa hamburgera i paru piw w knajpce przy deptaku.

Chłonęli wieczorną bryzę i gapili się na opalone dziewczyny śmigające na wrotkach między jaskrawoczerwonymi kabrioletami, wysiadające ze sportowych corvet lub równie luksusowych jeepów na oponach szerokich jak walce. Z samochodowych głośników płynęła muzyka reggae puszczana na cały regulator i równie głośna kubańska salsa. O ósmej, gdy słońce już zaszło, na deptak pod błyszczącymi neonami wylegało całe Miami: modne, seksowne, często balansujące na granicy prawa.

– O rany! – jęknął Mike na widok mocno opalanej blondynki z dekoltem do pępka. Od wszystkich stolików zresztą podniósł się pomruk zachwytu, a mężczyźni, jak na komendę, zwrócili głowy w jedną stronę.

Jack był szczerze rozbawiony. Mike należał do tych mężczyzn, którzy nigdy nie dorastają. Wszędzie i zawsze węszył okazję, ale czynił to z wdziękiem, był czarujący. Nie podchodził do życia zbyt poważnie. Brał z niego, co chciał, nie przejmując się tym, co inni mogą powiedzieć lub pomyśleć, i Jack zazdrościł mu tego luzu.

– Coś ci powiem, Mike. Mam znajomego chirurga, który chętnie prześwietliłby twój kręgosłup... Pisze pracę na temat łbów na zawiasach, co to obracają się za każdą dupencją – zakpił.

– Widzicie go, jaki święty – odpalił Mike. – Łatwo dostać medal za wierność, gdy w łóżku czeka Cindy Paige.

– Czy ja wiem – zadumał się Jack – czy jeszcze czeka... ?

– Co ja słyszę, sielanka się skończyła? Nie przejmuj się. Znajdzie się coś nowego. A co powiesz o tej sztuce – kiwnął głową w stronę rosłej dziewczyny w skórzanym kostiumie, z wysoko upiętymi włosami koloru starego wina.

– W sam raz. Już na oko widać, że marzy o poznaniu bezrobotnego, a jakby tego było mało, to dodam jeszcze, że jakiś szalenciec czyha tylko, żeby mnie

przejechać na ulicy.

– Właśnie, masz coś nowego w sprawie tego wczorajszego wypadku? – podchwycił Mike z ciekawością.

– Mogę tylko zgadywać – wzruszył ramionami. – Zapewne to Goss robi sobie żarty. Te telefony z groźbami są trochę w jego stylu, choć z drugiej strony nie jestem pewien, czy stać go na coś podobnego. Pierwszy telefon był dwa dni temu, więc wygląda to na zaplanowaną kampanię, a Goss nie byłby w stanie koncentrować się na jednej sprawie tak długo. Może to raczej jakiś świr niezadowolony z wyroku.

Mike pogonił wzrokiem za dwiema panienkami w jednakowych bluzkach-stanikach.

– A może warto by zawiadomić policję?

– Nie sądzę – zaśmiał się Jack. – Gliny z Miami ucieszyłyby się tylko na wieść, że ktoś dobiera się do mecenasa Swytecka. Sprawca dostałby od nich honorowe obywatelstwo. Nie, nie warto zawracać sobie głowy policją.

– No to cóż: pilnuj się – powiedział Mike z całą powagą.

Po chwili jednak zmienił nastrój. – A może pomyśl o innej robocie. Rzuć prawo i zajmij się czymś innym, zacznij sprzedawać pocztówki, czy coś takiego – zażartował.

Jack milczał. Niewykluczone, że Mike ma rację. Może rzeczywiście rzucić to wszystko, przenieść się gdzieś daleko, do innego stanu, gdzie nie będzie ani Gossa, ani wielkiego taty, który nigdy nie powie dobrego słowa, ani Cindy z jej ciągłym wierceniem w duszy. Do diabła, dlaczego właściwie nie potrafi otworzyć własnej duszy? Cała Ameryka to robi. Wystarczy włączyć telewizor: w każdym programie znajdzie się facet lub facetka, co na oczach wszystkich nicuje nie tylko duszę, ale i wszystkie flaki.

– Powiedz mi, Mike – spytał w zmyśleniu – jak ci się układa z rodziną, no wiesz, potrafisz pogadać z mamą czy z ojcem?

Mannon puszczał właśnie oko do dziewczyny w obcisłych spodniach z lycry.

– Co mówisz? – wrócił do rozmowy – Jak mi idzie z rodziną? Czy ja wiem? Z mamą lubimy sobie pogadać, to znaczy mówi głównie ona, nic, tylko pyta, kiedy się wreszcie ożenię i zafunduję jej wnuki...

– A z ojcem?

– Jakoś idzie – Mike uśmiechnął się, choć nie bez cienia smutku. – W dzieciństwie było cudownie. Stale rozrabialiśmy, chodziliśmy na mecze, prawie co sobotę wybieraliśmy się łódką na ryby. Penetrowaliśmy wszystkie zatoczki w

poblizu, łowiliśmy, że aż hej – przerwał na chwilę – ale później, gdy skończyłem szkołę, nasze stosunki stały się jakby bardziej oficjalne, rozumiesz mnie? Rąsia i pytanie: „Jak leci, synu?“, wiesz, jak to bywa. Ale tak w ogóle to nie jest źle.

Jack pomyślał o zdjęciu, które widział na półce w bibliotece ojca w noc, kiedy stracono Fernandezę – fotografii ze wspólnej wyprawy łodzią, kiedy to byli we dwóch z ojcem.

– Jeszcze dwa piwa – kiwnął na kelnera.

O pierwszej czterdzieści pięć w sobotę nad ranem Cindy z Gina wracały ze spaceru nad morzem. Jechały autem Giny. Cindy wyłączyła klimatyzację, otworzyła okno, aby wpuścić do środka nieco cieplejszego powietrza.

– Co ty wyprawiasz? – zirytowała się przyjaciółka.

– Zimno tu.

– Wolę chłodne powietrze, zwłaszcza po paru drinkach, bo orzeźwia i nie pozwala zasnąć, a poza tym strasznie mi gorąco w tych portkach.

Portki rzeczywiście były „gorące” – jak zauważyła Cindy – jeśli „gorące” znaczy „seksy”. Z czarnego elastiku, doskonale uwydatniały wdzięki właścicielki. A Gina miała naprawdę wspaniałą figurę. Nie było nikogo, kto nie zwróciłby na nią uwagi. W każdym razie wystarczyło, żeby zakręciła biodrami, a już faceci leżeli plackiem: od bogatych biznesmenów po chłopaków ze stacji benzynowych. Była rzeczywiście zgrabna i potrafiła dbać o siebie. Mając dwadzieścia cztery lata nadal wyglądała równie świeżo jak przed ośmiu laty, gdy jako szesnastoletnia modelka zarabiała tysiąc dolarów tygodniowo.

Poznały się sześć lat temu w college'u – dwie osiemnastolatki, które za sprawą przypadku zamieszkały we wspólnym pokoju w akademiku. Cindy bardziej przykładała się do nauki, Gina wolała się bawić. Przez jakiś czas wszystko układało się dobrze. Ale pewnego dnia, pod koniec semestru, Gina zjawiała się wieczorem zapłakana. Przegadały całą noc do bladego świtu i Cindy udało się w końcu przekonać przyjaciółkę, że nie ma takiego chłopa, choćby nie wiadomo jak znakomitego kochanka i jak inteligentnego wykładowcy, z powodu którego należałoby od razu połykać całą fiolkę tabletek nasennych i popijać butelką whisky. W ten oto sposób Cindy stała się jedyną osobą na świecie, która wiedziała, że istniał ktoś, dla kogo Gina Terisi gotowa była popełnić samobójstwo. Od tamtej nocy zaczęła się ich przyjaźń. Później zaś Cindy widziała całe gromady mężczyzn, których przyjaciółka bezlitośnie rzucała, biorąc w ten sposób odwet za tę pierwszą, jedyną, tragiczną miłość. Nie chodzi o to, że miała taki drapieżny charakter, wcale nie. Naprawdę była zupełnie inna, ale o tym wiedziała tylko Cindy, jako świadek

owej nocy, kiedy jej przyjaciółka przeżywała swój dramat.

– Próbowełaś kiedyś prowadzić auto z zamkniętymi oczami? – spytała Gina.

– Chyba nie – Cindy przełączała programy w radiu, szukając czegoś stosownego do nastroju.

– A ja tak. Czasami, gdy widzę, że ktoś nadjeżdża z drugiej strony, mam straszną ochotę zamknąć oczy, puścić kierownicę i tylko czekam, żeby usłyszeć, czy mnie minie, czy...

– Tylko nie próbuj tego teraz – Cindy zrobiła śmieszny minę.

– Nie masz nastroju, prawda?

– Właśnie. Żałuję, że dałam się namówić na tę balangę. Chyba jednak nie odejdę od Jacka.

– Rozmawialiśmy o tym setki razy, Cindy. Mówiłaś, że to już koniec.

– To prawda – odparła z wahaniem – ale byliśmy z Jackiem bardzo blisko. Mieliśmy się pobrać.

– Co oznacza, że uratowałam cię w ostatniej chwili. Coś w tym jest, co mówią, że ślub to grób – powiedziała to specjalnie głośno. – Masz jeszcze czas. Poczekaj, rozejrzyj się, zrób coś na własną rękę. Wcale nie musisz wisieć na mnie. Masz zresztą doskonałą sposobność, bo nie co dzień się trafia, żeby dwudziestopięcioletnia reporterka otrzymała propozycję kontraktu od włoskiego konsula na zrobienie zdjęć we Włoszech do broszury reklamowej. Skorzystaj z okazji, bo jeśli ciągle będziesz się zastanawiać, co powie Jack, kiedyś zaczniesz go nienawidzić właśnie za to.

– Być może – zgodziła się Cindy. – Ale nie musimy chyba od razu zrywać. Mogę przecież powiedzieć, że rozstanie na jakiś czas dobrze nam obojgu zrobi, da nam czas na zastanowienie się, czy rzeczywiście chcemy być na zawsze razem.

– Daj spokój. Żyjesz z nim od dawna, a przynajmniej wystarczająco długo, żeby wiedzieć, czy o to ci właśnie chodzi. A jeśli mówisz, że ciągle jeszcze się zastanawiasz, to znaczy, że coś jest nie tak.

– Ale kiedyś było inaczej.

– Być może, ale od paru miesięcy nie układa ci się z Jackiem. I właściwie jak to z nim jest? Niby z jednej strony mówi, że „warto by na stałe”, a z drugiej nawet nie wiesz, co on naprawdę myśli. A w ogóle to jest jakiś dziwny, tak jak dziwna jest jego wielka tajemnica, która sprawia, że nie odzywa się do swojego sławnego ojca.

– Wcale nie jest dziwny – Cindy starała się bronić Jacka. – Tak mi się wydaje, że śmierć matki, reakcja rodziny i wszystko, co działo się później, wpłynęły na niego.

– Niech i tak będzie, ale zanim on ułoży wreszcie swoje sprawy, ty możesz pobyć we Włoszech.

– Czy ja wiem...

– Rób jak chcesz – burknęła Gina – ale i tak się rozstaniecie, gdy tylko Jack dowie się, z kim się wybierasz do Włoch.

Cindy nie odpowiedziała. Gina miała rację, ale nie chciało jej się o tym myśleć. Zaczęła słuchać radia, w którym tymczasem przebrzmiały ostatnie takty muzyki i zaczęły się wiadomości. Na początek dano informację o Eddym Gossie.

– ... zabójca, który przyznał się do winy – mówił spiker – został uniewinniony we czwartek od zarzutu o morderstwo z premedytacją. – Dalej zaś była mowa o tym, iż oficer śledczy Lonzo Stafford stara się zebrać dowody, że Goss brał udział co najmniej w dwóch innych morderstwach, by w ten sposób wymusić na władzach ponowne aresztowanie zabójcy, „aby nie doszło do jeszcze jednej tragedii” – zacytował spiker.

Udawały, że wcale nie słuchają, choć każda z nich wiedziała, iż druga pilnie nadśłuchuje. Fakt, że Gossa bronił Jack, spowodował, iż obie uważnie śledziły sprawę, może nawet zbyt uważnie. Cindy pomyślała o Jacku, że zapewne siedzi w domu, sam jak palec. Gina zaś o Eddym Gossie, że jest na wolności i krąży gdzieś po mieście.

BMW, którym jechały, miało kolor szampana, Gina otrzymała je w prezencie od ostatniego amanta, ale i tak go rzuciła. Skreśliły właśnie w stronę luksusowego osiedla z widokiem na zatokę, które składało się z około dwudziestu domów starannie wkomponowanych w krajobraz. Prawdę mówiąc, za pieniądze, jakie Gina zarabiała projektując wnętrza, nie byłoby jej stać na utrzymanie tak luksusowego mieszkania, i to w tak znakomitej dzielnicy. W rzeczy samej „wynajmowała” je od pewnego bardzo bogatego biznesmena z Wenezueli, który – jak opowiadała kiedyś żartem – zjawia się mniej więcej trzy razy w roku, zostaje na noc i „pobiera czynsz”.

W garażu nie było miejsca, bo Cindy zostawiła tam swoje auto, więc Gina zatrzymała BMW na parkingu dla gości nie opodal domu. Wysiadały ostrożnie, pod wrażeniem wiadomości, że Eddy Goss jest na wolności.

– Gdy się słyszy coś takiego, że morderca krąży w mieście, to parę kroków do domu staje się maratonem – zauważyła półżartem Cindy, gdy zwawo przemierzały parking.

– Właśnie – zachichotała Gina nerwowo. Śmiech zabrzmiał niepewnie w nocnej ciszy. Na werandę wiodącą do wejścia wbiegała po dwa stopnie naraz. Cindy

ledwie nadążała za długonogą przyjaciółką. Nad wejściem paliło się światło, drzwi zamknięte na klucz, wszystko tak, jak zostawiły wychodząc. Dopiero po chwili Gina znalazła klucze w torebce pełnej kosmetyków i damskich drobiazgów. Jakiś czas próbowała trafić kluczem do zamka. Wreszcie udało się, przekreśliła klucz, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Otworzyły się, ale tylko trochę, i Gina odbiła się jak piłka, gdy okazało się, że drzwi zamknięte są na łańcuch.

Zamarły obie. Drzwi były zablokowane od wewnątrz, i to nie one zamknęły łańcuch, bo nie da się najpierw wyjść z domu, a potem założyć blokadę.

Gina zerknęła na fajansową donicę na werandzie, pod którą chowała zapasowy klucz, o czym mało kto wiedział. W schowku wyraźnie ktoś grzebał, donica nie stała na zwykłym miejscu.

Tymczasem, zanim się zorientowała, co się dzieje, ktoś zamknął drzwi, Gina straciła równowagę, puściła torebkę, której zawartość rozsypała się po całej werandzie.

Obie wpadły w panikę, najpierw przerażone przyłgnęły do siebie, po sekundzie zaś, gdy usłyszały szcęk zwalnianego łańcucha, zapiszczały ze strachu i puściły się pędem po schodach. Pierwsza Gina. Zrzuciła szpilki i mknęła przed siebie, jak płotkarka. Cindy potknęła się na ostatnim stopniu i padła jak długa na chodnik.

– Gina, ratuj! – krzyknęła, usiłując powstać. Przyjaciółka nawet się nie obejrzała.

– GINAAAA!

– Hej! – krzyknął Jack od drzwi. – Hej, to ja!

Gina biegła dalej. Cindy zamarła, a potem podniosła wzrok.

– Jack? – Spróbowała się podnieść.

– Tak, to ja. Nic ci się nie stało?

– Ty skurczybyku! – zawołała Gina z parkingu. – Co ty, do cholery, tu robisz?

Właśnie, co? pomyślał Jack. W czasie kolacji uległ namowom Mike'a i zamiast piwa zamówił coś mocniejszego. Alkohol z miejsca uderzył mu do głowy. Jack rzadko pił, miał zresztą słabą głowę. Po kolacji uznał, że w tym stanie lepiej będzie nie ryzykować jazdy przez całe miasto, i postanowił wstąpić do Giny, licząc, że zastanie tam Cindy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co tu robię – wzruszył ramionami, odpowiadając bardziej sobie niż dziewczynom. Spojrzał na Cindy. – Przepraszam, chyba za dużo wypilem, ale chciałbym porozmawiać. Coś między nami...

– Jack – przerwała Cindy – nie tutaj i nie teraz.

– Ale chodzi tylko o rozmowę, parę minut. To mi się chyba należy. – Zachwiał się i straciłby równowagę, ale przytrzymał się poręczy.

Cindy zawahała się, widząc bowiem Jacka, zaczęła żałować, że nie ułożyła spraw inaczej.

– Czy ja wiem, chyba możemy porozmawiać, ale raczej nie teraz. Szczerze mówiąc, jeszcze niczego nie postanowiłam...

– Przeciwnie, postanowiła – zaprzeczyła Gina z całą mocą. – Zapomnij o wszystkim, Jack. Ona odchodzi. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale Cindy jest lepiej bez ciebie, więc pozwól jej odejść.

Cindy skarciła przyjaciółkę wzrokiem. Jackowi było wstyd, że robi z siebie widowisko.

– Niech i tak będzie – wzruszył ramionami i zaczął schodzić z werandy.

Cindy zmieszała się, nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. W ostatniej chwili zatrzymała go.

– Masz rację – powiedziała – trzeba porozmawiać. Wezmę tylko kluczyki do auta. Pogadamy w domu.

Spojrzał najpierw na Ginę, potem obrócił się w stronę Cindy.

– Jesteś pewna? – spytał.

Nie odwzajemniła spojrzenia, kiwnęła tylko głową, że tak.

– Jedź pierwszy – powiedziała – ja za tobą.

Nie ma głębszej przepaści niż ta, która dzieli wspólne łóżko. Można zgasić światło, zamknąć oczy, a przepaść nie znika, świadcząc o konflikcie dzielącym dwoje ludzi.

Między Jackiem i Cindy taka przepaść jęła się rysować już w drodze do domu, gdy jechali każde swoim autem. Zaparkowali osobno, osobno też weszli do mieszkania. Przepaść pogłębiła się, gdy rozbierali się bez słowa. A potem każde z nich wtuliło się w swoją poduszkę na szerokim, dwuosobowym materacu, i pośrodku rozwarła się prawdziwa otchłań, czy – jak kto woli – wyrósł mur większy niż berliński. Jack zdawał sobie sprawę, że trzeba porozmawiać, ale po alkoholu nie miał do siebie zaufania, bał się, że może coś palnąć. Toteż na wszelki wypadek zgasił natychmiast światło, mruknął „dobranoc” i udawał, że śpi, choć w rzeczywistości męczył się jeszcze parę dobrych godzin, nim wreszcie udało mu się zdrzemnąć.

Cindy nie nagabywała go, choć też nie mogła zasnąć. Wspominała czas, kiedy Jack zaproponował, żeby się do niego przeniosła. Było to prawie dziesięć miesięcy temu. Zasłonił jej oczy rękami i wprowadził do sypialni, a gdy odsłonił, zobaczyła mnóstwo żółtych kokardek przymocowanych do szuflad w komodzie. W ten sposób oznaczył puste szuflady. „Dla ciebie, na twoje rzeczy” – powiedział. Widziała je teraz oczami wyobraźni: kokardki, żółte wstążki, koronki, a tuż przed zaśnięciem stanął jej przed oczami jeszcze jeden obraz: wspaniale udekorowanej sali, w której właśnie zaczyna się przyjęcie. Sala jest ogromna, przyjęcie wytworne, setki eleganckich gości, a jej zależy tylko na Jacku. Rozgląda się, woła – żadnej odpowiedzi.

– Jack – szepnęła trzy godziny później, gdy ciepłe promienie słońca padły jej na twarz. Obudziła się na dźwięk własnego głosu. Skuliła się po swojej stronie łóżka.

– Jack – rzuciła głośniejszym głosem, przez ramię – musimy porozmawiać.

– Co, co jest? – Jack przetarł oczy i obrócił się w jej stronę, zerkając na budzik. Była siódma rano. – Zaraz wrócę. – Próbował wstać, ale opadł z powrotem na łóżko. – o rany! – jęknął, czując wszystkie skutki nadużycia alkoholu. Czaszka mu pękała i gdyby mu ktoś w tej chwili poradził, że ratunkiem może być amputacja skołatanej głowy, zgodziłby się bez namysłu. Znów jęknął z rezygnacją i na wszelki wypadek nie zmienił już pozycji. – Przepraszam – rzekł przez ramię. – Przepraszam cię za wczoraj.

Cindy też usiadła. Wahala się, czy przejść na drugą stronę muru, czy nie.

Wszystko zrobiło się jakieś dziwne. Mieszkali razem od dziesięciu miesięcy i raptem spieszyła się widząc Jacka tylko w spodenkach. Poczuła jeszcze większe zażenowanie, gdy zobaczyła, że sama ma na sobie tylko za duży bawełniany podkoszulek.

– Mnie też jest przykro. – Przesunęła się nieśmiało na jego stronę. Usiadła obok, ale nie za blisko, zadbała o dystans. – Ale nie chodzi o to – ciągnęła. – Musimy porozmawiać. Dużo ostatnio myślałam.

– O czym?

– Zaproponowano mi reportaż – zdjęcia do folderu zamówionego przez włoskie przedstawicielstwo handlowe. Wyjazd do Włoch – odparła lekko obrażonym tonem.

Odetchnął. Uśmiechnął się nawet. Nic groźnego.

– Fantastycznie, cudownie – chwycił ją za rękę. – Marzyłaś o czymś takim. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo... bo trzeba natychmiast jechać... na trzy, może cztery miesiące.

– Jakoś to przeżyjemy – wzruszył ramionami.

– Właśnie – Cindy wołała nie patrzeć na niego – tego nie jestem pewna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Jack spoważniał.

– Że coś się między nami popsulo – westchnęła. – A tak naprawdę to nie chodzi o nas, ale o ciebie. Coś cię gryzie, coś w sobie skrywasz i tłumisz.

Jack też odwrócił wzrok. Cindy miała rację. Problem tkwił w nim.

– Już o tym mówiliśmy – rzekł. – Tłumaczyłem ci, nachodzi mnie czasami chandra. Głównie w związku z pracą. – Przerwał. Zastanawiał się, czy powiedzieć, że właśnie odszedł z Instytutu. Pomyślał jednak, że nie ma się co chwalić, iż został bez pracy. – Ale, mówiłem ci, staram się panować nad sobą.

– Jest w tobie coś takiego, że nie potrafisz się otworzyć albo nie chcesz. W każdym razie nie potrafisz powiedzieć, co cię gryzie, a ja nie mogę się z tym pogodzić. Przez cały czas, odkąd jesteśmy razem, nie byłeś w stanie pójść do własnego ojca, porozmawiać, uczynić jakiś gest, żeby wreszcie zapanowały między wami normalne, ludzkie stosunki. I tego się boję. Nie tak sobie wyobrażam związek dwojga ludzi. Martwi mnie to, a w każdym razie zmartwiło na tyle, że korzystając z okazji, jaką był proces Gossa, odsunęłam się od ciebie na kilka dni, po to, by wszystko przemyśleć, zastanowić się, czy rzeczywiście mamy przed sobą przyszłość. Powiem ci uczciwie, że nie wiedziałam, jak ci powiedzieć o wyjeździe. Czy ma to być: „No to rozstajemy się”, czy: „Bardzo cię kocham, będę dzwonić, pisać. Czekać, bo wrócę do ciebie”?

– I, jak rozumiem, sama postanowiłaś podjąć decyzję? – rzekł z nutą irytacji. – Decyzja miała być twoja, a ja miałem się dostosować.

– No nie. Miałam zamiar porozmawiać z tobą, tylko, widzisz, to wcale nie takie łatwe. Sprawa jest dość złożona.

– Co to znaczy: „złożona”?

– Bo widzisz – powiedziała niepewnie, opuszczając oczy – nie będę sama. Jadę z Chetem.

Jack otworzył usta, ale nie mógł dobyć słowa. – Z Chetem? – wykrztusił wreszcie. Ten gość był kiedyś szefem Cindy w firmie Image Maker Studio, jej pierwszym pracodawcą zaraz po studiach, a co ważniejsze – mężczyzną jej życia przed Jackiem. Poczul ucisk w sercu.

– To nie jest tak, jak myślisz – próbowała wyjaśnić Cindy. – To sprawa zawodowa.

– Dlaczego, dlaczego w ten sposób? – zapytał, jakby nie słyszał wyjaśnień. – Wydaje ci się, że się zabiję, jeśli powiesz mi po prostu prawdę, że odchodzisz? Spokojna głowa, nic takiego się nie stanie. Jestem silniejszy, niż ci się wydaje. Od miesiąca, gdy tylko włączę telewizor albo wezmę gazetę, wszędzie bębnią to samo, o Gossie – mordercy, który przyznał się do winy, i jego adwokacie – Jacku Swytecku. Dwa nazwiska jednym tchem i w tym samym kontekście. Ludzie na ulicy przechodzą na mój widok na drugą stronę. Obcy plują na mnie, a ostatnio dzieje się jeszcze gorzej – miał na myśli incydent sprzed dwóch dni, kiedy to omalże nie przejechało go na ulicy przed Instytutem. – Ale coś ci powiem. Wyjdę z tego, dam sobie radę. Od ciebie tylko zależy, czy z tobą, czy bez ciebie. Ale ode mnie też coś zależy. Nie potrzebuję twojej litości.

– Nie o to chodzi. Nie lituję się i jeszcze nie odchodzę. Czy nie możesz po prostu przyjąć tego, co szczerze mówię, czy nie stać cię na taką samą szczerłość?

– Ja nigdy cię nie okłamywałem.

– Ale też nie wszystko mówiłeś i to mnie boli. Czasami wydawało mi się, że to moja wina, że nie potrafię dotrzeć do ciebie, do środka, ale Gina... Gina uważa, że wszystko przez ciebie tak się dzieje, bo ty z ojcem...

– A co, do cholery, ona może wiedzieć o moim ojcu?

Cindy straciła grunt pod nogami. Zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Jack ze złością pokiwał głową i zacisnął dłonie.

– Powtarzałaś jej wszystko, co ci mówiłem?

– Gina to moja najlepsza przyjaciółka. Rozmawiamy ze sobą. Opowiadamy sobie o ważnych życiowych sprawach.

– Do diabła, Cindy – Jack zerwał się z łóżka. – Jak mogłaś powtarzać jej to, co mówiłem ci o ojcu?! – krzyknął. – Jak możesz być taka... nieczuła? Upadłaś na głowę, czy co?

– Nie mów tak do mnie. – Ręce zaczęły jej drżeć ze zdenerwowania. Wbiła palce w materac. – Albo zmienisz ton, albo w tej chwili odchodzę.

– Tak czy siak masz zamiar się wynieść. Myślisz, że ja nie widzę, co się dzieje? Jedziesz do Włoch z facetem, z którym chodziłaś do łóżka. Łazisz z Gina po nocnych klubach do drugiej w nocy...

– Nie byliśmy w żadnym klubie.

– Gówno prawda! – Jack tak się zapędził, że zapomniał o własnej eskapadzie minionej nocy. – A ta twoja psiapsiółka to też dobry numer. Jedno ci powiem, że ja pewnie więcej słów zamieniam z bileterem w kinie niż ona z facetami, z którymi idzie do łóżka.

– Ja nie jestem Gina, to po pierwsze, a poza tym ona wcale nie jest taka, więc lepiej nie gadaj.

– Niby o czym – znów się uniósł i zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. – Mam nie mówić, o co tu naprawdę chodzi? Mam zamilczeć nocne przygody panny Giny i panny Cindy? Co ty sobie wyobrażasz?

Siedziała bez ruchu na łóżku. Zbyt ją to wszystko dotknęło, żeby jeszcze coś mówić, Jack skoczył do drzwi sypialni.

– Chcesz się wynosić, to proszę bardzo, wolna droga – szarpnął drzwi, otwierając je na oścież.

Podniosła wzrok, łzy potoczyły się jej po policzkach.

– No, ruszaj – powtórzył. – Wynoś się.

Cindy ani drgnęła.

Jack kręcił głową, szukając gwałtownie czegoś, na czym mógłby wyładować narastającą od miesięcy, a może od lat, złość. To nie Cindy była jej przyczyną, ale nieszczęście chciało, że stała się jej adresatem. Rzucił się do toaletki i zza ramy lustra wyrwał kilka fotografii, pamiątek ze wspólnych wypraw.

– Jack!

– Masz! – krzyczał, rwąc zdjęcie na strzępy.

– Nie rób tego!

– Już cię tu nie ma! – wrzasnął, rozprawiając się ze zdjęciem zrobionym we Freeport.

Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do garderoby. Zastawił jej drogę.

– Muszę się ubrać!

- Wcale nie musisz! – krzyknął, podsuwając jej pod nos jeszcze jedno zdjęcie.
- Wynoś się w tej chwili, wracaj do tej swojej przyjaciółki.
 - Dość tego!
 - Podarł cały plik zdjęć.
 - Jack! – Cindy chwyciła kluczyki od auta i w samym tylko podkoszulku ruszyła do drzwi. Zatrzymała się w progu.
 - Nie myślałam, że to tak się skończy – rzuciła przez łzy.
 - Mówisz tak jak te męty, których bronię w sądzie.
 - Spurpurowiała, jakby za chwilę miała wybuchnąć albo zalać się łzami.
 - To ty jesteś męttem, wielki panie adwokacie – zapiszczała i wybiegła z domu.

W sobotę, o ósmej trzydzięci wieczorem, Harry Swytek zaparkował wynajętego buicka pod pięćdziesięciostopową palmą na bulwarze Biscayne. Setki takich dorodnych drzew rosło wzdłuż alei biegnącej przez całe Miami z północy na południe. Gubernator przyjechał oczywiście sam, tak jak obiecał szantażyście. Słońce zaszło przed paroma minutami i zaczynało właśnie zapalać uliczne lampy. W zapadającym mroku Harry poczuł się jeszcze mniej pewnie. Nie dość, że miał mnóstwo problemów, to jeszcze narażał się, bo chodzić po ciemnych ulicach Miami z dziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce to więcej niż szaleństwo. Sprawdził zamki w teczce i nie zwlekając dłużej wysiadł z auta. Spiesznie przeszedł przez sześciopasmową jezdnię na drugą stronę alei, gdzie zaczynał się park.

Park Bayfront oddziela pasem zieleni tłoczne ulice centrum Miami od zatoki pełnej jachtów i motorówek. Z jednej strony otacza go granitowo-marmurowo-szklana, przetykana światłami ściana śródmiejskich drapaczy, a z drugiej rozpościera się widok na zatokę, aż po South Miami Beach, gdzie jak sznury pereł migoczą girlandy lamp na statkach wycieczkowych pływających na Karaiby. Od zatoki wiała chłodna bryza, niosąc ze sobą szum fal oblewających plażę. Północny skraj parku zamyka Bayside Marketplace – wielki kompleks sklepów, restauracji i barów, spod którego wyruszają na spacer po parkowych alejkach konne powozy wynajmowane przez turystów.

I z takiej właśnie atrakcji dla wczasowiczów miał dziś skorzystać sam gubernator Harold Swytek. Miał nadzieję, że nikt go nie rozpozna. Specjalnie ubrał się w płócienne, żeglarskie spodnie, kolorową koszulę i, jak wszyscy urlopowicze, założył baseballową czapkę z emblematem klubu wędkarskiego. Tylko skórzana aktówka kłóciła się z całością. Kupił więc w kiosku pluszowego misia, dzięki czemu stał się właścicielem sporawej papierowej torby na zakupy. Wsunął do niej teczkę, dopełniając w ten sposób kamuflażu. W niczym już nie przypominał gubernatora, a o to przecież chodziło, choć na wszelki wypadek obmyślił sobie, co powiedzieć, gdyby ktoś go zaczepił. „No cóż – kampania wyborcza – idę między ludzi”, tak właśnie powie, co zapewne nie wzbudzi zdziwienia. Cztery lata temu, kiedy ubiegał się o głosy, stosował podobne tricki. Przez cały dzień na przykład sprzedawał hamburgery u McDonalda, innym razem wystąpił w roli nauczyciela w zerówce. Wcielał się także w inne role, wszystko po

to, aby zaprezentować się wyborcom jako zwykły, szary obywatel.

– Powóz dla pana?! – zawołał jeden z dorożkarzy, gdy Harry znalazł się wreszcie na postoju.

– Być może, być może...

– Czterdzieści baksów za pół godziny – odrzekł chętny woźnica, ale gubernator nie słuchał. Zastanawiał się, która z pół tuzina dorożek na postoju należy do Calvina, bo to jego musiał znaleźć o dziewiątej. Metodą eliminacji wybrał wreszcie biały powóz z czerwonymi aksamitnymi siedzeniami, zaprzężony w srokacza z łbem w śmiesznym słomkowym kapeluszu, spod którego wystawały podobne do oślich uszy. Harry był lekko podenerwowany podchodząc do starego, kędzierzawego Murzyna-dorożkarza, ale powtarzał sobie w myślach, że musi sprawę doprowadzić do końca. Czuł na sobie czyjeś spojrzenie, ktoś go obserwował, rozejrzał się więc, ale nie zauważył nikogo i niczego szczególnego.

– To wy jesteście Calvin? – upewnił się.

– Tajes – brzmiała odpowiedź. Calvin wyglądał na dobre osiemdziesiąt lat i był żywym zabytkiem z dawnych czasów, gdy miasto zwało się jeszcze „Myamma” i naprawdę należało do tradycyjnego Południa. Miał mocno oszronione siwizną włosy i żylaste dłonie człowieka, który przez całe życie ciężko pracował, potencjalnego klienta zaś potraktował z tak przesadnym szacunkiem, że w Harrym natychmiast zrodziło się poczucie winy za wszystkie podłości, jakich ów stary dziwak mógł za młodu doznać od białych współobywateli.

– Chciałbym się przejechać – rzekł gubernator wyciągając dwie dwudziestki.

– Tajes – odparł Calvin. – Ale muszę pana uprzedzić – dodał zerkając na zegarek – że w czasie kursu o dziewiątej wypada mała przerwa. Zatrzymuję się przy kiosku z mrożoną herbatą.

– Nie szkodzi – rzucił gubernator zajmując miejsce.

Na tym mi właśnie zależy – rzekł w cichości ducha.

Calvin cmoknął na konia, pociągnął za lejce, srokacz ruszył i z miejsca, jak automat, potruchtał w stronę alejki tuż nad zatoką. Gubernator patrzył rozbawiony, jak zwierzę radzi sobie wśród alejek, jakby prowadzone przez automatycznego pilota.

– Od dawna tak jeździcie, Calvin?

– Dużo dłużej, niż pan jest gubernatorem. No i skończyła się zabawa z przebraniem.

Trasa wiodła od brązowego posągu Krzysztofa Kolumba na południe wzdłuż zatoki. Pod palmami okalającymi alejki dla pieszych, wykładane białym

korallowcem, który tu – na południu Florydy – zastępował granitowe kocie łby, koncertowały zespoły saksofonów i gitar. Calvin tymczasem zaczął, jak zawodowy przewodnik, opowiadać o osobliwościach okolicy. Był żywym podręcznikiem historii parku. Opowiadał więc, jak to w 1924 roku postanowiono zasypać część zatoki, właśnie po to, aby urządzić park, i jak to w 1926 roku, w czasie huraganu, morze upomniało się o swoją własność. Od lat powtarzał ten sam tekst, ale na użytek dzisiejszego wyjątkowego klienta wyraźnie się przykładał. Gubernator starał się słuchać uprzejmie, choć myślami błądził gdzie indziej, skupiając się nad celem tej niezwyklej, jak na niego, wyprawy. Spiał się, zdenerwowany, gdy dorożka okrążyła fontannę i skręciła w lewo, w głąb parku, zostawiając z tyłu jasno oświetloną aleję nad plażą. Tu kępy palm i dębów rzucały długie cienie pod lampami, których zresztą było znacznie mniej niż przy głównej alei. Gdy dojeżdżali do amfiteatru, Calvin zwolnił, tak jak zapowiadał szantażysta.

– Prrr! – zawołał z cicha, zatrzymując srokacza. Odwrócił się na koźle i rzekł: – A tu, panie gubernatorze, zaczyna się ponura część historii, bo właśnie tu w Roku Pańskim 1933 znajdowała się muszla koncertowa, z której prezydent elekt Franklin Delano Roosevelt przemawiał do piętnastotysięcznego tłumu. Wśród zebranych był pewien zbuntowany młody człowiek, wielce inteligentny psychopata – jak później opowiadali lekarze – „o chorobliwej wyobraźni, która pozostawała w sprzeczności z ustalonym porządkiem społecznym”. Ów zwichnięty psychicznie mężczyzna stał cierpliwie na ławce przez cały czas przemówienia, gdy zaś prezydent skończył, wyciągnął rewolwer i nad głowami tłumu zaczął strzelać do dygnitarzy na podium z zamiarem zabicia Roosevelta. Prezydentowi udało się ująć cało, ale pięć Bogu ducha winnych osób poniosło śmierć. Śmiertelną ranę odniósł Anton Cermak, słynny burmistrz Chicago, który nim zamknął oczy, powiedział do prezydenta: „Cieszę się, że to mnie spotkało, a nie pana”. Widząc minę gubernatora Calvin usprawiedliwił się: – Nie chciałem pana przestraszyć. Opowiadam o tym wszystkim pasażerom, nie tylko politykom. To część naszej historii i tyle.

– W porządku. – Harry starał się nie zwracać uwagi na mróz, który przeszedł mu po plecach. Zastanawiał się tylko, czy szantażysta wiedział, że Calvin opowiada coś takiego pasażerom, i czy właśnie dlatego wybrał tę, a nie inną dorożkę. Nie można było wykluczyć, że tak. Przestępca, kimkolwiek był, przygotowywał sprawę od dwóch lat, od czasu stracenia Fernandeza. Gubernator zapragnął nagle dowiedzieć się czegoś więcej o tej historii.

– I co dalej? – rzucił niby od niechcienia. – Wyobrażam sobie, że w 1933 roku to był temat, prawda?

– Oczywiście. Jak pamiętam, przez miesiąc pisano o tym na pierwszych stronach gazet.

– A co się stało z zabójcą?

Calvin zrobił wielkie oczy, uniósł krzaczaste, siwe brwi.

– Z całym szacunkiem, panie gubernatorze, ale chodzi o człowieka, który wyciągnął broń na oczach piętnastotysięcznego tłumu. Strzelił sześć razy mierząc w prezydenta Stanów Zjednoczonych i zabił burmistrza Chicago. Zaraz zaciągnęli go do sądu. Tam obwieścił na cały świat, że żałuje tylko, iż nie udało mu się załatwić Roosevelta, i na dodatek błagał, aby sędzia go posłał na krzesło elektryczne. No i jak pan myśli, co zrobili z łobuzem?

– Stracili – odparł cicho gubernator.

– Oczywiście, że tak. W cztery dni po pogrzebie burmistrza Cermaka dostał czapę. W tamtych czasach sprawiedliwość działała szybko, nie tak jak dziś, kiedy, jak pan dobrze wie, gromady adwokatów miały ozorami, apelują, i robią wszystko, żeby opóźnić wykonanie wyroku. Ale – westchnął Calvin – dość już tych narzekań. Wstąpię teraz do Daisy i zafunduję sobie szklanekę mrożonej herbaty. A może pan też coś chce?

– Dziękuję, nie. Poczekam. – Harry obserwował starszaka, który podreptał do kiosku. Zastanawiał się, co to wszystko ma znaczyć. Czy szantażysta objawia w ten sposób jakieś ukryte cechy swego charakteru? „Chorobliwa wyobraźnia, która pozostawała w sprzeczności z ustalonym porządkiem społecznym”. Czy rzeczywiście ma do czynienia z tak niezwykle wyrafinowanym umysłem? Czy specjalnie skierował gubernatora w objęcia starego przewodnika, który w teatralny sposób wskazuje na różnicę między oczywistymi sprawami zakończonymi karą śmierci a wielce złożonymi przypadkami, między człowiekiem, który pyszni się zbrodnią aż do ostatniej swojej minuty na krześle elektrycznym, a kimś, kto do końca głosi swoją niewinność, między politycznym – oszołomem-zabójcą a kimś takim jak Raul Fernandez? A może przesłanie wcale nie jest takie wyrafinowane. Może chodzi o coś zupełnie innego, że to miejsce politycznego zabójstwa ma stać się sceną jeszcze jednego morderstwa z pobudek politycznych – mordu, który dokona się jeszcze dziś!

Harry zerknął z niepokojem na Calvina. Ten zaś cały w uśmiechach gaworzył z kioskarką, przystojną, młodą Latynoską, której wdzięki wyjaśniały, dlaczego stary wciąż tu zachodzi. Choć na termometrze nadal było co najmniej 20 stopni, Harry naciągnął pled na kolana. Chciał w ten sposób ukryć podejrzane ruchy. Wymacał siedzenie i gotów był unieść poduszki, aby otworzyć schowek. Serce zaczęło mu

bić jak młotem, gdy przyszło mu na myśl, że w tej właśnie chwili z mroku może się wyłonić szaleniec z pistoletem w ręku albo że w schowku jest bomba, która eksploduje, gdy tylko spróbuje podnieść wieko, i w ten sposób dopisany zostanie jeszcze jeden rozdział do wykładu historii dorożkarza Calvina. Wziął głęboki oddech i otworzył skrytkę. Nic się nie stało. Nic nie wybuchło, nic nie wyskoczyło. Schowek był zwyczajny, dokładnie taki, jak mówił szantażysta. Harry zerknął przez ramię, czy nikt nie patrzy, ciągle miał wrażenie, że jest obserwowany. Nic jednak nie zauważył. Spojrzał w dół, żeby sprawdzić co jest w środku skrytki.

Znalazł brązowe kartonowe pudełko po butach. „Zostaw pieniądze, weź pudełko” – głosił napis z boku. Bez podpisu, ale było jeszcze ostrzeżenie: „Obserwuję cię cały czas”.

Harry nie miał śmiałości, żeby jeszcze raz się rozejrzeć. Otworzył aktówkę, wsunął dwa pliki pięćdziesiątek do schowka, wcisnął pudełko do torby, umieścił poduszki siedzenia na miejscu.

Calvin wrócił po chwili. Ostatni etap przejażdżki, z powrotem na postój przy Bayside Marketplace, zabrał już tylko kilka minut, choć Harry'emu wydawało się, że trwało to całą wieczność. Podziękował dorożkarzowi i pożegnał L się, po czym spieszenie przeszedł przez ulicę do auta. Usiadł za kierownicą, torbę z pudełkiem położył na siedzeniu obok i odetchnął z ulgą, że się udało, że nikt go nie zatrzymał, nikt nie rozpoznał. Włączył silnik i miał już ruszyć, gdy nagle rozległ się sygnał – wysoki przerywany brzęczyk. Chwila przerwy i znowu. Dochodził chyba z pudełka. Harry wyciągnął karton z torby, zerwał taśmę, która przytrzymywała wieko. Brzęczało nadal, teraz głośniejsze. W pudełku była koperta i mały telefon komórkowy. Harry podniósł go do ucha.

– Jest w kopercie – usłyszał znajomy, sztucznie zmieniony głos.

Gubernatora przeszedł dreszcz. Oczywiście głos należał do szantażysty, ale mimo wszystko serce podeszło mu do gardła.

– To znaczy: co?

– Jeszcze pan pyta, gubernatorze? – brzmiała odpowiedź. – Skoro dostałem pieniądze, to należy się panu dowód, że to ja zabiłem tę dziewczynę, a nie Raul. Taka była umowa, prawda?

Gubernator milczał.

– Umawialiśmy się przecież, co nie?

– Tak, chyba tak.

– No właśnie – głos był teraz jakby spokojniejszy. – Niech pan otworzy kopertę. I niech pan jeszcze nic nie wyjmie.

Harry przycisnął słuchawkę ramieniem i rozerwał kopertę.

– Otwarta.

– W środku są dwa zdjęcia. Na obu jest dziewczyna, za którą Raul dostał czapę. Niech pan wyjmie to z lewej strony.

Gubernator wyjął odbitkę i zamarł. Dziewczyna na zdjęciu była naga, leżała na plecach, rąk nie było widać, najwidoczniej spętano je z tyłu. W ustach miała knebel z czerwonej przepaski na włosy, a na wysokości gardła widać było długie ostrze noża. Przekrwionymi oczami patrzyła bezsilnie na oprawcę. Twarz miała spuchniętą, całą w ranach. Bito ją bezlitośnie.

– No i co? Widzisz, dobry człowieku?

– Tak – szepnął Harry drżącym głosem.

– Strach w jej oczach jest prawdziwy, tego nie da się zagrać. Czasami żałuję, że nie sfilmowałem tego na wideo, ale nieważne. Potrafię to sobie odtworzyć w pamięci, jak na filmie. Bo to prawdziwy film pod tytułem „Poskromienie Vanessy” – tak się nazywała. Lubię wiedzieć, jak się nazywają, wtedy wszystko jest takie, wiesz, prawdziwe.

Ręka trzymająca fotografię zadrżała. Harry cały zaczął dygotać z obrzydzenia i trwogi.

– A teraz wyjmij drugie zdjęcie – polecił głos.

Harry przymknął oczy i wziął głęboki oddech. W każdych okolicznościach oglądanie tych zdjęć byłoby bolesnym przeżyciem, ale świadomość, że to nie Raul Fernandez zabił, sprawiała jeszcze większy ból. Gubernator zaczął sobie uświadamiać ogrom błędu, jaki popełnił, i ogarnęło go poczucie obrzydzenia do samego siebie.

– Mam dość.

– Spójrz na następne. Zobaczysz, co ja potrafię zrobić nożem.

– Dość tego – rzekł Harry ostro, wsuwając zdjęcie na powrót do koperty. – Dostałeś swoje pieniądze, draniu, i wystarczy. Taka była umowa, a teraz zamknij się i nigdy więcej nie dzwoń.

Po drugiej stronie rozległ się rozbawiony chichot.

– Harry, Harry, opanuj się. To dopiero początek zabawy. To ja dyktuję warunki. Następna rata za parę dni.

– Nie dam ani centa więcej.

– Takiś pewny? Ja nie byłbym. Posłuchaj tylko, co jeszcze mam dla ciebie.

Gubernator przycisnął słuchawkę do ucha, starając się nie uronić ani słowa. Usłyszał najpierw dźwięk przełącznika, potem jakiś szum, a po chwili... swój

własny głos: „Dostałeś swoje pieniądze, draniu, i wystarczy. Taka była umowa, a teraz zamknij się i nigdy więcej nie dzwoń”.

Znów trzask przełącznika i głos rozmówcy.

– Mam wszystko na taśmie, dobry człowieku. Wielce szanowny pan gubernator Harold Swytek wręcza łapówkę przestępcy za milczenie, aby uratować własną skórę. Wszystko jest na taśmie, co do słowa, wystarczy tylko posłać do gazet...

– Nie zrobisz tego.

– Zrobię, zrobię. Tak więc zacznij traktować te zasrane dziesięć kawałków jako zaliczkę, bo następną ratę – też dychę – dostarczysz pod adresem 409 East Adams Street, w Miami oczywiście, mieszkania 217. Masz tam być o czwartej rano drugiego sierpnia. Punktualnie, ani minuty wcześniej, ani później. Drzwi będą otwarte. Połóżysz należność na stole w kuchni. I, radzę, bądź rozsądny.

– Ty skur... ! – krzyknął gubernator, ale rozmówca już się wyłączył. Harry'ego ogarnęła panika. Wrzucił słuchawkę i kopertę do pudełka. Złapał się za głowę, czując, jak zbiera mu się na wymioty. – Ty idioto – wykrztusił głośno, opadając na siedzenie. Ale nie tylko jego własna głupota napawała go odrazą. Cała noc była przerażająca: „wykład z historii” w parku, zdjęcia ofiary, nagranie na taśmie, wreszcie, a może przede wszystkim, to, że z konfrontacji z zimnym mordercą wyszedł pokonany.

Jack Swytek pochylił się nieco, by nie uderzyć głową w łukowatą framugę drzwi. Wnosił właśnie ostatnią partię kartonów. Za nim, pociągając cygaro, kroczył Mike Mannon, wyraźnie rozbawiony tym, że przyjaciel ciężko dyszy i poci się z wysiłku.

– Chyba jednak nie masz kondycji – zauważył ironicznie.

– Schwarzenegger, psiakrew! – odpalił Jack. – Ale sam palcem nawet nie kiwnąłeś. A poza tym wyrzuc tego śmierdziela z mojego domu – dodał, mając na myśli cygaro.

Mike wzruszył tylko ramionami i puścił mu kłęb dymu prosto w nos.

– Nie było mowy o dźwiganiu czegokolwiek. Powiedziałeś, że potrzebny ci wóz, bo twój mustang jest w warsztacie. Nie napomknąłeś nawet, że mam wystąpić w roli jucznego osła.

– Chyba rzeczywiście tak było – skwitował Jack, patrząc na dobytek przywieziony z Instytutu. – Bóg raczy wiedzieć, po co mi to wszystko, choć może się przydać, gdy już złapię jakąś robotę.

Mike zerknął na prawnicze szpargały upchnięte w kartonach.

– Uhm – zakpił – kierownik zmiany u McDonalda rzeczywiście musi mieć kodeksy pod ręką.

– Zapamiętam to sobie, Mannon, i przypomnę ci, gdy tylko zjawi się u ciebie komornik albo faceci z agencji odzyskiwania długów. Co ja mówię? To ja się zjawię jako przedstawiciel agencji, bo nie wygląda na to, abym znalazł coś lepszego, zanim sprawa Gossa nie przyschnie.

– Nie bądź taki skromny. Którejś z wielkich kancelarii może się przydać ktoś tak pozbawiony skrupułów jak ty.

Jack zaśmiał się.

– Naprawdę nie możesz zostać jeszcze trochę? – spytał rzeczowo.

– Muszę wracać do interesu. Lenny potrafi wszystko rozpieprzyć w ciągu dwóch i pół godziny. No właśnie – zerknął na zegarek – pewnie już nie ma co zbierać.

– Skoro tak, to trudno. – Jack odprowadził przyjaciela do drzwi. Zjawił się też Czwartek, pogryzając drewnianą podpórkę do książek. – Oddaj to – wyjął ją z psiego pyska. – Dobry piesek – poklepał czworonoga. – Hej, dzięki za pomoc! – rzucił za Mike'em.

– Nie ma za co – Mike machnął ręką na pożegnanie i zaczął opędzać się od psa, który dobierał mu się do pięt. Chwilę później samochód ruszył i Jack został sam ze swoimi myślami.

Zamknął drzwi i przeszedł do salonu. Skusiła go sofa. Rozsiadł się z nogami na taborecie. Potoczył wzrokiem po pokoju. Jakież on wielki i pusty... Jack poczuł się jak zapomniany, jedyny gość w ogromnym hotelu. Dlaczego właściwie kupił sobie taki wielki dom? Cindy zwierzyła się kiedyś, iż jako dziecko marzyła, żeby zamieszkać w dużym domu, co zapewne wynikało z tego, że z rodzicami i trójką braci gnieździła się w dość skromnym mieszkaniu.

Właśnie. Znów zaczął o niej myśleć. Od wczoraj rana, kiedy zrobił z siebie idiotę wyrzucając ją z domu, nie przestawał o niej myśleć. Tysięczny raz przeklinał własną głupotę. W głębi duszy bał się, że Cindy wróci do Cheta, a przecież sam pchnął ją wczoraj w jego ramiona.

Popisałeś się, Swytek! Kusiło go, żeby zadzwonić do Cindy, błagać o przebaczenie, ale jakiś wewnętrzny głos radził, aby najpierw pozbierać się trochę, bo rzeczywiście całe życie zaczęło mu się rozsypywać. Nie sięgnął po telefon.

Siedział bezmyślnie, gapiąc się na drobiny kurzu w promieniach słońca, gdy nagle zadzwonił telefon. Cindy? Nadzieja prysnęła, gdy uświadomił sobie, że może to być ów anonim, który nęka go od pewnego czasu. Postanowił, że nie będzie odbierał. Niech się włączy automatyczna sekretarka.

– Jack? – w głośniku rozległ się damski głos, ale nie była to Cindy. – Mówi twoja... – wahanie – mówi Agnes.

Zdziwił się bardzo. Nie rozmawiali z Agnes od czasu jego dyplomu. Była wyraźnie zaniepokojona, tak że chciał już podnieść słuchawkę, ale zrezygnował.

– Wolałabym nie mówić przez telefon, ale z ojcem dzieje się coś niedobrego. Pomyślałam, że muszę dać ci znać. Nie, nie jest chory, przeciwnie – czuje się dobrze, jednak zadzwoń do niego i, to ważne, nie mów mu, że dzwoniłam.

Zdenerwował się. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Macocha nigdy nie dzwoniła, a przynajmniej od dawna. Niespodziewany telefon sprawił, że Jack przestał myśleć o Cindy. Oczywiście zwrócił uwagę, że Agnes w ostatniej chwili ugryzła się w język i nie powiedziała: „mówi matka”. To spostrzeżenie przywiodło mu na myśl odległą przeszłość... Miał wtedy pięć lat...

– Twoja matka wcale nie umarła, tylko ciebie nie chce!

– Kłamiesz! – krzyknął Jack. Wybiegł z salonu, w którym macocha siedziała nad szklanką ginu z martini. Szlochając, zamknął się u siebie. Rzucił się na łóżko.

Wiedział przecież, że prawdziwa mama umarła, więc Agnes musiała kłamać mówiąc, że matka go nie chce. Wcisnął nos w poduszkę i łkał. Po jakimś czasie uspokoił się, obrócił na plecy, wlepił wzrok w sufit. Myślał, jak by tu udowodnić, że Agnes łże. Pięciolatek przemyślał swoje pierwsze wystąpienie procesowe.

Zsunął się z łóżka, podszedł do drzwi. Chwilę nadśluchiwał. Telewizor w salonie był włączony, tuż obok zaś znajdowała się sypialnia rodziców. Sprawdził, czy nikt go nie widzi. Wejście tam groziło awanturą, ale mimo to nacisnął klamkę.

W kącie sypialni stała stylowa toaleta. Jack otworzył dolną szufladę, w której ojciec trzymał swoje rzeczy. Wpadł na to parę miesięcy wcześniej, kiedy bawiąc się we fryzjera szukał wody kolońskiej, bez której cała zabawa byłaby na nic. Wody nie znalazł, ale w głębi, pod ojcowską bielizną, odkrył pudełko – kasetkę na biżuterię z rzeźbionego drewna klonowego ze srebrnym monogramem. Gdyby umiał czytać, widziałby, że jest to monogram matki, tej prawdziwej.

Tak jak przed dwoma miesiącami, tak i teraz wyciągnął kasetkę z szuflady i otworzył. Spiesznie wyjął tackę z przegródkami zasłaniającą wewnątrz i znalazł to, czego szukał: ciężki, brązowy krucyfiks, nieco wygięty od spodu. Nigdy czegoś takiego nie widział, a najbardziej zadziwiał go łukowaty kształt tylnej części krzyża. Wkrótce potem zwierzył się z odkrycia babce, błagając oczywiście, żeby nikomu nie mówiła, no i babka wytłumaczyła, że krzyż ma specjalnie taki kształt, bo pochodzi z wieka trumny, w której pochowano matkę. Zawsze się robi takie wygięte, żeby przylegały do trumny. No właśnie, to był materialny dowód, że mama nie żyje.

Wziął krzyż, kasetkę schował z powrotem do szuflady. Ściskając w ręku „dowód”, wszedł zdecydowanie do salonu.

– Jesteś kłamczuchą! – zawołał od progu do macochy.

Agnes leżała na sofie. Wolno podniosła obolałą głowę, spojrzała na chłopca.

On zaś uniósł wysoko figurkę ukrzyżowanego Chrystusa i znów zawołał:

– Widzisz, mama jest w niebie, a ty kłamiesz.

– Chodź no tutaj.

Zamarł.

– Chodźże! – krzyknęła.

Nie odpowiedział. Spojrzał tylko wystraszony, cofnął się, po chwili zaś obrócił się na pięcie i Wybiegł.

– Jack! – krzyknęła za nim.

Wpadł do sypialni rodziców, szarpnął szufladę, chcąc odłożyć krzyż na miejsce, ale nie zdążył. Agnes złapała go za rękę.

– Co to jest? – zapytała surowo.

Przestraszył się. Agnes odczytała inicjały na kasetce i spurpurowiała ze złości. Jack skulił się w sobie, czekając tylko, kiedy spadną nań razy, ale gdy po chwili podniósł wzrok, zobaczył, że macocha myślami jest gdzie indziej.

– Idź do swojego pokoju – rozkazała, nie patrząc na chłopca, a gdy ten tylko wyszedł, przekręciła klucz w zamku...

Z zamyślenia wyrwał go pisk opon samochodowych. Odsunął firankę i wyjrzał przez okno, gęsta roślinność zasłaniała widok na ulicę, ale wydawało mu się, że widzi jakiś cień przemykający przy garażu.

Wyszedł na ganek. Zrywał się wiatr, targał koronami palm na ulicy. Jack rozejrzał się, ale nie zauważył niczego szczególnego. Ruszył jednak w stronę garażu. Czuł jakiś niepokój. Ten wypadek przedwczoraj, przed Instytutem... niespodziewany telefon od Agnes... no i teraz pisk opon ruszającego pełnym gazem samochodu...

Obszedł garaż, wyżejając wzrok w cieniu. Z tyłu – nic. Dopiero gdy zaszedł od frontu, zobaczył Czwartka. Pies leżał na chodniku, próbował wstać, ale bez skutku, za każdym razem ciężko zwał się na ziemię.

– Czwartek! – Jack pochylił się nad zwierzęciem. Podniósł mu łeb, przebiegł palcami po ciele, sprawdzając, czy nie ma ran. Pies skamlał żałośnie, z pyska toczyła się krwawa piana.

Jack rozejrzał się bezradnie. Auto w warsztacie! Na szczęście przypomniał sobie, że cztery domy dalej mieszka Jeff Zebert – weterynarz.

– Trzymaj się, stary! – Wziął psa na ręce i puścił się biegiem przez ulicę. W pół minuty był przed domem Zebertów. Jeff podlewał krzewy od frontu.

– Wypadek – wykrztusił Jack, z trudem łapiąc oddech. – To mój Czwartek. Wydaje mi się, że to zatrucie, chyba coś zeżarł.

– Masz pojęcie, co? – Jeff rzucił wąż na ziemię.

– Najmniejszego, zbadaj go – podsunął psa.

Lekarz zerknął fachowym okiem i kazał Jackowi położyć zwierzę na ogrodowym stole, sam zaś pobiegł do domu po lekarstwo, które po chwili wepchnął psu do gardła.

– No, Czwartek, nie poddawaj się – szeptał Jack z rozpaczą. Pies z trudem uniósł łeb na głos pana. Męczył się, ale po chwili zaczął wypluwać treść żołądka, czerwonawą jak spieniona krew. Jeff powtórzył zabieg, ale bez skutku. Pies przestał skamleć, łapy znieruchomiały, nie oddychał. Ciszę zakłócał tylko szum wody

lejącej się z hydrantu. Jack szukał nadziei we wzroku lekarza.

– Przykro mi, Jack.

Jack milczał, nie potrafił dobyć z siebie słowa, patrzył pustym wzrokiem. Jeff odczekał chwilę, po czym dotknął jego ramienia.

– Nic więcej nie można było zrobić.

– Nie powinienem pozwalać mu, żeby szalał po ogrodzie. Trzeba było...

– Daj spokój, Jack. Nie miej do siebie pretensji. To nie zatrucie. Ktoś podsunął mu dobre pół kilo mielonej wołowiny z odłamkami szkła. Biedak połknął to w całości.

– Co?! – Jack nie wierzył własnym uszom, ale po chwili zrozumiał. – To ten psychiczny drań.

– Kto? – zapytał Jeff.

– Co? Ach, nie. Nie mogę uwierzyć, żeby coś takiego...

– Uspokój się – wtrącił Jeff. – Niech Czwartek tu zostanie. Przyniosę go jutro rano i zajmę się wszystkim.

– Dzięki – zgodził się Jack. Spojrzał na psa, pogłaskał go po raz ostatni i ruszył do domu. Szedł wysypaną żwirem ścieżką osiedlową. Z trudem mógł się opanować, miał wrażenie, że znalazł się nad mroczną czeluścią, że pogrąża się w ciemnej otchłani bez końca, a życie wymyka mu się z rąk. Czy uda się z tego wyjść? – myślał.

Ledwie wszedł do domu, gdy zadzwonił telefon. Przypomniał sobie wypadek przed Instytutem. W chwilę potem, gdy ktoś chciał go przejechać, też zadzwonił telefon. Złapał za słuchawkę.

– Słuchaj, ty skurwysynu...

– Jack, tu Jeff – odezwał się lekarz.

– Przepraszam, myślałem, że... – Jack stłumił w sobie złość.

– Nie ma sprawy. Chcę ci tylko coś powiedzieć. Przyjrzałem się dokładnie temu, co Czwartek miał w żołądku. Okazało się, że nie tylko resztki mięsa i szkło, ale jeszcze coś, jakieś nasiona. Nie mam pojęcia, czy trujące, a zresztą pies zdechł od szkła. Pomyślałem jednak, że powinienem ci o tym powiedzieć, bo może to jakiś ślad.

– Dzięki, Jeff. Być może to coś ważnego. Zobaczymy. W razie czego dam ci znać. – Jack nie powiedział jednak wszystkiego. Pewne sprawy wolał zachować dla siebie.

Odłożył słuchawkę. Nasiona rzeczywiście wskazywały trop, a ten wiódł do Eddy'ego Gossa. Eddy wspominał o nasionach już w czasie pierwszego spotkania,

gdy Jack podjął się obrony. Rozmawiali na osobności, w miejscowym areszcie, w ponurej celi, specjalnie przeznaczony na widzenia z adwokatem. Był to dzień po przyznaniu się Gossa do wszystkiego przed kamerą, w czasie przesłuchania przez Lonza Stafforda. Jack słuchał w milczeniu, podczas gdy jego klient opowiadał o szczegółach zabójstwa. I oto teraz Jack przypomniał sobie coś, za sprawą czego Goss zyskał przydomek „Chryzantemowego Wampira”.

– Znaleźli nasiona? – upewniał się w czasie tamtej rozmowy Goss.

Jack podniósł wzrok znad notatek, spojrzał na klienta.

– Owszem. Patolog wspominał o czymś takim. Podobno znalazł jakieś nasiona w okolicy pochwy.

Goss wyraźnie się ożywił. Dumnie splótł ramiona na piersi.

– Bo, wie pan, to nasiona chryzantemy – zmarszczył brwi, jakby dając znak, że sprawa ma istotne znaczenie.

Jack nic nie powiedział, wzruszył tylko ramionami. Goss zirytował się, był wyraźnie zły, że adwokat nie docenia sprawy.

– Jak to, nie rozumie pan?

– Nie – odparł Jack – nie rozumiem. Freud też by cię nie zrozumiał, drabie, pomyślał.

Goss nachylił się konfidencjonalnie, gotów wyjawiać sekret.

– Człowieku, chryzantemy to najwspanialsze kwiaty ze wszystkich.

– A mnie się kojarzą z pogrzebem – rzekł Jack.

– To też racja – ciągnął Goss, zadowolony, że adwokat podjął temat. – Natura specjalnie stworzyła je na pogrzeby, bo pogrzeb jest mroczny, jak sama śmierć, a chryzantemy to właśnie uwielbiają.

– O czym właściwie mówisz? – zaciekał się Jack, choć starał się tego nie okazywać.

– A nasiona chryzantemy – ciągnął jego klient z zapalem – są naprawdę wyjątkowe. Większość kwiatów rozkwita, kiedy jest ciepło. Uwielbiają lato i słońce. Chryzantemy są całkiem inne, bo, owszem, wysiewa się je do ziemi, kiedy jest ciepło, ale nic się nie dzieje. To znaczy nasiona leżą sobie, nie rozwijają się, czekają, aż dni staną się krótsze, a noce chłodniejsze. Im mroczniej i zimniej, tym dla nich lepiej. I wreszcie, około listopada, gdy wszystko wokół umiera, gdy ziemia ostygnie, noce staną się długie, a dni chmurne, właśnie wtedy te wielkie kwiaty rozkwitają.

– Więc – jak rozumiem – po prostu zasiałeś kwiaty – rzucił niby to obojętnie

adwokat.

– Właśnie, w ciepłym, ciemnym miejscu – ciągnął Goss – które z każdym dniem stawać się będzie mroczniejsze i coraz zimniejsze, aż wreszcie moje nasiona zaczną się rozwijać.

Jack zachował kamienny spokój. Patrzył na oskarżonego w milczeniu. Zanotował sobie tylko myśl, że linię obrony można oprzeć na „psychicznej ułomności” oskarżonego.

– A jak to się stało, że znasz się na kwiatach, Eddy? – spytał.

– Jako dziecko – odparł nie patrząc na adwokata – wychowywałem się w New Jersey. Był tam sąsiad, który miał cieplarnię i hodował najprzeróżniejsze rośliny – Goss uśmiechnął się nieznacznie do własnych myśli. – Czasami paliliśmy to i owo, co tam rosło, wie pan, jak to jest.

– Ale skąd nauczyłeś się tego wszystkiego o wysiewaniu roślin? Skąd ten pomysł, żeby umieszczać nasiona w ciepłym, mrocznym miejscu.

– Nie pamiętam – Goss zacisnął usta.

– A ile wtedy miałeś lat?

– Dziesięć, może jedenaście – wzruszył ramionami Eddy.

– A ten sąsiad?

– Czy ja wiem – stary, choć może nie tak bardzo.

Jack pochylił się do przodu.

– I co robiliście – spytał z naciskiem – coście robili z tym sąsiadem?

Wzrok Gossa zapłonął, ręce zaczęły drżeć.

– Nie pamiętam, już mówiłem, głuchy pan, czy co?

– Nie, ale chciałbym, żebyś sobie przypomniał ...

– Spierdalaj! – wrzasnął Goss. – Koniec rozmowy. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Nie denerwuj się.

– Powiedziałem: spierdalaj stąd.

Jack spakował papiery, wstał z krzesła. – Jeszcze porozmawiamy – rzekł podchodząc do ciężkich, żelaznych drzwi.

– Hej – wstrzymał go Goss.

Jack odwrócił się.

– Ale wyciągnie mnie pan stąd?

– Będę cię bronił przed sądem.

– Musi mnie pan wyciągnąć – Goss zmrużył oczy, pochylił się na krześle. – Musi pan – powtórzył z naciskiem – bo mam jeszcze dużo nasion do zasadzenia.

Na wspomnienie tej rozmowy Jacka przeszły ciarki. Odetchnął głęboko i pokiwał głową. Gdyby sprawa nie była tak poważna, to uśmiełby się z ironii losu, bo przecież nie kto inny, tylko on doprowadził do uniewinnienia psychopaty, który teraz zasadza się na niego.

Czy tak jest w istocie? Jeśli rzeczywiście zabójca czyha na niego, to zapewne powodowany urazą. Jack nie sądził jednak, aby Goss nosił się z zamiarem fizycznej napaści. Wyżywał się raczej na słabszych od siebie: na kobietach i zwierzętach.

Jack miał aż nadto dowodów przeciwko Gossowi, aby tamten wrócił za kratki, ale nie był przekonany, czy to rozwiąże sprawę. Już raz system wymiaru sprawiedliwości nie zdołał powstrzymać Gossa, i to za jego, Jacka, sprawą.

Musi więc wymyślić coś takiego, co skutecznie rozwiąże sprawę, raz na zawsze.

Minęła dwudziesta trzecia, pora, kiedy w rezydencji gubernatora udawano się na spoczynek. Harry Swytek leżał już w łóżku, czytał artykuł o Eddym Gossie w ostatnim numerze magazynu „Florida Trend”. Autor zirytował go, nie zostawiając suchej nitki na obrońcy – Jacku Swytecku – i nazywając go adwokatem bez kręgosłupa. I to ma być „obiektywne dziennikarstwo” – mruknął gubernator, odkładając pismo z wyraźnym obrzydzeniem.

Chwilę później Agnes wyszła z łazienki, już w szlafroku. Zatrzymała się obok stolika przy oknie, poprawiając bukiet kwiatów, na który Harry nie zwrócił wcześniej uwagi.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za kwiaty, Harry. – Stała tyłem do łóżka.

– Słucham? – Nie widział kwiatów, bo Agnes zasłaniała widok. Nie przypominał sobie, aby zamawiał bukiet. Nie były to przecież ani urodziny, ani rocznica ślubu, ani w ogóle nic takiego. Nie wykluczał jednak, że w ferworze kampanii wyborczej mógł o czymś zapomnieć. Zawsze jednak zabezpieczał się przed taką ewentualnością, kładąc sekretarkom zapisywać wszystkie ważne daty i kupować kwiaty oraz prezenty, nie okazał więc zaskoczenia. – Cieszę się, że sprawiły ci przyjemność, kochanie.

– Miło jest dostać kwiaty bez specjalnej okazji – powiedziała Agnes z błyskiem w oku. – Chyba że chciałeś przekazać mi coś specjalnego... – dodała pieszczotliwie. Cofnęła się o krok, odsłaniając bukiet na stoliku. Gubernator zbladł.

– Rozgrzej nasze gniazdko – zachęciła kusząco, znikając w garderobie, ale gubernator nie słyszał. Jak urzeczony wpatrywał się w pęk białych, liliowych i

żółtych chryzantem. Wstał z łóżka i podszedł bliżej. Wśród kwiatów tkwiła jeszcze koperta z bilecikiem. Sięgnął po nią drżącą ręką. Wszystko układało się w logiczną całość: chrapliwy, zmieniony głos, groźby, zdjęcia ofiary okrutnego morderstwa, a teraz te kwiaty. W myślach nakreślił znak równania między patologicznym „Chryzantemowym Wampirem”, wspomnianym w artykule, który właśnie skończył, a szantażystą.

Przeczytał bilecik. Nie musiał się niczego domyślać. Był przeznaczony dla niego, nie dla żony: „Razem na zawsze, ty i ja, aż do śmierci”.

– Eddy Goss – mruknął gubernator drżącym z przerażenia szeptem. – Szantażuje mnie psychopata.

Nazajutrz, z samego rana, Jack odebrał mustanga z warsztatu i zaraz udał się do firmy A&G Alarm Company, żeby jeszcze tego samego dnia założyli mu urządzenie alarmowe w domu. Kazał też zmienić wszystkie zamki. Zastanawiał się, czy jednak nie powinien gdzieś wyjechać. Nadal co prawda nie wierzył, aby Goss chciał go zabić, ale rozsądek nakazywał przedsięwziąć środki ostrożności. Przemyślał, jak postąpić w najgorszym z możliwych wypadków, to znaczy gdyby doszło do napaści w środku nocy albo gdyby zasadzono się na niego, kiedy będzie wysiadał z samochodu. Nakreślił sobie w myślach stosowny plan. Zadzwoił też do firmy telefonicznej z prośbą o zmianę numeru i zastrzeżenie nowego.

Jednego tylko nie uczynił, a mianowicie nie zawiadomił policji, zakładając, że kto jak kto, ale adwokat, który doprowadził do uniewinnienia Eddy'ego Gossa, nie ma co liczyć na życzliwość i ochronę stróżów prawa. A poza tym miał lepszy pomysł. Jeszcze tego samego popołudnia kupił zapas amunicji do pistoletu.

W istocie nie był to jego pistolet. Zostawiła mu go „w spadku” Donna Boyd, dziewczyna, z którą chodził w czasie studiów w Yale. Mało kto wie, że w New Haven – mieście, gdzie znajduje się uniwersytet Yale – a przynajmniej w niektórych dzielnicach, również tych, w których mieszkają studenci nie korzystający z domów akademickich, jest naprawdę bardzo niebezpiecznie. Kiedy okradziono kogoś w sąsiedztwie, Donna kategorycznie oświadczyła, że nie będzie zostawać na noc sama, chyba że z pistoletem przy łóżku. Była niekonwencjonalna, nawet jak na feministkę z Yale. Jack zgodził się, a powodowany rozsądkiem i ostrożnością, wziął kilka lekcji na strzelnicy. Nie chciał popełnić jakiegoś błędu, którego oboje mogliby później żałować.

Pistolet, trzydziestkaósemka, leżał w szufladzie, gdy po dyplomie Jack pakował się przed powrotem do rodzinnego Miami. Z Donną skończyło się jakiś czas temu, chyba ku jej rozgoryczeniu. W każdym razie wyjechała nie zabierając swoich rzeczy. Od wspólnego znajomego Jack dowiedział się, że wyprawiła się do Europy, więc spakował także i zabrał ze sobą jej rakietę tenisową, kompakt Elvisa Costella, no i pistolet, o którym zresztą rychło zapomniał, aż do dziś, kiedy to uznał, że może mu się przydać.

Pistolet przeleżał w schowku sześć lat, zarejestrowany na nazwisko Donny Boyd w stanie Connecticut – świat drogi od Florydy.

Jack nie był zwolennikiem przemocy, nie uważał, aby przemoc cokolwiek rozwiązywała, ale teraz chodziło o działanie w obronie własnej, a przynajmniej tak to sobie tłumaczył, choć w głębi ducha zastanawiał się, czy rzeczywiście chce, aby zaistniały warunki do tzw. obrony koniecznej, gdyby na przykład Goss wdarł się do jego domu. Siedząc w salonie, patrzył na amunicję, którą właśnie kupił, i analizował motywy, którymi się kierował nie zawiadamiając policji. Odrzucił jednak myśl, że podświadomie szykuje się do rozprawy z Gossem, bo było to wręcz śmieszne. Nie jest przecież mordercą jak Goss.

Zadzwoił telefon. Jack przyciszył telewizor (oglądał „film tygodnia”) i podniósł słuchawkę.

– Zglądałeś do skrzynki pocztowej, Jack? – rozległ się znany głos.

Jack zawahał się. Dobrze wiedział, że nie powinien reagować, bo to tylko podnieca rozmówcę. Eksperci zajmujący się tego typu sprawami zawsze radzą, żeby bez słowa odkładać słuchawkę, i tak powinno się robić, z drugiej jednak strony Jackowi zależało na tym, by przekonać się, że jego podejrzenia są uzasadnione. Gdyby tylko udało mu się zmusić tamtego, żeby zaczął mówić normalnym głosem, zyskałby ostateczne potwierdzenie.

– Głupio robisz, Goss – starał się sprowokować rozmówcę. – Przestań udawać. Wiem, że to ty.

W słuchawce rozległ się najpierw lekceważący gwizd, potem zapadła cisza.

– Gównu wiesz, Swydeck, więc lepiej zamknij się i leć do skrzynki. No już! – rozległo się po chwili z wyraźną nutą złości.

Jack stropił się, że rozmówca tak szybko i łatwo zaczyna się denerwować.

– A po co?

– Bo tak – uciał rozmówca. – Rusz dupę i weź słuchawkę ze sobą. Powiem ci, czego masz szukać.

Jack miał wątpliwości, czy mądrze jest ciągnąć tę grę, ale chciał doprowadzić rzecz do końca.

– Niech ci będzie – rzucił i ruszył na dwór z bezprzewodowym aparatem przy uchu. Na wszelki wypadek wyjrzał najpierw przez okno, ale nie zauważył niczego szczególnego. Wyszedł na ganek.

– Jestem przy skrzynce – zawiadomił rozmówcę.

– Zajrzyj do środka – brzmiało następne polecenie.

Jack ostrożnie sięgnął do skrzynki. Palcem wymacał zamknięcie, po czym jednym szybkim ruchem otworzył wieko, cofając rękę, jakby dotknął rozpalonej lawy.

– Widzisz, co jest w środku, Swyteck?

Jack wyteżył wzrok, ale nie podszedł bliżej w obawie, że może zobaczyć na przykład pokrzwawione spodenki gimnastyczne, podarte damskie figi czy jakiś inny dowód ostatnich szaleństw Gossa.

– Koperta – stwierdził po chwili.

– Otwórz.

Jack ostrożnie wyciągnął kopertę. Ani nadawcy, ani adresata, ani znaczka, co oznaczało, że napastnik wrzucił ją osobiście, a więc musiał tu być, o czym Jack pomyślał nie bez obrzydzenia. Otworzył kopertę, wyciągnął zawartość.

– I co to ma być?

– A jak myślisz?

– Mapa – odparł Jack, zdając sobie sprawę, że trzyma w ręku kawałek planu miasta z zaznaczoną żółtym mazakiem trasą.

– No właśnie – skorzystaj z niej, jeśli chcesz wreszcie poznać zabójcę, który grasuje w mieście, a przecież marzysz o tym, prawda, Swyteck?

– Niezupełnie. Znam cię przecież, Goss. Czy zaznaczyłeś, jak dojechać do ciebie?

– Jak dotrzeć do mordercy? Jedź tam, Swyteck. Bądź tam jutro o świcie, o wpół do piątej. I żadnych ogonów, bo będziesz żałował.

Połączenie zostało przerwane, słychać było tylko sygnał centrali. Jack wyłączył słuchawkę. Z początku odrzucił myśl o wyprawie. Potem jednak zaczął się zastanawiać. Czy Goss zamierza dokonać kolejnego morderstwa w swoim własnym mieszkaniu? Absurd, nie zapraszałby go na miejsce przestępstwa. Musi więc chodzić o coś innego. O co? – zastanawiał się, zaintrygowany.

Ale chodziło nie tylko o rozbudzoną ciekawość. Pomyślał o owej nocy sprzed dwóch lat, kiedy nie zdobył się, aby ojcu przedstawić argumenty objęte „tajemnicą zawodową”, a przez to stracono Raula Fernandezę. Drobiazgowość i prawnicza pedanteria doprowadziły do śmierci niewinnego człowieka. Takiego błędu już nie popełni. Mając do czynienia z oczywistym zabójcą, który znów szykuje się do skoku, trzeba działać znacznie elastyczniej.

Najwyższy czas, by postawić mu ultimatum. Kilka miesięcy temu, kiedy naradzali się z Gossem, czy nie przyjąć linii obrony opartej na chorobie psychicznej, Jack wycisnął ze swego klienta sporo wiadomości na temat dawnych przestępstw, włączając w to – a jakże – zabójstwa. Goss rzeczywiście ujawnił sporo i dość będzie mu o tym przypomnieć, ostrzec, że jeśli się nie zmieni, to w każdej chwili prokurator może dostać anonimowy donos na temat sprawcy

najbardziej perwersyjnych zbrodni.

Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ściemniało się i padał drobny deszcz. Wyraźnie zbierało się na burzę. Jeśli ma dopaść Gossa, to nie ma sensu zwlekać do wpół do piątej rano. Rozsądniej będzie wyruszyć zaraz. Tak też zrobił. Zawrócił jednak od drzwi, wszedł na strych, otworzył kufer i wyjął pistolet. Poświęcił parę minut na oczyszczenie i oliwienie broni, na koniec załadował magazynek.

Na wszelki wypadek.

Po południu nad Florydą przeszła gwałtowna nawałnica. Burza minęła, ale nadal lało potężnie, gdy Jack ruszał spod domu. Pogoda jednak nie mogła mu przeszkodzić, był absolutnie zdecydowany, że musi złapać Gossa, dopóki ten nie zmieni zamiarów. Pędził więc mustangiem z taką szybkością, jaką ryzykowałby tylko uciekający przestępca. Zjechał z autostrady w dzielnicy, do której nikt rozsądny wolałby nie zaglądać, i z piskiem opon zatrzymał auto przed blokiem, w którym mieszkał Goss.

Dwupiętrowy mrówkowiec rozciągał się niemal na połowę kwartału. Z jednej strony graniczył ze stacją benzynową, a z drugiej z osmalonymi ruinami kamienicy, którą właściciel-piroman podpalił kiedyś, licząc na to, że więcej dostanie z ubezpieczenia niż za czynsz. W większości okien na parterze rdzewiały solidne kraty, w innych zamiast szyb widniała dykta, a tylko w nielicznych widać było staroświeckie klimatyzatory. W szparach między popękаныmi płytami chodnikowymi pieniały się chwasty – jedyna zresztą zieleń wśród kamiennej pustyni.

Ciężkie krople deszczu bębniły o brezentowy dach kabrioletu i sączyły się do środka w miejscach, gdzie dwudziestoletnie, sparciałe uszczelki już dawno przestały spełniać swoje zadanie. Jack wyskoczył z auta i klucząc między wartkimi potokami deszczówki na jezdni, pobiegł ku drzwiom. Trwało to nie dłużej niż piętnaście sekund, ale wystarczyło, by przemókł do cna. Mokre ubranie lepilo się do ciała. Wszedł do środka. Klatkę schodową ledwo rozświetlała słaba żarówka. Sprawdził rząd skrzynek na listy na ścianie. GOSS, m. 217 – głosiła wizytówka na jednej z nich. Trafił więc pod właściwy adres.

Wspiał się na piętro, gdzie po obu stronach długiego, ponurego korytarza widniały rzędy drzwi do poszczególnych mieszkań. Było tu jeszcze ciemniej niż na dole. Lokatorzy wykręcili i zabrali na własny użytek większość żarówek. Sufit nosił ślady sportowych wyczynów młodych ludzi, którzy sprawdzali, jak wysoko uda im się podskoczyć. Z dziur sączyła się wilgoć, krople spływały po ścianie, zbierając się w kałuże na resztkach wykładziny. Było cicho, jeśli pominąć bębnienie deszczu o blaszany dach.

Jack ruszył korytarzem, sprawdzając numery na drzwiach, na których jeszcze cokolwiek dało się odczytać. Dwieście siedemnaście – piąte drzwi po lewej. Przyspieszył kroku. Był absolutnie przekonany, że Gossa da się powstrzymać tylko

w jeden jedyny sposób. Trzeba go przestraszyć, a nikt tego nie zrobi lepiej niż jego własny adwokat. Wprawdzie gdyby były klient doniósł do Izby Adwokackiej, że jest szantażowany, że grozi mu się ujawnieniem tajemnic, z jakich zwierzył się obrońcy, wtedy Jack mógłby pożegnać się z karierą. Nie dbał jednak o to, zbyt długo bowiem bilans strat i życiowych zysków kładł się ciężarem na jego sumieniu. Z jednej strony tragiczna klęska, jaką poniósł w sprawie Fernandez, z drugiej – rzekome sukcesy, których skutkiem było to, że wielu przestępców podobnych do Gossa znalazło się na wolności i zagrażało społeczeństwu. Był zdesperowany. Miał wrażenie, że sięgnął dna.

Zapukał do drzwi i czekał. Cisza. Nie wierzył, że Gossa może nie być. Zastukał jeszcze raz, głośniejsze, a po chwili zaczął wręcz walić pięściami w drewniane drzwi. I znów cisza.

– Goss! – krzyknął. – Otwieraj, wiem, że tam jesteś!

– Hej – ktoś stanął w otwartych drzwiach w głębi korytarza. – Człowieku, jest dziesiąta, dzieci śpią. Przestań wreszcie łomotać.

Jack stropił się. Tak bardzo chciał dopaść Gossa, że zachował się tak, jakby w budynku nie było nikogo innego. Tak nie wolno, to głupota, pomyślał. Odstąpił od drzwi i wolno ruszył w stronę schodów, jakby miał zamiar wyjść, ale gdy tylko sąsiad-intruz zamknął się w swoim mieszkaniu, wrócił cichaczem pod 217 i chwycił za klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Jack się zawahał. Nadśluchiwał, czy w środku nie rozlegnie się jakiś dźwięk albo kroki. Nic nie usłyszał. Uchylił więc drzwi, zerknął do środka. Mrok i cisza. Otworzył szerzej, stanął w progu.

– Goss?! – zawołał. Czekał na odpowiedź.

Cisza. Tylko niesione tropikalną burzą krople deszczu biły o dach i okna. Jack doszedł do wniosku, że ma dwa wyjścia. Po pierwsze może machnąć na to wszystko ręką, zawrócić na pięcie i dać sobie spokój. W takiej jednak sytuacji za jakiś czas dostanie kolejny telefon z pogrózkami, a rychło też sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Drugie i w istocie jedyne wyjście polegało na tym, aby zrobić coś tu i teraz.

Zerknął za siebie – korytarz był pusty. Spojrzał w głąb mieszkania. Serce mu biło, ręce zwilgotniały od potu. Nabrał powietrza, pomyślał chwilę, nateżając całą wolę, i ostrożnie wszedł do środka. W mieszkaniu Eddy'ego Gossa panowała ciemność i cisza, śmiertelna cisza.

– Goss? – Jack zatrzymał się przy wejściu. – Goss, to ja, Swydeck. Musimy porozmawiać, więc pokaż się, do cholery! – zawołał półgłosem.

Odczekał kilka sekund. Odpowiedzi nie było. Sięgnął do kontaktu przy

drzwiach. Nie było światła.

Błyskawica rozerwała ciemności za oknem. Na odgłos grzmotu serce podeszło mu do gardła. Burza nasiliła się, deszcz walił w okno, w całym mieszkaniu było tylko jedno. Znow rozbłysnął piorun, rozświetlając białą poświatą ciasne wnętrze. Jack, jak w świetle flesza, w ułamku sekundy zorientował się w otoczeniu. Wyglądało na to, że mieszkanie jest jednoizbowe: kuchnia, jadalnia i livingroom – wszystko razem. Okno zasłonięte białym jak śmierć prześcieradłem, mebli niewiele: wyleniąta sofa, stojąca lampa, stół kuchenny i składane krzesło. Ściany gołe, ale zwrócił uwagę, że w pokoju znajdowało się trochę roślin, choć nie takich, jakie zwykle hoduje się w domu. Były to bowiem wieńce w kształcie krzyży i gwiazd Dawida, wiązanki, jakie składa się na grobach, z chryzantem i jeszcze innych gatunków kwiatów. Wszystkie świeże. Najwidoczniej Goss kradł je na cmentarzu. Gniew i obrzydzenie ścisnęły go za gardło, gdy na szarfie przy jednej z wiązanek odcyfrował słowa: „Najukochańszej Córce”. W tej samej chwili zauważył, że obok jest drugi pokój – sypialnia. Drzwi były otwarte.

Zza nich dobiegł nagle przeciągły gwizd, głośny, bezczelny, taki jakim chłopcy na plaży zaczepiają dziewczyny. Jack sprężył się w sobie w obawie przed atakiem.

Śśśś – znow gwizd, jakby jeszcze głośniejszy.

Serce zaczęło mu łomotać. Myślał tylko o tym, żeby zawrócić na pięcie i uciec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Ku własnemu zaskoczeniu zaczął posuwać się wolno i ostrożnie w stronę otwartych drzwi. Skradał się na palcach, żeby gumowe podeszwy adidasów nie zapiszczały na wilgotnej podłodze. Nie spuszczał oczu z drzwi. Nerwy miał napięte do ostatnich granic, nadal nie wiedział, co go spotka po drugiej stronie. Zachwiał się, gdy z oddali dobiegł przeciągły odgłos grzmotu. Do drzwi miał jeszcze dwa kroki, zatrzymał się.

I znow rozległ się gwizd.

Ten dźwięk zbijał go z tropu, ale też zaczął zwyczajnie złościć. Sukinsyn próbuje go zirytować! Bawi się, jak to on, a Jack wiedział, do czego Goss jest zdolny, wyjął więc pistolet z kieszeni.

– Eddy! – zawołał. – Dość tych żartów. Chcę tylko porozmawiać.

I znow błyskawica rozświetliła wnętrze na ułamek sekundy. Jack postąpił krok naprzód i jeszcze jeden krok. Zerknął na stół kuchenny. Stał na nim brudny talerz z resztką keczupu i pozostałościami po rybie, butelka po coca-coli, widelec i nóż – ostry jak sztylet nóż do steków. Jack ucieszył się, że jednak wziął rewolwer. Podniósł broń oburącz, jak do strzału. Ręce mu drżały, ale nie miał zamiaru się wycofać; nie odpuści. Jeszcze jeden krok naprzód i zajrzał do wnętrza sypialni.

Nagły pisk sprawił, że się cofnął. Kątem oka zauważył coś, ni to postać, ni to cień. Coś czaiło się w mroku. Dał krok do tyłu, chciał strzelić, ale stracił równowagę. Potknął się o lampę, lampa upadła na dywan, on też znalazł się na podłodze. Zaczął wstawać dygocząc z wrażenia. Walka zakończyła się równie szybko, jak zaczęła.

– Głupia papuga – powiedział głośno, oddychając z ulgą.

– Śśśś – zagwizdało ptaszysko ze swego drążka.

Jack zamarł, gdy na korytarzu, za drzwiami, rozległy się kroki. Wolał uniknąć sytuacji, w której musiałby się tłumaczyć przed kimś, kto zajrzałby do środka, zaniepokojony hałasem. Wcisnął pistolet za pasek, podszedł do okna, spróbował otworzyć. Było to zwykłe przesuwane okno, jak w większości czynszówek, ale nie dało się unieść więcej niż parę centymetrów. Poprzedni lokator wbił solidny gwóźdź we framugę, zabezpieczając się, jak można sądzić, przed nieproszonymi gośćmi. Serce zabiło mu mocniej, gdy kroki na korytarzu zaczęły się zbliżać. Rozejrzał się błyskawicznie, chwycił nóż i próbował nim usunąć gwóźdź blokujący okno. Zrazu żelazny ćwiek nie chciał nawet drgnąć, po czym z nagłą puścił, na skutek czego nóż ześlizgnął się, kalecząc głęboko zewnętrzną stronę lewej dłoni. Ręka zaczęła krwawić, ale z napięcia Jack nie czuł bólu. Rzucił nóż na stół i wyslizgnął się przez otwarte okno. Zsunął się na dół po drabince przeciwpożarowej, jak uczeń na lekcji gimnastyki. Z ostatnich trzech metrów zeskoczył na ziemię, lądując po kostki w kałuży. Okrążył pędem budynek, wskoczył do auta i ruszył, starając się nie dociskać gazu do końca. Zdał sobie sprawę, że im szybciej będzie jechał, tym większe wzbudzi podejrzenia.

Oddychał głęboko, chcąc się uspokoić i opanować. Zbadał rękę. Rana była stosunkowo głęboka i ciągle jeszcze krwawiła, ale obejdzie się bez szycia. Trzymał kierownicę zranioną dłonią, a drugą zacisnął na przegubie, aby zatamować krew.

– Do diabła! – przeklinał pod nosem tę głupią papugę. Ptak rzeczywiście wystraszył go śmiertelnie. Zdziwił się, że Goss sprawił go sobie, bo przecież nie dbał o żadne żywe istoty. Z drugiej strony był w tym jakiś sens, bo cóż robi ptak? Dziobie ziarna. Rzeczywiście wokół stojaka wałało się sporo ziaren, nasion, które przyniósł Chryzantemowy Wampir. Jak to on powiedział? – „Mam jeszcze dużo nasion do zasadzenia”.

Opuszczając dzielnicę Gossa, Jack raz jeszcze przeanalizował wydarzenia, które go tam sprowadziły: telefon, mapa, zaproszenie do spotkania „mordercy na wolności”. Spirala wydarzeń, każde kolejne jakby poważniejsze i groźniejsze. Zastanawiał się, jaki może być następny, logiczny krok po zabiciu psa, i przeraził

się tym, co podpowiadał mu instynkt. Goss zwabiał go do siebie nie po to, aby zabić jego, ale raczej kogoś innego. Kogo?

– Cindy – wypowiedział głośno, ważąc wszelkie ewentualności. Być może to przesada, niewykluczone, że przypisuje Gossowi zbyt wiele sprytu, ale z drugiej strony ten szalenciec mógł go zwabić właśnie świtem, aby mieć pewność, że dziewczyna zostanie sama, a on spokojnie zasadzi swoje nasiona.

Jack docisnął pedał gazu do końca i skręcił w stronę domu Giny. Kierował jedną ręką, drugą wystukiwał numer na telefonie komórkowym. Do czwartej trzydzieści zostało jeszcze sporo czasu, bo nie minęła nawet północ, ale wolał dmuchać na zimne.

– Odezwij się – mruknął, słysząc, że jest zajęte. Spróbował jeszcze raz. To samo. Zadzwoił więc do telefonistki, prosząc, aby przerwała rozmowę, bo „dzwoni w nagłej sprawie, która nie może czekać”.

Ale Gina nie zgodziła się na przerwanie rozmowy ani tym bardziej na przyjęcie jego telefonu.

– Co to znaczy: nie zgadza się? – zirytował się, ale telefonistka nawet nie odpowiedziała.

Wyłączył telefon i jeszcze bardziej przyspieszył. Bał się, że dojdzie do najgorszego.

Siedem minut później samochód wjechał na uliczki osiedla nad zatoką, przyhamował przed „śpiącym policjantem” – asfaltowym wybrzuszeniem, które zmusza do ograniczenia prędkości – i zatrzymał się przed bliźniakiem Giny. Jack wyskoczył z auta. Skacząc po dwa stopnie wbiegł na ganek i załomotał do drzwi. Przeształ nerwowo z nogi na nogę, aż wreszcie Gina otworzyła.

– Nic się nie stało? Wszystko w porządku? – pytał z niepokojem.

Gina miała na sobie obcisłą minispódniczkę z białego dżinsu i czerwoną, luźną bluzkę na ramiączka, która więcej odsłaniała niż skrywała przed ciekawym wzrokiem.

– Jest Cindy?

– Nie ma.

– A gdzie jest?

– Gdzieś. Zabawia się z chłopakami z baletu Chippendale'ów – zadrwiła, robiąc przy tym kpiącą minę. – A w ogóle to już nie twoja sprawa. Nie ma jej i tyle.

– Muszę ją znaleźć, bo grozi jej niebezpieczeństwo.

– Chyba tylko z twojej strony – wyzywająco wsparła ręce na biodrach.

Na wszelki wypadek wsunął nogę za próg, żeby Gina nie zamknęła mu drzwi przed nosem.

– Słuchaj, to nie są wymysły. Od zakończenia procesu Gossa ktoś mnie bez przerwy śledzi i grozi. Jakiś facet o chrapliwym głosie zadzwonił, że morderca krąży, a potem chciał mnie przejechać na ulicy. Zabił Czwartka, a teraz pewnie chce się dobrać do Cindy.

Gina pojęła wreszcie, że sprawa jest poważna.

– Cindy nic nie grozi – powiedziała zimnym głosem. – W sobotę rano, zaraz po awanturze z tobą, postanowiła pojechać do Rzymu. Po południu, gdy nie było cię w domu, zabrałyśmy jej rzeczy i odwiozłam ją na lotnisko. Jest w drodze do Włoch.

– Ach tak, to dobrze – skwitował, choć nie do końca szczerze. Z jednej strony ucieszył się, że Cindy jest bezpieczna, z drugiej – trudno mu było oswoić się z myślą, że już jej nie ma. W głębi duszy żałował, iż nie dała mu szansy, żeby ją przeprosił i wszystko wyjaśnił.

Zawrócił od drzwi. Gina obserwowała go nie bez zazdrości, że tak bardzo zależy mu na Cindy, choć przecież zerwali ze sobą. W gruncie rzeczy nosiła w sobie uraz, że rzucił ją dla przyjaciółki, i to po jednym spotkaniu. W cichości ducha

liczyła, że podróż do Włoch doprowadzi do ich ostatecznego rozejścia. Zastanawiała się tylko, co powinna zrobić, żeby Jack zainteresował się nią.

– A co ze mną? – rzuciła za odchodzącym, unosząc wymownie brwi. – A co będzie, jeśli ten psychopata zjawi się tutaj i zobaczy, że jestem sama w domu?

– Więc co mam zrobić? – Jack zatrzymał się na schodach.

– Zostań, na wszelki wypadek.

Zaskoczyła go. Otworzył usta, ale przez dobrą chwilę nie był w stanie dobrać głosu.

– Nie wydaje mi się, że...

– Za dużo ci się wydaje i na tym polega twój problem. No, wchodź, postawię ci drinka, a może nawet powiem ci prawdę o tej „służbowej” wyprawie Cindy do Włoch – powiedziała z udawaną obojętnością, zapraszając go do środka.

Speszył się. Wolałby sądzić, że Gina tylko szydzi z jego uczuć, ale w tym, co mówiła, coś jednak było, skoro Cindy cichaczem zabrała rzeczy i wyjechała, nie dając mu nawet cienia szansy, żeby się wytłumaczyć. A zresztą po tym wszystkim, co zdarzyło się ostatnio, należy mu się trochę oddechu. Przecież to nic złego, że pobędzie w towarzystwie, zwłaszcza że z Gina można pogadać, dowiedzieć się, co Cindy naprawdę myśli i jakie ma plany.

– Zgoda – odrzekł – a jeśli chodzi o drinka, to poproszę szkocką z lodem.

Weszli do środka. Wielki livingroom utrzymany w białej tonacji zajmował cały parter. Z białą ścian kontrastowały nowoczesne meble z czarnego szkła i niklu. Obrazy malowane farbami akrylowymi, perskie dywany i kompozycje z suszonych kwiatów dopełniały wystroju kolorowymi akcentami.

– Włóż to – podała mu płaszcz kąpielowy. – Ściągaj te mokre rzeczy, wrzucę je do suszarki.

Zawahał się, czy wypada, choć naprawdę był przemoczony do suchej nitki. Zauważyła wahanie.

– Możesz mi wierzyć – rzuciła półzartem – że gdyby mi zależało na czymś więcej, to anibyś się spostrzegł... No – ponagliła – przebieraj się, bo złapiesz zapalenie płuc.

Poszedł do łazienki, zdjął mokre ubranie. Zastanawiał się, co zrobić z bronią. Wolał uniknąć wyjaśnień. W końcu wyjął magazynek, owinął razem z pistoletem w ścierkę i schował do kieszeni szlafroka. Rana na dłoni zaschła, zmył więc ostrożnie ślady krwi i wrócił do salonu. Gdy Gina wrzuciła mokre ubranie do suszarki, przeszli do kuchni.

– Szkocka, dobrze usłyszałam? – spytała.

– Szkocka. – Z wysokości stołka przy barze w kuchni przyglądał się, jak Gina napełnia szklanki. Nie ma co ukrywać, przyjaciółka Cindy była rzeczywiście zgrabna. W miękkim świetle kuchennych jarzeńówek mógł ją podziwiać od stóp do głów. Naprawdę znakomita dziewczyna, pomyślał na widok ciemnych, błyszczących oczu i aksamitnej, oliwkowej cery. Przyszło mu na myśl, że pewnie całe ciało ma równo opalone, bez śladów kostiumu. Jedyna niedoskonałość, ledwie zauważalna zresztą, to niezbyt ładny uśmiech. Owa wada, której Jack zresztą nie traktował w ten sposób, sprawiła, że Gina nie została jednak supermodelką i nie zrobiła kariery w tej branży.

– Gotowe – podała mu szklanę.

Podziękował gestem, pociągnął spory łyk.

– Miałeś ciężki wieczór? – Uzupełniła trunek.

– Bardzo – przyznał.

W oczach Giny zapaliły się iskierki.

– No to dam ci coś specjalnego. Wiesz, co to jest Jagermeister?

– Co takiego?

– Mocna rzecz – ustawiła kieliszki na barze – same procenty.

– Wydaje mi się... – zaczął się wzbraniać.

– Już mówiłam – przerwała – że za dużo ci się wydaje. – Nalała dwa kieliszki. Głębszy dla Jacka. – Prosił! – wzniosła toast po niemiecku.

Wypili jednym haustem.

– Dobry początek – zaśmiała się. – Jeszcze po jednym – ponownie napełniła kieliszki.

– HUUU! – odetchnął głęboko, alkohol był wyjątkowo mocny.

Gina znów nalała.

– Co to jest? – spytał, czując palenie w gardle.

– Powiem ci, jak wypijesz.

Zawahał się. Na wszelki wypadek powinien się jednak pilnować, bo półprzytomny nie zda się na nic, gdyby Goss się zjawił.

– Gina, chyba już dość.

– Daj spokój, wyluzuj się trochę. Jeszcze po jednym. Zamek jest mocny – wskazała wzrokiem drzwi – nikt się nie włamie.

Pozbył się skrupułów do reszty i nie bronił się, gdy Gina podała mu kieliszek do ust. Wypił. Uśmiechnęła się widząc, że wzrok mu się rozmazuje.

– Dostałam to z Niemiec. Podobno są kraje, gdzie nie wolno tego sprzedawać, jest w tym ponoć domieszka opium.

– Opium? – przeraził się.

– Zobaczysz za półtorej minuty, jak ci uderzy do głowy – zaśmiała się nie bez pewnej złośliwości.

Odetchnął głęboko. Rzeczywiście, czuł, że nie jest to zwykła wódka. Przytrzymał się baru, żeby nie stracić równowagi.

– Muszę już iść.

Pochyliła się do przodu, patrząc mu prosto w oczy. Speszył się, odwrócił wzrok. Stracił ostrość widzenia, co go jeszcze bardziej speszyło.

– Naprawdę powinienem już iść – powtórzył, ale nie ruszał z miejsca.

– Jest parę sposobów, żeby cię zatrzymać – odparła tajemniczo.

– Na przykład?

– Mogę cię przekupić – powiedziała cicho. .

– I co jeszcze?

– Tortury! – zawołała z udawanym okrucieństwem. Zmrużyła oczy i uszczypnęła go pod żebrem. Śmiejąc się uciekła w głąb mieszkania.

– Boli – jęknął, bo rzeczywiście zadała mu ból. Zaśmiał się jednak – przecież to nie było na serio. – Zostańmy przy przekupstwie.

– Jak chcesz – zgodziła się szeptem. Podała mu nową szklankę szkockiej i gestem ręki zachęciła, żeby przeszli do salonu. Ściemniła światło i podeszła do konsoli ze stereo. Kołysała biodrami, jak zawsze kiedy czuła na sobie męski wzrok.

Uległ, patrzył z podziwem na jej kształty. Doskonale rozumiał, o co jej chodzi, a po miesiącu publicznych, zawodowych i prywatnych niepowodzeń czuł się zbyt słaby, zbyt samotny i zbyt pijany, aby nie skorzystać z zaproszenia, zwłaszcza że zwiodła go jeszcze obietnicą ujawnienia prawdy o rzekomo służbowej wyprawie Cindy do Włoch.

– Rozluźnij się! – Zaszła go od tyłu i pchnęła na kanapę. Sama umościła się obok. Zagłębili się w miękkie poduszki. Gina zrzuciła pantofle, podciągnęła kolana pod brodę, przyłgnęła do niego. Palcem zamieszała bryłki lodu w szklance i oblizwała go.

Czuł na ramionach dotyk jędrnych piersi. Dłonią błędziła niżej, jemu zaś przed oczami stanęła Cindy. Spał się.

– Znów ci się coś wydaje? – mruknęła, dając mu delikatnego kuksańca, a jednocześnie przyłgnęła do niego jeszcze bliżej, sięgając po pilota od stereo, który leżał na stoliku po jego stronie. Włączyła odtwarzacz. Rozległa się „Europa” Gata Barbieriego.

– Przepraszam – speszył się, zdając sobie sprawę, że być może fałszywie

odczytał jej manewry.

– Uwielbiam Gata – przerwała. – A ty, lubisz saks?

Zakrztusił się zaskoczony. Pił właśnie swoją whisky, nie dosłyszał dokładnie, a może Gina celowo mówiła niewyraźnie, w każdym razie zamiast „saks” – saksofon – usłyszał „seks”.

– Bo mnie się wydaje, że to najbardziej seksowny instrument ze wszystkich. – Oparła się wygodnie na kanapie i chłonęła muzykę. – Obserwowałeś kiedyś, jak grają na saksofonach? Przyglądałeś się, ale tak naprawdę, w nocy, w klubie? Zawsze jest przyćmione światło, sala pełna dymu, jak z bajki, a muzycy wręcz kochają się ze swoimi instrumentami. Pieszczą ustniki saksofonów wargami, przymykają oczy, a na ich twarzach malują się wszystkie emocje. Jakby obnażali się przed całym światem albo płakali, albo kochali się na oczach wszystkich, nie bacząc na nic, pewni siebie, silni, z jajami. Zazdroszczę im tego. Nie wiem, jak to robią, jak potrafią się aż tak wyzwolić... ale zawsze przejmuję mnie to do głębi. – Pochyliła się w jego stronę i spojrzała mu głęboko w oczy.

Znów się zawahał. Nie znał jej z tej strony, a przynajmniej nigdy wobec niego nie była tak otwarcie wyzywająca. Stały numer, mogę się założyć – miał ochotę zakpić.

– A ty byś tak potrafił? – przytuliła się do niego.

– To znaczy: co? – udawał, że nie rozumie.

– Tak wyluzować się do końca, obnażyć, chłonąć szczęście.

Westchnął tylko, bo istniała przecież kobieta, która rozpałała w nim pragnienia tak silne, że nawet nago wobec całego świata czuł się mocarzem. Ale cóż z tego, skoro coś się między nimi popsulo. Ani z jej, ani z jego winy. Po prostu coś nastąpiło i nic już nie było tak samo.

– Myślę, że tak, ale to zależy od towarzystwa.

Gina zaśmiała się, ale nie zdążyła nic więcej zrobić, bo rozległ się ostry dzwonek telefonu.

– Cindy? – dało znać o sobie sumienie Jacka.

Gina ześlizgnęła się z kanapy, podniosła niechętnie słuchawkę i odeszła w kąt, jak najdalej od Jacka, na tyle na ile pozwalał sznur przy aparacie. Poszeptała coś do mikrofonu i rzuciła słuchawkę na widełki. Gdy wróciła, w jej oczach malowało się już nie podniecenie, ale zwyczajna złość.

– Eks-narzeczony – wyjaśniła bez pytania. Wróciła na swoje miejsce przy Jacku. – Antoine. Dał mi BMW i wyobraża sobie, że mnie kupił. Dzwoni zawsze, gdy jestem z kimś. Pies ogrodnika.

– A czy ten twój Antoine ma przypadkiem broń? – spytał bardziej serio niż żartem Jack.

Telefon znów zadzwonił. Gina rozeźliła się na dobre. Rzuciła aparat na podłogę.

– Co za kretyn! – zawołała, jakby Antoine mógł usłyszeć.

Odetchnęła z ulgą, wróciła na miejsce, przykucając obok Jacka.

– O czym to mówiliśmy? – powiedziała pieszczotliwie.

Odsunął się nieco.

– O Antoinie, chyba mówiliśmy o Antoinie – odparł trochę niepewnie.

– To kretyn – powiedziała z wyraźną kpina. – Ktoś, kto pomoże mi o nim zapomnieć, ma u mnie fory.

Patrzyli sobie głęboko w oczy. Jack chciał właśnie coś powiedzieć, gdy akurat dała o sobie znać suszarka. Oprzytomniał.

– Czas już na mnie, ubranie pewnie suche. – Poderwał się z miejsca, ale nogi odmówiły posłuszeństwa, poczuł zawrót głowy, opadł z powrotem na kanapę.

– Oj, chyba ci się nie uda.

– Ale powinienem już iść.

– Nie ma mowy – zamachała mu przed nosem kluczami od mustanga, które wyjęła z kieszeni wrzucając ubranie do suszarki. – Jako przyjaciółka Cindy nie mogę pozwolić, aby jej były narzeczony jeździł po pijanemu. Zostajesz na noc i już.

– Ale...

– Żadnych ale – ucięła – jest już po północy, a ubranie chyba jeszcze nie wyschło. Położę cię w swoim łóżku, ja prześpię się na miejscu Cindy, bo w jej łóżku pewnie miałbyś złe sny. No, chodź – wzięła go za łokieć.

Z trudem stanął na nogi. Od czasów uniwersyteckich nie był tak pijany. Zdawał sobie sprawę, że w tym stanie nie może jechać, i w gruncie rzeczy był z tego rad.

– W porządku, zostaję.

Gina wzięła go pod rękę, żeby zaprowadzić do sypialni na górze. Oboje zamarli, gdy nagle w odłożonej słuchawce rozległ się pulsujący dźwięk. Odruchowo spojrzeli na aparat, a potem po sobie, jakby czekając, które zdecyduje się odłożyć słuchawkę na widelki. Tymczasem dźwięk ustał, więc zostawili telefon na podłodze. Antoine ani nikt inny nie będzie już przeszkadzał. Będą tylko oni: Gina i Jack. Gina, której nikt się nie oprze. Zrezygnował z pomocnej ręki, puścił dziewczynę przodem i sam zaczął wspinać się na schody.

– Spać, spać – ni to powiedziała, ni to zaśpiewała, wprowadzając go do

sypialni. Światło lampy w hallu kładło się ciepłem po całym buduarze. Jack przysiadł na skraju łóżka. Gina wygładzała prześcieradła. Zastanawiał się, ilu mężczyzn spało w tym łóżku. On wszakże będzie pierwszym, który co prawda prześpi się w jej łóżku, ale nie z nią.

– W razie czego jestem po drugiej stronie korytarza. – Gina wyszła nie zamykając drzwi.

– Dobranoc.

Zgasiła światło w hallu. Wszystko spowiała ciemność. Po omacku zaczął rozpinąć szlafrok, ale myśl o tym, że miałby leżeć w jej pościeli całkiem nagi, nieco go speszyła. Położył się więc w szlafroku. Wyjął tylko z kieszeni zawiniątko z bronią i położył na nocnym stoliku. W głowie mu szumiało. Zmartwił się, że rano będzie miał potwornego kaca, ale pocieszył się, że zaśnie mocno, a musi się wreszcie solidnie wyspać. Zasnął już, gdy rozbudziło go światło. Paliło się w hallu, ale miał wrażenie, jakby ktoś zaświecił mu latarką prosto w oczy. Półprzytomny podniósł głowę, usiłując rozpoznać postać w drzwiach. Na tle rozświetlonego korytarza malowała się tylko sylwetka.

– Nie mogę zasnąć – rozległ się w ciemności głos Giny.

Wsparł się na łokciu, starał się przebić wzrokiem mrok. Gina stała w drzwiach, jakby pozowała do zdjęcia. Jedną ręką na biodrze, drugą opierała się o framugę. Długie włosy zarzucone przez ramię zdawały się spływać kaskadą na pierś. W odsłoniętym uchu połyskiwał złotem krągły kolczyk. Była naga, jeśli pominąć jedwabną przepaskę na biodrach.

– Muszę położyć się do swojego łóżka.

– Jack odrzucił kołdrę, próbował wstać, ale Gina już tuliła się do niego, delikatnie popychając na poduszki.

– Pozwól, że zrobię to po swojemu – szepnęła.

Nie czuł nawet wyrzutów sumienia. Po pierwsze był zbyt pijany i półprzytomny, a po wtóre miał jeszcze w uszach jej uwagi o „służbowym” wyjeździe Cindy. Jak tu na nią czekać, skoro włóczy się po Włoszech z dawnym narzeczonym! Gina wślizgnęła się najpierw na sam koniec łóżka i powoli posuwała się w górę, szukając drogi palcami pod jego płaszczem kąpielowym. Demonstrowała umiejętności, o jakich dotychczas tylko marzył, aż wśród pieszczot poczuł ból.

Jęknął kuląc się w sobie.

– Hej, co jest? – uśmiechnęła się namiętnie, unosząc głowę spomiędzy jego ud.
– Tak ma być, rozkosz i ból.

– Ale boli.

– Odpreż się. – Ściągnęła zeń szlafrok, objęła nogami i wspięła się na niego. Był podniecony do granic wytrzymałości. Ona tymczasem ledwo go dotykała. Drażniła raczej, kusiała, zadawała rozkoszne tortury. Ustami błędziła po piersiach, ciągnąc zębami za włosy. Znow jęknął z bólu, ale zamknęła mu usta pocałunkiem. Jak błyskawica przemknęła mu przez głowę myśl, że od dawna nie kochał się z nikim innym, tylko z Cindy. To zaś, co działo się teraz, było szaleństwem.

– Powiedz mi – wyszeptwała Gina, delikatnie dotykając ustami ucha – co byś chciał.

– Ciebie – odparł z równą namiętnością.

Ona tymczasem błędziła palcami po jego ciele, coraz bardziej go podniecając.

– Ale naprawdę, co chciałbyś, żebyśmy zrobiła? – szeptała.

– Chcę już wejść w ciebie.

Rozbawił ją eufemizm. Zmierzyła go wzrokiem.

– A ja chcę, żebyś mnie wypieprzył! – wykrzyknęła z ogniem w oczach. Wtuliła się w niego, przewróciła i teraz on znalazł się na górze. Wszedł w nią z całej siły, jakby chciał zrzucić z siebie miesiąc frustracji, porażek i złości, chłonał jej jęki rozkoszy, nawet nie czuł, jak jej długie paznokcie orzą mu skórę na plecach.

Nagle zmroziło go.

– Słyszałaś? – spytał, nieruchomiejąc w ułamku sekundy.

– Co? – uśmiech zadowolenia błędził jej na ustach.

– Stukanie.

– To tylko łóżko tłucze o ścianę – próbowała zbyć sprawę.

– Nie, to na dole.

– Daj spokój! – zezłościła się. – Nie wygłupiaj się.

– Poważnie mówię, Gina. Zamknęłaś drzwi na klucz, jak ci mówiłem?

– Oczywiście.

– A drzwi od ogrodu?

– Zawsze zamykam, kiedy włączam klimatyzację.

– To i tak żadna przeszkoda dla Gossa, jeśli to on. – Wysunął się z niej. – Jestem pewien, że coś słyszałem. – Ześlizgnął się z łóżka, podszedł do drzwi, przez chwilę pilnie nadśluchiwał. Założył szlafrok, zabrał pistolet z nocnego stolika.

– Przyszedłeś do mnie z bronią?! – rozgniewała się.

– Uhm, i chyba dobrze zrobiłem.

– Proszę, Jack, żadnej strzelaniny. Lepiej zadzwoń po policję.

– Nie da rady. Telefon wyłączony.

Skrzywiła się ponuro. Chyba po raz pierwszy w życiu miała sobie coś za złe. Załadował magazynek. Zarepetował. Sprawdził. Wszystko w porządku.

– Rozejrzę się na dole. Ty zostań tutaj.

– Bądź ostrożny.

Otworzył drzwi na korytarz. Broń trzymał w pogotowiu. W hallu było ciemno. W całym mieszkaniu panowała cisza. Wyszedł na korytarz przymykając po cichu drzwi za sobą. Usłyszał, że Gina przekręca klucz w zamku. Nie było odwrotu. Wyteżył wzrok patrząc w dół. Nie zauważył niczego szczególnego. Zaczął schodzić, po kilku stopniach przystanął. Z tego miejsca widział już prawie cały parter, poza kuchnią. Telefon ciągle leżał na podłodze z odłożoną słuchawką. Zszedł na sam dół i zatrzymał się, nadal jednak niczego specjalnego nie dostrzegł, nic też nie było słychać, poza biciem serca. Powoli przemierzył cały salon. Po drodze odłożył słuchawkę na widelki i w tym momencie zobaczył, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież.

Cofnął się, gdy ciszę nagle rozdarł głośny dźwięk. Minęła chwila, nim zdał sobie sprawę, że to alarm w jego własnym samochodzie. Bez namysłu wyskoczył z domu, zostawiając otwarte drzwi. Zamarł, gdy na własne oczy przekonał się, że nawet dwudziestoletni mustang powinien mieć system alarmowy. Składany dach był rozciachany na całej długości, od maski po kufer.

– Rany boskie! – jęknął i w tej chwili usłyszał przeraźliwy pisk dobiegający z domu. Wskoczył na schody, wbiegł do środka.

– JAAAACK! – krzyczała Gina z sypialni Cindy.

Pobiegł na górę, wyciągając przed siebie rękę z pistoletem. Gina, w satynowym zielonym szlafroku, stała jak skamieniała przy mosiężnym łóżku Cindy. Oprócz niej nie było nikogo. Jack z trudem łapał oddech. Łóżko było rozebrane. Różowa kapa starannie złożona. Na śnieżnobiałym prześcieradle widniała okropna plama – wilgotna, jaskrawoczerwona jak krew. Pochylił się, dotknął palcem.

– Ketchup – potwierdziła Gina, wskazując wzrokiem pustą butelkę, która jeszcze niedawno stała w lodówce.

Jackowi serce podeszło do gardła, gdy wyobraził sobie, co mogłoby się stać, gdyby Cindy nie wyjechała. Wiedział oczywiście, że nie należy niczego dotykać, ale też był przekonany, że jeszcze coś jest pod poduszką, coś, co intruz, kimkolwiek był, chciał, aby Jack znalazł. Wyciągniętą ręką, żeby być możliwie najdalej, ostrożnie chwycił za rąbek poszewki i podniósł poduszkę.

– Jack – Gina dygotała z przerażenia, głos jej drżał – co ty, u diabła, robisz?

Pod spodem leżała gałązka chryzantemy.

– Goss! – krzyknął i odłożył poduszkę na miejsce.

Ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Spojrzeli po sobie. Widać było, że Gina, przerażona do ostatnich granic, nie podniesie słuchawki.

– Halo – Jack z całej siły starał się mówić spokojnie.

Cztery ulice dalej, w budce telefonicznej ledwo rozświetlonej blaskiem miejskich lamp, mężczyzna w wytartych niebieskich dżinsach i żółtawym podkoszulku zasłaniał mikrofon kawałkiem szmaty.

– Za wcześnie przyszedłeś na przyjęcie – rzucił oskarżycielskim tonem.

Jack wstrzymał oddech. Głos chyba ten sam, ale jakby inny, drżący i zdyszany, jak po biegu.

– Przeszedłeś za wcześnie, Swytek. Zrobiłeś mi wielką przykrość.

Jack milczał. Nie odkładał słuchawki, ale też nie był w stanie się odezwać. Paraliżował go głos szaleńca, zły, nienawistny, zdyszany z wściekłości.

– Proszę – wykrztusił wreszcie – proszę cię, musimy porozmawiać.

– Mówiłem: wpół do piątej rano! – syknął rozmówca. – Punktualnie. Wpół do piątej i ani sekundy wcześniej. To twoja ostatnia szansa, Swytek. Masz być o wpół do piątej.

Jack chciał coś jeszcze powiedzieć, ale połączenie zostało przerwane. Odłożył więc słuchawkę pełen ponurych myśli.

– Co to było? – zapytała jeszcze bardziej przerażona Gina.

– Zaproszenie. Ostateczne – odparł.

Dwie godziny później, gdy miasto spowiła cisza, a ostatni pijacy opuścili bary, brzask zaś nie wygonił jeszcze z domów tych, co zaczynają dzień o świcie, gdy Miami pogrążyło się w najgłębszym śnie, rozległo się pukanie, a po chwili ktoś zaczął walić pięściami w drzwi. Eddy Goss usiadł na łóżku. Półprzytomny, nie był pewien, czy to sen, czy jawa. Ponowny łomot przekonał go, że nie śni. Wstał, odczekał jeszcze chwilę, aby oswoić wzrok z otaczającym mrokiem. Nie próbował zapalić światła. Nie było po co. Prąd odcięto, gdy nie zapłacił rachunku. Niespiesznie pokuśtykał do drzwi, nie było mu pilno otwierać. Po drodze wyjął rewolwer ze schowka w kanapie. Przycisnął policzek do drzwi i zerknął przez wizjer. Niewiele zobaczył. Żarówka nad drzwiami w korytarzu dawno się przepaliła. W mroku widać było tylko niewyraźny zarys postaci, chyba w policyjnym mundurze, a przynajmniej tak mu się wydawało. Schował więc broń, bo, wiadomo, nikt z wyrokiem nie dostaje pozwolenia, a on swoje odsiedział. Następnie otworzył drzwi i chciał potraktować stróża prawa z góry, bo zawsze tak robił.

Nie udało się. Najpierw zmieszał się nieco, widząc człowieka w mundurze, ale poza krótkim „Co jest, do cholery!” nie było mu dane powiedzieć nic więcej. Intruz bowiem wpadł do mieszkania, zatrzasnął drzwi i pchnął Gossa pod ścianę. Eddy nie zdążył nawet pomyśleć, ogarnąć, o co chodzi. W pół sekundy zobaczył przed sobą złowrogą czeluść lufy pistoletu z tłumikiem. Trwoga i przerażenie, jakie zwykł widzieć na obliczach swych młodocianych ofiar, wykrzywiły mu twarz i odjęły mowę. Dostał dwie kule, które przeszły policzki, rozrywając czaszkę. Eddy osunął się na podłogę, a ściana spłynęła krwawym strumieniem. Martwe ciało padło bezkształtną masą w kałużę krwi. Chwilę później drzwi uchyliły się cicho, cień wysunął się na mroczny korytarz, przemknął po schodach i wtopił się w noc, a wraz z nim głucho echo znoszonych obcasów stukających o chodnik, jakby właśnie posterunkowy kończył nocny obchód.

III

Wtorek, 2 sierpnia

O piątej dwadzieścia pięć w Komendzie rozdzwonił się telefon 911. Alarmowano, że spod drzwi jednego z mieszkań na East Adams Street sączy się krew, zebrała się już cała kałuża. Dzwoniła sąsiadka, która właśnie wracała z nocnej zmiany w szpitalu. Wobec rozgłosu, jaki wzbudził proces Gossa, wszyscy w wydziale morderstw z miejsca skojarzyli adres, a niejeden detektyw ucieszył się w duchu, że ten drań wreszcie dostał za swoje. Szef wydziału nie miał żadnych wątpliwości, kogo wysłać na miejsce.

– Podrywaj tyłek, Lon! – zawołał od progu, otwierając drzwi do pokoju detektywa Lonza Stafforda z takim hukiem, że zadrżały żaluzje w oknach. – Słońce jeszcze nie wstało, a ja już gwarantuję ci wspaniały dzień.

Stafford oderwał się od wiadomości sportowych w „Miami Herald”. Jak zwykle zjawił się w pracy pełne półtorej godziny przed czasem. Poranna zmiana obejmowała służbę dopiero o siódmej, więc siedział tymczasem przy biurku, nad gazetą, kawą i pączkami. Służył w policji prawie od czterdziestu pięciu lat. Przedtem był żołnierzem piechoty morskiej. Wszyscy wiedzieli, że jest pracoholikiem i że przesiaduje w biurze świątek czy piątek, kosztem wolnego czasu. Złośliwi twierdzili, że z wiekiem stał się mniej sprawny, a więc musi się bardziej przykładać, by mieć jakie takie efekty, i że jest z nim jak z Aladynem, który musiał aż trzy razy potrzeć lampę, aby spełniła jedno życzenie. W latach świetności był najlepszym detektywem w całej policji, nie tylko w wydziale morderstw. Nie popełniał błędów, jeśli pominąć ten jeden jedyny raz, kiedy rzeczywiście z gorliwości przesadził, i to tak, że prokurator przegrał stuprocentową skądinąd sprawę. W czasie przesłuchania, nagrywanego na taśmę wideo, odwołał się do sumienia podejrzanego i rzeczywiście wymusił na nim przyznanie się do winy. Rzecz przeszła do historii jako „przemówienie o chrześcijańskim pochówku”, za sprawą którego Stafford spieprzył sprawę Eddy'ego Gossa – bo to o niego chodziło. Ostateczny rezultat był zaś taki, że detektyw serdecznie znienawidził Jacka Swytecka, który zauważył i wykorzystał jego błąd.

– Masz coś dla mnie?

– Trupa, ale co za adres! – szef wydziału morderstw był wyraźnie ucieszony – East Adams Street 409, mieszkania 217!

– Bogu niech będą dzięki... – Stafford znał ten adres lepiej niż wszyscy. Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Jadę. – Ruszył do wyjścia, ale szef go

zatrzymał.

– Lon – rzekł, zamykając za sobą drzwi. – Wiem, co czułeś, gdy wypuścili tego skurwysyna – spojrzał detektywowi głęboko w oczy – i chcę, abys miał świadomość, że w tym wypadku złego słowa nie powiem, jeśli nie znajdziesz winnego.

Stafford zmilczał, ale widać było, że całkowicie zgadza się z szefem, ten zaś zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

– Jest coś jeszcze – rzekł cicho – zaraz po sąsiadce Gossa zadzwonił jeszcze ktoś, nie podając nazwiska. Telefonował zresztą z automatu, więc nie dało się go namierzyć. Powiedział tylko, że mniej więcej o tej samej porze, kiedy klient dostał w czapę, z mieszkania Gossa wychodził ktoś w mundurze policyjnym.

Stafford zmarszczył czoło.

– Oczywiście, to nic pewnego – ciągnął szef – ale nie można wykluczyć, że w sytuacji, w której przysięgli nie dali Gossowi tego, co mu się należało, któryś z naszych postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Co do mnie, to nie byłbym tym specjalnie zdziwiony. Znamy się nie od dziś, więc wiesz, o co chodzi. Nie zależy mi na tym, żebyś złapał zabójcę, masz przede wszystkim ukreć łeb plotkom.

– Wygląda na to, że ten drugi telefon prowadzi donikąd – Stafford w lot zrozumiał intencje szefa.

– Właśnie. A teraz jedź już i pozdrów ode mnie Eddy'ego Gossa.

Obaj ruszyli do wyjścia, uśmiechając się do siebie z pełnym zrozumieniem.

– Cześć, Lon – rzucił detektyw Jamahl Bradley do partnera. Przy stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu musiał wręcz zgiąć się wpół, żeby przejść pod żółtą plastikową taśmą ze znakami policyjnymi, przegradzającą klatkę schodową przy mieszkaniu Gossa. Policjanci zabezpieczyli już cały budynek, przy obu wejściach ustawiono posterunki. Drzwi do mieszkania 217 stały otworem. Zwłoki w korytarzu przykryto żółtą płachtą. Przez jedyne okno sączył się blade światło. Ciszę przerywały tylko krótkie meldunki dobiegające z głośników policyjnych radiostacji.

Stafford ubrany był jak zwykle w białą koszulę, czerwony krawat i wyświechtaną dwudziestoletnią granatową marynarkę – „mundur wyjściowy”, jak mawiał, czyniąc aluzję do lat spędzonych w marines.

– Później nie mogłeś? – skarcił Bradleya, na co ten odpowiedział nader niechętnym spojrzeniem, co razem dawało wymowne świadectwo wzajemnego stosunku między młodym Murzynem a starym wyjadaczem. Ale brak szacunku był

pozorny. W istocie obaj cenili i siebie, i współpracę, choć uwielbiali prawić sobie złośliwości. Teraz też Bradley nie zmarnował okazji.

– Na twoim miejscu cieszyłbym się, że w ogóle tu jestem – zasyczał. – Twoja córka za nic nie chciała wypuścić mnie z łóżka. Podoba jej się mój czarny tyłek.

W normalnych warunkach, po tak niewybrednym żarcie, Stafford zrobiłby piekło. Teraz jednak puścił to mimo uszu. Z całą uwagą oglądał od progu wnętrze mieszkania. Zapisywał w myślach szczegóły, za chwilę bowiem zjawia się „szczury z laboratorium” i przewrócą wszystko do góry nogami, zdejmując odciski palców, zabezpieczając ślady krwi i zbierając wszystko, co tylko się da.

– Idziemy – rzekł, gdy już obejrzał wszystko, co było do obejrzenia.

– Dokąd?

– Trzeba odwiedzić Jacka Swytecka, zanim wysłucha porannych wiadomości w radiu.

– A czemu? – Bradley jakby nie zrozumiał.

– Bo tego wymaga sprawiedliwość – na ustach Stafforda pojawił się ledwie widoczny uśmiech. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę tego pyszałka, gdy powiem mu, że właśnie byłem u jego klienta i że widziałem ledwie połowę jego obrzydliwej mordy, bo druga połowa spływała ze ściany.

Bradley też się uśmiechnął pod nosem. Wiedział, bo wszyscy w Komendzie wiedzieli, że Jack Swyteck wręcz zeszmacił Stafforda w czasie rozprawy.

– Dobra, ja prowadzę – zakończył wymianę zdań.

Była siódma, gdy ruszyli spod domu Gossa, i właśnie zaczynał się poranny szczyt na ulicach. Na szczęście ich pas ruchu był luźny, więc już po kwadransie byli na miejscu. Zaparkowali na podjeździe. Stafford wysiadł pierwszy. Zapukał mocno trzy razy do drzwi i czekał. Cisza. Widząc samochód Jacka przed domem, zapukał jeszcze raz, mocniej. Obaj z Bradleyem zaczęli nasłuchiwać i spojrzeli na siebie z zadowoleniem, gdy po drugiej stronie drzwi dał się wreszcie słyszeć ruch.

Jack człapał do drzwi. Wyrwany ze snu, ledwie widział na oczy. Powieki miał spuchnięte, włosy zmierzwione. Bez kapci, nie narzucił nawet koszuli, był tylko w spodenkach gimnastycznych. Ziewnął, odsunął zasłonę w oknie przy drzwiach. Zdziwił się widząc na podjeździe beżowego sedana, a już wręcz zaskoczył go widok Lonza Stafforda, za którym stał jego młody partner. Jack zapamiętał go z kasety z przesłuchania Gossa. Bradley sprawiał wrażenie jeszcze wyższego i potężniejszego niż w telewizorze. Miał mocny kark atlety, włosy po bokach krótko przycięte, a na górze ostrzyżone równo na płask, przez co głowa przypominała kształtem gumkę do wycierania na końcu ołówka. Czarnoskóry detektyw patrzył

właśnie na mustanga. Jackowi serce zaczęło bić szybciej. Na szczęście – stwierdził z ulgą – dach był złożony i policjant nie zauważył cięcia. Odsunął łańcuch i otworzył drzwi.

– Dzień dobry – rzekł Stafford obojętnym tonem.

– W istocie, dzień się już zaczął.

– Chcielibyśmy porozmawiać.

– O czym?

– Możemy wejść?

– A o czym? – powtórzył Jack bardziej stanowczo.

– O Eddym Gossie – odparł Stafford z kamienną miną.

– To nie ma o czym rozmawiać – pokręcił głową Jack. – Nie pracuję już w Instytucie i nie jestem jego adwokatem.

– Goss nie żyje.

– Co? – Jacka zamurowało.

– Goss nie żyje – powtórzył detektyw, jakby z satysfakcją. – Zwłoki znaleziono w mieszkaniu kilka godzin temu. Zabójstwo.

– Jesteś pewien?

– Widziałem w życiu niejednego trupa – odparł Stafford – i wiem, kiedy mam do czynienia z zabójstwem. Teraz możemy wejść?

– Proszę.

– To znaczy: możemy?! – Detektyw udał, że nie rozumiał.

– Przecież mówię: proszę.

– Chodzi o to, że masz prawo odmówić...

– Daj spokój – zirytował się Jack. – Wchodźcie już – przepuścił obu przodem.

Gdyby funkcjonariusz wydziału morderstw zapukał o tej porze do któregoś z klientów Swytecka – myślał Stafford nie bez pewnego rozbawienia – to adwokat z miejsca by go przepędził. To śmieszne, że prawnicy nie stosują się do własnych rad.

– Siadajcie – Jack usunął plik gazet z kanapy.

Stafford obserwował go uważnie. Jack miał kanciaste ruchy i wyglądał na zdenerwowanego. Detektyw zwrócił też uwagę na świeże zadrapania na gołych plecach młodego mężczyzny. Kobieta – pomyślał. Ale na klatce piersiowej Jacka też widniało zadrapanie. Musiałaby to być dość agresywna sztuka. Co więcej, na lewej ręce widać było jeszcze głębszą ranę, jakby od noża. A czegoś takiego nie robi chyba żadna normalna kobieta.

– To paskudna sprawa – skomentował, zajmując miejsce na kanapie.

Jack spostrzegł, co obserwuje detektyw, i poczuł w ręce ból znacznie dotkliwszy niż w chwili, gdy zranił się nożem do steków. A poza tym wyglądało to teraz znacznie gorzej. Wszystko wyglądało znacznie gorzej niż w nocy. Jest trup i dwaj wścibscy detektywi, którzy już zaczęli węszyć.

– To drobiazg, takie sobie skaleczenie.

– Dość głębokie, jak na zadrapanie – wtrącił Bradley. – Wygląda jak rana.

Jack poruszył się nerwowo na krześle. Poczucił się wzięty w dwa ognie. Spojrzał na Stafforda, przeniósł wzrok na Bradleya. Wyglądało na to, że obaj oczekują wyjaśnienia.

– Właśnie wczoraj dłużyłem przy mustangu – skłamał bez zmrużenia oka. Musiałem coś odkręcić, a śruby zardzewiały na amen, wiecie, jak to jest. Nie chciały puścić – podkreślił gestem lewej ręki – nacisnąłem mocniej, klucz się osunął, no i stąd to zadrapanie.

– Nie wiedziałem, że jesteś leworęczny, Jack – Stafford pytająco uniósł brwi.

– Niezupełnie – odparł Jack z pewnym wahaniem. – Jestem oburęczny.

– Włada pan obiema rękami jednakowo? – zainteresował się Bradley.

– Prawie, a przynajmniej gdy dłużyę w aucie, to posługuję się obiema. Jak jedna się zmęczy, to biorę klucz do drugiej. Wiecie, jak to jest – zaśmiał się nerwowo – gdy trzeba odkręcić zardzewiałą nakrętkę.

Stafford kilka razy z namysłem pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: głupi jesteś i kłamiesz, ale pogadaj sobie jeszcze.

– Ale nie przyszedliście tu chyba w sprawie auta – ciągnął Jack.

– To racja – zgodził się Stafford. – Chodzi o Gossa. Kilka rutynowych pytań, parę minut, nie więcej, oczywiście, jeśli zgodzisz się odpowiadać.

– To chyba jasne – obruszył się Jack.

– A więc wyrażasz zgodę? – naciskał Stafford.

– Tak jest, wyrażam – odparł Jack z nutą irytacji w głosie, czego detektyw nie omieszkał zanotować w pamięci.

– Bo przecież nie musisz, Jack – drażnił go dalej policjant. – Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – odburknął Jack.

– Więc wiesz, że masz prawo do odmowy zeznań? – Stafford patrzył teraz ostrym wzrokiem.

Jack podniósł oczy zdziwiony.

– Masz także prawo do obecności adwokata – ciągnął detektyw. – A jeśli nie stać cię na wynajęcie obrońcy...

– Coś ty? To tak na serio?

Stafford ani drgnął. Wyglądał śmiertelnie poważnie.

– Posłuchajcie, chłopcy: ja wiem, że takie jest wasze zadanie, ale nikt się specjalnie nie zmartwi, jeśli nie znajdziecie faceta, który strzelił Gossowi w łeb.

– A skąd wiesz, że go zastrzelono?

Jack zbladł.

– Domyślam się – pośpieszył z odpowiedzią – ale oczywiście miałem na myśli: zabił.

Policjant znów z namysłem pokiwał głową. Oczy mu zabłyśły. Sięgnął do kieszeni po pióro i notes.

– Pozwolisz, że będę notował.

Jack zawahał się.

– Myślę, że posuwacie się za daleko.

– No cóż – wzruszył ramionami Stafford – masz prawo nie odpowiadać.

– Nie o to chodzi...

– Chwileczkę – wtrącił się Bradley, jakby chciał uspokoić Jacka. – Jeśli nie, to nie ma sprawy.

Milczał, nieświadomy jeszcze, że dał się podejść jak dziecko.

Policjanci wstali z miejsca, Jack odprowadził ich do drzwi.

– Zobaczmy się jeszcze, Jack – zapowiedział na odchodnym Stafford.

Nic nie odpowiedział. Zamknął drzwi, podszedł do okna i wzrokiem odprowadził gości. Liczył, że coś zauważy. Oni jednak nawet nie spojrzeli na siebie. Dopiero w aucie, gdy Bradley zaczął wycofywać wóz z podjazdu, Stafford odezwał się do partnera:

– Na podłodze w mieszkaniu Gossa leżał nóż, taki do krojenia steków.

– I co? – rzucił przez ramię Bradley. Patrzył do tyłu, czy nic nie nadjeżdża.

– Idź do laboratorium, żeby zdjęli odciski – odparł detektyw w zamyśleniu. – Zrób to zaraz.

– OK, nie ma sprawy – skwitował polecenie jego partner.

– A potem porozum się z Izbą Adwokacką. Mają w archiwum odciski palców wszystkich prawników. Poproś o akta Swytecka.

– Daj spokój, Lon. Zabawiliśmy się, podrażniliśmy go trochę tym numerem z prawem do odmowy zeznań i w ogóle, ale nie sądzisz chyba, że to on wykończył Gossa.

– Słyszałeś, co masz zrobić. Chyba wyraźnie powiedziałem – warknął Stafford – sprawdź odciski palców.

– Znaczy, Swytecka? – Bradley jeszcze nie dowierzał.
Detektyw patrzył w zamyśleniu na tablicę rozdzielczą.
Odkręcił szybę w drzwiach, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko.
– Swytecka – potwierdził, puszczając z siebie kłęb dymu – adwokata lumpów.

Na nożu Gossa znaleziono doskonale zachowany zestaw odcisków palców, wręcz przepiękny, jak pomyślał sobie detektyw Stafford, gdy w poniedziałek po południu dostarczono kartotekę Jacka Swytecka z Izby Adwokackiej.

– Zgadzą się! – zawołał od progu, wpadając do biura prokuratora stanowego.

Wilson McCue spojrział znad okularów. Nosił szkła bez oprawek. Na biurku piętrzyły się akta, nad którymi właśnie pracował. Stafford wszedł bez zapowiedzi, podniecony i ucieszony jak dziecko.

– Na nożu pełno odcisków Swytecka – oznajmił radośnie.

Prokurator poprawił się na krześle. Gdyby kto inny wdarł się tak bezceremonialnie jak Lonzo Stafford, wyrzuciłby intruza na zbity pysk, ale detektyw korzystał ze specjalnych praw. Nabył je przed ponad półwieczem, kiedy to mając jedenaście lat zawarł pakt „o dożgonnej przyjaźni, choćby nie wiadomo co” z ośmioletnim wówczas Williem. W dzieciństwie robili wszystko razem: wyprawiali się na ryby, grali w piłkę i chodzili do szkoły. Choć Lonzo miał kilka lat więcej, to Wilson zawsze wyglądał poważniej. Teraz też wyglądał na siedemdziesiąt pięć lat, choć miał dobrych dziesięć lat mniej.

– Chciałbym, żebyś zebrał wielką ławę przysięgłych – ujawnił Stafford, z czym przyszedł. Decyzję o zatrzymaniu i oddaniu podejrzanego pod sąd podejmuje takie właśnie gremium.

Prokurator zaniósł się kaszlem nałogowego palacza, po czym natychmiast sięgnął po nowego camela.

– A po co?

Stafford zabrał przyjacielowi zapalonego papierosa i sam zaciągnął się z przyjemnością. Nie usiadł, krążył po gabinecie w podnieceniu.

– Bo mam podejrzanego w sprawie o zabójstwo Eddy'ego Gossa.

– Taaaak? Ja też, i to niejednego, całe dwanaście milionów! – zadrwił. Dwanaście milionów to mniej więcej liczba mieszkańców Florydy. – Każdy – ciągnął tym samym, kpiącym tonem – kto widział kasetę z zeznaniem tego bydlaka, jest podejrzany. Eddy Goss zasłużył na śmierć i wszyscy mu tego życzyli. Nigdzie nie znajdziesz takiej ławy przysięgłych, która wyda wyrok na kogoś, kto oddał światu przysługę strzelając w łeb tej bestii.

– Chyba że – Stafford uniósł brwi – tym kimś jest ten sam przeklęty adwokat, który tę bestię i wiele innych, podobnych, wyciągnął z kibla i ofiarowywał

wolność.

McCue miał jednak wątpliwości.

– Już widzę czołówki w gazetach: „Republikański prokurator stanowy atakuje syna demokratycznego gubernatora”. Ciężka sprawa, Lon. Za trzy miesiące są wybory, trzeba mieć naprawdę mocną amunicję, żeby w tych warunkach wszczynać wojnę.

Stafford zaciągnął się papierosem.

– Mamy taką – powiedział, wypuszczając nosem kłęb dymu. – Mamy odciski palców Swytecka na nożu znalezionym na miejscu zabójstwa. Kazałem także sprawdzić krew na ostrzu. AB, Rh minus. Rzadka grupa, a taką właśnie ma Swyteck. Zapewne zjawił się u Gossa po kolacji i groził mu nożem.

– Tymczasem morderstwa dokonano za pomocą pistoletu – przerwał prokurator. – Potrzeba więcej dowodów.

– Mamy. Kilka godzin po morderstwie, o siódmej rano, rozmawialiśmy ze Swyteckiem. Wtedy jeszcze go nie podejrzewałem. Otworzył drzwi w samych tylko spodenkach gimnastycznych, co znaczy, że wyrwałem go prosto z łóżka, a tymczasem był zdenerwowany jak jasna cholera. Miał spore zadrapanie na klatce piersiowej, coś jakby po ugryzieniu na brzuchu, także świeże zadrapania na plecach i nie zagojoną ranę na lewej ręce, jakby po cięciu nożem, a przynajmniej tak to wyglądało. Bradley jest tego samego zdania. W sumie, sądząc z wyglądu, brał udział w niezłej bójkę, i to całkiem niedawno.

– Zawsze może powiedzieć, że spadł ze schodów.

– Może – w głosie detektywa zabrzmiały poważniejsze nuty. – Ale jak wytłumaczy, że wiedział, że Goss zginął od kuli.

– Nie rozumiem.

– Ja mu tego nie powiedziałem. Sprawdziłem w radiu i w telewizji. Pierwsze informacje o zabójstwie nadano dopiero po ósmej, my zaś byliśmy u Swytecka o siódmej i powiedzieliśmy tylko, że jego klient nie żyje. Natomiast on już wtedy wiedział, że Goss został zastrzelony. Wymknęło mu się, a nie mógł o tym wiedzieć od nas.

McCue słuchał z całą uwagą.

– Coś w tym jest, co mówisz, Lonnie – pocierał skronie w zamyśleniu – może rzeczywiście powinienes go zamknąć, na przykład pod zarzutem włamania czy podobnym, jeśli już chcesz popędzić mu kota.

– Chcę więcej – policjant zmrużył złowrogo oczy – chcę, żeby drań siedział, żeby dostał wyrok.

– Za to, co ci zrobił na sprawie Gossa? – spytał McCue bez ogródek.

– Za to, że jest winny, a to, że przyspilię go z całą przyjemnością, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie mam zamiaru mścić się ani na nim, ani na którymkolwiek z tych kowbojów z Instytutu Wolności. Chodzi jednak o to, że Swyteck zabił. Jestem tego pewien. Coś mu odbiło i wykończył tego bydlaka, swojego klienta. Tak zrobił, a ja chcę, żeby za to zapłacił.

Prokurator westchnął głęboko.

– W tej sprawie nie możemy sobie pozwolić na żadną pomyłkę.

– Nie ma pomyłki. Gdybyś zobaczył Swytecka dziś rano tak jak ja, wiedziałbyś, że nie ma mowy o pomyłce. Ja to czuję i nie wysłałem tego z palca. Podpowiada mi to doświadczenie zdobyte w ciągu wielu lat pracy w policji, a służę, jak wiesz, całe życie. Sam zresztą powiedz: czy zawiodłeś się kiedyś na moich przeczuciach?

McCue spuścił wzrok. Miał absolutne zaufanie do przyjaciela, ale też pytanie Stafforda, choć retoryczne, przypomniało co najmniej jeden przypadek, kiedy Lonzo popełnił błąd, śmiertelny błąd. Chodziło wtedy o morderstwo z premedytacją, proces był poszlakowy. McCue zawierzył przyjacielowi i wniósł oskarżenie. Rozprawa nie dobiegła końca, gdy prokurator zaczął nabierać wątpliwości, czy Lonzo wskazał rzeczywistego sprawcę. Sprawa należała już do historii i nie było co roztrząsać, zwłaszcza że ława przysięgłych uznała oskarżonego za winnego, a gubernator Swyteck podpisał nakaz egzekucji. Człowieka stracono, ale McCue nigdy go nie zapomni. Nazywał się Raul Fernandez.

– Muszę to przemyśleć – rzekł tymczasem.

– Czego jeszcze chcesz?

McCue poczuł się niepewnie.

– Chodzi o to – odparł – że zbyt wielu ludzi chciało śmierci Gossa. Trzeba przesłuchać także innych potencjalnych sprawców, porozmawiać z sąsiadami. Trzeba się upewnić, czy nagle nie znajdzie się jakiś świadek, który przysięgnie, iż na własne oczy widział, że ktoś wypada z mieszkania Gossa z dymiącym jeszcze pistoletem w garści, i że owym kimś z całą pewnością nie był Swyteck, bo był to, powiedzmy, wyjątkowo wysoki Murzyn albo kobieta, albo przyjaciel jednej z ofiar Gossa czy, dajmy na to...

– Policjant – wtrącił Stafford szyderczo. – Wystraszyłeś się tego telefonu pod dziewięćset jedenaście, że podobno kręcił się tam jakiś policjant?

McCue zdjął szkła.

– A i owszem, zwróciłem na to uwagę. Twój szef zresztą też, dlatego

powiedział ci o tym zaraz na samym początku.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby Gossa załatwił któryś z naszych chłopców, to po pierwsze nie poszedłby na robotę w mundurze. A po drugie zatrzymałby go pod byle pretekstem na ulicy i dał mu w czapę niby w samoobronie i jeszcze wsadził mu w rękę jakiegoś gnata bez numerów, żeby wszystko uprawdopodobnić.

– Możliwe. Chodzi jednak o to, że mamy do czynienia z synem gubernatora, i to jest morderstwo z premedytacją. Nie wyślę wniosku, dopóki nie będę miał dowodu, i to solidnego.

Oczy detektywa rozbłąsły, jakby się zezłościł. W rzeczywistości był spokojny jak nigdy. Ostatnie zdanie prokuratora potraktował jak wyzwanie.

– Postaram się o dowód – powiedział z mocą – znajdę coś, czym go przyspilię.

– Nie wątpię, nie wątpię, że coś takiego istnieje – przytaknął McCue.

– Istnieje – powtórzył Stafford z całą powagą. – Pewnie, że istnieje, bo ja wiem – uderzył się w piersi – czuję, że Swytek jest winny. – Wstał energicznie i ruszył do drzwi, a jednocześnie, niby to bezwiednie, wsadził rękę do kieszeni marynarki.

– Co to, u diabła, jest?! – wykrzyknął z udawanym zdziwieniem, wyciągając jakiś przedmiot w przezroczyściej torebce plastikowej.

McCue zaśmiał się. Znał zagrania swego przyjaciela.

– Niech mnie kule – detektyw pacnął się w czoło teatralnym gestem, śmiejąc się od ucha do ucha – byłbym zapomniał o najważniejszym. Otóż zwróciłeś pewnie uwagę, że w czasie, gdy dokonywano zabójstwa, nikt nie słyszał strzałów. Wydaje się to niemożliwe, żeby w takiej kamienicy nikt niczego nie usłyszał, chyba... – zawiesił głos dla większego efektu – chyba że zabójca Gossa miał tłumik na gnacie. To był kaliber .38. I właśnie to jest najważniejsze – podsunął prokuratorowi pod nos torebkę z tajemniczym przedmiotem.

– A cóż to takiego?

– Tłumik. Tłumik do spluwy kaliber .38.

– Skąd go wzięłeś?

– Z samochodu Jacka Swytecka. Leżał pod przednim siedzeniem.

Oczy McCue'a zabłysły ciekawością, po sekundzie zmarszczył brwi i z całą powagą zapytał:

– Mam nadzieję, że miałeś nakaz rewizji.

– Nie było potrzeby. Dostarczyli nam to chłopcy z Kaiser Auto Repair – warsztatu, z którego korzysta Swytek. Okazuje się, że nasz ulubiony adwokat odstawia tam swego mustanga praktycznie co drugi dzień. W rzeczy samej to auto

to złom. Ostatnio był tam we czwartek rano, żeby załatać składany dach. Około południa właściciel złapał jednego z pracowników, jak obrabiał samochody klientów. Zadzwoił do nas. A ów smoluch obrobił między innymi wóz Swytecka. I jak myślisz, co zwędził? Właśnie – uśmiechnął się z zadowoleniem – tłumik!

– Czy nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności, Lonnie, że akurat jakiś złodziejasek dobrał się do wozu Swytecka. Jesteś pewien, że tak to było?

– Właściciel warsztatu potwierdzi to w stu procentach – mrugnął porozumiewawczo do prokuratora.

McCue odchylił się na krześle. Z błogim wyrazem twarzy złożył ręce na brzuchu.

– Lonnie – zaśmiał się krzywo – no, teraz to co innego.

– Czterdzieści trzy telefony od dziennikarzy, panie gubernatorze – meldowała sekretarka, wbiegając za Harrym Swyteckiem do gabinetu, w którym urzędował głównie wieczorami. W ciągu dnia bowiem brał udział w wiecach i spotkaniach, prowadząc kampanię wyborczą przed kolejną kadencją. – ... i to w ciągu jednej godziny – dokończyła.

– Na litość boską – westchnął Harry, zrzucając marynarkę. Nosił ciemne ubrania, jak przystoi gubernatorowi. Cisnął marynarkę na kanapę, połuźnił krawat i z ulgą padł na skórzany fotel z wysokim oparciem. Przed kampanią nader chętnie rozsiadał się za rzeźbionym mahoniowym biurkiem, między dwiema flagami – państwową i stanową – w miejscu, skąd emanowała władza. Lubił spoglądać na brązowe żyrandole pod kasetonowym, białym sufitem i wielkie, zwieńczone łukami okna, okolone draperiami z czerwonego aksamitu. Odpoczywał pieszcząc w sobie świadomość gubernatorskiej władzy. Teraz jednak, gdy kampania weszła w szczytowy okres, pełne majestatu otoczenie jak zadra przypominało mu ciągle, że jeśli chce korzystać z atrybutów władzy przez następne cztery lata, to musi zapewnić sobie ponowny wybór.

– A kogóż to obraziłem tym razem? – Pytanie tylko z pozoru było żartobliwe.

– Nikogo, nikogo – zapewniła sekretarka, stawiając na biurku filiżankę gorącej herbaty z cytryną. Była służbista, sztywna, bez cienia uśmiechu. Siwa, gładko zaczesana do tyłu, w białej jedwabnej apaszcze na szyi objawiała tyle seksu, ile klauzurowa zakonnica. Miała wszakże inne zalety, szczególnie cenne w jej zawodzie. Pracowała sumiennie, a nade wszystko była niezwykle lojalna. Za osiemnaście lat bezgranicznego oddania warto było przymknąć oczy na dokuczliwe maniery. – Domagają się tylko pańskiego oświadczenia, żeby zdążyć jeszcze na główne wydanie wiadomości – dokończyła.

Gubernator podnosił właśnie filiżankę. Ręka zamarła w połowie drogi. Mimo upływu lat nie pojmował, jak to się dzieje, że Paula zawsze wie wcześniej i lepiej niż on o wszelkich sensacjach, i nie potrafił się z tym pogodzić.

– Oświadczenie? O czym? – zapytał lekko drżącym głosem.

– Oczywiście na temat pańskiego syna – odparła jeszcze bardziej rzeczowo.

– A co się stało? – w głosie gubernatora pojawiła się nuta niepokoju.

– Campbell już tu idzie i wszystko wyjaśni – Paula wołała uniknąć odpowiedzi. Zabierała się do wyjścia, gdy zjawił się Campbell McSwain – asystent gubernatora.

Wpadł jak burza, niemalże przewracając Paulę w drzwiach.

Był bez wątplenia przystojny. Miał trzydzieści osiem lat, skończył Princeton i nosił się z wytworną elegancją: koszule w oksfordzkim stylu z guzikami na rogach kołnierzyków, mokasyny Bassa, marynarki od braci Brooks, biały golf, spodnie w kolorze khaki – takie przynajmniej miał na sobie dziś. Przy całym swoim snobizmie Campbell z niebywałym talentem potrafił stworzyć, na użytek wyborców oczywiście, wizerunek Harolda Swytecka – zwykłego, szarego obywatela, który rozumie ich problemy i potrzeby – co walnie przyczyniło się do zwycięstwa cztery lata temu.

– Przepraszam, szefie – wykrztusił z zatroskaną miną. Biegł po schodach i z trudem łapał oddech. – Właśnie dzwoniłem do Biura Prokuratora Stanowego.

– Prokuratora?

– Chodzi o pańskiego syna, szefie. Mamy informacje, że ma stanąć przed wielką ławą przysięgłych. Jest głównym podejrzanym o zabójstwo Eddy'ego Gossa.

Gubernator rozdziawił usta, jakby otrzymał porażający cios w dołek.

– Goss nie żyje? I Jack miałyby to zrobić? Absurd! To po prostu niemożliwe. Jack nie jest mordercą. To jakaś pomyłka.

– Być może, ale niezależnie od tego, jaka jest prawda, cała ta sprawa bardzo nam zaszkodzi. Jeszcze miesiąc temu nikt nie zakładał, że pański przeciwnik – były komisarz ubezpieczeń społecznych – może panu, przy pańskiej popularności, zagrozić choćby w najmniejszym stopniu. Tymczasem facet idzie do przodu. Zyskał sporo punktów zapowiadając walkę z korupcją, a przy tym jest na tyle sprytny i rozsądny, że nie zraża sobie wielkiego biznesu, więc może liczyć na dotacje, gdy kampania zacznie się na dobre. W ostatnich badaniach ma pan jeszcze cztery punkty przewagi, ale ta sprawa może wszystko zmienić. Prasa już o tym bębni. Czterdzieści trzy telefony, jak mówiła Paula.

Gubernator pochylił się do przodu, wbił wzrok w asystenta.

– Mówmy o moim synu – syknął gniewnie – a nie o złej prasie i punktach w sondażach.

Asystent opamiętał się, przybrał postawę pełną szacunku.

– Przepraszam – wyjąkał. – Bardzo mi przykro – powtórzył już znacznie spokojniej – ale wiem, że nie był pan zbyt blisko z synem, a przynajmniej od kiedy pana znam. Ale oczywiście nie powinienem tak mówić.

Gubernator wstał zza biurka. Podeszedł wolno do parapetu. Wielkie, do sufitu, okna wychodziły na ogród okalający dziedziniec.

– To prawda – odezwał się półgłosem ni to do siebie, ni to do Campbella. – Nie jesteśmy z Jackiem tak blisko, jak bym chciał – dodał w głębokim zamyśleniu.

Campbell patrzył zakłopotany, szukając stosownych słów.

– Jeszcze nic nie jest przesądzone. Na razie są to tylko podejrzenia. Prawnicy zapewniają mnie, że istnieje przynajmniej teoretycznie możliwość, iż nie zostanie postawiony w stan oskarżenia.

Harry kiwnął tylko głową na znak, że docenia troskę, ale w myślach wyobrażał już sobie straszliwe oskarżenie: „John Lawrence Swytek świadomie i z premedytacją dopuścił się szczególnie okrutnego czynu – morderstwa z premedytacją...” Czasami przychodziło mu do głowy, że to po prostu los sprawił, iż między nim a synem powstała przepaść, bo tak zapisano w gwiazdach. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że takie rozumowanie prowadzi donikąd i że w istocie stanowi próbę zdjęcia z siebie odpowiedzialności za... no właśnie – wychowanie Jacka? Jego kompleksy? Problemy? Czy jak to jeszcze nazwać? Z głębokim poczuciem winy Harry sięgnął myślami do odległych zdarzeń, kiedy syna po raz pierwszy oskarżono o morderstwo. Jack miał wtedy pięć lat...

Harry zajechał pod dom w porze kolacji. Wbiegając po schodkach zauważył nieszczęśliwą minę Jacka w oknie sypialni. Mały wyglądał tak, jakby go karcono. Harry nie zdążył jeszcze dobrze wejść, gdy Agnes napadła na niego, opowiadając o Jacku i krzyżu z komody... Harry próbował ją uspokoić, załagodzić sytuację, ale bez skutku. Agnes wpadła w szal. Wziął ją więc do kuchni i zamknął drzwi, żeby Jack nie słyszał awantury.

– Mówiłam ci tysiąc razy, że nie chcę tych rzeczy widzieć w domu! – krzyczała Agnes. – To ja jestem teraz twoją żoną. Zamknij wreszcie przeszłość. Nie będę dłużej tolerować tych twoich ołtarzy.

– Chowam to dla Jacka. Dam mu, kiedy dorośnie na tyle, żeby zrozumieć.

– Nie wierzę, za grosz ci nie wierzę! – krzyczała. – Wcale ci nie chodzi o syna. Myślisz tylko o sobie. Tak było od samego początku, od kiedy ona odeszła, a ty zostałeś z chłopcem. Nienawidzisz mnie, przyznaj się Harry, nienawidzisz za to, że nie jestem taka jak ona. Własnego syna też nienawidzisz, bo myślisz, że to on ją zabił.

– Milcz, kobieto – rzucił się w jej stronę, nie panując nad sobą.

– Jak śmiesz podnosić na mnie rękę! To chora sytuacja, a ja mam jej dość.

Pięcioletni Jack dygotał ze strachu słysząc to wszystko, przeraził się zwłaszcza słów, że sam jest winien temu, iż nie ma matki. Wymknął się ze swojego pokoju i

zaszył za kwietnikiem w hallu tuż pod drzwiami do kuchni, w której ojciec z macochą wykrzykiwali najgorsze rzeczy. Chciał usłyszeć prawdę, ta jednak przerastała pięcioletni umysł. Niczego nie rozumiejąc, ruszył po omacku, zawadził o żardinierę i runął jak długi na podłogę, pociągając za sobą doniczki.

Za drzwiami zapadła cisza. Harry wypadł z kuchni, zobaczył syna na podłodze wśród resztek zieleni. Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie bez słowa. Harold Swytek nie musiał pytać. Z oczu Jacka odczytał, że syn słyszał wszystko, od początku do końca. Od tego dnia nigdy już nie popatrzyli na siebie tym samym wzrokiem...

– Panie gubernatorze, czy pan mnie słucha? – głos Campbella wyrwał Harry'ego z zamyślenia. Jeszcze przez chwilę patrzył pustym wzrokiem, błędząc myślami gdzieś daleko. Wreszcie otrząsnął się, nie do końca jednak.

– Przepraszam – zaczął, ale ciągle jeszcze nie mógł oderwać myśli od Jacka. Bardzo pragnął mu pomóc, ale po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nie będzie to łatwe. Jack zapewne odrzuci wszelkie próby zbliżenia.

– Panie gubernatorze – odezwał się asystent – pewnie nie chce pan teraz o tym mówić, a ja też nie chcę, aby pan pomyślał, że się wtrącam. Rozumiem oczywiście, że mimo sporów i konfliktów czuje się pan ojcem. To nie moja sprawa. Ja mam zapewnić panu wybór na następną kadencję, a czy nam się to podoba, czy nie, musimy sprawę pańskiego syna potraktować w kategoriach politycznych. Abstrahując od osobistego dramatu, trzeba zdać sobie sprawę, że jeśli Jack przegra proces, to Harold Swytek poniesie klęskę w wyborach. Do tego, panie gubernatorze, sprowadza się polityczny sens sprawy.

Harry dość przykro odczuł chłodną rzeczowość wywodu, z drugiej jednak strony musiał docenić jego logikę. Campbell miał zdecydowanie rację. Trzeba pomóc Jackowi, bo od tego zawisł wynik wyborów, a pomijając wszystko, otwierało to pewną możliwość rozwiązania wreszcie sprawy, która leżała mu na sercu. Wążąc problem na płaszczyźnie psychologicznej, można z góry założyć, że syn odrzuci ofertę pomocy, gdyby miało chodzić wyłącznie o niego samego. Ale można przecież powiedzieć, że chodzi o coś innego: o interes gubernatora, o politykę, o wybory. W takim ujęciu Jack nie będzie miał poczucia, że zaciąga dług wdzięczności. Tylko w ten sposób można mu pomóc, a co najważniejsze – Jack wyrazi na to zgodę.

– Masz absolutną rację – potwierdził głośno – nie mamy innego wyjścia jak pomóc mojemu synowi. W każdy możliwy sposób – dodał, ciesząc się w cichości

ducha.

Tego dnia po południu Cindy Paige wróciła do Miami. Spędziła w Rzymie ledwie tydzień, oficjalnie dlatego, że zdjęcia zostały odwołane. W rzeczywistości chodziło o coś innego. Chet wiązał zupełnie inne niż ona nadzieje ze „służbową” wyprawą, co wyszło na jaw zaraz na początku, kiedy okazało się, że we wszystkich miastach na trasie pozamawiał w hotelach nie po dwa pokoje, lecz po jednym z podwójnym łóżkiem. Cindy poczuła się boleśnie dotknięta w swojej ambicji, gdy zrozumiała, że kontrakt nie miał nic wspólnego z jej talentem do fotografowania.

Z lotniska odebrała ją Gina. Niewiele mówiła, a w domu zaraz oświadczyła, że nie czuje się zbyt dobrze, co zresztą było prawdą, bo zdawała sobie sprawę, że ze wszystkich uczynków w życiu pójście do łóżka z Jackiem wydawało się najpodlejsze. Jeśli nawet tamtej nocy, kiedy Cindy odlatywała z dawnym kochankiem do Wiecznego Miasta, mogła mieć wrażenie, że jej chłopak jest „do wzięcia”, to szybki powrót przyjaciółki potwierdzał tylko to, o czym w głębi duszy doskonale wiedziała, a mianowicie, że mimo awantury Jack i Cindy są parą i raczej nie ma mowy o zerwaniu.

Tak więc, gdy tylko przyjechały z lotniska, Gina zaszyła się w sypialni. Położyła się do łóżka i zaczęła oglądać jakiś stary serial, żeby o niczym nie myśleć, a Cindy nawet się nie rozpakowała, ale od razu poszła do kuchni. To, co podano w samolocie, było równie apetyczne jak rozgotowana sałata, więc wsadziła do mikrofalówki solidną porcję frytek i zaczęła myszkować w lodówce w poszukiwaniu keczupu.

– Gina! – zawołała nie mogąc go znaleźć. – Gdzie jest Heinz?

Nie odpowiedziała.

– Trudno – Cindy wzruszyła ramionami – obejdzie się. – Z parującym talerzem frytek w jednej ręce i butelką coli (dietetycznej oczywiście) w drugiej rozsiadła się na kanapie w salonie. Włączyła telewizor.

Na wszystkich kanałach wieczorne wiadomości zaczynały się od tego samego. Właśnie przełączyła na lokalny dziennik, gdy usłyszała, o „zaskakującej zmianie w śledztwie w sprawie morderstwa Eddy'ego Gossa. Zainteresowanie wielkiej ławy przysięgłych skupia się wokół osoby Jacka Swytecka, który staje się głównym podejrzanym”.

– Wielki Boże! – szepnęła patrząc w osłupieniu na archiwalne zdjęcie Jacka wkomponowane na ekranie w wielką wagę, atrybut Temidy, symbol wymiaru

sprawiedliwości. Nie wierzyła własnym uszom. Pośpiesznie przełączała kanały – wszędzie to samo. Po dziesięciu minutach, zmęczona do ostatnich granic, wyłączyła odbiornik, zwłaszcza że nie podawano już nic nowego. Na ekranie przewijali się już tylko mniej lub bardziej znani notable, których reporterzy ścigali przed kamery pod pretekstem, że dobrze znają Jacka Swytecka, ale nikt nie mógł znać go lepiej od niej. Ona zaś wiedziała, że Jack nie jest mordercą.

Ręce jej drżały, gdy osłupiała padła na kanapę. Nie wiedziała, co robić. Zadzwoić do niego, że jeśli potrzebuje bratniej duszy, to właśnie jest, wróciła? Wróciła! A właściwie dlaczego? Czy naprawdę musiała? Mogła przecież postawić Chetowi kilka warunków i dokończyć reportaż. Mogła, ale zadziało pewnie coś innego – podświadomość, przekonanie, że ona i Jack... Właśnie to kazało jej wracać do Miami.

Spojrzała na słuchawkę. Nie, telefon to za mało, a przynajmniej nie w tej sytuacji, kiedy rozstali się w kłótni. Musi go zobaczyć. Teraz, natychmiast. Chwyciła torebkę ze stolika. – Zaraz wracam! – zawołała i wybiegła z domu.

Słońce już zaszło i zapaliły się światła uliczne, gdy zatrzymała auto pod domem Jacka. Nigdy nie lubiła jeździć tu sama, zwłaszcza po zmroku, nawet wtedy, gdy tu mieszkała. Jack miał się za znawcę zieleni. Bardziej jednak lubił zieleń, niż się na niej znał, więc na „trawniku” rosło wszystko, co tylko nie było chwastem. Górą zaś wznosiły się wachlarze palm i gęste korony fikusów, rzucając tajemnicze cienie, które mogły przyprawić o gęsią skórę każdą dwudziestopięcioletnią blondynkę w dżinsowych szortach i podkoszulku bez rękawów. Nocami Cindy zawsze czuła się tu trochę jak Dorota, do której w baśniowej krainie Oz przemawiały jabłonie.

Przemknęła pędem do drzwi. Nie zdążyła zapukać, gdy na ganku zapaliło się światło, drzwi otworzyły się na oścież, a w progu stanął Jack.

– Cindy? – był absolutnie zaskoczony.

– Obejrzałam właśnie wiadomości i pomyślałam, że pewnie chciałbyś się przed kimś wygadać, porozmawiać.

– Jesteś cudowna – rozłożył ramiona. Cindy postąpiła krok, tuląc się do niego. – Wtedy, kiedy rano wyjechałaś, chciałem zaraz dzwonić, że przepraszam, że jest mi przykro, ale czułem się podle. – Przygarnął ją jeszcze bliżej i patrząc prosto w oczy zapytał: – Wybaczysz mi?

– Lepiej zapomnieć o tym wszystkim, ja też miałam ogromne pretensje do siebie za to, co powiedziałam.

– O nie, to ty miałaś rację, nie ja – zaprotestował. – Ale... – pokręcił głową, nadal nie rozumiejąc – przecież miałaś być we Włoszech. Co się stało?

Wyzwolila się z jego objęć. Spojrzała zakłopotana.

– Nieważne. Mów, co z tobą.

Jack nabrał otuchy. Jeszcze przed godziną, po wiadomościach o szóstej, wydawało mu się, że będzie musiało upłynąć sporo wody, zanim poczuje się szczęśliwy, jeżeli w ogóle kiedyś to nastąpi.

– Chyba wiesz o śledztwie – zaczął, ciągle jeszcze nie wierząc w odzyskane szczęście.

Skinęła głową.

– Nie muszę cię zapewniać, że tego nie zrobiłem.

– Ja wiem, że nie – spojrzała mu głęboko w oczy.

Chciał ją wziąć w ramiona, ale w tej samej chwili przed dom zjechał samochód – policyjny radiowóz, a za nim drugi. Z pierwszego wysiadł detektyw Lonzo Stafford.

– Muszę z nimi porozmawiać – dał jej znak, żeby weszła do mieszkania. Zawahała się chwilę, po czym zrobiła, jak kazał.

Stafford niespiesznie wszedł po schodkach na ganek. Zatrzymał się tam, gdzie przed chwilą stała Cindy. Widać było, że ma za sobą wiele długich godzin pracy. Granatowa marynarka była jeszcze bardziej wymięta niż zwykle, krawat rozluźniony, a na zmęczonej twarzy detektywa pojawiło się kilka nowych bruzd, tylko oczy błyszczały, dając świadectwo, że ich właściciel uważa, iż ciężka praca się opłaca.

– Mamy tu nakaz, przyjacielu. Czas na małą rewizję.

Jack odetchnął z ulgą. Lepsza rewizja niż nakaz aresztowania, pomyślał. Zapewnił, że nie znajda tu narzędzia zbrodni, przez chwilę miał ochotę zaprowadzić detektywa od razu do kuferka, w którym trzymał starą trzydziestkęósemkę. Proste badanie balistyczne wykazałoby, że nie mógł mieć nic wspólnego z zabójstwem Gossa. Wstrzymał się jednak. Po pierwsze, nigdy nie zarejestrował broni na Florydzie, co samo w sobie było wykroczeniem, a po wtóre, fakt, że był to – jeśli wierzyć doniesieniom prasowym – ten sam model co pistolet, z którego zastrzelono Gossa, potwierdzałby, że zna ten typ broni. Zdecydował więc, że lepiej będzie nie dokładać detektywowi dodatkowych dowodów do jego absurdalnych hipotez.

Stafford zerknął przez ramię, upewnił się, że towarzyszący mu funkcjonariusze niczego nie usłyszą.

– Nie jestem taki głupi, jak myślisz, żeby brać nakaz rewizji w sprawie broni – rzekł z przekąsem. – Wiadomo, że jej nie znajdziemy, i później trzeba będzie

powiedzieć przysięgłym, że broni nie ma. A po co komplikować? Po co mi broń, skoro mam tłumik i ekspertyzę, że był zamontowany na pistolecie, z którego zastrzelono Gossa, a co więcej – mam zeznanie mechanika z warsztatu Kaisera, że tłumik ten znalazł w twoim kabriolecticie.

– Co?

– To, co mówię – odparł Stafford z ironią – a zresztą już wkrótce dowie się pan wszystkiego, panie mecenasie. A to – machnął nakazem przed nosem Jacka – to kwit na parę butów, a konkretnie – reebcocków. Zapewne pamiętasz, że w nocy, kiedy składałeś wizytę swemu ulubionemu klientowi, lało jak z cebra. W mieszkaniu było pełno śladów.

Jack milczał. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót, ale wiedział, że niczego nie zyska kłócąc się ze starym gliniarzem.

– Bierzcie, co trzeba, i wynoście się.

Stafford dał znak swoim ludziom. Jamahl Bradley z dwoma funkcjonariuszami weszli do domu, kierując się do sypialni. Jack – zdenerwowany – podążył za nimi.

– Co się dzieje? – spytała Cindy drżącym głosem na widok policjantów, którzy przeszli przez salon nie zwracając na nią uwagi. Z odpowiedzią pośpieszył Stafford.

– Chcemy udowodnić, że pani narzeczony szwendał się po mieszkaniu Eddy'ego Gossa w noc zabójstwa. Tylko tyle. – Przysunął się bliżej i unosząc wymownie brwi zapytał jeszcze: – Jesteś pewna, że chcesz tu zostać na noc, słonko?

– Zamknij się, Stafford, do jasnej cholery – syknął Jack.

Detektyw wzruszył tylko ramionami i poszedł do sypialni. Jack ruszył za nim, ale zatrzymał się widząc minę dziewczyny. Chciał dopilnować, żeby nie ruszono niczego, co nie jest objęte nakazem, ale – z drugiej strony – nie mógł zostawić złośliwej uwagi Stafforda bez odpowiedzi. Za wszelką cenę musi utrzymać zaufanie i wiarę Cindy. Wziął ją za rękę i przez kuchnię zaprowadził do ogrodu. Stanęli przy klombie, gdzie można było porozmawiać na osobności.

– Czy to prawda? Byłeś w mieszkaniu Gossa w tamtą noc?

Jack patrzył w przestrzeń, ważył myśli, zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Posłuchaj Cindy. Jest wiele i pojawi się jeszcze więcej takich spraw, o których nie będę ci mówił. Nie dlatego, że jestem winny, bo tak nie jest, ale dlatego, że możesz zostać powołana na świadka. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej. Jedno tylko mogę ci powiedzieć, bo i tak ślady podeszew to wykażą: byłem wtedy u Gossa. Poszedłem tam specjalnie, ale go nie zabiłem. Poszedłem, bo mi

grożono. Ktoś dzwonił do mnie strasząc, że „morderca czyha”, później omal mnie nie przejechano, a jeszcze później... Czwartek. Zabito Czwartka.

– O mój Boże, Boże! – przerażona podniosła rękę do ust, jakby bojąc się, że nie zapanuje nad sobą. Jack pogłaskał ją po policzku, próbując pocieszyć.

– Myślałem, że to Goss robi te numery, a w dodatku tego dnia, kiedy wyjeżdżałaś do Włoch, ktoś zadzwonił, każąc mi pójść do niego. Nie wiem, kto, bo się nie przedstawił, ale był to dalszy ciąg tej samej gry. Musiałem więc podjąć wyzwanie. Ale ja nie zabiłem.

– Powiesz o tym policji?

– Mowy nie ma – położył jej ręce na ramionach, jakby chciał podkreślić wagę tego, co mówi. – Zapamiętaj, bo to bardzo ważne. Nigdy, ale to nigdy nie wolno nam powiedzieć policji o tych sprawach, że mnie nęcano, że ktoś się zasadzał. Chyba że nas zmuszą.

– A dlaczego nie wolno?

– Chodzi o to, że w tej chwili zbierają materiały do aktu oskarżenia przeciwko mnie o zabójstwo Eddy'ego Gossa. Nie wiem jeszcze, bo skąd mam wiedzieć, na ile będą to przekonywujące materiały i na czym oprą oskarżenie, ale – tak przynajmniej sądzę – zabraknie im motywu i to będzie najsłabszym punktem oskarżenia. Niby dlaczego miałbym go zabić? Nie mając dowodów, że Goss mnie nachodził, prokurator może jedynie stawiać tezę, że zabiłem go w poczuciu winy, bo doprowadziłem do jego uwolnienia, a wtedy cała rzecz sprowadzi się do pytania, czy adwokat, obrońca w procesie karnym, rzeczywiście miał poczucie winy, wyrzuty sumienia. A jak myślisz – ilu przysięgłych uwierzy, że adwokat w ogóle ma sumienie, nie mówiąc już o poczuciu odpowiedzialności na tyle pokrętnym, żeby samemu dopuścić się zabójstwa.

Słuchała z całą uwagą, ważąc argumenty.

– Rzecz więc jest prosta – ciągnął Jack. – Jeśli powiem policji, że zaraz po procesie Gossa zaczęto mi grozić, to tak jakbym dał im argument do ręki. Wystarczy, że dowiedzą się, iż Goss mnie prześladował, i po ptakach. Bo jest motyw, rozumiesz?

Cindy westchnęła ze smutkiem, chciało jej się płakać, ale nie z powodu tego, co właśnie się działo. Po prostu zdała sobie sprawę, że to dopiero początek, że czeka ich jeszcze wiele naprawdę ciężkich i trudnych chwil.

– Rozumiem – szepnęła. – Ale nie zamartwiaj się. Jestem z tobą, Jack.

Gdy Stafford wreszcie wyszedł, zamówili coś do jedzenia z chińskiej restauracji. Starali się nie myśleć o kłopotach, rozmawiali o tym i owym, ale po

posiłku Jack wrócił do poważnych spraw.

– Przykro mi, że nie udało mi się spotkać z tobą przed wyjazdem do Włoch, choćby tylko, żeby powiedzieć do widzenia.

– Powinniśmy wtedy pogadać. Jest w tobie coś takiego, czego nie potrafię przeniknąć. Nie chodzi zresztą tylko o mnie. Tak samo odnosisz się do ojca. Od kiedy cię znam, nigdy nie próbowałeś zbliżyć się do niego. Nigdy nawet nie zadzwoniłeś.

– Trudno mieć pretensje, że tak to widzisz.

– Tu nie chodzi o pretensje, Jack. Po prostu musisz coś z tym zrobić, bo to cię nęka.

Odwrócił wzrok. Zbierał myśli, obracając w palcach torebkę po sosie sojowym.

– Nie myśl, że nie chciałem. Powiem ci coś jeszcze. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, zanim zdarzyły się te najgorsze rzeczy, odebrałem telefon od macochy. Powiedziała, że powinienem zadzwonić do ojca. Nie umiem ci tego wytłumaczyć... bo to jakby bez sensu, ale noszę w sobie przekonanie, że dopóki nie dzwonię do niego, to mogę mieć nadzieję, że kiedyś wszystko się ułoży. Jeśli zaś zadzwonię i nie uda się, to już koniec, nigdy się nie pozbieramy. Rozumiesz, to tak jakbym miał tylko jedną szansę, jedną jedyną, i jak ją stracę, to wszystko skończone, a tak to zawsze mogę mieć nadzieję, że kiedyś...

– Daj spokój, Jack, chyba sam w to nie wierzysz. Nie można biernie oczekiwać, że coś się samo zmieni. Zawsze dochodzi się do punktu, kiedy trzeba coś naprawdę zrobić. Tak też było z nami. Nie chcę powiedzieć, że postąpiłam najlepiej, ale po prostu nadszedł czas, kiedy coś należało zrobić. – Poszukała wzrokiem jego oczu. – I chcę, abyś wiedział, że między mną a Chetem nic nie zaszło. To był wyłącznie interes – pokiwała głową – z tym tylko, że on, jak się okazało, spodziewał się czegoś więcej. Dlatego właśnie zaraz wróciłam. A poza tym głęboko wierzyłam, że między nami nic się nie skończyło. Poprosiłam nawet Ginę, żeby ci dała numer telefonu do mnie, do hotelu.

– Nigdy mi tego nie powiedziała.

– Ach... ! – wykrzyknęła zdziwiona Cindy – przyrzekła przecież, że cię zawiadomi. Pewnie zapomniała.

– Pewnie tak – potwierdził z nutą smutku. Dał się podejść Ginie jak dziecko. Czuł wstręt do siebie.

Posprzątali po kolacji. Jack zerknął na zegarek. Zasiedzieli się, było później, niż myślał, prawie wpół do dwunastej. Nie chciał niczego narzucać, więc spytał, czy Cindy pojedzie do Giny.

– Dziś wolalabym zostać – unikała jego wzroku – ale powiedziałam: dziś. Nie chcę jeszcze niczego przesądzać rozumiesz?

– W porządku. – odparł z radością.

Dwadzieścia minut później Cindy wyszła z łazienki ubrana do snu w przydużą trykotową koszulę futbolową, którą jej pożyczył. Podreptała do łóżka, ale coś zwróciło jej uwagę na toaletce. Zatrzymała się przed lustrem.

– Widzę, że zrobiłeś nowe zdjęcia? – gestem wskazała odbitki zatknięte za ramę.

– Taaak. Odszukałem negatywy i zamówiłem nowe odbitki – rzekł jakby nieco speszony. – Nie miałem wyjścia, bo co spojrzałem na puste lustro, zaraz przypominało mi się, jak okropnie się zachowałem.

– Chodź spać – uśmiechnęła się szczerze i wzięła go za rękę.

Tymczasem gdy zrozumiał, że najpewniej nie uniknie aresztowania, opuściły go myśli o seksie. Patrzył na dziewczynę czując przytłaczający ciężar winy. Tak bardzo wychodziła mu naprzeciw, tak bardzo chciała mu pomóc w tych trudnych chwilach. Co powie, jak zareaguje, gdy dowie się, że alibi Jacka to jej najlepsza przyjaciółka?

Była ósma, gdy Stafford z funkcjonariuszami odjechał spod domu Jacka, a o wpół do dziewiątej adidasy Jacka były już w laboratorium. Stafford z Bradleyem zostali w komendzie, czekając na wstępne wyniki badań. Stary detektyw siedział za biurkiem, ciągle w tej samej wyświechtanej granatowej marynarce, której chyba nigdy nie zdejmował. Zdjął natomiast krawat – szeroki, tandetny, ze sztucznego tworzywa. Rzucił go na krzesło i zabijał czas prostując nerwowo spinacze, palił przy tym papierosa za papierosem. Bradley zajął miejsce przy oknie. Ugniatał papierowe kule z wczorajszej gazety i ćwiczył rzuty do kosza, stojącego w przeciwległym kącie gabinetu starszego kolegi.

Wreszcie o dziesiątej zadzwonił telefon.

– Stafford – rzucił do słuchawki detektyw, wypuszczając przy okazji kłęb dymu z papierosa.

Bradley czekał niecierpliwie, patrząc, jak partner kiwa potwierdzająco głową i pomrukuje do słuchawki.

– Mamy go! – wykrzyknął wreszcie, odkładając słuchawkę. Rozsiadał się wygodnie w fotelu, ręce założył na piersiach gestem pełnym zadowolenia. – Wszystko się zgadza. Dwadzieścia siedem doskonałych odcisków reebcocków w całym mieszkaniu, jeden nawet na parapecie przy oknie. Powiem szczerze, że wcale mnie to nie zaskakuje. Czułem, że to Swyteck załatwił Gossa, ale nie powiem, przyjemnie jest mieć dowód.

– Moje gratulacje – niespiesznie i chyba bez przekonania rzekł jego partner. Detektyw obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Spodziewałem się trochę więcej entuzjazmu z twojej strony, Jamahl.

Bradley milczał. Po chwili uznał jednak, że musi głośno powiedzieć, co ma na myśli.

– Mam wrażenie, że chyba za bardzo zależy ci na tym, aby ugotować tego faceta.

Te słowa wyraźnie zirytowały Stafforda, ale się opanował.

– Powiem ci coś, synu – rzekł mentorskim tonem – jestem gliniarzem od ponad czterdziestu lat, mam nosa i rzadko się mylę. A mój nos podpowiada mi, że Jack Swyteck ciężko przeżył proces Gossa, nerwy mu puściły, stracił poczucie rzeczywistości i w końcu go załatwił. Możesz mi wierzyć, wiem, co mówię – zaciągnął się głęboko papierosem. – Dla tych mydłków, obrońców w procesach

kryminalnych, wymiar sprawiedliwości to zwyczajna gra. Guzik ich obchodzi prawo i sprawiedliwość. Nie cofną się przed niczym, żeby tylko wygrać sprawę. Słyszałeś te ich, pożałuj Boże, argumenty: „Mój klient spożył za dużo batonów, Wysoki Sądzie” albo „Mój klient napatrzył się na telewizję”. Już ja ich znam, widziałem wielu, a ten Swyteck to najgorsza swolocz. Na moich oczach Eddy Goss przyznał się do morderstwa, a później – też na moich oczach – ten sukinsyn, Jack Swyteck, przekonał przysięgłych, że jego klient jest niewinny. Zrobił ze mnie głupca. Znam go nie od dziś, obserwuję od lat. Za każdym razem, kiedy tylko wygra proces, kolejny morderca wychodzi na wolność. W sądzie zaś zwycięża wyszukując dziur formalnoprawnych, czy czegoś w tym guście. I zauważ, że dopiero zaczął, ciągle jeszcze jest na początku drogi i może spokojnie działać jeszcze ze dwadzieścia, trzydzieści lat.

Bradley głośno przełknął ślinę. Zdawał sobie sprawę, czym to grozi, gdy policjant zaczyna wyznawać zasadę, że cel uświęca środki, zwłaszcza zaś taki policjant, który chce się zemścić.

– Uważasz więc, Lon, że trzeba go przyhamować?

– Nie o to chodzi – odparł zimno – mówię tylko, że ten mydlkowy mecenas wpadł w szambo po same uszy, a ja już się postaram, żeby zapłacił rachunek. Jeśli nie podoba ci się, że chcę przyszpilić mordercę, to bardzo cię przepraszam...

– W porządku, szefie, nie ma się co denerwować – rzekł Bradley pojednawczym tonem – w końcu masz dwadzieścia siedem odcisków butów.

– Właśnie.

– Ale też – spojrzał wymownie na Stafforda – jest jeszcze jeden nie zidentyfikowany ślad na progu i o tym też warto pamiętać. Nie jest to ślad Gossa, bo to nie ten numer obuwia. Wiadomo też, że nie jest to but Swytecka.

– I co z tego? – detektyw machnęła lekceważąco ręką. – Można spokojnie przyjąć, że to ślad dozorca albo któregoś z lokatorów.

– Chyba jednak nie, Lon – zaprzeczył jego partner – odcisk jest wyraźny. Widać na obcasie dwa skrzyżowane wiosła, a taki znak mają tylko buty od Wigginsa, bardzo drogie, trzysta dolarów za parę. Żaden dozorca ani w ogóle nikt z tych slumsów nie nosi butów za trzysta dolarów.

– Posłuchaj Jamahl – rzekł Stafford z niechętną miną – mamy dwadzieścia siedem śladów Jacka Swytecka w mieszkaniu i jeden przypadkowy odcisk na korytarzu przed wejściem, więc co jest ważniejsze?

Bradley nadal miał wątpliwości. Nie chciał jednak drażnić partnera.

– Pewnie masz rację – rzekł szykując się do wyjścia. Zatrzymał się przed

drzwiami. – Pozwól jednak, że o coś cię zapytam. Dwadzieścia siedem odcisków tego samego obuwia, to ile osób?

Stafford wzruszył ramionami, jakby chciał zbyć pytanie, jako bezdennie głupie.

– Jedna, oczywiście.

– Racja. A o obecności ilu osób świadczy jeden ślad?

– Jednej – niechętnie przyznał Stafford.

– Właśnie. Też jednej, ale oczywiście innej osoby. Zastanów się nad tym.

Było po drugiej, kiedy Jack zasnął wreszcie z Cindy w ramionach. Obudził się około dziesiątej, ciesząc się, że ma ją przy sobie. Nawet wczesnym rankiem wygląda cudownie, pomyślał. Kochał ją, nie pragnął żadnej innej kobiety. Wraz z jej powrotem spełniły się jego najgłębsze marzenia.

Z zamyślenia wyrwało go głośne pukanie do drzwi. Ktoś się dobijał. Jack zerwał się, wiedział, kto to taki. Wielka ława przysięgłych zbiera się zwykle o dziewiątej, więc spodziewał się porannej wizyty, mimo to przeszedł go dreszcz na myśl, że nie jest już „jednym z wielu podejrzanych” – jak formułował to prokurator. Jeżeli się nie mylił, to w ciągu minionej godziny został oficjalnie postawiony w stan oskarżenia.

Wyskoczył z łóżka. Założył spodnie, wsunął mokasyny na nogi. Pukanie do drzwi nie ustawało. Cindy usiadła na łóżku.

– Co się dzieje?

Włożył niebieską koszulę, zrezygnował z krawata.

– Myślę, że właśnie – starał się mówić spokojnie, żeby jej nie denerwować – że właśnie sporządzili akt oskarżenia i wydali sankcję. – Podszedł do toaletki, zerknął w lustro, przyglądał włosy. Sprawdził zawartość portfela. Wyjął zdjęcia i karty kredytowe, zostawił tylko prawo jazdy, zaświadczenie z komisji wyborczej o prawie do głosowania i pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Wcisnął portfel do tylnej kieszeni spodni, poprawił ubranie i głęboko westchnął. W lustrze zobaczył, że Cindy pilnie mu się przygląda. Obrócił się.

– Kocham cię, Jack – szepnęła.

– Ja ciebie też – uśmiechnął się ze smutkiem.

Znów rozległo się pukanie do drzwi, jeszcze głośniejsze.

– To nic takiego – uspokajał ją – to nie jest tak, że zaraz zamkną mnie w lochu i wyrzucą klucz. Spiszą tylko protokół na posterunku, wezmą odciski palców i odeślą do sędziego, który najpewniej zwolni mnie za kaucją. Po południu będę już w domu. O nic się nie martw – pocałował ją w czoło.

Nic nie powiedziała, kiwnęła głową i tylko wielkie łzy spłynęły jej po policzkach, gdy obrócił się i znikł w korytarzu. Znów rozległo się natarczywe pukanie. Najwyższy czas otworzyć.

– Już, już! – zawołał Jack idąc spieszenie do drzwi. Chwycił za klamkę, ale odczekał jeszcze chwilę, żeby się zebrać w sobie. Cóż z tego, że dziesiątki razy

doradzał swoim klientom, jak mają się zachować w takich momentach, że najważniejszy jest spokój i opanowanie, skoro rzeczywistość okazała się inna! Choć był doświadczonym prawnikiem, czuł jednak narastający niepokój. Przełknął ślinę i otworzył wreszcie drzwi.

– Manny? – był kompletnie zaskoczony.

– Jak się masz, Jack – odparł Manuel Cardenal, najślynniejszy na Florydzie obrońca w procesach karnych. Wszyscy go znali. Zaczynał karierę ze dwadzieścia lat temu, jako adwokat z urzędu w sprawach o morderstwa, gwałty i rabunki, zyskując renomę jako zręczny prawnik. Wybraniał winnych. Od dziesięciu lat prowadził własną kancelarię. Zrobił majątek broniąc bogatych klientów.

– Ty, tutaj? – dziwił się Jack.

– Czy jako twój obrońca mogę wejść?

– Oczywiście.

Manny ubrany był elegancko: granatowy dwurzędowy garnitur, włoskie buty, jedwabny krawat. W kieszonce marynarki miał stosowną chusteczkę do kompletu. Wchodząc zerknął w lustro przy drzwiach i widać było, że robi to z satysfakcją. W wieku czterdziestu trzech lat był u szczytu powodzenia, zwłaszcza jeśli idzie o płęć piękną. Młodsze uważały, że nadal jest atrakcyjny i przystojny, starsze pociągała jego młodość. Jego uśmiech wyrażał pewność siebie i doświadczenie, w oczach igrały młodzieńcze jeszcze iskierki. Kruczoczarną czuprynę zaczesywał gładko do góry i miało się wrażenie, że nawet przy największym wietrze ani jeden włos nie zmieni swego miejsca. Obrócił się, patrząc prosto w oczy człowieka, nad którym wkrótce rozpęta się prawdziwa burza.

– Ale ja nie prosiłem, żebyś się podjął mojej sprawy – odezwał się Jack. – Nie dlatego, że nie chciałbym, ale po prostu nie stać mnie na twoją firmę.

Manny zajął miejsce na kanapie.

– Sprawę zlecił mi twój ojciec dziś rano.

– Słucham?

– Ojcu jest przykro, że będziesz cierpieć z jego powodu.

– Z jego powodu?

– A tak, Jack – przytaknął adwokat. – Czeka nas ciężki dzień. Wywleką cię z domu w kajdankach, załadują do suki, przewiozą na sygnale przez całe miasto, zakiblują jak jakiegoś meta i będziesz czekał na zmiłowanie w zaplutej celi. Wszystko dlatego, że jesteś synem Harry'ego Swytecka. Gdybyś nie był, pozwoliliby ci się zgłosić samemu na komisariat i pewnie zaraz wypuściliby za własnym poręczeniem lub, w najgorszym wypadku, po uiszczeniu symbolicznej

kaucji. To polityka, bracie – wyjaśnił. – Twój ojciec wyraża z tego powodu ubolewanie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że do oskarżenia doszło na tle politycznym?

– Niezupełnie, ale wszystko inne ma taki kontekst.

– Wspaniale... A więc to polityczni przeciwnicy mojego ojca przeczołgają mnie przez to wszystko?

– Obawiam się, że tak. Dzwoniłem już do prokuratora z pytaniem, czy wyrazi zgodę, żebyś sam się zgłosił, i w ogóle. Mowy nie ma. Chce urządzić całe przedstawienie. Potrzebny mu rozgłos. Twoja sprawa już stała się polityczną sensacją i ojciec o tym wie. Wie też, że od tego, jak się potoczy twój los, zależą wyniki wyborów.

– Czy to jest powód, że zjawiasz się u mnie? Żeby ojciec wygrał wybory?

– Wiem tylko tyle, ile usłyszałem od twego ojca, Jack.

Jack zmrużył oczy i spojrzał badawczo na rozmówcę, jakby chciał wyczytać prawdę z jego twarzy.

– Ojciec nie jest głupi, Manny, a ja go znam, a przynajmniej na tyle, żeby wiedzieć, iż nie chodzi wyłącznie o politykę. Znam też ciebie i wiem, że nie podjąłbyś się tej sprawy, gdybyś nie nabrał przekonania, że ojciec naprawdę chce mi pomóc. Więc po co ta szopka? Po co obaj udajecie, że chodzi o politykę, a nie o mnie? A ojciec co? Jest zbyt dumny, żeby to powiedzieć, czy po prostu boi się prawdy? Dlaczego, do cholery, nie zachowa się zwyczajnie jak ojciec i nie powie, że chce mi pomóc?

– A może to właśnie ci mówi? – odparł adwokat po prostu, ale jego wzrok wyrażał znacznie więcej.

Jack zmilczał. Słowa Manny'ego dały mu wiele do myślenia.

Z zadumy wyrwał go energiczny łomot do drzwi.

– Otwierać!

Jack odetchnął głęboko. Na jego twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech.

– Tylko nie nastąp mi na odciski, Cardenal – rzekł i otworzył drzwi.

– Policja – detektyw Lonzo Stafford błysnął regulaminowo blachą. Jak zwykle miał na sobie granatową marynarkę i krzywił się w półuśmiechu. Obok stał detektyw Bradley. – Jesteś aresztowany – oznajmił Stafford z wyraźnym zadowoleniem – pod zarzutem zabójstwa Eddy'ego Gossa.

Jack był spięty, ale panował nad sobą. W myślach analizował sytuację. Manny chyba miał rację mówiąc, że urządzi całe przedstawienie, że nie odbędzie się to tak, jak myślał, spokojnie i w miarę uprzejmie. Przede wszystkim przyjechali

wozem patrolowym, a nie autem Stafforda na zwykłych numerach. Nie wyłączyli nawet koguta. Niebieskie światło omiatało podwórko, ba, całą ulicę, i już tłumek gapiów wraz z gromadką reporterów zebrał się przed podjazdem. Dalej nie śmieli wejść, bo tam zaczynał się teren prywatny. Gdy tylko Jack stanął w drzwiach, tłum zaszumiał: „Patrzcie, to on!” i zaraz rozległ się terkot kamer i trzaskanie migawek.

– Masz prawo do odmowy zeznań – Stafford recytował formułę Mirandy. Jack nie zwracał na niego uwagi. Ocknął się dopiero, gdy Stafford rzucił do Bradleya – A teraz go zakuć.

– Co? – mimo wszystko Jack nie chciał uwierzyć.

– Kajdanki – powtórzył Stafford. Widać było, że sprawiło mu to przyjemność.

– Nie ma potrzeby, nie zamierzam stawiać oporu...

– A, skoro tak – uciął detektyw – to skujemy ci ręce z przodu, zamiast na plecach.

Nie protestował, rozumiał, że nie ma sensu. Posłusznie wyciągnął ręce, Bradley ze szczękiem zacisnął stalowe bransoletki.

– Jedziemy! – rozkazał Stafford.

Jack wyszedł na ganek. Obrócił się i niepomny, że ma kajdanki, wyciągnął rękę, żeby zamknąć drzwi. Żelazo boleśnie wbiło się w rękę. Zmartwił widząc Cindy. Stała przy schodach, owinięta w jego szlafrok, wystraszona i przerażona patrzyła na niego i jego zakute dłonie.

– Bądź pod telefonem – rzucił na pożegnanie. Nie był już taki pewny, że wróci do domu zaraz po południu. Cindy skinęła głową, że usłyszała. Jack zatrzasnął drzwi.

Stafford z Bradleyem wzięli go pod ręce i poprowadzili do wozu policyjnego. Jack milczał, patrzył przed siebie, starał się wyglądać obojętnie, ani zawstydzony, ani tym bardziej winny. Zdawał sobie sprawę, że ciekawscy sąsiedzi patrzą, a kamery rejestrują każdy ruch. Modlił się w duchu, żeby Cindy nie przyszło do głowy wyjrzeć przez okno.

Manny usiadł obok Jacka na tylnym siedzeniu, obaj policjanci zajęli miejsca z przodu, Bradley za kierownicą. Ruszył wolno. Tłum rzucił się, żeby jeszcze raz zerknąć na adwokata, którego oskarżono o morderstwo klienta. Jack stawał się sławny, oto zaczynało się jego „pięć minut”.

Błyskawicznie dotarli do centrum miasta. Z daleka widać było żądny sensacji tłum przed gmachem, który mieścił w sobie sąd i komendę policji. Potrójny rząd reporterów tłoczył się na schodach, jak kibice przed stadionem, którzy czekają na swoich idoli.

Jack poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Spoglądał na przemian na tłum i na kajdanki.

– Nie dałoby się tego zdjąć? To naprawdę konieczne?

– Niestety tak, panie mecenasie – odparł Stafford. – Żadnej taryfy ulgowej – dodał nie bez satysfakcji.

Jack nie zareagował, niczego nie dał po sobie poznać, żeby nie prowokować Stafforda, choć odmowa nie tylko sprawiła mu przykrość, ale i przeraziła.

– Jak tylko pojedziemy, wyskakujemy z wozu – rzekł Stafford. – Nie będzie to sprint, ale też nie spacer. Trzymaj się tuż za nami. Zrozumiałeś, Swytek?

Jack nic nie odpowiedział.

– Zamknij się! – wyręczył go Manny.

Bradley dodał gazu i po chwili samochód zatrzymał się przy wejściu do komendy wśród tłumy reporterów, fotografów i zwykłych gapiów.

– Idziemy! – krzyknął Bradley.

Obaj policjanci wyskoczyli z samochodu. Otworzyli tylne drzwi i wywlekli Jacka. Ten nie zdążył nawet stanąć na nogi, a już dziennikarze natarli na niego. Manny ze Staffordem wzięli go pod łokcie i zaczęli popychać przez tłum, który nie ustępował, i Jack znalazł się jakby między młotem a kowadłem.

– Z drogi! – krzyknął Stafford. Spychając reporterów, ciągnął za sobą podejrzanego o morderstwo przez gmatwaninę kabli, mikrofonów i kamer.

– Mr. Swytek! – zawołał ktoś z tłumy. – Czy będzie się pan bronił sam?

Kable, mikrofony i kamery blokowały drogę jak mur. Do przodu, byle naprzód – powtarzał sobie w myślach Jack.

Nie uwierzyłby, gdyby ktoś powiedział mu, że każdy krok może być męką, ale najważniejsze to iść do przodu.

– Czy Instytut Wolności zajmie się pańską obroną? – pytania, coraz więcej pytań. Jack z eskortą z najwyższym trudem wspinali się wśród tłumy na granitowe schody. Kamery rejestrowały każdy krok.

– Udawaj wariata, mały – poradził szyderczo fotoreporter, starając się, żeby Jack spojrział w stronę jego obiektywu.

Stafford torował drogę w labiryncie ciał, kabli i kamer. Wreszcie dotarli do wejścia. Oderwali się od tłumy i zniknęli w budynku, przechodząc przez obrotowe drzwi.

Wewnątrz było równie głośno jak na dworze, z tym że zamiast okrzyków tłumy rozbrzmiewały odgłosy biura. Wysoki na dziesięć metrów hali przypominał halę operacyjną banku. Przeszkłone przepierzenia, które oddzielały poszczególne

stanowiska, miały tylko trzy metry wysokości. Z lotu ptaka wszystko to wyglądało jak szczyrzy labirynt w laboratorium. Policjanci i policjantki w niebieskich mundurach przechodzili obok, zerkając na największą zdobycz detektywa Stafforda.

Jack i Manny doskonale znali procedurę. Obaj wiedzieli, że przy pobieraniu odcisków, robieniu zdjęć do kartoteki i spisywaniu personaliów adwokat nie towarzyszy klientowi. Od protokołu właśnie zaczynała się jakby linia produkcyjna wymiaru sprawiedliwości. Z jednej strony wchodzi zwykły obywatel, z drugiej wynurza się oskarżony. Z Mannym spotkają się dopiero u sędziego, który wyda formalną sankcję, a przed którym Jack złoży oświadczenie, czy przyznaje się do winy czy nie.

– Zobaczmy się po drugiej stronie tego zsypu – potwierdził adwokat.

– Idziemy! – warknął Stafford.

– Sekundę, Stafford – zatrzymał go Manny. Detektyw zatrzymał się. – Jeśli wspominasz, jak Swytek załatwił cię w poprzednim procesie, to zobaczysz, co zrobi z tobą jego adwokat. Bebechy ci wypruję.

Stafford zachował spokój. Obrócił się na pięcie, pociągając za sobą aresztowanego. Na razie był zadowolony, że Jack należy do niego.

Gubernator Harold Swytek stał tymczasem dumnie na podium przed starym budynkiem kongresu stanowego. Szacowne, szare mury wznosiły się na dwa piętra. Zdobne łukami i kolumnadą oraz pasiastymi markizami, które ocieniały okna, stanowiły doskonałe tło dla publicznych występów pod gołym niebem. Gubernator upodobał sobie to miejsce i tu – na dziedzińcu – najchętniej urządzał konferencje prasowe. Dziedziniec był bowiem na tyle obszerny, że nie brakowało miejsca dla nikogo, kto zechciał przyjść, a zarazem był tak mały, iż zawsze miało się wrażenie, że dziennikarzy jest sporo, co podkreślało rangę występów gubernatora. Wokół dziedzińca, na drzewach i gdzie tylko się dało, wisiały pęki balonów, oczywiście w patriotyczno-narodowych kolorach – niebieskie, białe i czerwone. Nad tym wszystkim zaś górował wielki transparent: JESZCZE CZTERY LATA, co podkreślało celowość wyboru Harolda Swytecka na następną kadencję i było przesłaniem znacznie szlachetniejszym niż: ADWOKAT MORDERCA – SYN GUBERNATORA BYŁ KOCHANKIEM GOSSA i tym podobne zdania bijące z czołówek gazet, a co gorsza, zapowiadające spadek notowań urzędującego gubernatora w badaniach opinii publicznej.

– ... i dziękuję państwu za przybycie – Harry Swytek skończył odpowiedź na ostatnie pytanie. Zaterkotały kamery, reporterzy rzucili się hurmem do mównicy, licząc na możliwość zdobycia dodatkowej wypowiedzi „na wyłączność”. Harry rozdzielał uśmiechy, gestem pozdrowiał przyjaźnie tego i owego. Jak wszyscy wytrawni politycy tworzył pozory komitywy z prasą.

– Jeszcze jedno pytanie, panie gubernatorze. Można? – rozległ się w tłumie sympatyczny skądinąd głos.

– Oczywiście – odparł gubernator z nieodłącznym uśmiechem. Takie były zasady gry, a na tym etapie powinno paść korzystne pytanie.

– A czy ja też mogę? – wtrącił David Malone – reporter, którego wszyscy politycy serdecznie nie znosili. Przystojny, gładki, a przy tym bezczelny przedstawiciel miejscowej stacji telewizyjnej, który wszędzie i we wszystkim węszył skandal, należał do tego gatunku gangsterów kamery i mikrofonu, którzy, gdy nic się nie dzieje, jadą z ekipą do byle knajpy i paru pijaków kreują na wyrazieli opinii publicznej w dowolnej sprawie. Nie trzeba dodawać, że „opinia” jest zawsze niezadowolona i grozi wyjściem na ulice pod lada pretekstem, wszystko jedno, czy to będą kwestie stosunków rasowych, czy na przykład wyrok

w procesie Gossa. Tym razem Malone nie musiał niczego wymyślać ani tworzyć. Potrzebował tylko paru minut sam na sam z ojcem Jacka Swytecka. – Czy pan się obawia moich pytań, panie gubernatorze?

Harry rzeczywiście przeraził się, ale niczego nie dał po sobie poznać. Od samego początku konferencji Malone czynił wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gubernator udawał, że go nie dostrzega. Teraz jednak nie miał wyjścia. Nie można było bowiem odwrócić się plecami do kogoś, kto publicznie zarzuca mu tchórzostwo.

– Bardzo proszę, panie Malone, byle krótko. – Reporter tylko na to czekał. Oczy mu zajaśniały.

– Cztery lata temu – zaczął czytać przygotowane i przemyślane pytanie – prowadził pan kampanię pod hasłem ładu i porządku. Obiecywał pan zwłaszcza to, że kara śmierci wykonywana będzie – jak się pan wyraził – „bez zwłoki, gdy sąd ją orzeknie, a wyrok stanie się prawomocny”. To chyba dosłowny cytat?

– A o co chce pan spytać?

– Moje pytanie, panie gubernatorze, brzmi: czy zamierza pan dotrzymać obietnicy także w czasie następnej kadencji?

– Spełniłem wszystkie przyrzeczenia wyborcze i będę je nadal honorować, także w czasie drugiej kadencji. To wszystko, dziękuję – Harry chciał opuścić mównicę.

– A konkretnie? – naciskał dziennikarz, podnosząc głos. – Jeśli przysięgli uznają winę Jacka Swytecka i wydadzą wyrok skazujący za morderstwo z premedytacją, to czy podpisze pan nakaz egzekucji?

Gubernatora zamurowało. Sztuczny uśmiech znikł z twarzy, oczy zapłonęły gniewem. Malone czekał na odpowiedź.

– Nie, zdecydowanie nie.

– A dlaczego nie?

– Ponieważ Jack jest niewinny – odparł gubernator, przeszywając Malone'a wzrokiem – a ja nigdy nie dopuszczę do stracenia niewinnego człowieka.

– Skąd ta pewność?

– Wiem, że mój syn nie jest mordercą.

– Nie o to chodzi – naciskał reporter. – Pytam, czy jest pan absolutnie pewien, że nigdy pan się nie pomylił.

Wzrok gubernatora płonął, ale powieki zadrgały nerwowo. Oznaka słabości – ocenił Malone.

– Po pierwsze – odparł gubernator – niemal wszyscy sprawcy zbrodni przyznali

się do winy, zanim...

– Niemal, ale nie wszyscy.

– Owszem, ale...

– Właśnie, panie gubernatorze, co pan powie o tych, którzy tego nie uczynili, którzy do końca przysięgali, że są niewinni?

– Jak Raul Fernandez! – zawołał ktoś z tłumu.

Gubernatora zmroziło. Padło nazwisko, które usłyszał ostatnio z ust szantażysty, zanim jeszcze zginął Goss. Wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, kto pyta, ale reporterzy stali zwartym tłumem i trudno było kogokolwiek rozpoznać.

– Właśnie, jak Fernandez – skorzystał z pytania Malone, a tłum reporterów pilnie zanotował nazwisko.

Gubernator przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Nie miał pojęcia, kto rzucił nazwisko Fernandez, nie sądził jednak, aby coś się za tym kryło, wolał uznać, że była to spontaniczna reakcja na pytania reportera.

– Państwo wybaczą, ale nie będę komentował indywidualnych przypadków, także sprawy mojego syna. Uważam, że nie byłoby to stosowne. To wszystko na dziś – ruszył do wyjścia.

– Panie gubernatorze! – przekrzykiwali się reporterzy, nie dając za wygraną. Harry jednak był za bardzo zdekoncentrowany, aby ryzykować odpowiedzi na dalsze pytania. Mówiąc: „dziękuję” znikł w bocznych drzwiach prowadzących do zastrzeżonej części siedziby gubernatora, gdzie asystenci i współpracownicy odgradzili go od prasy. Z ulgą otarł krople potu z czoła. Dobrze, że konferencję miał już za sobą.

– Poszło nieźle, jak zresztą myślałem – Campbell pośpieszył ze szklanką chłodnego napoju.

Gubernator zaczął sączyć coca-colę. Milczał.

– Tylko ta wymiana zdań na końcu, na temat pańskiego syna... – ciągnął asystent – boję się, szefie, że sprawa Jacka obciąży nas, że aż hej. Sprawdziłem ostatnie badania opinii. Znów spadliśmy o jeden punkt, ale...

Campbell mówił coś jeszcze, Harry jednak nie słuchał. Patrzył w stronę okna, bawiąc się w myślach ironiczną refleksją, że Jacka nie pierwszy raz oskarżano o zabójstwo: teraz klienta, a jeszcze dawniej – czego Harold Swytek nie zapomni do końca życia – własnej matki. Minęło prawie ćwierć wieku, od kiedy Agnes rzuciła takie oskarżenie. Dodała wtedy, że to on, Harry, obwinia syna o śmierć matki, co tylko spotęgowało jego własne kompleksy. Gorzej jeszcze, że w czasie owej awantury Harry zachował się fatalnie, nie spojrzął synowi prosto w oczy i nie

zaprzeczył oskarżeniu. Nie uczynił tego do dziś.

– Jack nie zabija – wyrwało mu się głośno, ku zaskoczeniu Campbella, który nie rozumiał, co się dzieje. Patrzył zaintrygowany, jak gubernator znów pograża się we własnych myślach. – Jack nie zabija. To ja skazałem go na śmierć – szepnął Harry – bo milczałem przez tyle lat.

Campbell chciał coś powiedzieć, ale gubernator nie dał mu dojść do słowa. Zmienił temat, nawiązał do osoby, którą posłał na śmierć.

– Kim był ten reporter, który wspomniał o Raulu Fernandezie? – spytał niby to obojętnie.

– Nie wiem. Posłałem ochroniarza, żeby sprawdził, ale facet znikł, zanim ktokolwiek się zorientował. Chce pan, żebyśmy się tym zajęli?

– Nie! – odpowiedź była chyba zbyt pośpieszna i zbyt stanowcza. Jeszcze tego brakowało, żeby ktoś zaczął wsadzać nos w te sprawy. – Szkoda czasu – dodał już znacznie spokojniejszym tonem. Podszedł do okna. – Zostaw mnie samego na chwilę, proszę.

– Nie ma sprawy, poczekam w aucie. – Campbell wyszedł. Szefowi przyda się parę chwil samotności. Widać było, że potrzebuje tego.

Harry opadł na krzesło. Nadal jeszcze nie doszedł do siebie po pytaniach o Fernandezę. Czyżby szantażysta wrócił? Incydent z chryzantemami upewnił go, że prześladowcą jest Goss, a hipoteza potwierdziła się, gdy po śmierci Gossa telefony ustały, ale ta dzisiejsza sprawa nie wyglądała na zwykły zbieg okoliczności. Pytanie nie było przypadkowe, a ten Malone też wydawał się dziwnie konsekwentny. Gubernatora przeszły ciarki – szantażysta powrócił, a co gorsza, jeden z najbardziej iście dziennikarskich dziennikarzy z całej Florydy najpewniej coś wie.

Ale nie wyciągaj zbyt pośpiesznych wniosków, skarcił się w duchu. Sprawa Fernandezę należała do najbardziej kontrowersyjnych w czasie całej kadencji, co oznacza, że reporter mógł coś słyszeć, choć wcale nie musiał wiedzieć wszystkiego, żeby nakreślić analogię między synem gubernatora a człowiekiem, który do samego końca głosił swoją niewinność. Nie można więc jednoznacznie wykluczyć, że dzisiejszy incydent to w istocie przypadek, że szantażystą naprawdę był Goss, a ponieważ on nie żyje, więc nie ma już szantażysty. I w tym momencie Harry uświadomił sobie, że jest sposób, aby upewnić się do końca, czy to Goss go prześladował. W czasie napadu w lesku nieznanemu sprawca powiedział przecież, że to właśnie on rozmawiał z Jackiem w noc, kiedy stracono Fernandezę. Syn musi zatem wiedzieć, czy chodzi o tę samą osobę, czy Goss to szantażysta.

Musiał tylko znaleźć sposób, żeby zechciał to powiedzieć.

– Jack Swyteck, sprawa z oskarżenia publicznego – oznajmił woźny sądowy, uwalniając wreszcie – po półtorej godziny – Jacka spod klucza. Sala rozpraw ożywiła się, gdy Manuel Cardenal przeprowadził swego klienta od bocznych drzwi przed oblicze sędziego, który siedział za mahoniowym stołem na podium. Gromada dziennikarzy i tłum gapiów patrzyli ciekawie, jak po marmurowej posadzce kroczy adwokat i człowiek oskarżony o morderstwo Eddy'ego Gossa. Jack myślał właśnie o Eddym. Ta sala nieodparcie przypominała mu dzień, gdy był tu razem z nim. Jak Manny jego, tak on prowadził swego klienta przed oblicze sędziego, aby oskarżony, zgodnie z procedurą, złożył oświadczenie, czy przyznaje się do winy. I oto teraz Jack ma uczynić to samo: oświadczyć, że jest niewinny. Różnica polegała tylko na tym, że Goss był mordercą. Z bolesną jasnością Jack uświadomił sobie, że prosta deklaracja: „Nie jestem winny, Wysoki Sądzie” wcale nie jest dowodem niewinności. Niewinność jest kategorią moralną, sprawą sumienia, która rozstrzyga się między człowiekiem a Stwórcą, natomiast oświadczenie: „Nie jestem winny, Wysoki Sądzie” jest tylko prawniczą formułą, zapowiedzią, że podsądny zamierza skorzystać z konstytucyjnych praw. Te zaś stanowią, że to prokurator musi udowodnić winę oskarżonego ponad wszelką wątpliwość. Manuel Cardenal zapewne wyczuwał ową subtelną różnicę, sądząc z tego, w jaki sposób złożył deklarację w imieniu Jacka.

– Mój klient, Wysoki Sądzie, nie tylko nie popełnił zarzucanego mu czynu, mój klient – powtórzył – jest po prostu niewinny.

Sędzia o bladych policzkach spojrział z wysokości swej katedry przez dwuogniskowe szkła i uniósł pytająco krzaczaste, siwe brwi. Nie miał wysokiego mniemania o obrońcach, którzy zaręczali o niewinności swoich klientów, ale nie skomentował tego oświadczenia. Kazał tylko wpisać do protokołu, że „oskarżony nie przyznaje się do winy”. Wymierzył jednak karcącym gestem trzonek sędziowskiego młotka w stronę Cardenala.

– A pan, panie mecenasie, niech zachowa przemówienia na konferencję prasową – dodał tonem przygany.

Manny tylko zaśmiał się w duchu.

– Jest jeszcze sprawa kaucji, panie sędzio. – Wszyscy spojrzeli, kto przemawia niskim, chrapliwym głosem. Był to sam prokurator stanowy, Wilson McCue, w tradycyjnym, trzyczęściowym garniturze, z ciężką złotą dewizką od zegarka w

kieszonce kamizelki ledwo opinającej tłusty brzuch. Na nosie miał szkła bez oprawek, równie okrągłe jak nalane oblicze. Jack wiedział, jak wszyscy tutaj, że podstarzały prokurator rzadko już bierze osobisty udział w rozprawach. Z zasady wysyła zastępców. Jego obecność na wstępnym i zgoła formalnym posiedzeniu sądu była wydarzeniem równie niezwykłym jak przybycie generała z Naczelnego Dowództwa na pierwszą linię frontu. – Oskarżenie wnosi – ciągnął McCue chrapliwym głosem – aby Wysoki Sąd zechciał wyznaczyć kaucję na sumę nie mniejszą niż...

– Sąd zna sprawę – przerwał sędzia – zna też podsądnego. Pan Swyteck dał się poznać jako obrońca w sprawach karnych. Wyznaczam kaucję wysokości stu tysięcy dolarów. Następna sprawa – uderzył młotkiem w pulpit.

Prokurator oniemiał. Nie nawykł do tak bezpardonowego zachowania, bo nikt nie śmiał go tak traktować, nawet sąd.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – rzekł Manny.

Jack pośpieszył do urzędnika – kolejnego ogniwa wymiaru sprawiedliwości. Był wdzięczny losowi, że politycy albo nie próbowali, albo nie udało im się zmusić sędziego do odmowy zwolnienia za kaucją. Najważniejsze teraz to udać się do niejakiego Jose Restrepo-Merono – Portorykańczyka o niewielkim wzroście, ale za to właściciela stu kilogramów żywej wagi – i przepisać na niego wszystkie doczesne dobra. Jose prezesował firmie F. Lee MailMe, Inc. , załatwiającej kaucje, oczywiście, jeśli dało mu się odpowiednie zabezpieczenie. Był przy tym jedynym reprezentantem swego zawodu, który okazywał jakieś takie poczucie humoru.

Tymczasem jednak Jack musiał wrócić do aresztu, gdzie przesiedział jeszcze godzinę, bo tyle czasu potrzebował jeden z kancelistów Manny'ego na załatwienie formalności. Wyszedł więc dopiero późnym popołudniem, ale i tak wdzięczny, że noc spędzi we własnym łóżku. Nie miał auta, bo do miasta przywieziono go wozem policyjnym. Do domu miał go podrzucić któryś z pracowników Manny'ego. Chodziło o uniknięcie tłumu dziennikarzy, którzy tylko czyhali, żeby zrobić zdjęcie albo wymusić jakieś zdanie nadające się na czołówkę. Ale przed wejściem zamiast pracownika czekał nań wytworny jaguar i Manny we własnej osobie. Minę miał taką, że Jack z miejsca zorientował się, iż nie chodzi o zwykłą uprzejmość.

– Wsiadaj – zaprosił. Zręcznie włączył się w potok samochodów, jadących zderzak w zderzak. Na ulicach zaczynał się przedwieczorny szczyt.

– Nie spodziewałem się, że osobiście... – zaczął Jack.

– Dzwonił twój ojciec – przerwał jego obrońca, jakby ta informacja wyjaśniała wszystko. Oderwał wzrok od jezdni i spojrzał badawczo na Jacka. – Opowiedział

mi o Raulu Fernandezie. Wiem, co stało się tamtej nocy, kiedy przyszedłeś z prośbą o zawieszenie egzekucji.

Jack zjeżył się, ale nic nie odpowiedział. Wyglądał tylko przez okno.

– No dobrze – odezwał się po dłuższej chwili – znasz więc tajemnicę rodziny Swyteków. Nie tylko bronimy winnych, ale jeszcze dokonujemy egzekucji na niewinnych.

Manny skręcił w boczną ulicę, znalazł wolne miejsce w cieniu rozłożystego drzewa. Zależało mu, żeby patrzeć na rozmówcę, chciał widzieć reakcję.

– Nie wiem wszystkiego, Jack, znam tylko wersję ojca, a jemu też brak pewnego niezwykle ważnego ogniwa. Obaj chcielibyśmy się dowiedzieć, czy w sprawie Jacka Swytecka oskarżonego o zabójstwo Eddy'ego Gossa nie chodzi jednak o coś więcej. Odpowiedz więc tak lub nie: Czy Raul Fernandez zginął zamiast Eddy'ego Gossa? Obaj, twój ojciec i ja, chcemy znać odpowiedź.

– Słucham? – Jack niczego nie rozumiał.

– Chodzi o to, czy człowiekiem, który przyszedł do ciebie w noc poprzedzającą egzekucję i przyznał się do zabójstwa, był Goss? Czy to on zabił, a Raul Fernandez był niewinny?

– Skąd wam to przyszło do... – Jack przerwał zirytowany, ale opanował się. – Posłuchaj, Manny, jeśli ojciec chce ze mną porozmawiać, to ja jestem gotów. Sprawa Fernandezza to stary spór między nim a mną i nie mam nic wspólnego z obroną w procesie o zabójstwo Gossa.

– Mylisz się, Jack. Obie sprawy mają wiele wspólnego. W pierwszej mieści się motyw drugiej, bo właśnie z powodu Fernandezza mogłeś, nazwijmy to, wykonać wyrok na byłym kliencie. Nie wolno ryzykować, żeby McCue wystąpił z taką tezą przed sądem, więc odpowiedz mi na pytanie. Chcę znać prawdę.

– Prawda jest taka – Jack spojrzał Manny'emu prosto w oczy – że nie zabiłem Eddy'ego Gossa. Jeśli zaś chodzi o człowieka, który zgłosił się do mnie w nocy, kiedy miała się odbyć egzekucja Fernandezza, to daję słowo, że nie wiem, kto to był. Nie podał nazwiska, nie pokazał twarzy. Wiem natomiast jedno, to nie był Eddy Goss. Miał inne oczy, inną sylwetkę, inny głos. Krótko mówiąc, był to ktoś zupełnie inny.

Adwokat odetchnął z ulgą. Gestem głowy dał znak, że ceni szczerość i dziękuje za odpowiedź.

– Wiem, że trudno ci o tym mówić. Jestem wdzięczny za zaufanie.

– Powinienem pogadać z ojcem. Chyba już najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali od serca.

– Odradzam.

– To są osobiste sprawy.

– Odradzam, i to stanowczo, jako twój obrońca. Wolałbym, abyś nie rozmawiał z żadnym potencjalnym świadkiem w sprawie. Spotkanie z ojcem może być ryzykowne.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zaraz po rozmowie z twoim ojcem – zaczął Manny z namysłem, jakby ważył każde słowo – przyszło mi coś do głowy. Nazwij to przecuciem, jeśli chcesz. Nie jest to nic pewnego, ale po latach w tym zawodzie nabiera się zaufania do własnego nosa. Więc zaraz po rozmowie jeszcze raz rzuciłem okiem na akta policyjne.

– I co?

– Nie szukałem niczego szczególnego, ale już wcześniej zauważyłem, że w protokole wspomina się o jednym obcym śladzie butów, który znaleziono tuż przed drzwiami do mieszkania zamordowanego. Powiadam: „obcym”, bo nie był ani twój ślad, ani Gossa. Zostawiła go jakaś trzecia osoba. To oczywiście plus dla nas i może uda się na tej podstawie udowodnić, że owej nocy w tym mieszkaniu był jeszcze ktoś, ale moją uwagę zwrócił fakt, że ślad jest bardzo wyraźny i że zidentyfikowano go jako odcisk butów od Wigginsa.

Jack zbladł, milczał, ale wyraz twarzy mówił sam za siebie.

– Od jak dawna twój ojciec nosi takie buty, Jack?

– Od zawsze, a przynajmniej od kiedy pamiętam – wykrztusił – ale chyba nie myślisz, że ojciec...

– Nie wiem, co o tym myśleć, ale w głosie twojego ojca, gdy do mnie zadzwonił, było coś niepokojącego, jakaś nuta trwogi, na to właśnie zwróciłem uwagę. Nie mam pojęcia, czy coś przede mną ukrywa, czy nie. Wiem jedno: nie chcę, aby mój klient miał się z nim spotykać czy rozmawiać. Nie mogę ryzykować, że ojciec z czegoś ci się zwierzy, że powie coś takiego, co ciebie zdyskwalifikuje jako świadka.

Amerykańska procedura dopuszcza możliwość wystąpienia oskarżonego w roli świadka na własnej sprawie. Manny nie musiał oczywiście wyjaśniać tych rzeczy swemu klientowi.

– W każdym razie nie chcę, aby jakiś fragment waszej rozmowy sprawił, że odmówisz zeznań w obawie, iż obciążąłoby to ojca. Nie chcę też, abyś kręcił przed sądem, aby chronić ojca. Toteż dopóki nie dotrzemy do sedna, trzymaj się od niego z daleka, najdalej jak się da.

Jackowi było przykro. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego obrońca ma rację.

Sytuację procesową trzeba analizować trzeźwo i właśnie dlatego nawet najzdolniejsi prawnicy nie powinni sami występować we własnej sprawie. Jemu też był potrzebny ktoś taki jak Manny, kto potrafi oderwać się od spraw osobistych, działać chłodno, jak dyktuje rozsądek i wyrachowanie.

– W porządku – powiedział z nutą rezygnacji. – Nie rozmawiałem z ojcem od dwóch lat, więc mogę jeszcze trochę poczekać. Masz moje słowo.

Nazajutrz rano, gdy tylko się obudził, wrócił myślami do rozmowy z Mannym. Zastanawiał się nad przeróżnymi hipotezami, ale w żaden logiczny sposób nie potrafił wytłumaczyć sobie, jak to mogło się stać, że ojciec wplątał się w sprawę Gossa. Był to absurd, a przynajmniej tak to wyglądało. Jeśli więc chce wszystko rozwikłać, musi ustalić parę rzeczy, a tego nie da się zrobić siedząc w domu.

Wziął prysznic, przełknął naprędce kawę, zawiązał krawat, narzucił marynarkę i pojechał do komendy. Była dziesiąta, gdy zjawił się w wydziale dokumentacji, prosząc kancelistkę o akta śledztwa w sprawie karnej przeciwko Jackowi Swyteckowi. Chciał na własne oczy zobaczyć, czego dotyczy kwestia „obcego śladu obuwia”.

Prawo wglądu do akt dotyczących spraw o zabójstwo ma policja, prokurator, oskarżony oraz jego obrońca. Urzędniczka знаła Jacka jako adwokata z Instytutu Wolności, bywał tu często, przeglądając akta, więc nawet nie musiał się legitymować. Wpisał się tylko do rejestru, umieszczając obok podpisu numer licencji adwokackiej. Z ciekawości sprawdził, kto jeszcze przeglądał akta: a więc detektyw Stafford i jego asystent... Manny (dwukrotnie, ostatnio wczoraj) oraz ktoś nazwiskiem Richard Dressler, adwokat.

Nigdy nie słyszał o obrońcy o tym nazwisku, na wszelki wypadek spytał więc kancelistkę, kto to jest.

– Zabił mi pan klina, panie mecenasie – zmieszła się. Murzynka, młoda jeszcze, o migdałowych oczach i czarnych, pieczołowicie prostowanych włosach z pomarańczowymi pasemkami na skroniach, była jedyną cywilną osobą w całym budynku. Resztę personelu zatrudniano na etatach policyjnych. Dziewczyna wyróżniała się jeszcze czymś innym: każdy z jej pięciocentymetrowych paznokci stanowił osobne dzieło sztuki. – Tyle wiem, że jest adwokatem – spojrzała nań jakby współczując, że cierpi na zanik pamięci. – Powiedział, że jest pańskim obrońcą.

Jacka zamurowało, ale nie dał nic po sobie poznać.

– Wie pani – uśmiechnął się – szef mojej ekipy obrończej ma tytuł współpracowników, że czasami mi się mylą. Dressler... – spróbował wziąć ją na spytki – to taki wysoki, prawda?

– Szczerze powiem: nie wiem, jak on wygląda. – Uwagę skupiła na kawałku kryształu górskiego, który właśnie opuścił swoje miejsce na paznokciu. – Sam pan

wie, jaki tu tłok. Z pół tysiąca ludzi dziennie przychodzi oglądać akta.

Jack pokiwał głową. Zdecydowanie chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tajemniczym Dresslerze, ale też nie chciał robić sensacji zwłaszcza tu – w samym sercu nieprzyjaciela. Wołał się najpierw wycofać na z góry upatrzone pozycje.

– Przepraszam – oddał akta – właśnie sobie przypomniałem, że muszę coś jeszcze załatwić. Wpadnę później.

– Jak pan chce – wzruszyła tylko ramionami.

Wyszedł z posterunku, poszukał automatu telefonicznego. Zadzwoił do informacji w Izbie Adwokackiej z pytaniem o Richarda Dresslera.

– Mecenias Dressler przyjmuje w swojej kancelarii przy bulwarze Kennedy'ego 501 w Tampie – poinformowała go uprzejmie telefonistka, wymieniając, ku jego zaskoczeniu, miasto odległe o co najmniej pół tysiąca kilometrów od Miami.

Kawał drogi, pomyślał, głośno zaś zapytał:

– A w czym się specjalizuje mecenias Dressler? Czy prowadzi sprawy karne?

– Pan Dressler jest licencjonowanym specjalistą w zakresie obrotu nieruchomościami – odparła, sprawdzwszy dane na ekranie monitora. Czy podać panu listę adwokatów zajmujących się sprawami kryminalnymi?

– Nie, dziękuję, to wystarczy. – Odłożył słuchawkę i ciężko wsparł się o ścianę. Miał kompletny chaos w głowie. Dlaczego obcy prawnik, i w dodatku specjalista od praw majątkowych, miałby jechać trzysta mil z Tampy do Miami, aby przejrzeć jego akta? Dlaczego podawał się za jego obrońcę? Jack nie był w stanie wymyślić choćby jednego powodu, a przynajmniej jednego logicznego powodu. Pokiwał tylko głową i powlókł się do auta, dumając po drodze o śladzie obuwia, z powodu którego chciał obejrzyć akta. Kto wie, może Dressler też zainteresował się dziwnymi butami od Wigginsa.

Czy to się podobało Harry'emu, czy nie, to szef sztabu wyborczego miał rację, bo jeśli nawet sprawa Jacka nie „unicestwiła” kampanii – jak to określił Campbell – to na pewno jej nie sprzyjała. Jediną pociechą jest to, że do listopada – a wybory, jak wiadomo, przypadają w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada – jeszcze daleko. Tymczasem był sierpień i ciągle jeszcze mogli zakładać, że spadek wyników w badaniach opinii jest chwilowy i nie oznacza trwałej zmiany nastrojów wyborców. Gubernator jednak nie należał do tych, którzy siedzą z założonymi rękami i czekają na cud. Ruszył w trasę wyborczą, odwiedzając miasta i miasteczka. Ścisnął dłonie potencjalnych wyborców, a na zamkniętych spotkaniach z przeróżnymi klubami i stowarzyszeniami pracownicy zbierał fundusze. Zazwyczaj robi się to w ten sposób, że pobiera się sowite honorarium za odczyt, wykład lub prelekcję albo urządza płatne śniadania czy lunchy. Odbywa się po kilka spotkań dziennie i przeciętny dzień w trasie trwa piętnaście i więcej godzin.

Pierwszego dnia, zaraz na początku wyborczego maratonu, gubernator dotarł do motelu dopiero o wpół do dziesiątej wieczorem. Motel „Oko Cyklonu” był równie ponury jak jego nazwa i nie różnił się od wielu innych tego typu przydrożnych sypialni funkcjonujących w małych miasteczkach, w których najwytworniejszym lokalem bywa McDonald, a jedyną rozrywkę zapewnia kręgielnia w starej stodole. Do takich hoteli podróżny trafia raczej z przymusu, bo w pobliżu nie ma nic innego. Motel „Oko Cyklonu” wyglądał też typowo: wąski długi pawilon z pokojami na parterze i piętrze. Z jednej strony okna wychodziły na parking, z drugiej na zzieleniały od rżęsy basen. Środkiem, między pokojami, biegł wąski korytarz dla obsługi, co dla większości gości było faktem bez specjalnego znaczenia. Tylko bowiem niektórzy wiedzieli, że ścianki dzielące pokoje od korytarza sporządza się dla oszczędności z cienkich płyt gipsowych i że personel dłubie w nich czasami dziury, aby z perwersyjną ciekawością podglądać, co robią goście. Harry nie miał pojęcia o tajemnicach tego ani w ogóle żadnego motelu. Wziął pokój na piętrze, rozebrał się, marząc o gorącym prysznicu po męczącym dniu. Tylko najwprawniejsze oko potrafiłoby na tapecie w „picassy” dostrzec dziurę w ścianie oddzielającej łazienkę od korytarza dla obsługi. Był tam zresztą nie jeden, ale dwa otwory zaraz obok wieszaka na ręcznik. Przez pierwszy, znajdujący się nieco wyżej, można było podziwiać lewy profil gubernatora, gdy

zażywał kąpieli. Przez drugi, dwadzieścia centymetrów niżej, wystawała właśnie lufa trzydziestkiósemki mierząca prosto w gubernatorskie ucho.

– Nie ruszać się – rozkazał przytłumiony głos zza ściany.

Gubernator zrazu nie pojął, szum prysznica zniekształcał słowa. Zamarł ujrzawszy lufę pistoletu.

– Ani kroku, bo cię zabiję. – Kolejnemu ostrzeżeniu towarzyszył szczęk repetowanej broni. – Wiesz, że to zrobię, poznajesz chyba głos, przyjacielu.

Namydlona gubernatorska skóra ścierpła, jakby nagle z prysznica trysnęła lodowata woda. Oczywiście, znał ten głos.

– To ty żyjesz? – w głosie Harry'ego strach mieszał się z niebotycznym zdziwieniem. A więc to nie Eddy Goss był szantażystą i to nie on przyszedł do Jacka jako prawdziwy winowajca zbrodni popełnionej rzekomo przez Fernandezę.

– Po co przychodzisz?

– Żebyś wiedział, kto ci spieprzył konferencję prasową.

Harry'emu serce podeszło do gardła.

– A ten reporter, jak mu tam, Malone? Co on wie?

– Gównu. Powiedziałem mu tylko, że Fernandez był niewinny. Chcę, żebyś pojął, iż nie żartuję i w każdej chwili mogę wszystko ujawnić prasie, ale nic mu nie pokazałem, żadnych dowodów. Na razie.

Gubernator trząśł się z przerażenia. Nie miał odwagi zadać następnego pytania, ale musiał to zrobić.

– Powiedziałeś mi, że dostałem informację o niewinności Fernandezę, zanim...

– przerwał, słowa z trudem przechodziły mu przez gardło – ... zanim doszło do egzekucji?

– Nie, ale zrobię to, przyjacielu, chyba że bekniesz trochę szmalu.

– Dostałeś już dziesięć tysięcy.

Choć strugi wody zagłuszały rozmowę, to jednak nie mogło być wątpliwości, że po drugiej stronie ściany ostatnie zdanie gubernatora wywołało paroksyzm złości.

– Ale zrobiłeś mnie w konia z ostatnią ratą. Owszem, poszedłeś do Gossa, jak ci kazałem. Obserwowałem cię, więc wiem, że przed drzwiami spanikowałeś. Obróciłeś się na pięcie i dałeś nogę, a co gorsza – nie zostawiłeś szmalu. Razem z procentami jesteś mi teraz winien, powiedzmy... pięćdziesiąt kawałków.

– Pięćdziesiąt? Nie mam tyle...

– Nie łżyj. Masz, masz, jak nie ty, to ta bogata suka, z którą się ochajtnąłeś. I dasz mi to, czego chcę. Nie zapominaj, szanowny panie gubernatorze, że ciągle

mam taśmę z naszą poprzednią rozmową. Nie dasz szmalu, taśma trafi do Malone'a. I nie tylko ona, także dowód, że Fernandez był niewinny. Słyszysz?

Gubernator milczał. Z przerażenia nie potrafił powiedzieć ani słowa. Stał nagi w brodziku, pod strumieniem wody.

– Słyszysz?

Gubernator nie odrywał wzroku od lufy pistoletu.

– Ale na tym koniec? – upewnił się drżącym głosem. – Ostatnia rata?

– Właśnie dlatego ma być pięćdziesiąt, przyjacielu. Chcę całe ciastko naraz, a nie po kawałku. Teraz milcz i słuchaj. Ponieważ będzie to ostatnia rata, chcę, żebyś kupił elegancki bukiet kwiatów, a konkretnie – porządną doniczkę chryzantem, taką większą. Pieniądze włożysz na dno i – żeby było śmiesznie – jeszcze coś: weź parę butów od Wigginsa, które zawsze nosisz. W najbliższy piątek, o siódmej wieczorem, masz się z tym wszystkim zjawić na cmentarzu w Miami. Rząd dwunasty, kwatera 232. Tam to postawisz, na płycie. Łatwo rozpoznasz.

– Co to znaczy łatwo? Kto tam leży?

– Grób jest świeży, a nazwisko znasz.

– Eddy Goss? – wykrztusił gubernator.

– Raul Fernandez, kutasie. Złóżysz mu hołd jak należy.

Lufa zniknęła i słyhać było tylko pośpieszne kroki na korytarzu dla służby. Po chwili zapadła cisza. Gubernator odetchnął. Szantażysta zostawił go samego. Tymczasem.

Dwie godziny po wizycie w wydziale dokumentacji i odkryciu Richarda Dresslera Jack spotkał się z Mannym na pierwszej, poważniej naradzie przed procesem – burzy mózgów, jak zwykle się mawiać. Adwokat nic nie wiedział o Dresslerze. Przeglądał akta na policji, zanim nazwisko to znalazło się w rejestrze, a w ogóle niewiele wiedział o całej sprawie, bo czego oczekiwać od obrońcy, który został zaangażowany w ostatniej chwili? Wiedział tyle, ile przeczytał w aktach i zapamiętał z krótkiej rozmowy z Jackiem wczoraj rano. Tak więc Jack musiał wprowadzić go w sprawę, co zresztą uczynił chętnie, bo zależało mu na ocenie Manny'ego. Krótco przedstawił fakty, na zakończenie jednak nie uniknął błędu, z jakim sam nader często spotykał się w czasie pracy w Instytucie. Podobnie jak jego klienci sam też pośpieszył z gorącym zapewnieniem o własnej niewinności.

– Tak więc – powiedział na zakończenie – po prostu mnie wrobiono.

– Wolnego! – zawołał obrońca półzartem. – Nie wpadaj w panikę, to paranoja.

– To nie jest paranoja, to fakty. Ktoś chciał mnie przekonać, że Goss zasadza się na mnie, bo jak inaczej wytłumaczyć plan miasta z jego adresem? Jak wytłumaczyć chryzantemę pod poduszką Cindy? A właśnie, wtedy powinienem się zorientować, że to nie sprawa Gossa, bo chyba najlepiej ze wszystkich wiedziałem, że on ma inną „wizytówkę” – nasiona. W perwersyjnej wyobraźni stawiał znak równania między nasionami a własnym nasieniem. Był psychopata, ale niesłychanie konsekwentnym, jeśli o to chodziło.

– To znaczy, że komuś zależało, abyś myślał, że Goss chce cię załatwić – powtórzył Manny z namysłem. – Ale dlaczego?

– Tego nie wiem, ale przypuszczam, że dlatego, iż chciano go zabić, a jednocześnie rzucić podejrzenie na mnie. To wyjaśniałoby sprawę tłumika, który niby to znaleziono w moim aucie w warsztacie. Ktoś go podrzucił.

Adwokat zastanawiał się, masując z wolna brodę.

– A dlaczego ktoś chciałby cię zrobić w zabójstwo Eddy'ego Gossa?

– Tego nie wiem. Nie wykluczam jednak, że mogła to być zemsta za wybronięcie Gossa, a uknuł ją na przykład przyjaciel ofiary albo (też niewykluczone) ktoś z policji. Wszyscy z Instytutu mieliśmy wrogów w policji, a poza tym taką hipotezę potwierdzałyby telefon pod dziewięćset jednaście, że widziano jakiegoś policjanta na miejscu zdarzenia zaraz po zabójstwie.

To prawda, dysponowali informacją o policjancie. Ujawnił ją prokurator

zgodnie z wytycznymi Sądu Najwyższego, wedle których oskarżyciel publiczny obowiązany jest udostępnić obronie wszystkie istotne fakty.

– Mamy nagranie – Manny podtrzymał wątek tajemniczego telefonu – ale nie mamy człowieka. Nie wiemy, kto dzwonił pod dziewięćset jedenaście – westchnął i obrócił się z całym fotelem w stronę okna.

Jack starał się odgadnąć, o czym Manny myśli. Zależało mu, aby zdobyć jego zaufanie, nie tylko dlatego, że był jego obrońcą, ale przede wszystkim dlatego, że był jedyną osobą, oczywiście poza Cindy, wobec której deklarował swoją niewinność. A poza tym jego zdanie miało swoją wagę. Słuchano go i ceniono. To ostatnie wyrażało się także w honorariach, jakie otrzymywał od bogatych klientów, za które luksusowo, ale i gustownie urządził biuro i gabinet. Bezcenne okazy prymitywnej sztuki prekolumbijskiej zdobiły półki i ściany. Pod oknem na całą ścianę, za którym rozpościerał się widok na zatokę, stał rząd rzeźbionych wojowników z plemienia Majów. Miało się wrażenie, że modlą się do porannego słońca. Na marmurowym blacie biurka akcent sentymentalny: kryształowa czara, przewiązana białą wstążką, z ziemią z rodzinnych stron na Kubie, skąd Cardenalowie wyemigrowali ponad trzydzieści lat temu ze strachu przed młodym rewolucjonistą, który wkrótce przemienił się w despotę.

– Coś ci powiem, Jack – Manny spojrzał głęboko w oczy swego klienta – wierzę, że jesteś niewinny. Nie mówię tego jako adwokat, który podjął się obrony. Chcę, żebyś o tym wiedział i niczego przede mną nie ukrywał. To bardzo ważne. A skoro już to sobie powiedzieliśmy, to chciałbym, abyś zrozumiał, dlaczego twoja teoria, że ktoś cię wrabia, nie wzbudziła mojego entuzjazmu. Tkwię w tej branży od dwudziestu lat i nie miałem jeszcze klienta, który nie mówiłby, że go wrobiono. Sam wiesz, że przysięgli podchodzą do tego typu spraw bardzo sceptycznie, a poza tym szalenie trudno coś takiego udowodnić.

– Trudno, ale nie jest to niemożliwe.

– To racja, nie jest niemożliwe. Zresztą kilka ważnych wątków mogłoby potwierdzić twoją teorię. Po pierwsze, jest ów Richard Dressler. Kim on właściwie jest i po co węszył w twoich aktach? Po wtóre, warto by znaleźć człowieka, który dzwonił pod dziewięćset jedenaście, że widział policjanta opuszczającego miejsce zdarzenia. Trzeba pójść tymi śladami, i to szybko, bo zabierze to trochę czasu, zwłaszcza sprawa telefonu.

– Czasu mamy niewiele – zauważył Jack.

– Ejże, proces dopiero za dwa miesiące.

– Nie mówię o sprawie.

– Ale...

– Wydaje mi się, że nie dostrzegasz jednego elementu – rzekł Jack poważnym tonem. – Otóż nie mamy ani dwóch miesięcy, a kto wie – może nawet dwóch minut. Chodzi o to, Manny, że drań, który mnie w to wszystko zrobił, jest zabójcą, wyrachowanym mordercą. Musimy znaleźć człowieka, który telefonował, zanim on to uczyni.

Gdyby sądzić po gazetach, jakie Jack przeczytał przy lunchu, to opinia publiczna nie interesowała się obecnie niczym innym, tylko młodym, zdolnym synem gubernatora, który nagle oszalał i rozwalił łeb swemu klientowi. Jack miał spore doświadczenie, jeśli chodzi o nieżyczliwą prasę, więc nie przejął się specjalnie, ale przyjemnie mu było, gdy odsłuchawszy automatyczną sekretarkę dowiedział się, że Mike Mannon i Neil Goderich zaoferowali się z pomocą.

Ale jeden z artykułów naprawdę go zmartwił. Pisano o dowodach, jakie oskarżenie zebrało przeciwko niemu, a przy okazji wspomniano o anonimowym telefonie pod 911. „Jest to niewiele – stwierdzał autor – ale jednak coś, do czego adwokat o reputacji i doświadczeniu Jacka Swytecka może się dość skutecznie odwołać, aby podważyć linię oskarżenia”. Jacka zaniepokoiło to, że sprawa wiadomości przekazanej pod 911 stała się własnością publiczną.

Tymczasem pojechał do wydziału dokumentacji i poprosił o taśmę z nagraniem anonimowego informatora. Odsłuchał ją na magnetofonie kilka razy, aby dobrze zapamiętać głos, co zresztą nie było specjalnie trudne, jako że człowiek, który telefonował pod 911, posługiwał się łamaną angielszczyzną, wtrącał wiele hiszpańskich słów.

Z komisariatu pojechał pod dom Gossa. Sprawdził nazwiska na skrzynkach pocztowych. Siedemnaście wyglądało na latynoskie i te spisał sobie na kartce. Następnie w książce telefonicznej, w automacie na rogu ulicy, wyszukał numery telefonów. Wrócił do auta i zaczął wydzwaniać z aparatu komórkowego. Przedstawiał się jako ankieter z radia, badający opinie na temat polityki imigracyjnej Stanów Zjednoczonych, albo jako agent handlowy, a czasami udawał wręcz, że po prostu pomylił numer. Chodziło mu tylko o to, aby osoba, do której dzwonił, wypowiedziała kilka zdań. Liczył, że w ten sposób uda się zidentyfikować autora anonimowego zawiadomienia.

Pod kilkoma numerami nikt nie odpowiadał. Jeden telefon był wyłączony, a spośród osób, do których się dodzwonił, żadna nie miała głosu podobnego do głosu z taśmy. Stracił dobre pół godziny, niczego nie zyskał. A niech to diabli!

Siedząc w mustangu przed domem Gossa, patrzył na ostatnie promienie zachodzącego słońca, igrające po szybach, i zastanawiał się, czy nie jest za późno.

Rankiem następnego dnia, a więc we czwartek, Jack i Manny przygotowywali się do spotkania z pierwszym potencjalnym świadkiem obrony – Gina Terisi, która mogła potwierdzić alibi Jacka.

On sam podchodził do tego bez emocji, obojętnie, nadal bowiem uważał, że najlepszą linią obrony będzie raczej wykazanie, iż padł ofiarą spisku, że wszystko zostało ukartowane, aby zrzucić winę na niego. Umawiał więc Ginę bez przekonania, a teraz, gdy lada moment miała się zjawić, zastanawiał się, czy w ogóle nie odwołać spotkania. Manny nalegał.

– Nie bądź śmieszny – perorował zza biurka – bo nawet jeśli w tej twojej teorii o spisku i ukartowaniu sprawy coś jest, jeśli przyjąć, że byłaby to dobra strategia obrony, i nawet jeśli moi ludzie znajdą coś na Dresslera, to jednak rzecz jest niezwykle trudna do udowodnienia. Nie ma lepszego dowodu niewinności niż alibi, już choćby tylko dlatego, że nikt, niezależnie od tego, czy go w coś wrabiają, czy nie, nie może być jednocześnie w dwóch różnych miejscach.

– To prawda.

– Rozumiem twoje opory w związku z Gina, bo oczywiście głupio się poczujesz, kiedy brukowe dzienniki wyciągną, że alibi polega na tym, iż w decydującym momencie zbawiałeś się w łóżku z najlepszą przyjaciółką swojej dziewczyny. Ale gorzej będzie, jeśli ława przysięgłych wyda wyrok skazujący za morderstwo z premedytacją. A więc – sięgnął po telefon – nie każmy pani Terisi czekać, zgoda?

Jack westchnął głęboko. Z wielu różnych przyczyn wolałby uniknąć udziału Giny w sprawie, ale było już za późno.

– Zgoda, zobaczmy, co ona powie.

– Shelley, poproś panią Terisi – polecił Manny sekretarce. W sekundę później otworzyły się drzwi, sekretarka wprowadziła Ginę. Adwokat uprzejmie wstał na powitanie, Jack też, choć bez specjalnego entuzjazmu.

– Witamy, witamy – mówił Manny z błyskiem w oku. Twarz mu pojaśniała, jak prawie wszystkim mężczyznom na widok Giny Terisi. Miała na sobie suknię w kolorze głębokiego błękitu, dość obcisłą, aby podkreślała zgrabną sylwetkę. Brązowe włosy spięła pod czarnym kapeluszem z wielkim rondem, w uszach lśniły trzy diamentowe kolczyki, jeden w prawym, dwa w lewym uchu. Razem ze trzy karaty – ocenił Jack. Bez wątplenia pamiątka po którymś z wielbicieli.

– Miło cię widzieć, Jack – Gina zmusiła się do uśmiechu.

Skinął tylko głową, natomiast adwokat pośpieszył z za biurka. – Proszę, niech pani siada – gestem pełnym galanterii podsunął jej fotel, na którym jeszcze przed chwilą siedział jego klient.

– Dziękuję, jest pan bardzo miły – Gina promieniała. Jack przeniósł się na kanapę pod okno, a Manny wrócił za biurko. Dziewczyna wystudiowanym ruchem założyła nogę na nogę, jakby wznosiła mur między sobą a dwoma prawnikami.

– Może kawy? – zaproponował adwokat.

Nie zareagowała. Pilnie studiowała własne odbicie w szklanym blacie stolika obok fotela. Uznała, że makijaż wymaga korekty, i uzupełniła ledwie widoczny brak szminki na pełnych wargach, czemu Manny przyglądał się w niemym zachwycie.

– Nie, dziękuję – odparła wreszcie. – A poza tym nie zabawię długo, zapewniam panów.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – spytał Manny.

– Tylko tyle, że gdy Jack zadzwonił, to – owszem – zgodziłam się poświadczyć jego alibi, ale jest parę spraw, które chciałabym ustalić, zanim ostatecznie się zdecyduję.

– Ależ oczywiście, rozumiem – pośpieszył Manny z odpowiedzią. – Zrobimy wszystko, żeby rozwiać pani wątpliwości.

– Skoro tak – lekko zmarszczyła brwi, jakby chciała podkreślić wagę sprawy – to proszę mi powiedzieć, o której dokładnie godzinie doszło do zabójstwa Eddy'ego Gossa.

– A po co ci to? – wtrącił Jack.

– Nieważne – Gina nawet nie spojrzała na Jacka. – No więc? – pytanie wyraźnie zaadresowała do Manny'ego. Adwokat poprawił się na fotelu. Też był ciekaw, o co jej naprawdę chodzi.

– No cóż, nie znamy dokładnej godziny, ale wedle wstępnych ustaleń lekarzy musiało to nastąpić po czwartej rano. Wskazuje na to fakt, że krew jeszcze nie skrzepła, gdy policja przybyła na miejsce zdarzenia.

– A więc nie przed czwartą? – upewniła się.

– Jeśli dać wiarę lekarzom. Jedno jest pewne, śmierć nastąpiła natychmiast.

– To właśnie chciałam wiedzieć – odpowiedź wyraźnie ją usatysfakcjonowała.

– Nie będę zeznawać w twojej sprawie – zwróciła się do Jacka – nie mogę i nie mam zamiaru.

Jack zmartwił zaskoczony. Manny spojrzał na niego, też wielce zdziwiony.

– A dlaczego? – spytał.

– Czas zabójstwa wszystko zmienia. Jeśli Gossa zastrzelono, jak powiadacie, po czwartej, to alibi, jakie ja mogę dać Jackowi, nie ma znaczenia. Owszem, moje ewentualne zeznanie może wyjaśnić, skąd się wzięły jego zadrapania – uśmiechnęła się nieco dwuznacznie – ale niewiele więcej. Nie mogę zaświadczyć, że w czasie morderstwa był gdzie indziej.

– Ale przecież spaliście ze sobą – wtrącił Manny rzeczowo.

– Nie spaliśmy – odpowiedziała tym samym tonem. – Pieprzyliśmy się – specjalnie chyba użyła tego słowa – i nie było mowy o spaniu, a co ważniejsze, nie spędziliśmy ze sobą całej nocy. Jack wyszedł ode mnie przed trzecią. Jestem tego pewna.

Manny spojrział na Jacka, ten jednak unikał jego wzroku. Gina wstała z miejsca, szykując się do wyjścia.

– Przykro mi, chłopcy. Nie mam najmniejszego zamiaru obwieszczać całemu światu, że poszłam do łóżka z chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki, zwłaszcza że prawda nie miałaby żadnego znaczenia dla sprawy.

– Zdaje sobie pani sprawę, że możemy panią wezwać do sądu? – Manny pochylił się w jej stronę. Mówił z naciskiem, ale nie chciał, aby zabrzmiało to jak groźba. – A wtedy będzie pani musiała złożyć zeznania.

– Owszem, możecie mnie wezwać, ale jeśli nie zechcę, nikt mnie nie zmusi, abym zaświadczyła, że Jack był ze mną.

Miała rację i Manny doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Spróbował więc inaczej.

– Ale chyba zależy pani, żeby mu pomóc?

– Otóż to. Wcale mi nie zależy. Żegnam panów – zakończyła zimno i wyszła.

W gabinecie zapanowała męcząca cisza. Wreszcie Jack spojrział na Manny'ego.

– Ostrzegałem cię – powiedział.

– Wydaje mi się, że mówiła prawdę – odparł obrońca surowym tonem. – I rozumiem, dlaczego nie przywiązywałaś wagi do alibi. Skłamałeś Jack. Mówiłeś, że spędziłeś u niej noc, całą noc, a to nieprawda, mam rację?

Jack westchnął ciężko i odwrócił wzrok.

– Było niemal dokładnie tak, jak ci opowiedziałem, Manny – rzekł cicho. – Kiedy się kochaliśmy, czy jak to chcesz nazwać, ktoś wślizgnął się do domu, rozmazał keczup na prześcieradle i wsunął chryzantemę pod poduszkę w pokoju Cindy. Ten sam człowiek zadzwonił później i próbował skłonić mnie, żebym jeszcze raz pojechał do Gossa, czego jednak absolutnie nie miałem zamiaru zrobić.

Prawdą jest też, że zaraz potem wyszedłem od Giny. Daję słowo, że nie chciałem zostawiać jej samej, zwłaszcza gdy zobaczyłem, co ten psychopata zrobił z moim autem, ale z drugiej strony nie chciałem obudzić się rano w jej łóżku. Dlaczego? – możesz spytać – przecież zerwaliśmy z Cindy. Owszem, ale mimo wszystko... nie chciałem zostać, więc wziąłem tyłek w troki i wyszedłem...

– Przed trzecią?

– Przed.

– Całą godzinę przed zabójstwem Gossa.

– Na to wygląda.

– Nie do wiary – mruknął Manny kręcąc głową. – A może przeciwnie – zrozumiałe, bo przecież człowiek oskarżony o morderstwo zawsze się chwyta wszelkich sposobów, ale, do diabła, Jack, na co właściwie liczyłeś? Na amnezję? Że Gina nie będzie pamiętać, o której wyszedłeś?

– Nie wiem, nie mam pojęcia, pewnie na to, że Gina nie zapamięta, o której się rozstaliśmy. Sporo przecież wypiliśmy. Wydawało mi się, że nie zauważyła, o której wyszedłem, a może liczyłem, że się pomyli i powie, iż o wpół do piątej...

– Liczyłeś, że będzie kłamać w twojej sprawie.

– No nie, to znaczy nie wiem, nie wiem, na co liczyłem.

Manny nie krył rozczarowania, a po chwili rozczarowanie zamieniło się w podejrzenie.

– Powiedz mi Jack, czy to wszystko? A może są jeszcze inne kłamstwa, groźniejsze niż fałszywe alibi?

– Wątpisz, że jestem niewinny?

– Nie, a przynajmniej nie znajduję powodów, by wątpić w to, co mi powiedziałeś, ale też nie mogę się zgodzić, aby klient, którego mam bronić, oszukiwał mnie, a już na pewno nie mogę dopuścić, aby sam siebie stawiał w takim świetle, by nikt nie miał wątpliwości, że musiał zabić Gossa.

– Obrazasz mnie. Nikogo nie zabiłem.

– Czyżby? A więc po co pojechałeś do niego? W jakim celu wchodziłeś do jego mieszkania jeszcze przed przyjazdem do Giny? Dlaczego wziąłeś pistolet? Co chciałeś zrobić?

Trudne pytanie. Jack zawahał się przez chwilę.

– Nie wiem, nie umiem powiedzieć, po co wziąłem broń.

– Ejże! – Manny spojrzał prosto w oczy Jacka. – Zastanów się – powiedział z naciskiem. Nie oskarżał, nie sądził, stawiał tylko pytania, ale w taki sposób, że Jack poczuł się nieswojo.

– Wiem tylko jedno, nie zabiłem Eddy'ego Gossa.

– Ja też wiem jedno: nie próbuj kręcić przed swoim własnym obrońcą, nie przekreślaj szansy na uniewinnienie.

Jack podniósł wzrok. Milczał. Nie musiał nic mówić. Sprawa była oczywista.

– A zresztą – stwierdził po chwili – może dobrze się złożyło. Gorzej by się stało, gdyby Gina powiedziała to wszystko na rozprawie.

Manny oparł się na fotelu.

– Jedna tylko sprawa nie daje mi spokoju. Kiedy zwróciłem jej uwagę, iż chyba powinna ci pomóc, odparła, że nie chce. Tego nie rozumiem.

– To cała ona.

– Może masz rację, ale nie bardzo pojmuję, czy tylko odmawia pomocy, czy chodzi jej o coś więcej. Czy przypadkiem nie chce cię bardziej pogrożyć?

Jacka zmroziło.

– Nie sądzę – słowa przychodziły mu z trudem – choć z Gina nigdy nic nie wiadomo.

– Ale akurat to musimy wyjaśnić.

– Może powinienem z nią porozmawiać. Być może w cztery oczy zechce powiedzieć coś więcej.

– To jest pomysł! Spróbuj porozmawiać z nią szczerze, po przyjacielsku. Im szybciej, tym lepiej. Daj mi znać, gdy tylko spotkasz się z nią.

– Jasne – powiedział na odchodnym Jack.

– I jeszcze jedno – wstrzymał go Manny przy drzwiach. – Gina może być najważniejszym świadkiem, więc ostrożnie! Nie zrażaj jej, bądź uprzejmy, a jeśli nic nie wskórasz, zapytaj, czy nie zechciałaby spotkać się ze mną. Ja się nią zajmę. Głowa do góry! Umieję rozmawiać ze świadkami, zwłaszcza kobietami.

– Rozumiem i dzięki – odparł Jack z zagadkową miną. – Ale takiej jak ona jeszcze chyba nie spotkałeś.

Siedemdziesięcioletni Wilfredo Garcia stał przy kuchence gazowej niemal tak wiekowej jak on sam i gotował obiad – *bistec palamillo con platanos fritos* – wołowinę z pieczonymi bananami. Uchodźca z Kuby, przybył do Ameryki z dorosłymi dziećmi jeszcze w 1962 roku, ale nadal mówił łamaną angielszczyzną. Nie opanował języka przybranej ojczyzny, i gdy chciał coś istotnego przekazać, nieodmiennie przechodził na hiszpański, a że miał wyjątkowo sympatyczne usposobienie, słuchacze nie brali mu za złe niedoskonałości językowych.

Wilfredo był pulchny, o brązowych oczach i tłustych policzkach, i uwielbiał jeść. Wiezorami zwykle jadał w domu, także dlatego, że okolice Adams Street nie należały do bezpiecznych, zwłaszcza po zmierzchu.

Posypywał właśnie wołowinę siekaną pietruszką i cebulą (bo tak mu smakowała najbardziej), gdy zadzwonił telefon. Wilfredo spojrzał na aparat, ale nie podniósł słuchawki. Od kilku dni, od kiedy przeczytał w gazecie, że w sprawie Jacka Swytecka wielkie znacznie ma anonimowa wiadomość przekazana pod numer 911, nie odbierał telefonów. Zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później zaczną się poszukiwania, nie chciał jednak w nic się mieszać. Właśnie dlatego tamtej krytycznej nocy poszedł zatelefonować z automatu, aby policja nie mogła ustalić, że to on był owym tajemniczym informatorem. W dalszym ciągu zresztą nie miał zamiaru przyznawać się do niczego. Postanowił, że do czasu, kiedy sprawy nie uspokoją się, będzie żył jak pustelnik.

Ale telefon dzwonił. Najpierw dziesięć dzwonek, potem cisza i znów dwanaście. Uparcie, to pewnie coś ważnego – pomyślał Wilfredo. Może córka z Nowego Jorku, a może bukmacher, do którego stale zaglądał. Wytarł ręce, wyłączył kuchenkę, podniósł słuchawkę.

– *Oigo* – odezwał się po hiszpańsku.

– Wilfredo Garcia?

– *Si*.

– Mówi Michael Cookson z komendy policji. Jak się pan ma?

Serce Kubańczyka podeszło do gardła. Żałował, że podniósł słuchawkę.

– Dziękuję, dobrze – odparł po angielsku z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Panie Garcia, prowadzę właśnie rutynowe czynności w związku z zabójstwem Eddy'ego Gossa, a pan – jak rozumiem – mieszka na tym samym piętrze, prawda?

– *Si*, to samo piętro, ale – *por favore* – nic nie wiem, nic nie słyszałem, nie chcę

mieć z tym nic wspólnego.

– Ależ rozumiem, panie Garcia, i nie zakłócałbym panu spokoju, gdyby nie chodziło o ważną sprawę. Otóż poszukujemy człowieka, który krótko po zabójstwie zadzwonił pod numer dziewięćset jedenaście z automatu przed pańskim domem.

– Ale ja nie... – powtórzył Wilfredo.

– Rozumiem – policjant był naprawdę uprzejmy i budził zaufanie – doskonale rozumiem, i tak między nami, wcale nie zależy mi, czy złapią winnego, czy nie. Wiemy, jaki był Goss, prawda? Ale co robić, trzeba sprawdzić wszystkie ślady. Gdyby więc przypadkiem dowiedział się pan, kto dzwonił tamtej nocy, to niech mu pan łaskawie podpowie, aby skontaktował się z nami, zanim dobraćą się do niego adwokaci. Mogę na pana liczyć?

– Tak jest – odparł Wilfredo niepewnie. Czuł ucisk w gardle.

– A żeby pana nie trudzić, Mr Garcia, bo wiem, że ludzie dość niechętnie udzielają pomocy, to powiem, że nie ma potrzeby, aby pan albo ktokolwiek przychodził do nas, na komendę. Nawet nie musi pan tam dzwonić. Dam panu numer mojego pagera. Wystarczy mi dać znać, gdyby dowiedział się pan czegoś. Potrzebna mi tylko informacja i przyrzekam, że nikt ode mnie nie usłyszy pańskiego nazwiska i w ogóle niczego, chyba że będzie to absolutnie niezbędne. Rozumiemy się?

– *Si.*

– To niech pan łaskawie zapisze numer: pięć, pięć, pięć, dwa, dziewięć, zero, zero. Zanotował pan?

– Zanotowałem.

– Doskonale. Przepraszam, że pana trudziłem. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wilfredo z ulgą odłożył słuchawkę. Zdziwił się, że posłusznie zanotował numer. Nie miał przecież ani ochoty, ani tym bardziej zamiaru mieszać się w cokolwiek, ale ten sam wewnętrzny głos, który kazał mu tamtej nocy zadzwonić pod 911, znów zaczął go męczyć. Pamiętał, jak to było, gdy otrzymał obywatelstwo USA. Składał wtedy przysięgę, że stanie się lojalnym obywatelem, i do dziś nie zapomniał rotę przysiężenia.

Zerknął na numer. Policjant robił miłe wrażenie, swój chłop, więc nie ma się co bać. Może warto powiedzieć, co i jak, i zrzucić to z siebie.

Garcia westchnął głęboko, podniósł słuchawkę. Ręce mu drżały, ale wykrecił numer.

Po wyjściu od Manny'ego Jack opuścił dach w mustangu i wybrał się na dłuższą przejażdżkę drogą wzdłuż plaży. Dwa dni temu zadzwoniła Cindy. Nie rozmawiali o niczym specjalnym, gdy nagle oświadczyła, że chciałyby wrócić z rzeczami. Ucieszył się, i to bardzo, ale wydarzenia ostatnich dwóch dni nieco ostudziły jego entuzjazm. Tymczasem Cindy miała się wprowadzić właśnie dziś i pewnie już się rozpakowuje. Jack musiał przemyśleć sprawy i dlatego przed powrotem do domu wybrał się nad morze.

Spotkanie z Gina podziałało nań jak kubek zimnej wody. Zdał sobie sprawę, że nie ma co się łudzić, tamtego wieczoru raczej nie uda się zachować w tajemnicy. Zastanawiał się więc, jak postąpić dalej, aby z jednej strony zapewnić sobie pomoc Giny w sprawie, a z drugiej nie narazić związku z Cindy. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Gdy wreszcie zajechał pod dom i wyłączył silnik, było już po szóstej. Nieco wcześniej Manny porozumiał się z nim przez telefon komórkowy, a wiadomości, jakie przekazał, wcale nie były pocieszające. Jack myślał o tym idąc ścieżką przez ogród do domu.

Nie zdążył nawet wejść na ganek, gdy drzwi się otworzyły.

– Cześć! – zawołała Cindy od progu, uśmiechnięta, promieniejąca, więc choć czuł się podle, przytulił ją do siebie.

– Rozpakowałaś się?

– Prawie – wzięła go za rękę i poprowadziła do salonu.

– Straciłam sporo czasu grzebiąc w szafach Giny, żeby zebrać to, co ode mnie pożyczła.

Usiedli na kanapie. Cindy w lot wyczuła, że Jack czymś się martwi.

– Mam nadzieję, że nie chodzi o nas.

– Cindy – westchnął – wiesz, jak bardzo pragnąłem, żebyśmy znów zamieszkali razem, ale dziś myślę sobie, że to chyba nie najlepszy pomysł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie chodzi o uczucia, wiesz, że cię kocham, ale boję się, że tu nie będziesz bezpieczna.

– A to dlaczego?

Opowiedział jej pokrótce o wydarzeniach ostatnich dwóch dni, skupiając się głównie na osobie adwokata z Tamy nazwiskiem Richard Dressler.

– A czemu interesował się twoją sprawą?

– Chodzi o to, że to wcale nie on. Właśnie miałem telefon od Manny'ego. Jego człowiek rozmawiał z Dresslerem i okazało się, że przed dwoma miesiącami skradziono mu portfel z dokumentami, łącznie z legitymacją adwokacką.

– Co znaczy, że ktoś, kto był w wydziale dokumentacji, posłużył się jego papierami?

– Właśnie. Grzebał w moich aktach. Nie wiem, kto to może być, ale sądzę, że chce mnie zrobić, i jest to zapewne ten sam człowiek, który mnie nęka od samego początku. Dziś jest jasne, że to nie Goss.

– Chcesz więc powiedzieć, że... – Cindy zrobiła wielkie oczy.

– Sam nie wiem, co sądzić. Jeszcze tego nie przemyślałem. Jedno tylko wiem, a mianowicie, że morderca czyha na wolności, że człowiek, który mnie napastował, żyje i coś knuje.

– Skoro wiemy, że to nie Goss, to kto?

– Nie wiem, ale muszę to ustalić, do tego czasu jednak – tak myślę – najlepiej będzie, jeśli gdzieś wyjedziesz przynajmniej na kilka dni...

– Wykluczone – nie pozwoliła mu dokończyć – zostaję z tobą. Nie zamierzam cię opuścić w takiej chwili. Razem stawimy temu czoło.

Westchnął głęboko, objął ją, przyciągnął do siebie.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że nie mogę zawiadomić policji. Nie mogę im powiedzieć, że człowiek, który mnie prześladował, znów coś knuje. Gdyby policja dowiedziała się, że byłem przekonany, iż to Goss mnie napastuje, to oskarżenie zyskałoby motyw zabójstwa.

Cindy przygryzła wargi. Pomyślała, że to bez sensu, by nie móc nikomu nic powiedzieć o prześladowcy, ale z drugiej strony wszystko, co mówił Jack, brzmiało logicznie.

– Trudno – westchnęła – skoro nie możemy zawiadomić policji, musimy się strzec sami.

Tego samego wieczoru gubernator Harold Swytek wynajął apartament na trzydziestym drugim piętrze hotelu Intercontinental w Miami, gdyż niebawem miał wziąć udział w obiedzie w tymże hotelu i wygłosić przemówienie do grupy sympatyków, którzy zresztą słono zapłacą za przywilej obiadowania w jego towarzystwie. Tymczasem jednak sam musiał sypnąć groszem. W pokoju czekała już spora doniczka z chryzantemami, którą zamówił w kwiaciarni. Wyciągnął pieniądze z teczki – całe pięćdziesiąt tysięcy – i włożył do doniczki. Następnie

wyjął parę mokasynów z walizki i z trudem opanowując złość włożył do reklamówki. Było w tym coś poniżającego. Czuł się tak, jakby go obrabowano na ulicy, ale jeśli ma to zadowolić szaleńca, to niech mu będzie. A zresztą wyłożyłby dużo więcej niż pięćdziesiąt tysięcy, aby tylko szantażysta dał mu wreszcie święty spokój, raz na zawsze.

Sprawdził czas. Osiemnasta trzydzieści, trwa jeszcze wieczorny szczyt na ulicach, więc podróż na cmentarz zajmie co najmniej dwadzieścia minut. Po raz nty tego dnia gubernator przeanalizował sytuację, starając się znaleźć jakieś wyjście z szamba, w którym się znalazł. Dobrego rozwiązania jednak nie było, bo nie mógł przecież zawiadomić policji. Nie mógł też machnąć na wszystko ręką i pozwolić, aby prześladowca spełnił groźbę. Pozostawało tylko jedno – zastosować się do żądań szantażysty i liczyć, że jednak uda się uratować to wszystko, czego z takim trudem dorabiał się przez całe życie.

Wziął doniczkę oraz reklamówkę z mokasynami, chwycił kluczyki do samochodu z wypożyczalni i wyszedł z pokoju w takim nastroju, jakby za chwilę miał stanąć nad własnym grobem.

Jack z Cindy poszli do łóżka o dziewiątej i kochali się przy dźwiękach audycji „Dla miłośników jazzu” aż do północy, kiedy prezenter oznajmił: „Dzięki Bogu, już piątek”. Przed zaśnięciem Jack ostatecznie postanowił, że powie Cindy, co zaszło z Gina. Namyslał się tylko, jak to uczynić, natomiast nie miał najmniejszych wątpliwości, że musi to zrobić, Cindy bowiem naprawdę wiele ryzykowała zostając z nim, więc powinien być wobec niej absolutnie szczery. Tego wymagała zwyczajna uczciwość. Najpierw jednak musi uprzedzić Ginę i zorientować się, co myśli, a najważniejsze – upewnić się, że jeśli stanie przed sądem jako świadek oskarżenia, to nie zacznie publicznie prać brudów.

Więc nazajutrz po południu wybrał się do Giny. Zamyślony jechał tak wolno, że wyprzedzały go nawet autobusy z turystami zwiedzającymi miasto.

Właśnie wróciła do domu po przebieżce. Miała na sobie pomarańczowe szorty, adidas i skąpą górę, mokrą od potu, która przylgnęła do biustu. Brązowe włosy związała w kok na karku.

– Mogę wejść? – spytał od progu Jack.

Gina sączyła lemoniadę. Powitała go spojrzeniem równie chłodnym jak kostka lodu w szklance.

– Wejdz – wzruszyła obojętnie ramionami.

Wszedł więc, zamknął za sobą drzwi i podążył w ślad za nią do kuchni.

– Rozumiem, że nie jest to twój ulubiony temat, ale po przedstawieniu, jakie urządziłaś wczoraj u Manny'ego, doszedłem do wniosku, że musimy porozmawiać.

– Nie sądzę, abym chciała coś dodać – Gina otworzyła lodówkę i dołała soku do szklanki.

– Właśnie chciałbym się upewnić. Zmartwiłem się, gdy zapowiedziałaś, że nie zechcesz mi pomóc.

– No cóż – odrzekła z wymuszonym uśmiechem – może rzeczywiście powinnam ująć to trochę delikatniej, choć nie zmieniłoby to istoty sprawy. Po prostu nie chcę się mieszać, co chyba cię nie dziwi ani martwi. Tak myślę, Jack, i tak czytam w twojej twarzy. Mam wrażenie, że ja jako alibi to ostatnia rzecz, na której ci zależy.

– Skąd wiesz, na czym mi naprawdę zależy?

– Czyżby? – spytała kusząco, niskim, ciepłym głosem, który wyrażał wszystko. Pytanie Jacka potraktowała jak wyzwanie. Przysunęła się do niego tak blisko, że

czuł na policzku jej oddech, a w nozdrzach zapach rozgrzanego ciała, co przypomniało mu o wydarzeniach, do których nie powinien dopuścić. Sięgnęła ręką do tyłu i rozpuściła włosy. – A zresztą spytam inaczej. Czy naprawdę chciałbyś, abym zeznała, że znam nie tylko ciebie, ale i twoje ciało – przesunęła palce na wysokości jego piersi, nie dotknęła go, ale czuł ciepło jej dłoni – że czułam jego ciężar na sobie, że wnikaliśmy w siebie przez całą noc, że pełno było westchnień, krzyków i potu, że za każdym spazmem rozkoszy wbijałam ci paznokcie w plecy, a zęby w piersi, domagając się jeszcze i jeszcze, choć dałeś mi więcej, niż kobieta może oczekiwać? Naprawdę tego chcesz? A jeśli już zacznę mówić przed sądem, to wolałbyś, żeby Cindy była przy tym, czy nie?

Jack odsunął ją od siebie.

– To, co zdarzyło się między nami, było błędem i chyba oboje tego żałujemy, a sądzę, że mogłabyś dać mi alibi bez tych sensacyjnych szczegółów.

Gina wylała resztę lemoniady do zlewu, otworzyła barek, odmierzyła sobie porcję campari.

– Chcesz mnie namówić?

– Namówić do czego?

Uniosła wymownie brwi, pociągnęła łyk ze szklanki.

– Chcesz, żebym zeznała, iż nie wyszedłeś ode mnie przed czwartą?

Jack znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy mówi na serio. Teraz z pewnością nie żartowała.

– Daj spokój, Gina, nie o to chodzi, nie po to przyszedłem.

– Nie mówiłam, że taki miałeś zamiar, ale nie zawsze przychodzi się z określonym zamiarem. Przypomnij sobie, jak to było ostatnim razem. Nie przyszedłeś, żeby się ze mną przespać, a jednak...

– I żałuję, że tak się stało.

– Czyżby? A może chodzi ci tylko o to, aby Cindy nigdy się nie dowiedziała.

Odwrócił wzrok, starając się opanować. Irytacją nic nie wskóra.

– Nie przyszedłem tu, aby dostać od ciebie alibi. Chciałem się tylko upewnić, że nie będziesz zeznawać przeciwko mnie.

– Nie wygłupiaj się – spojrzała nań zdziwiona – to absurd. Nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego.

– A jeśli chodzi o to, co zdarzyło się między nami, niczego Cindy nie powiedziałem, ale powiem w odpowiedniej chwili.

– Takiej chwili nie będzie. Znam Cindy, znam ją lepiej niż ty. Jeśli tylko dowie się o wszystkim, nigdy więcej jej nie zobaczymy, ani ty, ani ja. W jednym tylko

przypadku można i trzeba by jej powiedzieć, a mianowicie, gdybym zaświadczała o twoim alibi, a tego nie zrobię, więc nie ma o czym mówić. Nie pozwolę, żebyś mnie obsmarował wobec niej tylko dlatego, że ogarnęły cię spóźnione wyrzuty sumienia. Nigdy! Rozumiesz? Nigdy na to nie pozwolę.

– To nie od ciebie zależy.

– A właśnie, że tak, ponieważ zawsze mogę zmienić zdanie i zacząć zeznawać przeciwko tobie. Nie mam innego wyjścia i przysięgam, że jeśli piśniesz choćby słowo i Cindy się o nas dowie, to idę na policję i wszystko mówię, nie wyłączając tego, że zjawileś się wtedy u mnie, bo byłeś przekonany, że Eddy Goss ściga was oboje. Powiem zresztą więcej, także o tym, co tu naprawdę się zdarzyło i skąd się wzięły twoje zadrapania. Powiem, że wpuściłam cię do domu, bo śmiertelnie mnie przestraszyłeś opowieścią o Gossie. Powiem, że miałeś spać na kanapie w salonie i darzyłam cię pełnym zaufaniem, a podrapałam cię dopiero wtedy, gdy wdarłeś się do sypialni, zerwałeś ze mnie koszulę i rzuciłeś się na mnie. – Przerwała i dopiła campari do końca. – A więc – ciągnęła – wybór należy do ciebie: albo postąpisz jak dorosły mężczyzna i to, co zdarzyło się między nami, zachowasz dla siebie, albo liczyć się z konsekwencjami.

Jacka zamurowało, nie wierzył własnym uszom.

– Ale dlaczego? – nie rozumiał – dlaczego nie chcesz powiedzieć prawdy?

– Bo to nikomu nie jest potrzebne. Jeśli powiem prawdę policji, nic ci nie pomogę. Jeśli powiem prawdę Cindy, obojgu nam to zaszkodzi. Tak więc znasz moje warunki: albo oboje milczymy, albo oboje mówimy. Decyzja należy do ciebie.

Miał ochotę jej odpalić, żeby nie wtykała nosa w sprawy jego i Cindy, ale w tej sytuacji nie mógł sobie na to pozwolić. Niewykluczone, że bluffowała, nie wierzył, że gotowa byłaby sfabrykować historię o rzekomym gwałcie, ale też nie mógł niczego ryzykować. To ona rozdawała karty.

– Trudno – powiedział zrezygnowany – przyjmuję warunki, nie mam wyboru.

– Rozsądny chłopak – pochwaliła go. – Napijesz się campari? – podniosła szklanę.

Nie odpowiedział, wyszedł bez słowa.

Była piąta trzydzieści rano, gdy Wilfreda Garcię obudziło głośne pukanie do drzwi. Nie spał prawie całą noc, bez przerwy myślał, martwił się i zastanawiał, upłynęło bowiem prawie trzydzieści sześć godzin od czasu, gdy dał znać temu sympatycznemu policjantowi, Cooksonowi, a ten tymczasem wcale się nie

odezwał.

Pukanie nie ustawało. Wilfredo podniósł się z materaca na podłodze – nigdy nie sprawił sobie łózka.

– Uno momento – narzucił szlafrok, wsunął kapcie i poczłapał do drzwi.

W drzwiach – owszem – był stosowny otwór na wizjer, ale urządzenie dawno ktoś wymontował. Wilfredo zasłaniał dziurę kawałkiem waty. Wyjął ją teraz i zerknął na korytarz. Panowały ciemności, ale w mroku dostrzegł granatowy mundur policjanta.

– To ja, Cookson – dobiegł głos z ciemności.

Stary Kubańczyk uchylił trochę drzwi i wyjrzał przez szparę. Policjant był co najmniej o głowę wyższy i miał pewnie połowę tych lat co Wilfredo.

– Czy pozwoli mi pan wejść?

Wilfredo nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Ucieszył się na widok policjanta, ale nie spodziewał się wizyty o tak dziwnej porze. Był więc trochę zaniepokojony, ale mimo wszystko otworzył i zaprosił przybysza do środka. Policjant wszedł, zamknął za sobą drzwi. Wilfredo zapalił światło, obrócił się w stronę przybysza i zamarł.

W mroku nie widział rysów, ale teraz, w świetle żarówki, rozpoznał natychmiast. Ta sama sylwetka, cera, krzaczaste ciemne brwi – znał tego człowieka, widział go w nocy, kiedy zabito Gossa. Ręce mu zadrżały, a serce zaczęło bić młotem, gdy zdał sobie sprawę, że stoi oko w oko z mordercą. Chciał uciec, ale człowiek w mundurze chwycił go za koszulę i przyciągnął do siebie. Wilfredo otworzył usta, ale nie zdążył już dobyć głosu, żeby wezwać pomoc. Pięść zabójcy jak błyskawica spadła na jego szczękę. Głowa starca rażona potężnym ciosem poleciała do tyłu, kręgi szyjne puściły, czaszka wsparła się na plecach, ciało zwiotczało.

Zabójca zwolnił uchwyt, zwłoki Wilfreda osunęły się na podłogę. Morderca pochylił się jeszcze, sprawdził puls. Pulsu nie było. Robota skończona.

Poprawił skradziony mundur, nałożył ciemne okulary i bezszelestnie wyszedł na korytarz, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. I znów w domu przy ulicy East Adams 409 zostawił za sobą tragiczny ślad. I znów w pustce klatki schodowej odbiły się echem niespieszne kroki, jakby posterunkowy obchodził swój rewir.

IV

Wtorek, 11 października

– Proszę wstać, Sąd idzie! – W sali sądowej te słowa elektryzują wszystkich. Po dziewięciu tygodniach przygotowań obie strony były gotowe do starcia. Po jednej stronie sali zajął miejsce oskarżyciel publiczny zbrojny w atrybuty urzędu, pod którymi skrywał żądzę rozgłosu i sławy, po drugiej – oskarżony, korzystający z konstytucyjnej zasady domniemania niewinności. Wilson McCue stawał w szrankach w pojedynkę, mając przed sobą sojusz dwóch oponentów: oskarżonego i jego obrońcę.

Sędzia Virginia Tate, cała w czerni i bieli, blada, siwowłosa, ciemnooka kobieta o przenikliwym stalowym spojrzeniu, w czarnej tozde ozdobionej podwójnym sznurem pereł na szyi, wkroczyła do sali bocznymi drzwiami, za którymi znajdował się jej gabinet. Szczęk odsuwanych krzeseł, gdy wszyscy wstali z miejsc, zabrzmiał jak fanfary powitalne. Wysoki Sąd zasiadł na czarnym, wyściełanym skórą fotelu, spojrzał surowo na strony, a gdy przeniósł wzrok na reporterów, surowość ustąpiła miejsca przymilnemu, choć nadal pełnemu godności uśmiechowi.

– No to zaczynamy – oznajmiła sędzia Tate niezbyt zgodnie z procedurą i tak rozpoczął się pierwszy z długich dziewięciu dni, w czasie których zdecydowano o składzie ławy przysięgłych. Tę fazę postępowania procesowego prawnicy nazywają między sobą z francuska – *voir dire*, co dosłownie znaczy „mówić prawdę”, jej istota zaś sprowadza się do wyboru dwunastu przysięgłych spośród wielu kandydatów powołanych przez sąd. Prokurator i obrońca wyteżają umysły, przywołują na pomoc całą swoją wiedzę z zakresu psychologii, akceptując jednych kandydatów, odrzucając innych. Ci pierwsi staną się sędziami przysięgłymi, zadecydują o winie bądź o uniewinnieniu oskarżonego.

Na tym etapie Jack nie miał nic do powiedzenia. Scena należała do Manny'ego, a ten dawał popis talentu i zręczności. Jack siedział w milczeniu, czasami tylko bazgrał coś na kartce i podsuwał swemu obrońcy. Był ledwie dodatkiem do rozgrywającego się dramatu, a zarazem jego nieodzownym elementem, jak pomocnik, który przekłada wirtuozowi karty z nutami. Będzie się to ciągnęło całymi tygodniami. Jeśli zechce coś powiedzieć, to tylko ustami swego adwokata, będzie ubierał się stosownie do jego poleceń, zasiadał obok niego za stołem z politurowanego orzecha, stanowiąc przedmiot, a zarazem podmiot procesu.

Pani Virginia Tate czuwała nad procedurą wyboru przysięgłych. Dotarła do niej

już dawno wątpliwa sława Wilsona McCue jako bezwzględnego manipulatora *voir dire*. Nadużywał procedury, aby wywierać określony wpływ na przysięgłych i unieszkodliwiać procesowego oponenta. Pytania, jakie zadawał kandydatom, bardziej były obliczone na zaprezentowanie własnego stanowiska niż na dociekanie istoty sprawy. Tak też zachowywał się przez cały czas, aż nadszedł piątek, dziewiąty dzień *voir dire*, kiedy procedura wyboru przysięgłych dobiegała końca.

– Czy ktoś z pań i panów zna oskarżonego osobiście? – zwrócił się do zespołu ławników z pozornie niewinnym pytaniem. Dwunastka w ławie przysięgłych, jak jeden mąż, przecząco pokręciła głowami. – Ale zapewne słyszeli państwo o panu Swytecku? – szedł za ciosem McCue, na co ten i ów z ławy przytaknął. – Z pewnością państwo słyszeli – powtórzył z naciskiem. – Oskarżony jest prawnikiem, adwokatem, bronił Eddy'ego Gossa – niesławnej pamięci mordercę, o którego zabójstwo jest właśnie oskarżony. Chciałbym więc spytać, panie i panowie przysięgli: czy fakt, iż pan Swyteck jest tym niezwykle zręcznym prawnikiem, który zdołał skłonić dwunastu sędziów do wydania werdyktu uwalniającego mordercę od winy i kary, zaważy na waszej opinii, czy przez to dawać będziecie mniejszą wiarę jego słowom... ?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – poderwał się Manny.

– Uznaję sprzeciw.

– Wysoki Sądzie – rzekł McCue z udawanym zdziwieniem – jestem zaskoczony. Chciałem zyskać pewność, że ława przysięgłych kierować się będzie obiektywnym osądem. Są bowiem ludzie, którzy na pana Swytecka najchętniej złożąliby odpowiedzialność za wszystkie morderstwa, jakich dopuścili się jego klienci...

– Dość tego, panie McCue – przerwała sędzia – pańskie zamiary są o wiele bardziej czytelne, niż się panu wydaje. A więc do rzeczy!

– Oczywiście – skłonił się prokurator, zadowolony, że i tak osiągnął cel.

– Proszę to traktować poważnie – dodała sędzia surowym tonem – nie życzę sobie podobnego zachowania.

McCue niezbyt się przejął i jak człowiek rzucający wyzwanie losowi brnął dalej. Manny składał kolejne sprzeciwy, a pani Tate coraz bardziej surowym tonem zwracała prokuratorowi uwagę. W ten sposób wyłonienie ławy przysięgłych przeciągnęło się aż do późnego popołudnia, kiedy Wysoki Sąd stwierdził z wyraźną ulgą, że komplet sędziowski został wybrany.

Osiłkowaty murzyński robotnik budowlany, który przynosił drugie śniadanie zawsze w tej samej sfatygowanej papierowej torbie; strzyżony na jeża

emerytowany łowca aligatorów, w kowbojskich butach, szczerzący brązowe od tytoniu zęby; wdowa o siwobłękitnych włosach, której numer identyfikacyjny (55) był równy zapewne połowie lat, jakie sobie liczyła – to ledwie trójka spośród dwunastu sprawiedliwych, którzy zdecydują o życiu lub śmierci Jacka Swytecka.

Dochodziła czwarta i w normalnych okolicznościach pani sędzia Tate zarządziłaby przerwę, uznając, że nie wystarczy już czasu na wstępne przemówienia stron. Tak postąpiłaby w czasie każdej innej sprawy, ale popisy McCue'a w czasie wyboru przysięgłych sprawiły, że pani Tate postanowiła inaczej. Znalazła sposób, aby przemówienia zostały wygłoszone i aby ona zdążyła wrócić do domu przed szóstą i obejrzeć się w telewizji, która oczywiście nada relacje z procesu.

– Panie mecenasie – zwróciła się do obrońcy – zechce pan zabrać głos.

Manny wstał z miejsca nieco zaskoczony. McCue też się poderwał.

– Z całym szacunkiem dla Wysokiego Sądu – zaprotestował z fałszywą pokorą – ale zwykle to oskarżyciel publiczny zabiera głos jako pierwszy.

Sędzia spojrzała nań z wysoka, po czym głośno i wyraźnie, aby ława przysięgłych nie miała żadnych wątpliwości, powiedziała:

– Sąd doskonale wie, że oskarżyciel publiczny zwykle występuje jako pierwszy, i stwierdza, że skorzystał pan już z tego prawa. Sąd wielokrotnie zwracał uwagę, że w toku wyboru przysięgłych wygłasza pan tezy swojego wstępnego przemówienia. Teraz więc jest kolej obrony.

McCue'a zamurowało.

– Wysoki Sądzie, to drakońska decyzja, pozwolę sobie zauważyć. Chodzi mi tylko o parę minut, jeśli można prosić.

– Sąd wyraża zgodę. Parę minut.

– Rozumiem – McCue próbował jeszcze coś wskórać – to znaczy kilka mi...

– Zmarnował pan już dziesięć sekund, panie prokuratorze.

McCue zrozumiał, że nic więcej nie wytarguje, więc nie tracąc więcej czasu pomknął ku ławie przysięgłych, przybierając stosowny wyraz twarzy. Ogromne, ciemne oczy rozpały się żywym blaskiem, gdy sugestywnie spojrzał na przysięgłych znad staromodnych okularów-połówek, które nosił na czubku wielkiego nocha. Choć chwila była poważna, to na promiennym obliczu oskarżyciela publicznego błdził cień figlarnego uśmiechu, co potwierdzało tylko dość powszechną opinię, że wiekowy Wilson McCue pozostał w głębi duszy poczciwym niedorostkiem.

– Panie i panowie przysięgli – zaczął, przechadzając się dostojnie przed ławą –

oto będziecie rozstrzygać w sprawie o zabójstwo, ale jej przedmiotem jest coś więcej – władza, władza nad życiem i śmiercią. Z woli narodu dopuszczono bowiem w naszym stanie najwyższy wymiar kary, uznając, że państwo władne jest pozbawić życia zbrodniarzy, którym udowodni się winę. Nie oznacza to jednak, że z tegoż prawa, władania życiem lub śmiercią, może dowolnie korzystać każdy obywatel. Nikomu bowiem i w żadnych okolicznościach nie wolno zastępować państwa i brać zastrzeżonych dla wymiaru sprawiedliwości praw w swoje ręce. Bez względu na motywy nikomu nie wolno wykonywać prywatnych – że tak powiem – egzekucji. W toku procesu, panie i panowie przysięgli, poznacie człowieka, który władzę należną państwu wziął we własne ręce. Ów człowiek jest prawnikiem, adwokatem, który całe zawodowe życie poświęcił sprawie obrony najokrutniejszych zbrodniarzy, jakich zna nasza społeczność. Wielu z nich, jeśli nie wszyscy, okazywało się winnych zarzucanych im czynów, niewielu wszakże spotykała kara. Pojawia się więc pytanie: czy tak powinno być? Niektórzy teoretycy są zdania, że obrona praw obywatela, choćby winnego zbrodni, jest sprawą godną pochwały i szacunku, bo na tym polega interes publiczny. – McCue podszedł do ławy przysięgłych, jakby przemawiał nie do wszystkich dwunastu, lecz do każdego z ławników z osobna. Ściszył nawet głos. – Ale przedmiot niniejszej rozprawy nie jest interes publiczny ani działalność zawodowa adwokata, który oto zasiadł na ławie oskarżonych. Osądzać wam przyjdzie coś zupełnie innego – mroczne działania i skryte czyny podsądnego. Dowody, jakie zgromadziło oskarżenie, wykażą, iż drugiego sierpnia około czwartej nad ranem podsądny wdarł się do mieszkania pewnego człowieka, uzurpując sobie prawa sądu oraz przysięgłych, i dokonał na nim egzekucji: dobył pistoletu kaliber trzydzieści osiem i dwoma strzałami zamordował swojego klienta. Oto on, panie i panowie przysięgli – McCue teatralnym gestem wymierzył palec w stronę Jacka – oto winny zabójstwa, Jack Swyteck!

Jack niemal fizycznie odczuł ciężar zarzutu, jakby oskarżycielski palec prokuratora wciskał go w ziemię. Jakże prawdziwie to brzmi, myślał posepnie. Wszystko zależy od okoliczności: w ogrodzie zwykła ziemia staje się glebą, w szacownej bibliotece byle jakie czytało nabiera rangi dzieła, a w sali sądowej prokurator-zadufek jawi się jako niezłomny szermierz praw.

– Ma pan jeszcze piętnaście sekund – oznajmiła sędzia.

– Właśnie – podchwycił McCue, kontynuując oskarżycielską mowę – mam zbyt mało czasu, aby przedstawić wszystkie dowody przeciwko Jackowi Swyteckowi, ale, panie i panowie przysięgli, przekonacie się o nich sami w czasie kolejnych dni

rozprawy, a wtedy znów stanę przed wami, domagając się werdyktu uznającego Jacka Swytecka za winnego morderstwa z premedytacją. – Zakończył, a cisza, jaka zaległa na sali, zdawała się przydawać wagi i mocy jego słowom. Odczekał jeszcze chwilę i wrócił na swoje miejsce.

Kolej na obrońcę. Ku ławie przysięgłych ruszył teraz Manny, wymieniając po drodze spojrzenia z prokuratorem. Nie zaczął od razu. Najpierw nawiązał kontakt wzrokowy z całą dwunastką ławników, a następnie wyciągnął rękę z aktem oskarżenia i głośno odczytał:

– Sprawa Jacka Swytecka z oskarżenia publicznego. Stan Floryda przeciwko Jackowi Swyteckowi. – Opuścił rękę z dokumentem. – Stan, czyli państwo – powiedział z naciskiem – państwo to władza i w tym jednym pan McCue ma rację. Przedmiotem niniejszego procesu jest władza, bo cóż innego widzieliśmy przed chwilą, jak nie prokuratora, który władny jest rzucić oskarżenie – jakby dla ilustracji Manny rzucił spięte kartki na stolik oskarżyciela – i tylko tyle, panie i panowie przysięgli, bo na tym kończy się władza oskarżyciela. Cała reszta nie jest już tak łatwa i prosta. W sprawach z oskarżenia publicznego prokurator musi udowodnić zarzuty w sposób, który nie pozostawi żadnych wątpliwości, a tymczasem, panie i panowie przysięgli, przekonacie się w toku tej rozprawy, że nie ma ani dowodów, ani faktów, ani nawet świadków, słowem niczego, co mogłoby wykazać winę mojego klienta, a to z jednej jedynej przyczyny: tej mianowicie, że Jack Swyteck nie popełnił zarzucanego mu czynu i jest niewinny.

Jack słuchał wywodu ze ściśniętym sercem. Zastanawiał się, jak dalece musi wykazać swoją niewinność, jakie dowody sędziowie przysięgli uznają za wystarczające, co przekona ich do racji McCue'a, a co do zdania Manny'ego. Starał się słuchać uważnie, co jednak nie bardzo mu się udawało. McCue nie powiedział niczego zaskakującego, ale mimo to mowa oskarżycielska wywarła na nim wrażenie. Przed wystąpieniem prokuratora Jack był absolutnie przekonany, że McCue nie ma żadnych istotnych argumentów, a tym bardziej dowodów, teraz jednak wydawało mu się, że ma ich aż nadto.

– I kiedy będziecie słuchać zeznań świadków oskarżenia – ciągnął obrońca, zwracając się do przysięgłych – powinniście mieć w pamięci jeden bezsporny fakt: żaden z nich nie widział, aby mój klient popełniał zarzucany mu czyn. Oskarżenie oparte jest na poszlakach i tylko na poszlakach. Nie istnieje żaden naoczny świadek zbrodni, którą przypisuje się mojemu klientowi.

Jack spojrział na zebraną w sali publiczność. Wszyscy patrzyli na Manny'ego, poza... właśnie, poza jedną parą oczu. Jack spojrział jeszcze raz i upewnił się, że

dwoje oczu z ostatniego rzędu ław dla publiczności wpatrywało się nie w obrońcę, ale w niego, uważnie, pilnie, z napięciem i we wzroku tym było coś znajomego. Właściciel oczu był wysoki, barczysty, miał gładko wygoloną czaszkę i błyszczący brylancik w lewym uchu. I nagle jego wizerunek nałożył się na inną postać, która Jackowi zapisała się w pamięci owej nocy, kiedy stał w mrocznym korytarzu, dobijając się do drzwi Gossa. Wtedy to ktoś wychylił się z mieszkania w głębi korytarza z pretensją i oburzeniem. „Dość tych hałasów” – krzyknął. I bez wątpienia był to właśnie ten człowiek.

Jack odwrócił wzrok. Starał się słuchać, co mówi Manny, ale nie mógł się skoncentrować. Co ten facet tu robi? Wydawało mu się dziwne, że sąsiad Gossa zjawił się w sądzie. Mógłby przecież stać się koronnym świadkiem oskarżenia, mówiąc, że widział Jacka na miejscu przestępstwa. Tymczasem z pewnością nie będzie zeznawał, bo procedura nie dopuszcza obecności potencjalnych świadków na sali sądowej przed formalnym przesłuchaniem. Raz jeszcze spojrzął w jego stronę. Zimny wzrok zdawał się naprawdę znajomy, co zmieszało go jeszcze bardziej.

Tymczasem usłyszał, że jego obrońca dziękuje przysięgłym za uwagę. Nie wierzył własnym uszom, że po tygodniach oczekiwań przegapił mowę obrońcą własnego adwokata na własnej sprawie. Ale ciekawość była silniejsza, nieznajomy zaintrygował go bardziej niż przemówienie Manny'ego i nie potrafił oderwać od niego myśli. Kim jest ów człowiek?

– Panie i panowie – głos zabrała sędzia – ogłaszam przerwę do poniedziałku. Jednocześnie, biorąc pod uwagę rozgłos towarzyszący niniejszej sprawie, zarządzam izolację ławy przysięgłych...

W ławach publiczności zaszumiało. Izolację przysięgłych stosuje się w szczególnych wypadkach. Polega zaś ona na tym, że na czas procesu przysięgli mieszkają w odosobnieniu, nie mają dostępu do wiadomości prasowych z procesu, aby nic i nikt nie wywierał wpływu na werdykt, który musi być oparty wyłącznie na dowodach i argumentach przedstawianych na sali sądowej.

– ... kancelaria sądowa poinformuje państwa o szczegółach – dodała pani Tate, zwracając się do przysięgłych. – Sąd wznowi postępowanie w poniedziałek o godzinie dziewiątej – obwieściła, uderzając młotkiem w pulpit na znak zakończenia posiedzenia.

Jack zerwał się z miejsca.

– Muszę pilnie wyjść – rzekł do Manny'ego. – Zajmij czymś dziennikarzy, żebym mógł się wymknąć – dodał, nie wyjaśniając sprawy.

– W porządku – obrońca zebrał papiery do teczki – ale o co chodzi?

– Muszę coś zaraz sprawdzić – odparł Jack i nie dając mu czasu na dalsze pytania, wmieszał się w tłum zdążający do wyjścia. Manny ruszył za nim. Jack nie odrywał oczu od łysej czaszki nieznajomego, od którego tymczasem odgradzał go ludzki mur.

– Panie i panowie – usłyszał głos obrońcy, który zgodnie z daną mu obietnicą zajął się dziennikarzami – jeśli mają państwo pytania, to jestem gotów. – Dziennikarze ruszyli ławą ku adwokatowi, w przeciwną stronę niż Jack, który spieszył do windy, bo tam właśnie mignęła łysina nieznajomego. Starał się nie tracić go z oczu, co nie było łatwe. Tłum wylał się na korytarz, kilku reporterów, którzy nie dali się zwieść Manny'emu, nagabywało Jacka pytaniami „na wyłączność”. Był ledwie trzy metry od windy, w której znikł nieznajomy, gdy wpadł na przechodzącego właśnie z naręczem akt adwokata – specjalistę od odszkodowań. Papiery posypały się na podłogę, a za nimi dwa splecione ciała.

– Gdzie masz oczy, łamago? – ofiara zderzenia głośno wyraziła niezadowolenie.

– Przepraszam, przykro mi – wyjąkał Jack, choć tak naprawdę żał mu było tylko odjeżdżającej windy. Zostawił adwokata własnemu losowi i nie bacząc na nic skoczył na schody. Biorąc po dwa, trzy stopnie naraz zbiegł z czwartego piętra na parter z szybkością niemal równą tej, jaką osiągnęłoby jego osiemdziesięciokilowe ciało, gdyby opadało swobodnie w dół. Z trudem łapiąc oddech, potoczył wzrokiem po hallu wejściowym. Było tu tłumnie jak zawsze, ale jeden rzut oka wystarczył, aby przekonać się, że pasażerowie windy zdążyli już rozjeść się, każdy w swoją stronę, i nigdzie nie było widać starannie wygolonej czaszki. Jack wybiegł z budynku sądowego. Z wysokości granitowych stopni rozpaczliwie rozglądał się po ulicy. Zaczął się popołudniowy szczyt. Chodnikami zdążał gęsty tłum przechodniów. Człowieka, którego szukał, nie dostrzegł. Zrezygnowany zatrzymał taksówkę.

– Dokąd, szefie? – spytał kierowca.

Jack już miał podać adres swojego domu, gdy nagła myśl przyszła mu do głowy.

– Ulica East Adams 409.

Adams znajdowała się dobrych dwadzieścia kwartałów dalej. Wskaźnik przestępczości w tej części miasta wzrasta wprost proporcjonalnie do odległości od siedziby trybunału. Słońce miało się już ku zachodowi, gdy taksówka wjechała między podniszczone domy przy zaśmieconych i brudnych ulicach dzielnicy

Eddy'ego Gossa. Auto zatrzymało się pod żądanym adresem. Jack wysiadł, przez okno taksówki wsunął dwudziestodolarowy banknot, ale choć licznik wybił ledwie dziesięć, nie doczekał się reszty. Szofer ruszył z piskiem opon, zostawiając rachunki na inne czasy.

Jack wszedł na drugie piętro zapuszczonej kamienicy. Klatka schodowa i korytarz o pobazgranych przez domorosłych artystów ścianach były równie ciemne niż wtedy, gdy był tu po raz pierwszy jedenaście tygodni temu. Nawet kolejne morderstwo – Wilfreda Garcii – nie skłoniło gospodarza do wymiany przepalonych żarówek.

Szedł więc w mroku jak wtedy i jak wtedy zatrzymał się przed numerem 217 – mieszkaniem Eddy'ego Gossa. Na drzwiach ciągle jeszcze widniały policyjne pieczęcie, ale Jack i tak nie miał zamiaru wchodzić do środka. Przystanął tylko, aby odtworzyć w pamięci tamtą noc, przypomnieć sobie, z którego mieszkania w głębi korytarza wychynął ów sąsiad. Po chwili już wiedział: czwarte drzwi licząc od Gossa, numer 213, z wielką swastyką malowaną sprayem. Zapukał, cisza. Zapukał jeszcze raz, mocniej. Drzwi uchyliły się.

– Halo? – zawołał. Cisza. Pchnął więc drzwi i zerknął do środka. Kiedyś była to kawalerka, teraz zdewastowana ponad wszelkie wyobrażenie nora. Tynk podziurawiony jak sito, podłoga pełna śmieci – starych gazet, pustych kartonów, spod których wyglądały przegniłe deski. Jedyne okno zabite dyktą od zewnątrz. Wszedł do środka, płosząc stadko szczurów. Rozglądał się niczego nie rozumiejąc. Wnętrze wyglądało tak, jakby nikt nie mieszkał tu od lat, a przecież stąd właśnie wychylił się człowiek ze skargą, że hałas obudził dzieci.

– A czego, u diabła, pan tu szuka? – rozległo się od progu. Jack obrócił się, licząc, że oto wrócił właściciel, ale w drzwiach stał ktoś zupełnie inny – stary człowiek o słomiano-siwych włosach i kredowej cerze, ubrany w brudny, przeпоcony podkoszulek. Zębami przygryzał połamaną wykałaczkę.

– Co pan tu robi? – powtórzył podejrzliwie.

– Drzwi były otwarte, wszedłem, szukam człowieka, który tu mieszka, a przynajmniej mieszkał drugiego sierpnia. Taki wysoki, łysy.

– Nikt tu nie mieszka – przy każdym słowie wykałaczką podrygiwała na wargach, ale nie opuszczała miejsca – jestem dozorcą tego śmietnika i wiem. Ani dziś, ani drugiego sierpnia nikt tu nie mieszkał, a w ogóle to mieszkanie co najmniej od roku stoi puste. Tylko szczury harują.

– Ależ on powiedział, że dzieci śpią...

– Bachory? Tutaj? – szyderczo spytał dozorca, nie oczekując zresztą

odpowiedzi. – I niech pan się wynosi. Zamykam ten śmietnik na kłódkę i jeśli jeszcze raz pana tu zobaczę, to pogadamy inaczej. Już ja pana zapamiętam. Mieliśmy tu dwa morderstwa w ciągu trzech miesięcy, na tym piętrze. Albo pan się wynosi, albo dzwonię po policję.

Jack nic już nie powiedział. Spuścił głowę i pokornie ruszył do wyjścia.

Zapadał wieczór, ale nie zapalono jeszcze świateł ulicznych. Jack zatrzymał się na schodkach. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu, zamajaczyła jakby znajoma postać. Przyjrzał się uważniej, odpowiedziało mu znane spojrzenie dwójga zimnych oczu. Zadrżał. Tak, to był ten człowiek, którego szukał.

Jack nie zdążył ruszyć z miejsca, gdy nieznajomy zaczął biec truchtem w stronę, gdzie dwadzieścia przecznic dalej znajdował się budynek sądów. Nie namyślając się Jack puścił się za nim, biegnąc tak szybko, jak można w wyjściowym garniturze i butach. Nieznajomy był szybszy, ale wcale nie próbował zwiększyć dystansu. Przyspieszał i zwalniał, jakby chciał, żeby Jack nie stracił go z oczu. W pewnej chwili Jack niemalże go dogonił, ale wtedy nieznajomy wydłużył krok i znikł w labiryncie pobliskiego dworca autobusowego. Jack pobiegł za nim, przystawał, rozglądał się, znów biegł, znów przystawał. Raz po raz znajoma postać migiała między autobusami szykującymi się do odjazdu w stronę Nowego Jorku, Atlanty, Chicago. Szumiały diesle na jałowych obrotach, w powietrzu unosiła się gęsta woń spalin. Jack z trudem łapał oddech. Spojrzał w lewo, w prawo, ani śladu. Tuż przed nim rozpościerała się ciemna czeluść autobusu. Drzwi były otwarte. Jack wszedł do środka, rozglądając się uważnie.

– Wiem, że tu jesteś! – zawołał, choć wcale nie był pewien, czy ktokolwiek kryje się w mroku między pustymi fotelami. Odpowiedzią była cisza. Jack zaczął posuwać się przejściem między rzędami foteli, ale zmienił zamiar. Jeśli nieznajomy przycupnął gdzieś w autobusie, to lepiej poczekać na zewnątrz. Kiedyś będzie musiał wyjść.

Zaczął więc wycofywać się rakiem, gdy nagle drzwi autobusu zamknęły się z trzaskiem. Obrócił się na pięcie, czując za plecami czyjąś obecność, i w tym to momencie dostał potężny cios w głowę i jeszcze jeden. Zwinął się z bólu, a gdy spadł nań trzeci cios, znalazł się z nosem na podłodze. Napastnik przycisnął go do ziemi, do gardła przystawił nóż.

– Nie ruszaj się, bo...

Jack zmartwił. Czuł na szyi zimną stał.

– Nie ruszaj się, bo szkoda by mi było poderżnąć ci gardło, Swyteck, zwłaszcza po tych wszystkich trudach.

– Kim jesteś? – Jack zacisnął pięści.

– Przypomnij sobie noc przed dwoma laty, kiedy stracono Raula Fernandeza.

Jacka zmroziło. Ten głos!

– Czego chcesz?

– Sprawiedliwości! Chcę, żebyś zginął jak Raul, za zbrodnię, której nie popełniłeś.

– To nie jest sprawiedliwość – wykrztusił Jack – jesteś szalony. To ci się nie uda.

– Uda – słowu towarzyszył szyderczy śmiech. W miejscu, gdzie pchnięte nawiąknęła do noża ręką ostrze rozorało skórę na szyi, pojawiła się kropla krwi. – Żyjesz, Swydeck, tylko dlatego, że pozwalam ci żyć. Jeśli wydaje ci się, że jest inaczej, to pomyśl tylko: zamki w drzwiach, alarm w aucie – to wszystko gówno, pozór, tak jak pozór bezpieczeństwa dają zasłony w oknach, które ludzie zaciągają nie wiedząc, że po drugiej stronie czai się ktoś z siekierą. Nie ma ratunku, Swydeck. Nigdzie nie będziesz bezpieczny. Chyba że przystąpisz do gry.

– Jakiej gry?

– Zasady są proste. Ten proces toczy się przeciwko mnie. Jeden na jednego. Jeśli odstępisz od tego, to damę słowo, zginą niewinni ludzie.

– Co to ma znaczyć?

– Jesteś inteligentny, więc sam sobie wytłumacz, kutasie.

– A dlaczego...

– A dlaczego masz zginąć? – Napastnik pochylił się nad ofiarą, Jack czuł jego oddech na karku. – Bo morderca jest na wolności, krąży i czyha – szepnął – a mordercą jesteś ty.

Jack wstrzymał oddech, czując mocniejsze ukłucie nożem, po czym napastnik nagle poderwał się i wtopił w mrok. Jack nie podnosił się z podłogi. Leżał bez ruchu, jakby czas cofnął się o dziesięciolecie. Czuł się samotny i bezradny, jak wtedy, gdy miał pięć lat.

Na szczęście nie sprawdziły się ponure przewidywania Harry'ego Swytecka i wyprawa na cmentarz, którą przedsięwziął zgodnie z poleceniem szantażysty, aby złożyć ostatnią ratę okupu, przebiegła bez kłopotów, jeśli pominąć nieprzyjemne skądinąd wrażenie, jakie towarzyszyło gubernatorowi, gdy pochylał się nad miejscem wiecznego spoczynku Raula Fernandez. Od owej nocy minęło właśnie dwa i pół miesiąca.

Harry nie pojawił się osobiście w sądzie na otwarciu procesu Jacka, ale – rzecz jasna – znał treść przemówień i prokuratora, i obrońcy, otrzymał bowiem dokładne sprawozdanie od jednego ze swoich doradców-prawników. Każda ze stron procesowych starała się we wstępnym przemówieniu zarysować plan, skłonić przysięgłych do przyjęcia określonego punktu widzenia na argumenty, jakie zostaną przedstawione w toku rozprawy. Harry'ego uderzyło, gdy przeanalizował zamierzoną linię obrony Jacka, iż obrońca ani razu nie odniósł się do informacji, jaką zarejestrowano pod numerem 911, że ponoć ktoś w mundurze policyjnym opuszczał chyłkiem miejsce zdarzenia. Gubernator uznał to za dziwne.

Pokrywał koszty obrony, ale uzgodnili z Manny, że nie będzie ani wnikał, ani tym bardziej wpływał na strategię działań przed sądem. O tych sprawach decydować mieli wyłącznie Manny z Jackiem, więc Harry zastanawiał się, czy mówić o tym. Z drugiej strony jednak obawiał się, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Nie wykluczał, że Manny celowo pominął sprawę telefonu 911, aby nie czynić przykrości gubernatorowi, który służył kiedyś w policji. Jeśli tak, to trzeba wszystko wyjaśnić. Opuścił więc swoje biuro w stolicy stanu, Tallahassee, i najbliższym samolotem udał się do Miami. O ósmej wieczorem zjawił się w kancelarii adwokata swego syna.

– Przepraszam, że tak w ostatniej chwili.. – zaczął od grzeczności. – Jestem wdzięczny, że znalazł pan dla mnie trochę czasu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł równie uprzejmie Manny. – Przez telefon wspomniał pan, gubernatorze, o pewnych zastrzeżeniach co do linii obrony.

– Uwagach raczej – odparł Harry, podziwiając egzotyczny wystrój gabinetu adwokata – a ściślej: są pewne kwestie, które chciałbym wyjaśnić.

– Jak na przykład?

– Choćby sprawa meldunku pod dziewięćset jednaście. Powiedziano mi, że nie wspomniał pan o tym w dzisiejszym wystąpieniu. Nie chcę się wtrącać ani tym

bardziej kwestionować pańskich kwalifikacji. Zwróciłem się do pana o podjęcie obrony Jacka, bo jest pan najlepszy w branży. Nikt inny nie wybroni mojego syna, tylko pan. Jak, to już pańska i Jacka sprawa, a jeśli trochę dostanie się policji, trudno. Owszem, jestem byłym policjantem, ale przede wszystkim jestem ojcem.

Manny wolno kiwał głową, jakby ważył w myślach słowa.

– Doskonale pana rozumiem, panie gubernatorze, i wcale nie czuję się dotknięty. Nie jest pan zresztą pierwszym zatroskanym rodzicem, jakiego goszczę u siebie, ale żaden nie zostawił śladów przed drzwiami mieszkania ofiary zabójstwa.

Gubernator zmartwiał, krew odpłynęła mu z twarzy.

– O czym pan mówi?

Manny był mistrzem w ocenie ludzkich reakcji. Zastawił pułapkę i jego rozmówca w nią wpadł.

– Niech pan da spokój... Przyjmijmy takie założenie: nie przybył pan tutaj dlatego, iż nie wspomniałem w swoim wystąpieniu o telefonie do policji, ale dlatego, że pominąłem ów ślad obuwia.

– Jaki ślad? – Harry naprawdę niczego nie rozumiał.

Manny obruszył się, usiadł sztywno na fotelu.

– Nie sędzę – powiedział z całą powagą – aby celowa była dalsza dyskusja na ten temat. O jednym mogę pana zapewnić, panie gubernatorze, otóż nie zawaham się wykorzystać owego śladu, jeśli będzie to konieczne do wygrania procesu. To, że nie wspomniałem o nim w przemówieniu wstępnym, wcale nie znaczy, że nie wniosę całej sprawy, jako materiału dowodowego.

– Manny, na Boga, ja nic nie rozumiem. O czym pan mówi, o jakim śladzie?

– Oto odpowiedź, jakiej oczekiwałem, bo, jak powiadam, nie powinniśmy o tym w ogóle dyskutować, jestem bowiem obrońcą Jacka, a nie pańskim. Pan też potrzebuje adwokata.

– Ja? – zirytował się gubernator – a po cóż to?

Manny pochylił się w stronę swego rozmówcy, jakby chciał podkreślić wagę tego, co powie.

– Wyjaśnię panu. Otóż opowiedział mi pan co nieco o owej nocy, kiedy stracono Raula Fernandezę, i o tym, co zaszło między panem a Jackiem. Chodzi o to, że nie wyjaśnił mi pan wszystkiego.

– Nie rozumiem...

– Sądę, że pan wie o kolejnym zabójstwie w domu Gossa. Kilka tygodni temu zamordowano tam pewnego staruszka, złamano mu kark. Ponura sprawa, tragiczna

I wielce tajemnicza. Policja nie doszła nawet motywu tej zbrodni. A pan co o tym myśli?

Harry był już porządnie zirytowany całą tą dziwną rozmową.

– A cóż ja mogę myśleć, tyle tylko, że jakiś szaleniec morduje niewinnych ludzi. Mało to psychopatów?

– A ja myślę, że mógłby pan powiedzieć więcej. Sprawdziłem akta śledztwa w sprawie owego starca. Otóż w mieszkaniu znaleziono i zabezpieczono dziwne ślady obuwia. Okazuje się, że ów psychopata, który złamał staremu człowiekowi kark, nosił buty od Wigginsa. Identyczny ślad znaleziono wcześniej na korytarzu przed mieszkaniem Eddy'ego Gossa.

Gubernator zbladł. Kiedy udawał się do Gossa, miał właśnie takie obuwie, a co gorsza – zdał sobie w tej chwili sprawę ze znaczenia rzekomej „pamiątki”, jaką szantażysta kazał mu złożyć na grobie Raula Fernandezera razem z pieniędzmi, a było to tuż przed zabójstwem starca.

– Był pan policjantem, gubernatorze, więc nie muszę chyba przypominać o przysługującym panu prawie do odmowy zeznań i prawie do adwokata.

Gubernator pokiwał głową w zamyśleniu. Powiedział tylko „dziękuję” i „dobranoc”.

Z dworca autobusowego Jack wziął taksówkę. Do domu dotarł tuż przed dziewiątą, ciągle jeszcze zszokowany tym, co się stało, ale już nieco spokojniejszy. Był piątek i zanim nadejdzie poniedziałek (który zapewne okaże się najgorszym dniem w jego życiu, bo tego dnia przed sądem stanie pierwszy świadek oskarżenia), muszą upłynąć jeszcze pełne dwa dni.

Zmęczonym krokiem wspiał się po schodach na ganek, sięgnął po klucz, ale w tej chwili w drzwiach stała Cindy, cała w uśmiechach.

– Czy ma pan rezerwację? – zażartowała.

– Słucham? – nie był skory do żartów.

– A, nie szkodzi – ciągnęła tym samym tonem – znajdzie się jakieś miejsce, tylko proszę nie wybrzydzać na menu.

Wyglądała wspaniale w krótkiej czarnej spódniczce i kwiecistej bluzeczce. Roztaczała wokół delikatną woń perfum, a z kuchni dolatywał równie kuszący aromat jedzenia. Na stole w jadalni paliły się świece.

No właśnie, pomyślał Jack z wdzięcznością, dołożyła starań, aby pomóc mi się odprężyć po całym dniu w sądzie. Zrobiła się na bóstwo, przygotowała kolację.

Tymczasem gdy wszedł do jasno oświetlonego pokoju, Cindy zauważyła siniaki i pobrudzone ubranie.

– Co się stało? – przeraziła się.

– Spotkałem go! – wypalił Jack. – Faceta, który mnie prześladowa.

Zmartwiła, w oczach miała lęk.

– Co? – Nie czekając na odpowiedź, wzięła go pod rękę i zaprowadziła do salonu. Pod lampą raz jeszcze obejrzała ślady walki. – Na szczęście nic poważnego, ale mów, na Boga: co się stało?!

Usiadła przy nim i wysłuchiwała całej historii. Opowiedział wszystko, począwszy od nocy, kiedy dokonano zabójstwa na Gossie: o tym, jak łomotał do drzwi, jak ktoś wychylił się w głębi korytarza i miał za złe nocne hałasy i jak rozpoznał tego właśnie człowieka w sądzie, jak pojechał do domu Gossa, i wreszcie o napadzie na dworcu autobusowym.

Zdobył się nawet na to, żeby jej opowiedzieć o wydarzeniach poprzedzających egzekucję Raula Fernandez, a zwłaszcza o tym, że nie udało mu się wtedy przekonać ojca, aby wstrzymał wykonanie wyroku.

Gdy skończył, Cindy miała wrażenie, jakby wreszcie go poznała.

– Cieszę się – powiedziała – cieszę się, że wreszcie wiem, co zaszło między tobą a ojcem. Ale ten dzisiejszy napad... tego nie pojmuję.

– Potwierdza jedno – wyjaśnił spokojnie – że to nie Eddy Goss mnie prześladował, a ponadto ten człowiek, napastnik, chce mnie zrobić. To on zabił Gossa i uczynił wszystko, żeby podejrzenie spadło na mnie. Sam chce wymierzyć mi sprawiedliwość za śmierć Raula Fernandez. On był niewinny, więc ja jestem jego mordercą. On chce, żebym poniósł śmierć, jak Raul, za zbrodnię, której nie popełniłem.

– Ależ to absurd! I dlaczego właśnie ty? Przecież zabiegałeś u ojca, aby wstrzymał egzekucję, jeśli więc ten szaleniec szuka zemsty za śmierć Fernandez, to dlaczego wybrał ciebie, a nie ojca?

– Tego nie wiem – Jack pokiwał głową – po prostu nie wiem, jak funkcjonuje jego szalony umysł.

– A jakim motywem się kieruje? Mogę zrozumieć, że chce cię ukarać za śmierć Fernandez, ale dlaczego, co go łączyło z nim? Na czym polegał ten związek?

– Tego też nie wiem – westchnął Jack.

– Ach, Jack – przytuliła się do niego – dlaczego on tak cię nienawidzi? Boję się, przeraża mnie. Drażni cię, męczy, bawi się z tobą, jakby to była gra.

Jack kiwnął głową na znak, że podziela pogląd Cindy. Spojrzał jej głęboko w oczy i powtórzył to, co już raz powiedział kilka tygodni temu.

– Naprawdę uważam, że powinnaś wyjechać z Miami. Ten człowiek groził mi dziś nożem, a ja mimo to nie mogę zwrócić się do policji. Zadzwonię oczywiście do Manny'ego, ale jestem pewien, że też mi odradzi. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Nie wolno dać prokuratorowi żadnych podstaw do skonstruowania rzekomego motywu zabójstwa Eddy'ego Gossa.

Dalszy wywód przerwało pukanie do drzwi.

– Zaprosiłaś jeszcze kogoś na kolację?

– Ależ nie.

Pukanie nie ustawało.

– No cóż, zobaczmy, kto to jest.

– A jeśli to on?

– Wiem już, jak wygląda, więc najpierw sprawdzę – Jack ruszył do drzwi. Tymczasem po raz trzeci ktoś zaczął się dobijać. Jack zapalił światło na ganku, wyjrzał przez wizjer. Nieproszony gość stał pod drzwiami ze znudzoną miną. Miał na sobie uniform funkcjonariusza policji miejskiej: beżową koszulę z naramiennikami, brązowe spodnie bryczesy, długie czarne buty, koalicyjkę, wielki

rewolwer z perłową rękojeścią przy boku i oczywiście błyszczącą odznakę zastępcy szeryfa. Jack otworzył drzwi.

– Dobry wieczór – przywitał się uprzejmie, choć obojętnym tonem, policjant – szukam panny Cindy Paige.

Jacka coś ścisnęło za gardło, żałował, że otworzył drzwi.

– To ja – odezwała się Cindy zza pleców Jacka.

– To dla pani – policjant podał urzędowe pismo.

Jack wziął je do ręki.

– Co to jest? – spytała Cindy.

– Wezwanie – odparł Jack.

– Wezwanie do sądu – dodał policjant.

– Nie rozumiem.

– Ma pani stawić się w sądzie w poniedziałek o dziewiątej rano. Jest pani pierwszym świadkiem oskarżenia w sprawie przeciwko Jackowi Swyteckowi.

– Oskarżenia?

– Ani słowa więcej – przerwał Jack i zamknął drzwi przed nosem policjanta.

– Nie mogę w to uwierzyć – łzy napłynęły jej do oczu – mam być świadkiem oskarżenia, i to pierwszym? Czego oni ode mnie chcą, dlaczego?

– Może dlatego, że jesteś prawdomówna. Prokurator pewnie liczy, że uda mu się wydobyć z ciebie coś, co będzie świadczyć przeciwko mnie.

– Nigdy! – przytuliła się do niego. Przez zapach perfum zaczęła przebijać z kuchni woń przypalającego się jedzenia.

W sali sądowej napięcie sięgało zenitu, gdy w poniedziałek rano bohaterowie dramatu „Swyteck – sprawa o zabójstwo” szykowali się do odegrania pierwszego aktu. Wedle prawideł sztuki w tym akcie najpierw prokurator przedstawia swoją wersję wydarzeń i dokonuje bezlitosnej wiwisekcji ponurych cech charakteru i okrutnych czynów podsądnego. Następnie obrońca próbuje zneutralizować skutki prokuratorskiego prania mózgow przysięgłych i publiczności. Fakt, że przysięgli poddawani takim zabiegom potrafią mimo wszystko wydać sprawiedliwy werdykt, jest sam w sobie zadziwiający. Powiada się, że to najlepszy system wymiaru sprawiedliwości na całym świecie, co wszakże stanowi niewielką pociechę dla niewinnego człowieka, któremu grozi kara śmierci.

– Proszę wezwać pierwszego świadka, panie McCue – poleciła sędzia.

– Oskarżenie wzywa Cindy Paige – obwieścił prokurator.

A więc to nie był blef. Jack poczuł ucisk w sercu.

Morze głów w zgodnym rytmie obróciło się ku wielkim drzwiom z tyłu sali. Cindy wyglądała na zdenerwowaną, ale tylko Jack orientował się, jak bardzo, bo on jeden wiedział, co oznaczają nieznacznie ściągnięte usta, lekko usztywniony krok i zaciśnięte dłonie.

Ubrana była w beżowy kostium i pastelową, błękitną bluzkę. „Masz wyglądać ładnie, ale skromnie” – zalecał Manny, gdy rozmawiali wczoraj wieczorem, i Cindy dołożyła starań, by sprostać temu zadaniu.

– ... i przysięga pani mówić prawdę, całą prawdę... – woźny sądowy wypowiadał rotę ślubowania, gdy Cindy podniosła prawą rękę. Lekko drżała, co Jackowi wydało się niezrozumiałe, bo nigdy chyba przed sądem nie stawała osoba bardziej prawdomówna od niej.

Wilson McCue odczekał, aż dziewczyna usiądzie na wyświechtanym krześle za barierką dla świadków, tuż obok sędziowskiego stołu, i zaczął dość niewinnie:

– Proszę podać imię i nazwisko.

Cindy poruszyła się nerwowo na krześle, jakby polecenie sprawiło jej przykrość.

– Cindy Paige – odparła cicho.

– Panno Paige, od jak dawna zna pani oskarżonego?

– Od półtora roku.

– A czy dobrze go pani zna?

– Sądzę, że lepiej niż ktokolwiek inny.

– Czy prawdą jest, że łączy was związek uczuciowy?

– Owszem, mieszkamy razem.

– Ale nie mają państwo ślubu? – McCue nie tyle zapytał, co wyraził opinię o stanie rzeczy.

Cindy zerknęła na ławę przysięgłych. Siwa babcia – emerytowana nauczycielka – w drugim rzędzie zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

– Nie, nie mamy ślubu.

– A jak dawno mieszkacie ze sobą?

– Od roku, jeśli nie liczyć krótkiej przerwy.

– Właśnie, pomówmy o tej krótkiej rozłące. Kiedy to było?

Cindy westchnęła w duchu. Pamięć jej nie zawodziła, ale pytano ją o coś, o czym z całego serca wołałaby zapomnieć.

– Prawie trzy miesiące temu.

– Tuż po procesie Eddy'ego Gossa, prawda? – w głosie McCue nie brzmiały przyjazne nuty. – Zaraz po wybronieniu go przez Swytecka przed sądem i uwolnieniu!? – dodał tonem śledczego.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – Manny poderwał się z miejsca. – Prokurator nie zadaje pytań, tylko wyraża opinie.

– Uznaję sprzeciw – oznajmiła pani sędzia. – Panie McCue, uprzedzam pana, że nie będę tolerować takich nadużyć procedury. Przysięgłym zwracam uwagę, że pan Swyteck staje przed sądem pod zarzutem zabójstwa na osobie Eddy'ego Gossa, a nie dlatego, że był jego obrońcą.

Kilku przysięgłych spojrzało po sobie, jakby nie do końca rozumiejąc, który z dwóch wymienionych czynów Jacka stanowi prawdziwe przestępstwo.

– A teraz świadek odpowie na pytanie – zarządziła sędzia.

– Rozstaliśmy się z Jackiem parę dni po procesie Gossa, ale proces nie miał z tym nic wspólnego.

– To pani postanowiła wyprowadzić się od oskarżonego?

– Tak, to była moja decyzja.

– A pan Swyteck odczuł ją bardzo boleśnie?

Cindy zawahała się. Zaskoczyło ją i speszyło, że pytania dotyczą tak głęboko osobistych spraw. Spojrzała na Jacka, przeniosła wzrok na prokuratora.

– Oboje bardzo to przeżyliśmy – odparła patrząc prosto w oczy McCue'a.

– Spróbujmy to ukonkretnić. Doszło do wielkiej awantury, prawda?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – Manny znów zerwał się z miejsca.

– Sąd odrzuca sprzeciw.

– Owszem, spieraliśmy się.

– Spieraliście się... – powtórzył McCue szyderczo – rozumiem, że bitwę pod Gettysburgiem też nazwałaby pani sporem.

– Sprzeciw! – zawołał Manny.

– Sąd uznaje sprzeciw – pani Tate zgromiła prokuratora wzrokiem. – Ostrzegam pana po raz ostatni, panie McCue, że nie będę tolerować takiego zachowania.

McCue jakby nie usłyszał.

– Czy to prawda, Miss Paige, że oskarżony fizycznie wyrzucił panią z domu?

– Nigdy nie podniósł na mnie ręki. Kłóciliśmy się, owszem, każdemu się to zdarza.

– Ale to nie była zwykła kłótnia. – McCue podszedł krok bliżej do Cindy. – Tego dnia pan Swytek stracił całkowicie kontrolę nad sobą, prawda? – sugerował cichym, poważnym tonem. – Stał się jakby inną osobą, podziela pani tę opinię?

– Sprzeciw! – zawołał adwokat. – Wysoki Sądzie, te pytania są nie do przyjęcia!

– Jestem skłonna się zgodzić – sędzia spojrzała pytająco na prokuratora.

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli – rzekł McCue – chętnie wyjaśnię, że pytania te mają istotne znaczenie dla sprawy.

– Tylko krótko – skwitowała sędzia, dając znak obu prawnikom, żeby podeszli do stołu. Konferencje w sprawach proceduralnych mają charakter niejawnny, chodzi o to, aby ich treść nie wpływała na decyzje przysięgłych. Drobne sprawy załatwia się szeptem przy stole sędziowskim, a gdy spór ma charakter poważniejszy, sędzia zarządza przerwę i zaprasza prokuratora i obrońcę do swojego gabinetu.

– Słuchałem cierpliwie – zaczął Manny, gdy z McCue podeszli do pani Tate – chcąc się zorientować, do czego to ma prowadzić, ale na Boga, zwykła kłótnia pary ludzi, którzy mieszkają ze sobą, nie może mieć absolutnie żadnego związku z istotą niniejszej sprawy. Uwagi pana prokuratora są poniżające i wielce niestosowne.

– Pytania dotyczą sedna sprawy – kontrargumentował McCue ze śmiertelną powagą. – Cóż z tego, że pański klient wygląda tak, jakby nawet muchy nie potrafił zabić, skoro w rzeczywistości jest całkiem inaczej! Wysoki Sądzie, twierdzę, że to szalenie złożona osobowość. Po procesie Gossa nagromadzone emocje wybuchły i wtedy Swytek zabił swojego klienta. Zeznania świadka są więc istotne dla udowodnienia tej tezy, świadek bowiem może potwierdzić, że oskarżony stracił kontrolę nad swoim postępowaniem. Zamierzam wykazać, że pod wpływem stresu

Swyteck stał się kimś zupełnie innym, zdolnym do zabójstwa.

– Panna Paige nie jest psychologiem, ani tym bardziej psychiatrą – zauważył Manny sarkastycznie.

– Nie interesuje mnie opinia lekarska – odpalił McCue – natomiast jestem ciekaw spostrzeżeń świadka. Ta kobieta mieszka z oskarżonym od ponad roku i, jak sama stwierdza, zna go lepiej niż ktokolwiek inny.

Sędzia nie była przekonana do końca, ale skłoniła się ku argumentacji prokuratora.

– Zgadzam się – oznajmiła – ale proszę nie przeciągać.

– Ależ, Wysoki Sądzie... – próbował protestować Manny.

– Wydałam postanowienie – ucięła pani Tate.

McCue podziękował, Manny pokręcił tylko głową i wrócił na swoje miejsce obok Jacka. Prokurator znów stanął przy dziewczynie, tym razem jeszcze bliżej, niemal jej dotykał.

Cindy była ciekawa, co postanowiła sędzia. Wolałaby oczywiście, aby prokurator zmienił temat, ale z błysku w jego oczach domyślała się, że to jeszcze nie koniec, starała się więc panować nad sobą i nie dać się zaskoczyć.

– A więc panno Paige – ciągnął McCue – tego ranka, gdy opuściła pani narzeczonego, tuż po uniewinnieniu Eddy'ego Gossa, który niedługo potem został zabity, otóż czy przyzna pani, że tego ranka ujrzała pani jakby innego Jacka Swytecka?

– Nie powiedziałabym tego w ten sposób... – odparła, spojrzawszy najpierw na Jacka, a następnie na prokuratora.

– Ale przestraszyła się pani, prawda?

– Nie wiem, być może.

– Być może – powiada pani – spróbujmy więc to uściślić. Wychodząc nie próbowała pani pocałować narzeczonego na do widzenia.

– Nie.

– Nie podała mu pani ręki?

– Nie.

– I nie wyszła pani spokojnie, ale wybiegła?

– Owszem, wybiegłam.

– I to tak szybko, że nawet nie zdążyła się pani ubrać.

– Nie zdążyłam.

– W istocie uciekła pani na wpół naga, w samym tylko podkoszulku?

– To był mój nocny strój – łzy napływały jej do oczu.

– Uciekała pani w obawie o własne bezpieczeństwo?!

Pytanie ją dotknęło. Przesunęła językiem po suchych jak pieprz wargach.

– Nie zaprzeczy pani, że powiedziała pani Swyteckowi, iż proces Gossa zmienił go nie do poznania?

– Nie pamiętam niczego takiego – zmieszała się Cindy.

– Panno Paige – zadudnił McCue, a jego słowa poniosły się echem po całej sali – stwierdziła pani przecież, iż Jack Swyteck zmienił się do tego stopnia, że nie różnił się już od mętów, których bronił przed sądem. Tak pani powiedziała, prawda?

– Ja, to znaczy... – Cindy brakło słów, tak była zaskoczona.

– Powiedziała pani czy nie?

– Nie, to znaczy nie dokładnie tak. Powiedziałam: „sam jesteś męttem, którego trzeba bronić”, ale...

– Jest więc takim samym męttem jak ten, którego bronił! – wykrzyknął McCue, starając się, aby słowa te zabrzmiały zupełnie jednoznacznie. – Dziękuję pani, Miss Paige. Dziękuję, że zechciała pani to wyjaśnić. Nie mam więcej pytań – zakończył, udając się na swoje miejsce.

Cindy siedziała jakby bez życia, zgarbiona, z opuszczoną głową. Manny podszedł wolnym krokiem. Chciał jej dać chwilę czasu na zebranie się w sobie, zanim rozpocznie swoją serię pytań.

– Dzień dobry, panno Paige – zaczął tonem jak gdyby nigdy nic, chcąc ją nieco uspokoić.

Jack słyszał, jak Manny dokłada wszelkich starań, aby nakreślić inny obraz i świadka, i oskarżonego oraz ich wzajemnego związku. Odpowiadając na pytania obrońcy, Cindy wyjaśniła, że owego krytycznego ranka przemawiał przez nią gniew, że w normalnych warunkach nigdy nie użyłaby podobnych słów i że nic takiego nie miała na myśli, a poza tym znowu są razem. Jack jednak nie potrafił się skupić ani na jej zeznaniach, ani na wywodzie Manny'ego. Doskonale wiedział, że Cindy powiedziała prawdę i nic tej prawdy już nie zmieni. W takiej sytuacji najlepsza strategia polega na tym, aby zmniejszyć wagę zeznań świadka. Im świadek krócej zeznaje, tym lepiej. Manny też był świadom tej strategii i rychło zakończył pytania.

– To wszystko, o co obrona chciała zapytać, dziękuję pani.

Cindy wstała z miejsca i przeszła na drugą stronę barierki oddzielającej scenę, na której rozgrywał się dramat, od widowni, a więc ław publiczności. Spojrzała na Jacka, jakby prosiła o wybaczenie.

– Mamy problem – szepnął Jack do Manny'ego.

– To tylko pierwsza runda – zbył uwagę obrońca.

– Nie rozumiesz. Tego ranka, kiedy Cindy odeszła, byliśmy sami, tylko ona i ja.

– I co z tego, na czym ma polegać problem?

– Jeśli tylko ona i ja wiedzieliśmy, co się wtedy naprawdę stało i co sobie powiedzieliśmy, to jak wytłumaczyć, że McCue zadawał takie pytania, jakby wszystko słyszał?

Wymienili spojrzenia, po czym Jack skierował wzrok na prokuratora. Ten jakby wyczuł i uśmiechnął się nieznacznie znad notatek. Jack czuł, że ogarnia go złość, miał ochotę podskoczyć do McCue, wywlec go z miejsca. Skąd wiesz, sukinsynu? Skąd wiedziałeś, o co pytać?

– Czy pan prokurator gotów jest przedstawić następnego świadka? – odezwała się pani Tate.

Jack nawet tego nie usłyszał. Myślami był gdzie indziej. Wreszcie olśniło go, McCue musiał mieć informatora, bo inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

– Wysoki Sądzie – odezwał się prokurator, gdy sala ucichła – oskarżenie wzywa Miss Ginę Terisi.

Znów otworzyły się wielkie mahoniowe drzwi, do sali wkroczyła Gina. Szła między rzędami ław dla publiczności jak modelka na wybiegu. Piękna twarz i wspaniała sylwetka przyciągały łakome spojrzenia, choć Gina starała się raczej zaprezentować skromnie. Z delikatnym makijażem i w granatowym kostiumie, z brzoskwiniową jedwabną bluzką, wyglądała elegancko, ale niezbyt awangardowo.

– Czy przysięga pani mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę...

Proszę Cię, Boże, modlił się w duchu Jack, słuchając zaprzysiężenia świadka. Prawda sama w sobie była zła, ale cała prawda stanowiła śmiertelną groźbę tak dla niego, jak i dla jego związku z Cindy.

– Proszę podać imię i nazwisko – zaczął prokurator.

Jack pilnie słuchał i jeszcze pilniej obserwował, starając się znaleźć w słowach Giny lub w jej zachowaniu choćby cień oporu wobec prokuratora. Owszem, zaciskała usta, wydymała wargi, opuszczała wzrok, ale odpowiadała nader chętnie, co Jack stwierdził z niejaką konsternacją.

– Czy zna pani oskarżonego?

– Owszem, znam. – Jack starał się nie wpadać w panikę słuchając, jak Gina opowiada przysięgłym, kiedy go poznała i jak to było.

– A teraz, panno Terisi – prokurator przeszedł do sedna – chciałbym pomówić o wydarzeniach, jakie miały miejsce owej nocy, kiedy zamordowano Eddy'ego Gossa. Proszę powiedzieć sądowi, czy spotkała się pani z oskarżonym w nocy pierwszego sierpnia?

– Tak, widzieliśmy się – odparła Gina i od tego momentu wszystko potoczyło się w szybszym tempie, z jej zeznań zaś, do tej pory dość ogólnych, zaczął wyłaniać się szczegółowy i niekorzystny, jak wszystko, co ogląda się przez lupę, obraz. McCue zaczął wyciskać z niej wszystkie najdrobniejsze szczegóły zdarzeń owej nocy, licząc od chwili, gdy Jack zapukał do drzwi. Żądał konkretów, jak był ubrany, jak wyglądał, co mówił, zwłaszcza zaś interesowało go to, że Jack bał się Gossa, sądząc, iż to właśnie on go prześladowa. McCue położył nacisk na wzburzenie Jacka, gdy ten odkrył, że ktoś włamał się do mieszkania Giny. Dziennikarze na galerii notowali pilnie każde słowo, bo z zeznań Giny jasno wynikał motyw zabójstwa Eddy'ego Gossa. Dziwne jednak, bardzo dziwne, pomyślał Jack, że nie wspomniała o pistolecie.

Późnym popołudniem było już oczywiste, że obrona poniosła klęskę.

Prokurator zdołał uzupełnić kapitalną lukę w akcie oskarżenia. Brak motywu był do tej pory najsłabszym ogniwem w materiale dowodowym, a za sprawą zeznań Giny stał się najsilniejszym elementem oskarżenia. Jack starał się nie okazywać żadnych emocji, choć bał się, że to jeszcze nie wszystko. Gina zeznawała już blisko cztery godziny, a jeszcze nie padło ani jedno słowo na wiadomy temat. Jack modlił się, aby tak zostało. Czuł na sobie wzrok Cindy.

– A teraz, panno Terisi – ciągnął McCue – proszę powiedzieć, czy po tym wszystkim zawiadomiła pani policję.

– Nie, nie zawiadomiłam.

– Właśnie – prokurator pocierał brodę jakby w zamyśleniu – sędziowie przysięgli mogą uznać to za dość dziwne zachowanie. Włamanie, a pani nie zawiadamia policji? Proszę nam powiedzieć, dlaczego.

Gina spojrzała na Cindy, a następnie przeniosła wzrok na prokuratora.

– Nie umiem tego wytłumaczyć.

McCue stropił się, oczekiwał innej odpowiedzi. Starannie przygotował to pytanie. Rozmawiał przecież z Gina wielokrotnie przed procesem, przeprowadzali próby i umawiali się, co ma mówić.

– Czy mam rozumieć, że zawodzi panią pamięć – naciskał – jeśli tak, to spróbujmy ją odświeżyć....

– Powiadam, że nie umiem tego wytłumaczyć – powtórzyła stanowczo.

McCue zirytowany ruszył zza stołu, podszedł do Giny, aby wyrzucić na nią jeszcze większy nacisk.

– Panno Terisi – w głosie prokuratora zabrzmiały ostre nuty – w czasie rozmowy w moim biurze oświadczyła pani, że to Swytek wzbraniał się przed wezwaniem policji. Czy może pani to potwierdzić?

Gina wierciła się nerwowo na krześle, ale trwała przy swoim.

– Owszem, tak mówiłam, ale to nieprawda. To ja upierałam się, żeby nie zawiadamiać policji, ja, a nie Jack.

Wilson McCue był wyraźnie zaskoczony. Zamilkł, zastanawiał się. Liczył, że uda mu się przekonać przysięgłych, iż to Jack nie pozwolił Ginie zawiadomić policji, bo zamierzał sam załatwić sprawę, czyli zabić Gossa. Nagła zmiana stanowiska świadka zbiła go z tropu, zwłaszcza że nie rozumiał, dlaczego Gina zmieniła zdanie. Uznał, że nie ma innego wyjścia jak ponowić próbę przywołania jej do porządku.

– Rozumiem, panno Terisi – odezwał się zgoła przyjacielskim tonem – że pan Swytek jest narzeczonym pani najlepszej przyjaciółki. Domyślam się więc, że nie

chciałaby pani wyrządzić krzywdy ani jemu, ani jej, ale musi pani przyznać, że to dziwne, iż po włamaniu się kogoś do pani mieszkania właśnie pani decyduje, żeby nie zawiadamiać policji.

– Czy to jest pytanie? – zaciekawiał się sarkastycznie Manny, wstając z miejsca.

– Sąd uznaje sprzeciw.

– Moje pytanie brzmi – poprawił się prokurator – czy chciała pani zawiadomić policję, czy nie?

– Oczywiście, że chciałam – odparła nie bez wahania.

McCue poczuł się lepiej, postawił na swoim. Trwało to chwilę, ale udało się opanować świadka, przynajmniej tak sobie pomyślał.

– Skoro tak, to czemu pani tego nie zrobiła?

– Bo uznałam, że lepiej tego nie robić.

– Przepraszam, nie rozumiem. – McCue znów był zaskoczony. Kolejna niespodziewana odpowiedź.

– Doszłam do wniosku, że lepiej tego nie robić... – powtórzyła Gina z wahaniem. Zawiesiła głos, nerwowo splatała palce. – A więc nie zadzwoniłam po policję – ciągnęła, wyraźnie wstydząc się tego, co mówi – bo nie chciałam, aby wyszło na jaw, że poszliśmy z Jackiem do łóżka.

Zaskoczenie było absolutne. Prokurator zamilkł, a po sali poniósł się szum. Dziennikarze pilnie notowali, Jack poczuł się, jakby go torturowano, choć w dalszym ciągu niczego nie dawał po sobie poznać. Tego wymagała taktyka. Patrzył przed siebie, nie śmiał odwrócić się do Cindy, bo wiedział, że nie wytrzyma jej spojrzenia i straci panowanie nad sobą.

– Proszę o spokój – sędzia kilkakrotnie uderzyła młotkiem w pulpit.

Jack jednak nie opanował odruchu. Zerknął przez ramię na Cindy. Na krótką chwilę ich spojrzenia splotły się w jedno. Wystarczyło, żeby odczytać w jej oczach coś, czego nigdy do tej pory nie widział: gniew i wstyd, żal, a zarazem zaskoczenie.

– Rozumiem, panno Terisi... – McCue podjął przesłuchanie, ale znów przerwał. Gina odeszła od przygotowanego scenariusza. Obawiał się, że obrona może wykorzystać fakt, iż publicznie przyznała się do kłamstwa. Temu musi zapobiec, porażkę przekuć w zwycięstwo. – Rozumiem – powtórzył – że są to bolesne sprawy i że wyjawienie prawdy nie przyszło pani łatwo, ale potwierdza to tylko, że jest pani uczciwą i prawdomówną osobą, że nie waha się pani dać świadectwa nawet bardzo bolesnej prawdzie.

– Sprzeciw – poderwał się Manny.

– Uznaję – zgodziła się sędzia – nie do pana należy ocena wiarygodności świadka, panie McCue.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale chodzi o sprawę bardzo istotną... Panno Terisi – zwrócił się ponownie do Giny – kiedy rozmawialiśmy u mnie i kiedy, że tak powiem, minęła się pani z prawdą twierdząc, że to pan Swytek upierał się, żeby nie wzywać policji, otóż wtedy nie składała pani ślubowania prawdomówności, prawda?

– Tak jest.

– Dziś wszakże zeznawała pani pod przysięgą! Proszę nam więc powiedzieć: czy mówi pani prawdę, czy prawdą jest to wszystko, co pani powiedziała?

– To wszystko prawda.

– I jeszcze jedno – prokurator kiwał głową, jakby chciał potwierdzić jej słowa – proszę nam powiedzieć: czy wtedy, kiedy zdecydowała pani nie wzywać policji, czy pan Swytek protestował, wyrażał inne zdanie?

– Nie, nie protestował.

– A co zrobił?

– Wszedł – wzruszyła ramionami Gina, jakby mówiła o sprawie oczywistej.

– Która to była godzina?

– Dokładnie nie pamiętam – pokręciła głową – ale chyba przed trzecią.

– Przed trzecią – powtórzył McCue z naciskiem, jakby chciał przypomnieć przysięgłym, że Gossa zamordowano co najmniej godzinę później, co zresztą większość od razu spostrzegła. – Czy był pijany, czy trzeźwy?

Gina zaczęła się wyraźnie denerwować. W ustach jej wyschło, wypła łyk wody i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Wyglądał niezbyt trzeźwo.

– Czy coś zabrał ze sobą?

– Kluczyki do samochodu.

– Jeszcze coś?

– Owszem – kwiat spod poduszki Cindy, chryzantemę od Eddy'ego Gossa, jak mówił.

– Czy coś powiedział przed wyjściem?

Gina wzięła głęboki oddech.

– Powiedział – opuściła głowę – powiedział, że musi temu położyć kres.

McCue spojrział wymownie na przysięgłych, jak aktor czekający na oklaski, nim zegnije się w głębokim ukłonie.

– Dziękuję, panno Terisi, nie mam więcej pytań – teatralnym gestem zapiął

guziki marynarki i syty chwały wrócił na swoje miejsce. Sala ożyła, w ławach publiczności rozległy się szmery, wszyscy zaczęli wymieniać uwagi, dzielić się opiniami, ferować wyroki.

– Proszę o spokój – nad gwarem uniósł się energiczny stuk sędziowskiego młotka. Sala zamilkła. Pani Tate spojrzała na zegar na ścianie, dochodziła piąta. – Nie widzę powodu, aby przedłużać dzisiejsze posiedzenie – oznajmiła. – Ogłaszam przerwę. Obrona będzie mogła przesłuchać świadka jutro rano.

– Wysoki Sądzie – Manny próbował protestować. Zależało mu, aby nie zamykać dnia ogromnie niekorzystnym dla obrony akcentem. – Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chciałbym rozpocząć już dziś. Tylko kilka pytań, dwadzieścia minut – prosił.

– Jutro będzie pan miał tyle czasu, ile pan zechce. Ogłaszam przerwę – uderzenie młotka w pulpit nieodwołalnie zamknęło sprawę.

– Proszę wstać! – zawołał woźny sądowy, choć było to zupełnie niepotrzebne, bo wszyscy zaczęli już wstawać z miejsc. Reporterzy telewizyjni biegli do wyjścia, chcąc zdążyć z materiałem do dzienników o piątej. Dziennikarze z prasy ruszyli ławą w przeciwną stronę, ku głównej scenie, licząc, że uda im się uzyskać wypowiedź prokuratora, obrońcy, a może nawet głównego świadka oskarżenia.

Jack poderwał się z miejsca i szukał wzrokiem Cindy. Musiał jej coś powiedzieć, zaraz, natychmiast, ale dziewczyna już zniknęła. Wybiegła z sali, gdy tylko sędzia Tate ogłosiła koniec posiedzenia.

Stał więc za stołem obok Manny'ego i rozpaczliwie rozglądał się po sali. Gdzie ona jest? Ocknął się, gdy Manny dotknął jego ramienia.

– Musimy porozmawiać – szepnął adwokat.

– A ja muszę porozmawiać z Cindy – westchnął Jack z głębi serca.

Jack pędził do domu jak szalony, nie bacząc, że to godzina szczytu. Z ulgą stwierdził, że auto Cindy stoi na podjeździe. A więc nie odeszła, a przynajmniej – jeszcze nie. Wbiegł do domu i zamarł słysząc hałas otwieranych szuflad i szaf.

– Co robisz? – spytał, wchodząc do sypialni.

Walizki, już prawie spakowane, leżały na łóżku.

– A jak ci się wydaje? – odparła, wrzucając kolejną partię rzeczy do torby.

– No cóż – westchnął – postępujesz dokładnie tak, jak i ja bym postąpił. Zasłużyłem na to. Ale, błagam cię, zmień zdanie.

Nawet na niego nie spojrziała, nie przerwała pakowania.

– A dlaczego?

– Ponieważ proszę cię i przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi jest przykro i jak bardzo cię kocham.

– Przestań, na litość boską, przestań tak mówić!

– Cindy – błagał – to nie jest tak, jak myślisz. Pamiętaj, że było to tuż po procesie Gossa, kiedy cały świat oszalał. Ktoś mnie prześladował, chciał przejechać na ulicy, zabił Czwartka. A wtedy, w nocy, byłem u Gossa, zraniłem się w rękę. Gina przekonywała mnie, że jestem naiwny, jeśli wyobrażam sobie, że wrócisz. Powiedziała, że ty z Chetem, właśnie, że ta podróż wcale nie jest „służbowa”.

– Dość tego! – przerwała, nie wierząc w ani jedno słowo. – Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, o czym mówisz? Nie minęło nawet dwanaście godzin od czasu, gdy wyjechałam, a już poszedłeś do łóżka z moją najlepszą przyjaciółką, niby dlatego, że straciłeś we mnie wiarę. Toż to bzdura, Jack – zakończyła kpiącym tonem i znów zabrała się do pakowania.

– Byłem pijany...

– Nic mnie to nie obchodzi. A zresztą, czy teraz, przez ostatnie dwa miesiące, też byłeś pijany? Dlatego nic mi nie powiedziałeś? Czy może wyobrażałeś sobie, że najlepiej się stanie, jeśli dowiem się o wszystkim w sądzie, na oczach tłumu, żeby mnie do końca upokorzyć?!

– Chciałem ci powiedzieć – rzekł nieśmiało.

– Czyżby? A może jednak myślałeś, że jakoś to będzie, jak z ojcem, z którym powinienes porozmawiać o tych sprawach, a mimo to ciągle tego nie robisz? No cóż, nie udało się i nigdy się nie uda. Wszystko, co zrobiliście z Gina, było

obrzydliwe, ale to, że mi nic nie powiedziałeś, jest podłością i tego ci nie wybaczę.
– Zatrzasnęła walizkę i bez słowa wyszła z sypialni.

Powlókł się za nią do hallu.

– Cindy, nie odchodź.

– Puść mnie – podeszła do drzwi.

– Nie możesz wyjechać. Jesteś świadkiem na procesie, mogą cię w każdej chwili ponownie wezwać, a jeśli nie stawisz się, to oskarżą cię o utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości. Takie są przepisy.

– Nie muszę wyjeżdżać, zamieszkam w hotelu.

– Cindy...

– Żegnaj, Jack.

Rozpaczliwie szukał w myślach słów, które mogłyby ją przekonać.

– Jest mi przykro i żałuję – rzucił, gdy dziewczyna schodziła po schodkach z ganku.

Zatrzymała się, spojrzała oczami pełnymi łez.

– Mnie też jest przykro – powiedziała z goryczą – zniszczyłeś, zrujnowałeś wszystko.

Jack czuł kompletną pustkę. Gdy patrzył, jak Cindy wrzuca walizkę do auta i rusza, miał wrażenie, że całe życie zeń wyszło. Nie czuł nawet złości do Giny. I wtedy, gdzieś w zakamarkach duszy, rozległo się ostrzeżenie, coś w środku przemówiło głosem ojca, powtarzając naukę, którą Harry Swytek mozolnie i z uporem weń wkładał, tę samą, którą Jack rzucił ojcu w noc egzekucji Raula Fernandeza: „Każdy odpowiada za swoje czyny”. Miał wrażenie, że słyszy ojca, ale tamto zdanie nie niosło ze sobą ulgi, choć w głębi serca poczuł wzbierającą siłę.

– Zawsze będę cię kochał – szepnął wcale nie do siebie. – Zawsze – powtórzył, patrząc na odjeżdżające auto.

Szczegółowe sprawozdanie z przebiegu procesu trafiło niezwłocznie na biurko gubernatora. Z zeznań Giny Harry Swytek dowiedział się, że Jacka ktoś prześladował. Nie miał o tym pojęcia, a odkrycie przyjął zupełnie inaczej niż wszyscy. Dla innych fakt ten wyjaśniał motyw zabójstwa, on zaś widział to inaczej, ponieważ jego też nęcano i też wydawało mu się, że prześladowcą jest Goss.

W pierwszym odruchu chciał zaraz złożyć publiczne oświadczenie, ale zaczął się zastanawiać. Nie można było bowiem wykluczyć, że taki krok – a więc ujawnienie, że również jego prześladowano – wzmocniłby argumenty prokuratora, przysięgli zaś mogliby to przyjąć jako wyraźny motyw zabójstwa. Jackowi też nie należy nic mówić, nie byłoby to rozsądne, bo Jack może wystąpić jako świadek, a wtedy musiałby zeznać wszystko.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Weszła sekretarka.

– Właśnie to przyniesiono – podała mu sporą, szarą, zapieczętowaną kopertę. – Nie chciałam panu przeszkadzać, ale posłaniec mówił, że to ma związek ze sprawą Jacka.

– Dziękuję, Paulo. – Na kopercie nie było nazwiska nadawcy. Harry odczekał, żeby sekretarka zostawiła go samego, i dopiero wtedy ostrożnie rozciął kopertę i zajrzał do środka. Zmroziło go. W środku znalazł zdjęcie. Przypomniał sobie okropności, jakie już raz szantażysta podsunął mu w Miami. Tym razem w kopercie była tylko jedna fotografia, czarnobiała, na błyszczącym papierze. Harry zamarł widząc siebie przed domem Gossa. Nie miał wątpliwości, zdjęcie zrobiono w noc zabójstwa. Harry stchórzył wtedy, nie zastosował się do polecenia szantażysty, który żądał, aby punktualnie o czwartej rano wszedł do mieszkania pod numerem 217 i zostawił tam pieniądze.

Ręce mu drżały, gdy odkładał fotografię na biurko. Wtedy dopiero zobaczył adnotację na odwrocie.

*Puścisz parę, przyjacielu,
Glinom albo latorośli,
Zaraz buty się objawią,
A wraz z nimi moc radości.*

Rymy prymitywne, ale przesłanie jasne. Gubernator zeszywniał,

uświadamiając sobie, że jest przedmiotem manipulacji i od niego samego niewiele zależy. Groźba była poważna i oznaczała, że jeśli wystąpi w obronie syna, to policja „znajdzie” parę obuwia – dowód, kto zostawił ślad przed mieszkaniem Gossa i jeszcze więcej śladów w mieszkaniu kolejnej ofiary, Wilfreda Garcii. To nie wszystko. Kompromitujących materiałów jest bowiem więcej: nagranie na taśmie magnetofonowej to dowód, że Harry zapłacił za zdjęcia ofiary. Gdyby wszystko zostało ujawnione, opinia publiczna dowiedziałyby się, że korzenie zbrodni tkwią głęboko i mają związek z egzekucją niewinnego człowieka.

Gubernator złapał się za głowę w absolutnej bezsilności. Z jednej strony chciał coś zrobić, z drugiej czuł się jak sparaliżowany niezdolny do najmniejszego nawet ruchu. Miał potężnych nieprzyjaciół, więc najpierw trzeba się głęboko zastanowić, czy i jak można pomóc Jackowi, nie niszcząc siebie.

Jack czuł, że nie wytrzyma sam w pustym domu, więc wsiadł w auto i pojechał do Manny'ego, aby naradzić się przed kolejnym dniem rozprawy.

Zaraz na wstępie zwrócił uwagę adwokata, że Gina słowem nie wspomniała, iż miał ze sobą broń, gdy w nocy zjawił się w jej mieszkaniu. Być może podświadomie czuła, że byłby to ostatni gwóźdź do trumny Jacka, i mimo wszystko nie chciała do tego przykładać ręki.

Nie mniej zdziwiony od Jacka Manny wolał zająć się tym, co Gina zeznała, bo jej słowa same w sobie zapowiadały katastrofę. Szykował się więc do krzyżowych pytań i obaj planowali, co trzeba zrobić, aby wszystko poszło jak najlepiej, gdy nazajutrz, o dziesiątej, rozprawa zostanie wznowiona. Jack podchodził do sprawy dość sceptycznie. Polemiki prawników odnoszą niewielki skutek, często okazują się sztuką dla sztuki. Manny zresztą podzielał jego zdanie. Obaj zdawali sobie sprawę, że Gina powiedziała prawdę, a prawdy nic nie zmieni, gdy zaś adwokat zaczyna zbyt mocno przyciskać świadka oskarżenia, często wywołują to niechęć przysięgłych. Nie tylko zresztą do obrońcy, także do świadków obrony, co w efekcie może mieć decydujący wpływ na werdykt.

W każdym razie Jack nie był nastawiony optymistycznie, gdy wieczorem wracał do domu. Czuł się wręcz przygnębiony, a przynajmniej do chwili, kiedy zaczął odsłuchiwać nagrania na automatycznej sekretarce.

– Jack – rozległ się z taśmy znajomy głos. – Tu Gina... – i w głośniku zaległa głęboka cisza. Podkreślił siłę głosu i z napięciem czekał, czy padnie jeszcze jakieś słowo. – Myślę, że powinniśmy porozmawiać. W cztery oczy. Wpadnij do mnie koniecznie, bez względu na porę, nie będę spała.

Nie wiedział, co to ma znaczyć. W jej głosie nie znalazł żadnej fałszywej nuty ani wrogości, ani pozoru flirtu. Mówiła rzeczowo i chyba szczerze.

Podniósł słuchawkę, ale zastanowiwszy się odłożył ją po chwili na widełki. Niewykluczone, że jeśli zadzwoni, Gina zmieni zdanie. Gdy natomiast po prostu zjawi się u niej, na pewno porozmawia. Chwytał kluczyki i wybiegł na dwór.

Dwadzieścia minut później stał już przed znajomymi drzwiami. Gina otworzyła w kapciach i białym szlafroku kąpielowym, z mokrymi jeszcze, nie rozczesanymi do końca włosami, jakby po kąpielu zaczęła układać fryzurę, po czym straciła zapal i dała spokój. Na twarzy nie miała nawet śladu makijażu, a mimo to wyglądała wspaniale, podobnie zresztą jak w sądzie, gdzie też pokazała się inaczej niż zwykle

– stonowana, poważna – z tym jednak, że teraz była dziwnie przygnębiona.

– Wejdz – w jej głosie też brzmiał smutek.

– Dzięki – wszedł do środka.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

– A może kieliszek jagermeistera? – zaśmiała się, ale po chwili znów spoważniała. Przeszli do salonu. Gina zajęła miejsce w wiszącym siedzisku, tuż przy drzwiach na werandę, podciągnęła kolana i w milczeniu chłonęła wieczorną bryzę wiejącą od zatoki.

Jack usiadł na kanapie przy stoliku koktajlowym i też bez słowa czekał, co będzie dalej. Wreszcie Gina odwróciła się od balkonu. W jej oczach dostrzegł smutek i żal.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz – powiedziała cicho – ale co z Cindy?

Zawahał się, a nawet obruszył, jakby Gina przekroczyła granicę intymności, ale w jej głosie było coś więcej niż ciekawość. Pytała z troską.

– Wyprowadziła się, spakowała rzeczy i wyjechała.

– Przykro mi... – pociągnęła nosem, opuszczając powieki. Milczała przez chwilę. – Nie wiem – westchnęła – naprawdę nie wiem, dlaczego robię te wszystkie głupstwa – głos jej się załamał.

Jack przesunął się na krześle. Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że przyjdzie mu pocieszać Ginę. A jednak...

– Wszyscy popełniamy błędy.

Pokiwała głową w zamyśleniu, po czym jakby się ocknęła.

– Błędy? Nawet nie masz pojęcia, ile ich popełniłam w życiu. Nie znasz mnie, nikt mnie nie zna, nawet Cindy. Ludzie myślą, że ciało i uroda to wszystko, że osiągnęłam w życiu to, co chciałam. Być może tak było, ale krótko. Gdy miałam szesnaście lat, skasowałam ponad sto tysięcy jako modelka w agencji Forda. Ale rok później utylam dziesięć kilo i to był koniec. Nie miałam pracy i w ogóle niczego. Był to kubek zimnej wody i lekcja, że „trzeba korzystać, póki czas”. Ale nauczyłam się jeszcze czegoś: im bardziej się korzysta, tym bardziej jest się wykorzystywanym. I możesz mi wierzyć, że czego jak czego, ale tych, co chcą cię wykorzystać, nigdy nie brakuje.

Jack milczał.

– Właśnie – głos jej drżał – właśnie dlatego zadzwoniłam po ciebie. Mam dość tego, że mnie bez przerwy wykorzystują. Nie chcę czuć się jak ostatnia szmata, a tak właśnie się czuję nawet wtedy, gdy próbuję postępować właściwie. Tak było

też dziś w sądzie. Powiedziałam prawdę i nic więcej, a mimo to czuję się tak, jakbym znowu popełniła błąd.

– Nie wspomniałaś o pistolecie. Zastanawiałem się, dlaczego.

– Nie wiem, może dlatego, że byli tacy zachwyceni tym wszystkim, co zeznałam, a z własnej woli nie miałam najmniejszej ochoty niczego dodawać.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

– Witaj w klubie – rozczesała włosy palcami – tak to już jest, że zapraszają cię do gry, a nie ujawniają zasad.

– Jakiej gry? – Jack już nic nie rozumiał.

Odetchnęła głęboko, zawahała się, ale po chwili zaczęła opowiadać.

– No więc gra polega na tym, że znalazłam się w sądzie, a zaczęła się wtedy, gdy poprosiłeś mnie, żebym ci dała alibi. Wszystko, co wtedy mówiłam i robiłam, było częścią gry. Miałeś nabrać przekonania, że nie chcę się w nic mieszać, a jeśli już do tego dojdzie, to raczej ci pomogę, niż zaszkodzę. Pomysł polegał na tym, aby cię zaskoczyć i zaszokować faktem, że zeznaję przeciwko tobie. Taka była umowa.

– Umowa? – Jack podejrzliwie zmrużył oczy – umowa z kim?

– Z tym gliną, Staffordem – odparła zmieszana. Widać było, że wyznanie sprawia jej ból. – Prawda jest taka, że kiedy tylko postawiono cię w stan oskarżenia, Stafford zjawił się u mnie i zaczął wypytywać. Gnida. W pewnej chwili zapytał, czy może skorzystać z łazienki. Zgodziłam się jak głupia. Gdy wrócił, powiedział, że tyle amfetaminy, ile zobaczył na półce, wystarczy, żeby mnie zapudłować na parę dobrych lat, ale zaraz dodał, że nie wniesie oskarżenia, jeśli mu pomogę, i że nie chodzi o nic specjalnego, tylko o prawdę. Od lat biorę amfetaminę na odchudzanie, ale nie o to chodzi. Największe obrzydzenie wzbudza we mnie to, co ze mną zrobili, bo jak myślisz, skąd prokurator tak dokładnie wiedział, co zaszło między tobą a Cindy tamtego ranka? Otóż ona zwierzyła mi się, a ja opowiedziałam wszystko Staffordowi. Kółko się zamyka, a Cindy wychodzi na kretynkę w sądzie.

Jack poczuł ogarniającą go złość, ale opanował się, rozumiejąc, że oto trafia się niebywała szansa.

– Gina – rzekł spokojnie, tonem pełnym zrozumienia – to bardzo ważne. Nie chodzi o to, że Stafford postąpił obrzydliwe, ale o to, że prokurator naruszył prawo nie informując ani Manny'ego, ani mnie o umowie ze świadkiem oskarżenia, czyli z tobą. Na tej podstawie można unieważnić całą sprawę. Już jutro proces może się zakończyć, a ja będę wolny.

- Co chcesz, żebym zrobiła? – spytała z nutą podejrzliwości.
- Jutro w sądzie powiedz tylko dokładnie to, co mnie – prawdę, nic więcej.
- A co będzie ze mną? Zamkną mnie za narkotyki?

Zastanowił się.

– Nie, prokuratura musi honorować umowę z tobą. Stafford złożył przecież oświadczenie wobec ciebie. Ty spełniłaś warunki umowy, powiedziałaś prawdę, a jeśli sprawa teraz pieprznie, to nie z twojej winy, tylko Stafforda.

– Czy ja wiem... – wahała się.

– Gina – naciskał – do tej pory mówiłaś prawdę i szanuję cię za to, ale jeśli powiedziałaś prawdę w interesie Stafforda, to zrób to samo dla mnie.

– To wszystko jest takie głupie – westchnęła – ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin doszłam do wniosku, że najwyższy czas odpokutować za wszystkie kłamstwa, jakie wypowiedziałam w życiu. Trzeba zacząć mówić prawdę.

– Prawda jest najlepsza, nawet jeśli boli.

– W porządku – powiedziała zdecydowanie – tak zrobię.

Jack poczuł ucisk w gardle.

– A może zadzwonię po Manny'ego i obgadamy wszystko dokładnie? – zaryzykował.

– Nie, nie chcę żadnego scenariusza.

– Rozumiem – zgodził się, czując, że lepiej nie naciskać.

– Do zobaczenia w sądzie, o wpół do dziewiątej – Gina wstała i odprowadziła go do drzwi – teraz muszę się przespać.

– Do jutra.

– Przykro mi, że tak to wyszło z Cindy – zatrzymała go jeszcze przy drzwiach, kładąc mu rękę na ramieniu – bardzo żałuję, możesz mi wierzyć.

– Dzięki.

Jechał do domu nieprzytomny z radości, miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Dzięki Ginie poczuł, że żyje. Gina przywróciła mu nadzieję.

O wpół do czwartej nad ranem, gdy Jack z Mannym kończyli opracowywanie listy pytań do świadka, Giny Terisi, w barze Jiggles – zapuszczonej, pełnej dymu mordowni z „działalnością artystyczną” równie podłą jak serwowane tam trunki – tancerki w obowiązkowym stroju topless zaczynały ostatni numer. Biuściasta Murzynka, której całe odzienie stanowiły szpilki i nie wiedzieć dlaczego kabura na pasku, dreptała po długim barze w rytm rapu, ku radości pijanej gromady gości. Gdy w głośnikach nastawionych na full rozlegał się refren: „A ja lubię duży zadek”, artystka zarzucała rozłożystymi biodrami, a tłum wpadał w ekstazę. Czarnoskóra była zapewne największą atrakcją, bo tylko ją wyławiał z mroku czerwono-pomarańczowy reflektor i tylko ona tańczyła na barze. Inne panienki podrygiwały na okrągłych stolikach porozrzucanych po całej sali. Odziane były równie skąpo, choć inaczej: w kowbojskie buty i także kapelusze. Wszystkie też miały podwiązki, za które co bardziej rozemocjonowani widzowie zatykali banknoty, dając materialny wyraz zachwytowi i własnym marzeniom.

Tuż przed zamknięciem do drzwi jął się dobijać wysoki, barczysty mężczyzna, o wygolonej starannie czaszce, z diamentowym kolczykiem w uchu. Brodaty bramkarz, wyglądający tak, jakby w barze tylko dorabiał, a na co dzień występował na zawodowym ringu zapaśniczym, potraktował przybysza z góry.

– Za piętnaście minut zamykamy – oznajmił.

– Tyle mi wystarczy – napierał spóźniony gość. Bramkarz przytrzymał go wprawna ręką.

– Dycha za wstęp.

– Kurwa! – warknął przybysz, ale było mu spieszno, więc nic więcej nie powiedział, zapłacił i wszedł do środka. Przyjrzał się uważnie tancerkom na stolikach i primadonie na barze. Szukał Rebekki. Ta znała go jako Buzza, co w tych kręgach oznaczało sępa. Sama zresztą nadała mu taki właśnie przydomek, bo świecił łysą czaszką jak skrzydlaty drapieźnik, a haczykowaty nos, długa i jakby za cienka w stosunku do postaci szyja sprawiały, że naprawdę przypominał sępa, zwłaszcza w nocy, gdy jego oczy nabiegały krwią. Rebecca zwykle pracowała do zamknięcia lokalu, ale teraz nigdzie jej nie było, ani na żadnym ze stolików, ani na barze. Po chwili dopiero Buzz zauważył, że dziewczyna stoi przy automacie z papierosami.

Rebecca była dość niska, o kręconych, czarnych – przynajmniej dziś – włosach

i miała najlepszą figurę ze wszystkich tancerek w barze. W odróżnieniu od dziewcząt z baletu była ubrana, wręcz wystrojona w obcisły sweterek bez rękawów, z dekoltem do pępka, częściowo przysłoniętym złotym łańcuchem długości i średnicy psiej smyczy, miała też obcisłe szorty z czarnej skóry, ze srebrnymi guzami na kieszeniach i obiecującym rozcięciem z tyłu. Stroju dopełniały błyszczące, czarne boty do pół uda, a ściślej – do miejsca, gdzie widniał tatuowany motyl. Zerknęła na Buzza z daleka, ale jakby obojętnie.

– Skończyłam na dziś – oznajmiła, gdy podszedł do niej. Dmuchnęła mu kłębem dymu prosto w nos.

Buzz znał miejscowe obyczaje, więc spytał tylko:

– Ile?

– Trzy stówy.

– Ja pierdolę!

– To będzie ekstra.

– Mam tylko sto sześćdziesiąt – pokazał puste kieszenie – albo tyle, albo nic.

– Zgoda – wzięła zwitek i wcisnęła za cholewkę – ale nie idę do auta. Jak już chcesz, to tylko tu, na miejscu.

– Tu? – zdziwił się.

– Tak, idź tam – pokazała mroczny kąt – zaraz przyjdę.

Kiwnął głową i ruszył tam, gdzie mu kazała. Ona tymczasem podeszła do baru.

– Margarita dla wariata – zamówiła – sama sól bez tequili. Barman skrzywił się w szyderczym półuśmiechu. Nasypał trochę soli do szklanki, skrapiając zawartość cytryną.

– Dzięki. – Pomaszerowała w kąt.

– Tęskniłem za tobą – szepnął na powitanie Buzz. Rebecca postawiła szklankę na stole, władczy ruchem wsparła rękę na biodrach.

– Nie pieprz – powiedziała ostro.

– Racja – szepnął ochryple – zawiniłem.

– Tak myślałam – splunęła. – Wiesz, co ci za to grozi – warknęła jak kapral na rekruta.

Spojrzał na nią wiernie jak pies.

Rebecca wsadziła palec do ust, oblizwała go zmysłowo, a następnie zaczęła wolno mieszać sól w szklance, po czym oszroniony solą palec zbliżyła mu do oka.

– Jak bardzo zawiniłeś? – spytała surowo.

– Bardzo – jęknął, padając na kolana.

Wolnym, sadystycznym ruchem wbiła palec w kąt oka. Zawył z bólu i

perwersyjnej rozkoszy, jęki mieszały się z muzyką dobiegającą z głośników. Rebecca знаła reguły gry. Wiedziała, że jej rola polega na tym, aby być brutalną i bezlitosną, z trudem jednak ukrywała strach. Widziała wielu psychopatów, zwykle nieszkodliwych czubków, którzy onanizują się przy barze łypiąc na nagie ciała dziewcząt. Ten jednak napawał ją strachem. Przeżywał swoją perwersyjną ekstazę jak wybuch.

Nie wstając z kolan spojrzał na nią jednym okiem. Drugiego opuchniętego od soli i łez nie był w stanie otworzyć. Sok z cytryny i łzy spływały strumieniem po policzku. Za sto sześćdziesiąt zielonych należało mu się jeszcze coś.

– Teraz bez soli – poprosił – bardzo zawiniłem.

Rebecca westchnęła ciężko. Wiedziała, o co mu chodzi. Zapaliła papierosa.

– No i co zrobiłeś?

Też westchnął głęboko. Sięgnął do kieszeni i dobył chusteczkę, w której z lubością ścisnął dwa zakrwawione kobiece sutki.

– Nic, nic takiego, czego bym już nie robił – odparł z perwersyjnym uśmiechem i wtedy jego ciałem znów wstrząsnął dreszcz rozkoszy, na co Rebecca, dopełniając scenariusza, zgasła zapalonego papierosa o jego prawą dłoń.

Jack i Manny zjawili się w sądzie parę minut przed dziewiątą. Sala rozpraw była pełna. Jack zaniepokoił się nie widząc nigdzie Giny, pomyślał jednak, że pewnie się spóźni, jak to ona, ale na pewno przybędzie, bo przecież poprzedniego wieczoru solennie postanowiła powiedzieć całą prawdę – odczytał to w jej oczach.

Rychło jednak wyczuł, że w sądzie coś się dzieje. Po pierwsze – i to budziło podejrzenia – nie było McCue'a, choć zazwyczaj przychodził wcześniej. Nie było też woźnego sądowego.

Minęło dziesięć minut, w ławach publiczności podniósł się szmer, prokuratora w dalszym ciągu nie było, natomiast zjawił się woźny. Z jego twarzy niczego jednak nie dało się wyczytać. Podeszedł do stołu obrony.

– Mr. Cardenal – zwrócił się z należnym szacunkiem do adwokata – sędzia Tate prosi pana i pana Swytecka do gabinetu.

Jackowi serce podeszło do gardła, Manny'emu zresztą też. Zaproszenie nie wróżyło niczego dobrego. Sędzia rzadko zaprasza strony do siebie, coś więc musiało się stać.

Atmosfera w gabinecie przypominała dom pogrzebowy. Pani Tate siedziała w skórzanym fotelu za wielkim biurkiem na tle dwóch flag – federalnej i stanowej. McCue zajął miejsce po lewej stronie, przy półkach pełnych prawniczych dzieł. Oboje wyglądali posepnie.

– Dzień dobry – Manny wszedł pierwszy.

– Proszę, panowie, usiądźcie – zaprosiła sędzia Tate tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że chodzi o poważną sprawę.

Jack i Manny zajęli miejsca na składanych krzesłach naprzeciwko McCue'a. Jack poczuł uścisk w dołku, oczekiwał najgorszego. Może nowego punktu oskarżenia, że na przykład groził Ginie. Sędzia splotła dłonie na biurku, pochyliła się nieco do przodu i zaczęła:

– Pan McCue poinformował mnie właśnie, że Gina Terisi nie żyje.

– Co? – Manny nie wierzył własnym uszom.

– Została zamordowana – rzekł prokurator.

– To niemożliwe... – Jacka zamurowało.

– Panie Swyteck – pouczyła sędzia – proszę nie zabierać głosu.

Miała rację, Jack starał się opanować.

Pani Tate spojrzała na Manny'ego, po chwili przeniosła wzrok na McCue'a.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie zaprosiłam panów na debatę o tym, jak i dlaczego zginęła panna Terisi. Chodzi o to, abyśmy się zastanowili, czy ta śmierć może wpłynąć na bieg niniejszej rozprawy. Na szczęście zarządziłam odosobnienie przysięgłych, więc nie dowiedzą się o niczym.

– Ależ, Wysoki Sądzie – wtrącił Manny – przysięgli wysłuchali już odpowiedzi świadka na pytania prokuratora. W obecnej zaś sytuacji nie ma mowy o pytaniach obrony, co oznacza, że nie zostaną spełnione warunki bezstronności sądu. Należałoby więc ogłosić unieważnienie procesu i sprawę rozpocząć od nowa.

McCue przesunął się niecierpliwie na krzesło.

– Pani sędzio – argumentował – spodziewałem się, że obrona postawi taki wniosek. Uważam jednak, że nie powinna pani unieważniać procesu. Byłoby to im tylko na rękę. Popatrzmy na sekwencję wydarzeń, na motyw. Nie ma tu przypadku. Zeznania Giny Terisi obciążły pana Swytecka. Kilka godzin później świadek została zamordowana. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby...

– Pan prokurator posuwa się stanowczo za daleko – zaprotestował Manny.

– Czyżby? – zgasił go McCue. – Wczoraj wieczorem widziano samochód Swytecka przed domem panny Terisi!

– Wolnego! – zawołał Jack.

– Panowie, dość tego! – przerwała sędzia Tate.

Zapadła cisza. Prokurator z obrońcą obrzucili się wrogimi spojrzeniami, Jack popatrzył na panią Tate. Z jej twarzy niewiele można było wyczytać, ale iskry w oczach zdradzały prawdziwe uczucia. Nie było w nich ani sympatii, ani życzliwości.

– Nie unieważnię procesu – oświadczyła – zarządzę natomiast skreślenie zeznań panny Terisi z protokołu i polecę ławie przysięgłych, aby nie brała jej zeznań pod uwagę. Polecę również ławników, aby nie wyciągali żadnych wniosków z jej nieobecności.

– Ależ, pani sędzio – nie dawał za wygraną Manny – to niczego nie załatwi. Przysięgli wysłuchali już zeznań panny Terisi, a polecenie, aby zapomnieć, niczego nie zmienia. To tak jakby rekinowi kazać przejść na dietę.

– Panie Cardenal – powiedziała sędzia Tate surowo – sąd powziął decyzję.

McCue promieniał.

– Pewnie nie powinienem tego podnosić, bo chodzi o sprawę oczywistą – powiedział protekcyjnie – ale sądzę, że zniknięcie panny Terisi będzie stanowić istotny punkt ewentualnych zeznań pana Swytecka, jeśli zechce on wystąpić jako świadek. Ja przynajmniej zadałbym mu kilka pytań na ten temat, mam więc

nadzieję, że pouczenie, jakiego udzieli pani przysięgłym, nie ograniczy pola działania prokuratora.

Pani Tate zastanawiała się przez chwilę.

– O tym nie pomyślałam, ale skłonna byłabym zgodzić się z panem. Jeśli pan Swytek wystąpi jako świadek, może pan zadawać pytania bez ograniczeń.

Manny kiwał głową, jakby nie wierzył w to, co się dzieje. Wyglądało bowiem na to, że sąd już zawyrokował o winie Jacka.

– Wysoki Sądzie – próbował ratować sytuację – taka decyzja uniemożliwi w istocie powołanie pana Swytecka na świadka. Nie mogę bowiem zgodzić się na zeznania, gdy prokurator sugeruje, że mój klient zamordował koronnego świadka oskarżenia. Pani decyzja to wyrok śmierci. Raz jeszcze stanowczo protestuję i proszę, aby zechciała pani ponownie rozważyć wniosek...

– To wszystko – przerwała pani Tate dalszą dyskusję. – Usłyszeli panowie postanowienie sądu. Daję stronom dwadzieścia cztery godziny na przygotowanie. Rozprawę wznawiamy jutro o dziewiątej. Rozpocznie pan McCue. Dziękuję panom – dała znak, że narada jest skończona.

– Dziękuję Wysokiemu Sądowi – rzekł McCue, niemal podskakując z radości.

Obaj prawnicy ruszyli do wyjścia. Jack nieco wolniej podniósł się z miejsca, ciągle jeszcze był zaszokowany. Dołączył do Manny'ego. Szli w milczeniu. Nikt nie powiedział słowa, aż w przejściu dogonił ich McCue.

– Szykuj się, Swytek – powiedział szyderczo – bo jeśli nie pójdiesz na krzesło za Gossa, to za Ginę Terisi. Już moja w tym głowa – dodał czyniąc gest, jakby uchylał kapelusz.

Jack stanął jak wryty, patrząc w przerażeniu na swego obrońcę. „Tak przecież nie może być” szepnął. A jednak tak było. Niewinni ludzie płacili życiem. Fernadez, Garcia, a teraz Gina. Po niej już tylko jego kolej. Jednego wszakże nie potrafił pojąć: dlaczego? Dlaczego tak jak Gina miałby zejść z tego świata nie ukończywszy nawet trzydziestu lat? Dlaczego ma umrzeć nie doświadczywszy ani małżeństwa, ani ojcostwa, nie spełniwszy żadnego ze zwykłych ludzkich pragnień. Po raz pierwszy od początku procesu zdał sobie sprawę, o jak wielką stawkę idzie.

Być skazanym na śmierć, na krzesło elektryczne. Wszystko to, co zawsze wydawało się abstraktem, nagle stało się prawdziwe, realne, wręcz namacalne. Przypomniawszy sobie, kiedy jako dziecko wyobrażał sobie śmierć: klęczy nad wielką czarną dziurą w ziemi, nagle zsuwa się w mroczną czeluść i zaczyna spadać w otchłań bez końca.

Otrząsnął się z ponurych wspomnień, wrócił do rzeczywistości. Właśnie, co

mówił napastnik w autobusie? Że „niewinni ludzie zapłacą”, jeśli Jack poprosi kogoś o pomoc. Spojrzał na Manny'ego nieprzytomnym wzrokiem i puścił się biegiem w głąb korytarza, do automatów telefonicznych. Wykręcił numer do pracy Cindy.

Niemal zemdlał z radości słysząc jej głos.

– Chwała Bogu nic ci się nie stało! – zawołał.

– Właśnie dowiedziałam się o Ginie, dzwonił jej brat...

– Mówią, że to ja...

– Kłamią... To, co jej zrobił ten potwór... tego nie zrobiłby żaden normalny człowiek.

Jack nie znał szczegółów, ale mógł sobie wyobrazić.

– Błagam cię, bądź ostrożna. Martwię się o ciebie. Gdyby coś się działo, to dzwoń, dobrze?

– Nic mi nie będzie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, aby przedłużyć chwilę rozmowy, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Powodzenia – rzekła Cindy, szczerze mu tego życząc.

– Dziękuję, Cindy – szepnął – i...

– Wiem, nic już nie mów.

– Kocham cię – wyrzucił z siebie.

Wydawało mu się, że usłyszał płacz.

– Proszę wezwać kolejnego świadka, panie prokuratorze – oznajmiła sędzia Tate z wysokości swego fotela.

W środę o dziewiątej proces został wznowiony. Zgodnie z zapowiedzią sędzia pouczyła przysięgłych, aby ferując werdykt nie brali pod uwagę zeznań Giny Terisi i nie wyciągali żadnych wniosków z jej nieobecności, co naturalnie sprawiło tylko tyle, że przysięgli z podejrzliwą ciekawością zaczęli zerkać na stolik obrony.

Na porannej sesji prokurator przedstawił kilku świadków, specjalistów w zakresie technik dochodzeniowych, i było to dość rutynowe przesłuchanie, natomiast czas po obiedzie McCue zarezerwował na ostatniego i najważniejszego świadka oskarżenia – doświadczonego w bojach sądowych wojownika, który nie mógł się doczekać, aby wymierzyć wreszcie nokaut oszołomionemu obrońcy Eddy'ego Gossa.

– Oskarżenie wzywa Lonza Stafforda – oznajmił prokurator donośnym głosem.

Sala umilkła. Było cicho jak makiem zasiał, gdy detektyw Stafford stanął w drzwiach i ruszył ku miejscu dla świadków obok stołu sędziowskiego. Tylko stuk obcasów niósł się echem po sali.

Po podaniu personaliów i złożeniu przysięgi Stafford z namaszczeniem zaczął przedstawiać materialne dowody przeciwko Jackowi Swyteckowi – gładko, logicznie, według uzgodnionego z prokuratorem scenariusza. Odpowiadając na pytania McCue'a podkreślał, że odciski palców oskarżonego dokładnie odpowiadają liniom papilarnym zdjętym z noża do steków, który znajdował się w kuchni Gossa; dwadzieścia siedem śladów podeszew w mieszkaniu denata odpowiada dokładnie rzeźbie adidasów oskarżonego; jego grupa krwi zgadza się z grupą krwi zabezpieczonej na ostrzu noża; rano, nazajutrz po zabójstwie, gdy detektyw przybył do domu oskarżonego, pan Swyteck był wyraźnie zdenerwowany i nieswój; miał zadrapania na plecach i świeże blizny na klatce piersiowej, jakby po bójce; wiedział już, że Goss poniósł śmierć od kuli, choć przesłuchujący go funkcjonariusze nie wspomnieli o tym fakcie ani słowa. A najlepsze, zgodnie z precyzyjnym planem McCue'a, świadek zachował na koniec.

– A więc Goss został zastrzelony – popisywał się McCue. – Proszę nam powiedzieć, z jakiej dokładnie broni.

– Użyto pistoletu kaliber trzydzieści osiem, z całą pewnością z tłumikiem.

– Czy policja odnalazła broń?

– Nie, nie mamy pistoletu, ale znaleźliśmy tłumik.

– A gdzie znaleziono tłumik, który został użyty podczas zabójstwa Eddy'ego Gossa?

Staffordowi aż oczy zalśniły, gdy spojrzął szyderczo na Jacka.

– Tłumik znajdował się w samochodzie należącym do oskarżonego.

Po sali przeszedł szmer. Przysięgli spojrzeli po sobie, jakby w tym momencie rozprawa dobiegła końca.

– Oskarżenie nie ma więcej pytań – McCue spojrzął z wysoka na stolik obrony.

– Świadek jest do pańskiej dyspozycji – rzekł do Manny'ego, głosem wyrażającym absolutną pewność, że żadne wysiłki obrony nie zdadzą się już na nic.

Manuel Cardenal objawiał największy talent w świetle jupiterów, a teraz właśnie nadeszła taka chwila. Oskarżony, przysięgli, tłum w ławach publiczności, wszyscy razem i każdy z osobna z napięciem czekali, czy obrońca zdoła uratować swego klienta. Manny wstał, podszedł na trzy metry do najważniejszego świadka oskarżenia i spojrzął na niego zimno.

– Panie Stafford – odezwał się po chwili – zacznijmy może od ofiary w niniejszej sprawie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu?

– Jak pan sobie życzy, mecenasie.

– Otóż wszyscy chyba słyszeliśmy o Eddym Gossie i wszyscy wiemy, jakich dopuszczał się okropności. Wiemy także, że pan Swytek był jego adwokatem. Chciałbym jednak, abyśmy wyjaśnili przysięgłym jedną okoliczność. To pan prowadził śledztwo, w wyniku którego doszło do aresztowania Gossa, prawda?

– Tak – Stafford zdawał sobie sprawę, że na razie to jeszcze zabawa. – Tak – powtórzył – kierowałem śledztwem w sprawie Gossa.

– I osobiście pan go przesłuchiwał?

– Tak jest.

– I to pan spowodował, że podejrzany przyznał się do winy, co zarejestrowano na taśmie wideo.

– Owszem.

– Ale z tego materiału nie skorzystano w czasie procesu?

– Nie – odparł detektyw cicho – zeznanie uznano za niedopuszczalne.

– Uznano za niedopuszczalne – powtórzył Manny, jakby wydawał opinię prawną – ponieważ wymusił je pan z naruszeniem prawa.

Policjant wziął głęboki oddech, starał się nie okazywać złości.

– Sędzia uznał, że naruszyłem konstytucyjne prawa Eddy'ego Gossa – stwierdził sarkastycznie.

– Jeśli się nie mylę, to pan Swyteck podniósł tę kwestię przed sądem?

Stafford pochylił się na krzesło, wzrok mu płonął.

– Wykorzystał okazję.

Manny przesunął się nieco w bok, bliżej przysięgłych, jakby sugerując, że jest po ich stronie.

– To był raczej nieprzyjemny incydent dla pana, prawda?

– Parodia sprawiedliwości! – detektyw sformułował odpowiedź dokładnie według wskazówek McCue'a. Przeprowadzili stosowne próby poprzedniego wieczora.

Manny uśmiechnął się z pewną przesadą. Wiedział, że trafił w słaby punkt Stafforda. Podeszedł do świadka i podał mu dokument, który wcześniej złożył w sądzie jako materiał dowodowy w sprawie.

– Oto kopia artykułu prasowego oznaczona jako dowód obrony nr 1. Publikacja dotyczy pewnych wydarzeń poprzedzających proces Eddy'ego Gossa. Zechce pan przeczytać tytuł i to, co wydrukowano tłustą czcionką, głośno i wyraźnie, jeśli można prosić – gestem wskazał na ławę przysięgłych – abyśmy wszyscy usłyszeli.

Stafford łypnął spod oka, chrząknął i niechętnie zaczął:

– SĘDZIA ODRZUCA WYZNANIE GOSSA.

– Jeszcze dalej, to, co wytłuszczone pod tytułem.

Detektyw poczerwieniał ze złości.

– DOŚWIADCZONY POLICJANT PARTACZY ŚLEDZTWO – przeczytał. Odłożył gazetę i wlepił wzrok w Manny'ego.

– A tuż pod tytułem zamieszczono pańską fotografię, prawda?

– Tak, to moje zdjęcie.

Proszę nam powiedzieć, panie Stafford: ile razy w ciągu czterdziestu lat służby gazety drukowały pańskie zdjęcie na pierwszej stronie?

– Tylko raz, właśnie wtedy – burknął policjant.

– Czy w ciągu czterdziestu lat służby zdarzyło się panu sfuszerować jakąś sprawę tak fatalnie jak Gossa?

– Sprzeciw! – poderwał się McCue.

– Niczego nie popsulem! – zawołał detektyw. Chęć odparcia zarzutu była silniejsza niż rozsądek. Nie poczekał nawet, co powie sędzia.

– Oddalam sprzeciw.

– Przepraszam – ciągnął Manny, udając, że żałuje niezbyt fortunnego sformułowania – a więc czy w ciągu czterdziestu lat służby miano do pana podobne pretensje?

– Nigdy – syknął Stafford.

– A tymczasem oglądamy pańskie zdjęcie na pierwszej stronie, i to w najgorszym ujęciu, jakie gazecie udało się zdobyć. „Doświadczony policjant partaczy sprawę” – Manny podszedł jeszcze bliżej, pochylił się nad Staffordem, jakby fizycznie chciał dociec prawdy. – I kogo pan za to wini? – naciskał – siebie?

– Z początku tak myślałem. – Policjant nie odrywał wzroku od Manny'ego.

– Ale teraz nie, prawda? – Stafford milczał, zdawał sobie sprawę, do czego adwokat zmierza. – No, śmiało, detektywie, wiemy przecież, kogo naprawdę pan obwinia za swoją klęskę. Tego oto człowieka – te ostatnie słowa Manny wypowiedział głośniej wskazując jednocześnie palcem na Jacka.

Stafford spojrział na oskarżonego, po czym znów na obrońcę.

– I co z tego? – obruszył się.

Manny wbił wzrok w policjanta.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie: tak lub nie. Czy obwinia pan oskarżonego Swytecka o to, że publicznie pana poniżył?

Detektyw spojrział ze złością. Nienawidził Manny'ego, tak jak nie znosił Jacka.

– Tak – rzekł gorzko – mam do niego pretensje, do niego i do Gossa, do obu. Według mnie niczym się nie różnią.

Manny milczał. Chciał, żeby odpowiedź zabrzmiała wyraźnie i żeby wszyscy ją zapamiętali. Po sali poniósł się szmer.

– Ale to nie daje Swyteckowi prawa do zabijania! – wybuchnął Stafford. Czuł już, że jest w opałach.

– Właśnie, porozmawiajmy o tym. Zastanówmy się, kto mógł zabić Eddy'ego Gossa. Goss zginął około czwartej, prawda?

– Tak.

– A o której zjawił się pan w komisariacie tego dnia?

– O piątej piętnaście, jak zawsze – brzmiała odpowiedź.

– Czy ktoś może zaświadczyć, co pan robił wcześniej?

– Nie, mieszkam sam.

Manny pokiwał głową, jakby chciał podkreślić odpowiedź świadka oskarżenia.

– Zaraz po przybyciu pana na służbę w komendzie odebrano anonimowy telefon, prawda?

– Nie wiem, o czym pan mówi – detektyw udał, że nie rozumie – dostajemy tysiące telefonów.

– Nie interesują mnie tysiące telefonów – naciskał obrońca – mam na myśli anonimowego rozmówcę, który doniósł, że w krytycznym czasie z mieszkania

Gossa wychodził ktoś w policyjnym mundurze.

– Owszem – potwierdził policjant – otrzymaliśmy taką informację.

– Pan był kiedyś zwykłym posterunkowym?

– Przez dwadzieścia osiem lat, zanim zostałem detektywem.

– Założę się, że zachował pan swój stary mundur.

Stafford milczał.

– Tak – odparł po chwili cichym głosem.

– Tak też myślałem – rzekł Manny. – Idźmy dalej. Goss otrzymał dwa strzały w głowę, z bliskiej odległości, prawda?

– Prawda.

– Kaliber trzydzieści osiem?

– Zgadza się.

– Pan też ma pistolet kaliber trzydzieści osiem?

– Jak większość policjantów, osiemdziesiąt procent funkcjonariuszy – odparł Stafford.

– Łącznie z panem!

– Tak – przyznał niechętnie detektyw.

Adwokat znów odczekał chwilę, aby ziarno wątpliwości, jakie właśnie zasiał, zapadło głęboko w pamięć przysięgłych.

– Po zabójstwie, a podkreślmy, że Goss dostał dwa strzały, przesłuchał pan wszystkich jego sąsiadów, prawda?

– Tak było.

– I żaden z nich nie słyszał strzałów?

Świadek oskarżenia znów milczał przez moment.

– Nie – odezwał się po chwili – nikt nie słyszał strzałów.

– I z tego pan wnosi, że zabójca użył tłumika?

– Tak – odparł Stafford i pośpieszył z komentarzem – tłumik znaleźliśmy w samochodzie pańskiego klienta!

– Co za szczęśliwy traf – rzekł Manny sarkastycznie, unosząc znacząco brwi – ale przyjrzyjmy się bliżej temu niebywałemu zbiegowi okoliczności, bo jest to zaiste niebywałe. Mamy przecież do czynienia z człowiekiem, który skończył Yale z najwyższymi wyróżnieniami, a więc chyba mądrym, a zarazem na tyle głupim, że chowa tłumik pod siedzeniem we własnym samochodzie!

– Sprzeciw! – zawołał McCue.

– Uznaję.

– To nie pan odnalazł ów tłumik? – ciągnął obrońca, jak w transie.

- Nie, nie ja.
- Przekazała go panu pewna policjantka...?
- Tak jest.
- ... która z kolei otrzymała ów przedmiot od właściciela Kaiser Auto Repair – warsztatu, gdzie naprawiano składany dach w wozie pana Swytecka?
- Tak jest.
- A ów właściciel otrzymał tłumik od jednego ze swoich mechaników?
- Tak – detektyw zmrużył oczy, wietrząc niebezpieczeństwo.
- Chyba nikogo nie pominąłem, prawda?
- Nikogo – burknął policjant ze złością.
- Jest pan pewien? – spytał adwokat ostrym tonem. – Czy mam rozumieć, że wystawił pan posterunek przy aucie oskarżonego w czasie, gdy dokonywano naprawy w warsztacie?
- Nie, nie wystawiłem.
- Co oznacza – konkludował Manny, przechadzając się przed ławą przysięgłych – że w tym czasie dziesiątki obcych ludzi miało dostęp do jego samochodu.
- Tego nie wiem.
- Otóż to, nie wie pan! – podkreślił Manny, jakby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi – czyli ma pan podstawy do uzasadnionych wątpliwości.
- Sprzeciw! – wykrzyknął McCue.
- Oddalam – oznajmiła pani sędzia.
- Mówię tylko, że nie wiem, kto miał dostęp do samochodu – warknął Stafford.
- A czy może pan wykluczyć, detektywie, że ów tłumik mógł zostać przez kogoś podrzucony, na przykład przez mechanika lub przypadkowego klienta?
- Sprzeciw! – zawołał McCue. – Obrona dopuszcza się spekulacji!
- Sformułuję to inaczej – rzekł adwokat nie zrażony. Podszedł bliżej do policjanta, jakby szykował się do zadania śmiertelnego ciosu. – Dysponuje pan zapewne tłumikiem do swojego pistoletu kaliber trzydzieści osiem?
- Sprzeciw! – znów wykrzyknął McCue. – Wysoki Sądzie, obrońca obraża świadka. Jak można sugerować, że detektyw Stafford...
- Oddalam sprzeciw – nieraz w swojej karierze pani Tate widywała, jak zręczny obrońca magluje gliniarza – niech świadek odpowie na pytanie. – W sali zaległa cisza, wszyscy w napięciu czekali na odpowiedź.
- Tak, mam tłumik.
- Manny pokiwał znacząco głową i znów odczekał chwilę, aby przysięgli dobrze

zapamiętali odpowiedź. Udał, że wraca na swoje miejsce, ale zatrzymał się w połowie drogi. Uniósł znacząco palec.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli pan pozwoli. – Zbliżył się do świadka. – Kiedy pytałem, kogo wini pan za swoją publiczną klęskę, wskazał pan dwie osoby, Jacka Swytecka i Eddy'ego Gossa, prawda?

– Sprzeciw! – poderwał się McCue. – Świadek już odpowiadał na to pytanie.

– Wycofuję kwestię – rzekł Manny, zerkając porozumiewawczo na przysięgłych. – Rzeczywiście słyszeliśmy już odpowiedź. Nie mam więcej pytań. Dziękuję.

– Świadek jest wolny – oznajmiła sędzia.

Policjant nie ruszał się z miejsca, jakby go wmurowało. Siedział z niewyraźną miną. Szykował się na ten dzień, pieścił w sobie marzenie o zemście, o tym, jak wreszcie odpłaci Jackowi Swyteckowi – adwokatowi, który go poniżył. On, Stafford, miał być tym, co się śmieje ostatni, a znów wyszedł na głupca i znów za sprawą prawnika, a co gorsza – nie tylko przedstawiono go jako glinę, który fuszeruje śledztwo, ale jeszcze jako nieudacznika, który usiłuje naginać fakty. Tego już za wiele! Nie może tego tak zostawić.

– To nic nie znaczy! – wrzasnął do Manny'ego, jakby nikogo więcej nie było w sali.

– Świadek jest wolny – powtórzyła sędzia z naciskiem.

– To nie mój tłumik był na broni, z której zabito Gossa – dokończył ze złością.

– Sąd ostrzega świadka – próbowała opanować sytuację pani Tate, ale policjant był głuchy na wszystko.

– Na broni był tłumik, który znaleźliśmy w samochodzie Swytecka.

– Spokój! – sędzia uderzyła młotkiem w pulpit.

– To był tłumik Swytecka! – wołał Stafford. – To on zabił Gossa i Ginę Terisi też!

– Wysoki Sądzie – Manny poderwał się z miejsca – Wysoki Sądzie, pragnę złożyć istotny wniosek.

Pani Tate podniosła rękę na znak, że nie udziela obrońcy głosu. Doskonale wiedziała, czego może dotyczyć nagły wniosek. Adwokat zwietrzył okazję, aby domagać się unieważnienia procesu. Gdyby dowody i poszlaki przeciwko Swyteckowi nie były tak ewidentne, pani Tate zapewne zgodziłaby się, ale w tym stanie rzeczy nie zamierzała jednak przekreślać wysiłków oskarżenia tylko dlatego, że jeden ze świadków stracił kontrolę nad sobą i powiedział coś, czego nie powinien mówić.

– Niech pan zachowa swój wniosek dla siebie, panie mecenasie – powiedziała z całą powagą. – Paniom i panom przysięgłym – zwróciła się do ławników – polecam, aby nie brali pod uwagę ostatnich słów wypowiedzianych na tej sali, bo nie stanowią one materiału dowodowego w niniejszej sprawie. I – zgodnie z wcześniejszym pouczeniem – proszę też, aby nie wyciągano żadnych wniosków z faktu, że pani Terisi nie dokończyła zeznań i nie zjawiała się w sądzie.

Jack poczuł ucisk w sercu. Znał procedurę i doskonale zdawał sobie sprawę z rzeczywistej wartości „pouczeń Wysokiego Sądu”. Takie pouczenia mają rzekomo służyć niwelowaniu błędów i gwarantować obiektywny osąd ze strony przysięgłych. Ale... wiadomo – co się stało, to się nie odstanie. Słowa zostały wypowiedziane i zapadły w pamięć. W efekcie cały dzisiejszy wysiłek Manny'ego poszedł na marne, bo przysięgli zapamiętają niemal wyłącznie to, co sąd każe im zapomnieć.

– Co się zaś pana tyczy, panie prokuratorze – ciągnęła sędzia z przyganą w głosie – obciążam pana odpowiedzialnością za zachowanie świadka oskarżenia i wymierzam karę grzywny wysokości pięciuset dolarów. Pan, detektywie – zwróciła się z kolei do Stafforda – jako doświadczony policjant powinien wiedzieć, jak się zachować w sądzie. Niech pan spędzi noc w areszcie i przemyśli sprawę. Następnym razem – ostrzegła mierząc w Stafforda trzonkiem młotka – sąd potraktuje pana znacznie bardziej surowo. Woźny, wyprowadzić świadka!

Woźny podszedł do policjanta, aby eskortować go do wyjścia. Stafford tymczasem wcale się nie spieszył, przeciwnie – patrzył na Jacka z poczuciem wyższości. Jack odwrócił się, ale policjant postanowił dopiąć swego. Zatrzymał się przy stoliku obrony, wsparł dłonie na blacie i wbijając wzrok w Jacka syknął: „Przygotuję ci miejsce na cmentarzu, Swyteck!”

– Świadek ma natychmiast opuścić salę – rozległ się głos sędzi, choć tylko Jack i woźny usłyszeli ostatnią uwagę Stafforda.

Jack nie zareagował ani słowem, popatrzył tylko na detektywa, ten zaś zaśmiał się szyderczo i popychany przez woźnego wyszedł z sali rozpraw.

– Czy oskarżenie chce wezwać innych świadków? – pani Tate wznowiła procedurę.

McCue wstał wolno z miejsca, gestem wyrażającym absolutną pewność siebie zatknął palce za klapy marynarki.

– Nie, Wysoki Sądzie – rzekł z wystudiowanym akcentem południowca – oskarżenie nie powołuje już więcej świadków.

– Rozumiem – skwitowała sędzia – wznowimy rozprawę jutro punktualnie o

dziewiątej. Panie Cardenal – zwróciła się do Manny'ego – jeśli zamierza pan przedstawić ewentualnych świadków obrony, to proszę, a jeśli nie, to przystąpimy od razu do końcowych wystąpień stron. Ogłaszam przerwę w rozprawie – uderzyła młotkiem w pulpit na znak, że zamyka posiedzenie.

Wszyscy wstali, nim jeszcze woźny zdołał wypowiedzieć stosowną formułę, i czekali w milczeniu, aż wyjdą przysięgli. Jack ze swym obrońcą spojrzeli po sobie. Obaj doskonale zrozumieli końcową uwagę przewodniczącej sądu o świadkach obrony i obaj wiedzieli, że nie ma co sobie robić zbyt wielkich nadziei.

Następnego dnia, o szóstej rano, gubernator Harold Swyteck golił się właśnie w łazience, stojąc przed zaparowanym lustrem w szlafroku i rannych pantoflach, gdy rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Był to aparat, który stał się jego własnością podczas wyprawy do parku nad zatoką w Miami, więc gubernator natychmiast pojął, kto dzwoni, i z wrażenia zaciął się w policzek.

Chwycił ręcznik i wybiegł z łazienki. Wyjął telefon z teczki i zamknął się w garderobie, aby nie obudzić żony.

– Halo – odezwał się lekko zdyszany.

– To znowu ja – rozległ się znajomy, chrapliwy głos.

Harry'ego ogarnęła złość, ale telefon niezupełnie go zaskoczył, poznał już bowiem charakter swego prześladowcy, a przynajmniej pewne jego cechy. Jak niecierpliwy ogrodnik, który rozgrzebuje ziemię, by przekonać się, czy ziarno, które zasiał, puszcza korzenie, tak ten psychopata – choć na swój sposób sprytny – bez przerwy nękał swoje ofiary, jakby dając znać, że ich cierpienie sprawia mu przyjemność.

– Czego chcesz tym razem – rzucił do słuchawki – skarpetek do butów, żebyś miał komplet?

– No, no – rozmówca przybrał protekcyjny ton – nerwy nam puszczają od rana i tylko dlatego, że trzeba będzie podpisać wyrok śmierci na własnego syna.

– Mój syn nie zostanie skazany.

– Czyżby? Coś mi się wydaje, że jego ostatnia szansa na ratunek leży właśnie w kostnicy. Pewnie słyszałeś, że dupencja, która zeznawała przeciwko niemu, zaprosiła go do siebie, co skończyło się krwawą jatką. Wielka szkoda – ciągnął kpiąco – żałuj, że cię tam nie było, bo gdybyś miał okazję posłuchać, o czym rozmawiali, to wiedziałbyś, że ta rura miała zamiar uzupełnić zeznania i w efekcie wyciągnąć synalka z szamba.

– Od razu wiedziałem, że to ty – rzekł Harry z obrzydzeniem – że ty załatwiłeś tę biedaczkę.

– Nie ja, ale Jack Swyteck. Mówiłem mu, jakie są reguły gry. Tylko on i ja, sam na sam. Ostrzegłem, że z każdym, kto spróbuje mu pomóc, będzie źle. On jednak polazł do tej dziwki i błagał o pomoc. Twój syn znów zabił, gubernatorze, i znów niewinną osobę.

– Ty oszalały skurwysynu! – wybuchnął Harry. – Jeśli chcesz się mścić za

Raula Fernandez, to proszę bardzo, wolna droga. Ale nie na moim synu. To ja ponoszę odpowiedzialność za śmierć Fernandez.

– Co za szlachetna postawa, kochający ojciec poświęca się za syna! Ale ja nie jestem głupi – głos w słuchawce nabrał mocy – wiem, że twój synuś nawet palcem nie kiwnął w sprawie Raula. Gdyby było inaczej, to przecież jego własny ojciec wysłuchałby go.

Harry westchnął ciężko. Pewnie tak, gdyby ojciec nie był wtedy ostatnim głupcem – pomyślał.

– Nie myśl, że się wywiniesz.

– Taaak, a kto mnie powstrzyma, może ty?

– Ja.

– Nie uda ci się, chyba że sam chcesz zasiąść na ławie oskarżonych, że chcesz, aby cały świat dowiedział się, że opłacałeś się szantażystą, byle tylko ukryć fakt, że dopuściłeś do stracenia niewinnego człowieka. Zresztą sam wiesz, że w sprawie własnego syna nic nie możesz zrobić, jesteś tak samo bezsilny jak ja w sprawie Raula.

Gubernator dygotał ze złości.

– Ty skurwysynu, ty skretyniały skurwysynu!

– Gadaj zdrów. Ważne, że rozumiesz, o co chodzi. A teraz muszę już kończyć. Szykuje się wspaniały dzień. Swytek zostanie skazany.

– Nie pozwolę, aby mojego sy... – Harry przerwał w połowie, zdając sobie sprawę, że nikt go już nie słucha. – Niech cię diabli! – odłożył telefon. Wszystko się w nim gotowało z wściekłości, ale nie tylko to, czuł ogarniające go przerażenie. Strach nie o siebie, ale o Jacka.

Obrócił się. W drzwiach stała jego żona.

– To znowu on? – spytała cicho.

Wziął ją w ramiona, przytulił, aby rozwiać niepokój.

– Agnes – spytał – czy będziesz mnie kochać, gdy przestanę być gubernatorem Florydy?

– Oczywiście, że tak – odparła bez wahania – jak możesz tak głupio pytać? :

– Bo chyba podjąłem decyzję – odparł.

Dwadzieścia po dziewiątej. Trzydzieści rzędów ław publiczność zapełniła do ostatniego miejsca, a mimo to w przepastnej sali było cicho jak makiem zasiał. Rozprawa miała się rozpocząć o dziewiątej, a tymczasem jeszcze nie wprowadzono przysięgłych. Sędzia przewodnicząca, pani Tate, była wyraźnie oburzona z powodu opóźnienia. Pewny swego prokurator siedział sztywno przy stoliku tuż obok pustych ław sędziów przysięgłych, ciesząc się w duchu, że cała sędziowska złość spada na jego przeciwnika procesowego, a Jack, który siedział samotnie za stołem po drugiej stronie sali, denerwował się, nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

– Panie Swyteck – odezwała się sędzia Tate z wysokości swego sędziowskiego fotela tonem, który nie wróżył niczego dobrego – gdzie jest pański obrońca?

Jack wstał z miejsca. Manny dzwonił tuż przed dziewiątą, polecając opóźnić rozpoczęcie rozprawy, jak tylko się da, i jeszcze się nie zjawił. Cała sędziowska niechęć skrupiałała się więc na Jacku, a Jack z doświadczenia wiedział, że nic nie irytuje pani Tate bardziej niż spóźniający się adwokat.

– Wysoki Sądzie – odezwał się nieśmiało – na pewno zatrzymały go ważne powody.

Pani Tate zgromiła go wzrokiem, ale nim zdołała dodać do tego krytyczną uwagę o manierach adwokatów, w wielkich mahoniowych drzwiach z tyłu sali stanął Manny i ruszył ku swojemu miejscu za stołem obrony. W ciszy słychać było tylko stuk obcasów o marmurową posadzkę.

– Spóźnił się pan, mecenasie – powiedziała sędzia tonem najwyższego oburzenia.

– Ubolewam, Wysoki Sądzie – odparł Manny zajmując miejsce – ale w ostatniej chwili wyniknęły ważne sprawy.

– Skazuję pana na dwieście dolarów grzywny. Woźny, proszę wprowadzić przysięgłych.

– Wysoki Sądzie – prosił adwokat – chciałbym jeszcze zamienić kilka słów z moim klientem. Tylko parę minut, jeśli można. – Ale prośba utonęła w hałasie odsuwanych krzesel, gdy na słowa woźnego: „Sąd idzie” cała sala – ponad sześciuset ludzi – zaczęła wstawać z miejsc. Weszli przysięgli, woźny wygłosił zwykłą formułę: „Niech Bóg ma w opiece Wysoki Sąd”, pani Tate powiedziała wszystkim „dzień dobry” i uderzyła młotkiem w pulpit na znak rozpoczęcia sesji.

– Panie Cardenal – zwróciła się do adwokata bez szczególnej sympatii – czy

będzie pan wzywał świadków obrony?

Manny był w kropce. Przez całe rano konferował z pewnym świadkiem, ale nie zdążył poinformować o tym Jacka, a spoczywał na nim taki obowiązek.

– Wysoki Sądzie, czy mógłbym prosić o krótką przerwę w rozprawie?

– Pan nie usłyszał chyba pytania – zbyła prośbę sędzia. – Czy zamierza pan przedstawić sądowi świadków obrony? – powtórzyła.

– Tak, Wysoki Sądzie, chciałbym wezwać jedną osobę, ale...

– To niech pan to uczyni albo zamykam sprawę. Kazał nam pan dość długo na siebie czekać, panie mecenasie – pani Tate była nieprzejednana.

Adwokat przełknął nerwowo ślinę. Chciał uprzedzić Jacka, zyskać jego wyraźną zgodę, ale nie było już czasu.

– A więc, panie mecenasie? – ponagliła sędzia.

Manny zawahał się, spojrzał na Jacka, ten kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć, że cokolwiek adwokat zamierza, będzie na pewno korzystne dla sprawy. obrońca skwitował to uśmiechem i zwrócił się do sądu:

– Jeśli Wysoki Sąd nie ma obiekcji – rzekł głośno i wyraźnie – to obrona wzywa na świadka pana gubernatora Harolda Swytecka!

Zaskoczenie było całkowite, jakby piorun z nieba strzelił. Podniósł się gwar podnieconych głosów. Otworzyły się wielkie mahoniowe drzwi i do sali wkroczył gubernator we własnej osobie – wysoki, przystojny, w wytwornym, ciemnym garniturze, połyskujący nieskazitelną bielą koszuli, złotem spinek przy mankietach i szronem siwiejących skroni.

Oficjele, jak wiadomo, nie wchodzą, nie idą, nie siadają, ale przybywają, kroczą, udają się, zaszczycają swą obecnością. Tak to już jest i tak też się sprawy miały z Haroldem Swyteckiem. Każde jego przybycie było wydarzeniem, niespodziewany udział zaś w charakterze świadka w rozprawie własnego syna oskarżonego o morderstwo był wręcz ewenementem.

Cała sala z napięciem, ale i w głębokiej ciszy śledziła każdy jego krok. Wszystkie głowy, jak pszeniczne kłosa zgięte nagłym porywem wiatru, obróciły się w jego stronę. Znali go wszyscy, nikt jednak, łącznie z Jackiem, nie wiedział, co powie jako świadek. Napięcie doszło do zenitu, jakby dopiero teraz dowiedziano się, że podsądny jest synem pierwszego obywatela stanu Floryda, i miało się wrażenie, że atmosfera wręcz iskrzy, gdy gubernator zajął miejsce na podium dla świadków i złożył stosowną przysięgę, że mówić będzie „prawdę, tylko prawdę...” Prokurator oniemiał z zaskoczenia, przysięgli zerkali z ciekawością, serce Jacka przepełniła nadzieja, ale także nie znane mu do tej pory uczucie prawdziwej dumy.

– Dzień dobry – powitał Manny dostojnego świadka – czy zechce pan przedstawić się przysięgłym?

Gubernator obrócił się w stronę ławy przysięgłych. – Jestem Harold Swytek – rzekł ciepłym głosem – nazywają mnie Harry.

Kilku ławników uśmiechnęło się dyskretnie na tę zręczną skądinąd poufałość. Harry Swytek był weteranem kampanii wyborczych i wiedział, jak zwracać się do ludzi, by zrobić najlepsze wrażenie. Nikt tak jak on nie potrafił na przykład patrzeć prosto w oczy dwunastu osobom naraz, i to w taki sposób, że każdy czuł się wyróżniony. Odpowiedzi na pytania Manny'ego adresował nie do niego, ale właśnie do przysięgłych, jakby to oni, a nie adwokat, prowadzili przesłuchanie.

– Ale teraz, jeśli pan pozwoli, panie gubernatorze – obrońca wyraźnie zaznaczył, że oto kończą się formalności, a zaczynają konkrety – chciałbym się skupić na wydarzeniach, do jakich doszło tuż po procesie Eddy'ego Gossa. Proszę nam powiedzieć, czy właśnie wtedy spotkało pana coś niezwykłego.

Harry wziął głęboki oddech, spojrzał na Jacka, przeniósł wzrok na przysięgłych.

– Tak – odparł z całą otwartością – napadnięto na mnie.

– Napadnięto? – pani Tate była równie zaskoczona jak wszyscy obecni w sali rozpraw.

Jack słuchał z przejęciem, jak ojciec opowiadał nie tylko o samym incydencie, ale także o tle wydarzenia. Harry ujawnił też, że napastnik zaczął go szantażować, i szczegółowo wyjaśnił, dlaczego uległ i dał prześladowcy sporą sumę pieniędzy.

– Groził ujawnieniem faktu, że dopuściłem do egzekucji niewinnego człowieka – głos i wzrok gubernatora wyrażały głęboki i szczery żal – człowiek ten nazywał się Raul Fernandez.

Przez salę przeszedł szmer pośpiesznych szeptów. Reporterzy pilnie notowali nazwisko, niektórzy skojarzyli je z incydentem na niedawnej konferencji prasowej gubernatora. Każde zdanie, jakie padało teraz w sali rozpraw, zmniejszało do zera szansę Harolda Swytecka na drugą kadencję.

– Proszę o spokój! – sędzia zastukała młotkiem w pulpit, uciszając rozemocjonowaną publiczność.

Jack osłupiał. Dawno już pogodził się z myślą, że sprawa Fernandezza to absolutne tabu, że nigdy z ojcem do niej nie wróca, nawet w cztery oczy, więc fakt, że Harry nie zawahał się ujawnić jej na forum publicznym, był szokiem, tym bardziej że nie rozumiał jeszcze strategii Manny'ego.

– A kim wedle pańskiego przekonania był ów napastnik, czy żywił pan

określone podejrzenia? – postawił kolejne pytanie Manny.

– Byłem pewien – odparł gubernator zdecydowanie – że to Eddy Goss.

Po sali przeszedł już nie szept, ale gwar. Wyznanie okazało się sensacją. Przysięgli spoglądali po sobie, nie wiedząc, czy współczuć Harry'emu, czy przeciwnie.

– Proszę o spokój! – sędzia Tate z jeszcze większą energią zastukała w pulpit.

Obrońca odczekał, aż umilknie gwar w ławach publiczności i, ciągle stojąc za stołem, zadał następne pytanie:

– A dlaczego sądził pan, że to Eddy Goss jest szantażystą?

Gubernator znów wziął głęboki oddech.

– Zacząłem podejrzewać, że to on, gdy któregoś dnia wraz z kolejnym sygnałem od szantażysty otrzymałem bukiet chryzantem. Wszyscy zapewne wiedzą, że Goss słynął jako „Chryzantemowy Wampir”. Upewniłem się, gdy kazano mi dostarczyć okup – dziesięć tysięcy dolarów – pod adres Gossa, East Adams Street 409.

– I poszedł pan tam?

– Poszedłem, o czwartej rano, drugiego sierpnia.

Sala wręcz eksplodowała gwarem, nad którym uniósł się stuk sędziowskiego młotka.

– Proszę o spokój!

– Wysoki Sądzie – poderwał się prokurator. – Wnoszę o wyłączenie zeznań świadka... – wyjąkał, szukając w myślach odpowiednich argumentów, aby położyć kres groźnemu atakowi na murowany, do tej pory przynajmniej, akt oskarżenia. – ... jako stronniczych – dokończył z desperacją.

– Bez wątplenia, panie McCue, zeznania świadka obrony są stronnicze – odparła sędzia nie bez ironii – ale trudno wymagać, żeby było inaczej. Strony mają prawo wzywać świadków wedle uznania. Oddalam wniosek.

Oskarżyciel skrzywił się z niezadowoleniem i wrócił na miejsce. Manny uśmiechnął się nieznacznie i kontynuował przesłuchanie.

– Jeszcze tylko kilka pytań, jeśli pan pozwoli, gubernatorze. Otóż czy jest pan w stanie udowodnić, że istotnie był pan w mieszkaniu Gossa tamtej krytycznej nocy?

– Owszem! Miałem wtedy takie same obuwie jak dziś. Od dwudziestu pięciu lat noszę ten sam model. Są to...

– Protestuję! – McCue skoczył z miejsca, jak na sprężynie. – Jedną chwilę, Wysoki Sądzie! – wołał zdenerwowany, z trudem łapiąc oddech.

– Czy zgłasza pan sprzeciw? – spytała sędzia rzeczowo.

– Tak, to znaczy – prokurator znów szukał stosownych słów – oskarżenie nie widzi żadnego związku między zeznaniami świadka a niniejszą sprawą. To nie jest proces gubernatora Swytecka, ale jego syna.

– Wysoki Sądzie – pośpieszył adwokat z wyjaśnieniem – zeznania świadka mają zasadnicze znaczenie. W ich świetle okazuje się bowiem, że są co najmniej dwie osoby, które były na miejscu przestępstwa i miały określony motyw, aby dokonać zabójstwa. A prawdę mówiąc, nawet nie dwie, ale trzy osoby, bo jeszcze detektyw Stafford. Tak więc w kręgu podejrzanych jest Stafford, jest gubernator Swyteck i mój klient, paradoks sprawy zaś polega na tym, że na ławie oskarżonych zasiada człowiek, który miał chyba najbardziej wątpliwy motyw, aby dopuścić się zarzucanego mu czynu. W świetle dowodów przedstawionych do tej pory w sprawie żaden rozsądny sędzia przysięgły nie będzie w stanie orzec, która z trzech wymienionych przeze mnie osób mogła rzeczywiście zabić Eddy'ego Gossa. Skoro mogła to uczynić każda z tej trójki osób, to trzeba przyjąć, że niekoniecznie sprawcą był mój klient, a przynajmniej, że istnieją co do tego poważne wątpliwości. Wedle podstawowej zasady wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego – ciągnął Manny, patrząc na ławę przysięgłych – a skoro tak – dokończył – to mój klient nie może być skazany i powinien zostać uniewinniony.

Pani Tate uważnie słuchała, sznurując wargi.

– Znakomite wystąpienie na zakończenie procesu, panie Cardenal – skomplementowała nie bez ironii, choć widać było, że argumentacja wywarła na niej pewne wrażenie. – Oddalam wniosek oskarżyciela.

Prokurator poczerwieniał ze złości. Czuł, że sprawa wymyka mu się z rąk. Argumentacja obrońcy była zręczna.

– Ależ Wysoki Sądzie... – wyjąkał.

– Oddalam wniosek – zbyła go sędzia. – Panie Cardenal, proszę powtórzyć pytanie do świadka.

Manny skłonił się z szacunkiem i zwrócił się do świadka:

– Moje pytanie, panie gubernatorze, brzmiało, czy jest pan w stanie udowodnić, że istotnie był pan w mieszkaniu Eddy'ego Gossa w noc, kiedy dokonano zabójstwa.

– Tak, miałem wtedy na nogach buty od Wigginsa.

Obrońca podszedł do stołu sędziowskiego, wymachując paroma kartkami papieru.

– Proszę Wysoki Sąd o włączenie do materiałów dowodowych niniejszych

wydruków śladów obuwia zabezpieczonych krytycznej nocy na korytarzu przed mieszkaniem denata. Ekspertyza została wykonana w laboratorium policji. Jest to ślad butów, o których mówi świadek.

Sędzia obejrzała dokumenty.

– Czy oskarżenie zgłasza uwagi w tej sprawie?

– Tak, to znaczy, Wysoki Sądzie... składam sprzeciw wobec zeznań świadka w całości...

– Wystarczy – przerwała pani Tate wywód McCue'a – sąd już oddalił sprzeciw. Czy ma pan dalsze pytania, panie mecenasie?

Manny nie odpowiedział od razu. Wiedział, że zeznanie gubernatora zasiało już ziarno wątpliwości, ale sprawa nie była jeszcze przesądzona i los Jacka ciągle wisiał na włosku, więc jego obowiązkiem było drażnić sprawę w interesie klienta, nawet za cenę rzucenia jeszcze poważniejszych podejrzeń na osobę świadka.

– Panie gubernatorze, proszę nam przybliżyć pańską działalność publiczną. Czy zawsze wiązała się ona z polityką?

McCue nadstawił uszu, nie pojmował, do czego zmierza przeciwnik.

– No cóż – uśmiechnął się Harry – moja matka powiadała, że od urodzenia zajmowałem się wyłącznie polityką – kilka osób na widowni zachichotało – ale to nieprawda. Najpierw służyłem w policji. Dziesięć lat – dokończył z dumą.

– I ciągle jeszcze posiada pan mundur?

– Owszem – przyznał gubernator bez wahania.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił obrońca, przekrzykując gwar, który znów podniósł się na sali.

Jacka ścisnęło coś za gardło. Był wzruszony odwagą i poświęceniem ojca. Zeznania obróciły wniwecz argumentację oskarżenia, ale też przekreśliły wszelkie szansę w wyborach.

– Czy oskarżenie chce przesłuchać świadka? – spytała sędzia.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie – McCue poderwał się z miejsca i podążył ku podium. Starał się nie okazywać wrogości, ale też przybrał postawę wyraźnie konfrontacyjną.

– Gubernatorze Swyteck – zaatakował – Jack jest pańskim jedynym synem, jedynym dzieckiem, prawda?

– To prawda – odparł.

– Kocha go pan?

Harry zamilkł nie dlatego, że nie wiedział, co odpowiedzieć, ale dlatego, że od dawna nie wypowiadał słów, jakich teraz przyjdzie mu użyć.

– Tak – odparł patrząc na Jacka – kocham mojego syna.

– A więc kocha go pan – naciskał oskarżyciel – i jak rozumiem, w imię tego uczucia nie cofnąłby się pan nawet przed kłamstwem, aby uratować go przed krzesłem elektrycznym?

Brzemienna cisza zaległa na sali. Gubernator pochylił się nieco do przodu, zmrużył oczy i widać było, że to, co mówi, płynie z głębi serca.

– Panie McCue – rzekł cicho, ale tonem tak zdecydowanym, że prokuratora przeszły ciarki – jednego na pewno nauczyłem mojego syna, że każdy odpowiada za swoje czyny, i kiedyś Jack mi to przypomniał – zerknął na stół obrony. – Mój syn nie zabił Eddy'ego Gossa – powiedział dobitnie, patrząc z kolei w oczy przysięgłym – Jack Swytek jest niewinny, taka jest prawda i dlatego zjawiłem się tu, przed wami.

– Skoro tak – ciągnął oskarżyciel z wyraźną złością – skoro przybył pan tu, aby dać świadectwo prawdzie, to niech sąd usłyszy całą prawdę. Czy chce pan nam powiedzieć, że to pan zabił Eddy'ego Gossa?

Gubernator nadal pilnie wpatrywał się w przysięgłych.

– Nie przybyłem tu, aby mówić o sobie, lecz aby oświadczyć, że Jack nie zabił Eddy'ego Gossa, bo wiem, że tego nie uczynił.

– Zapewne nie usłyszał pan pytania – przerwał McCue tubalnym głosem – więc powtórzę: czy to pan zabił Eddy'ego Gossa? Tak czy nie?

– To nie jest proces przeciwko mnie, panie McCue, ale przeciwko mojemu synowi.

Prokurator zamachał rękami, wyraźnie wściekły.

– Wysoki Sądzie, żądam pouczenia świadka, że jego obowiązkiem jest odpowiadać na pytania.

Pani Tate pochyliła się w stronę Harolda Swytecka.

– Z całym szacunkiem, panie gubernatorze, zwracam panu uwagę, że musi pan odpowiedzieć na pytanie. Mam jednocześnie obowiązek uprzedzić pana, że może pan skorzystać z prawa do odmowy zeznań na podstawie przepisu piątej poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, która stanowi, że można odmówić zeznań, jeśli obciążałyby one zeznającego. Ma pan więc trzy możliwości do wyboru – odpowiedzieć: tak, odpowiedzieć: nie, bądź skorzystać z przysługującego panu prawa. Pytanie brzmi: czy zabił pan Eddy'ego Gossa?

Czas jakby stanął w miejscu. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę, że to najważniejsze pytanie w całym procesie.

Harold Swytek siedział wyprostowany, spokojny i nad podziw opanowany, jak

na człowieka, który stoi w obliczu decyzji o śmierci lub życiu. Jeśli odpowie „tak”, to skłamię i wyprowadzą go stąd w kajdanach. Odpowiedź „nie” byłaby zgodna z prawdą, ale jednocześnie oddaliłby podejrzenia wobec siebie, a przez to zmniejszyłby szansę Jacka na uwolnienie od winy i kary. Z kolei odwołanie się do praw wynikających z piątej poprawki do konstytucji też miało poważne konsekwencje. Po pierwsze oznaczało nieodwołalny kres kariery politycznej, po wtóre groziło postawieniem go w stan oskarżenia za zabójstwo Eddy'ego Gossa. Z drugiej jednak strony stanowiło gwarancję uniewinnienia Jacka, a w tej chwili to chciał uzyskać. Wybór był więc oczywisty.

– Odmawiam odpowiedzi na pytanie – oznajmił – na tej podstawie, że mogłaby ona świadczyć przeciwko mnie!

Sala eksplodowała, jak od uderzenia bomby.

– Cisza! – sędzia energicznie zastukała młotkiem. Prokurator wpatrywał się w świadka, ale już bez ognia w oczach. Wiedział, że sprawa jest skończona.

– W tej sytuacji – rzekł – oskarżenie nie ma więcej pytań.

– Świadek jest wolny – oznajmiła sędzia.

Gubernator wstał, spojrzał na przysięgłych, przeniósł wzrok na syna. Nie był pewien, co wyrażał wzrok ławników, nie miał natomiast wątpliwości, że w oczach Jacka dostrzegł to, czego zawsze pragnął, to zaś dało mu dość siły, aby przejść z dumnie podniesioną głową przez całą salę, od podium dla świadków do wyjścia – najdłuższe sześćdziesiąt metrów w całym jego życiu.

– Czy obrona pragnie jeszcze kogoś wezwać? – sędzia wróciła do procedury.

Manny wstał wolno, czując pokusę, jaka zwykle rodzi się u wszystkich obrońców na pewnym etapie postępowania procesowego, aby na fotelu dla świadków posadzić oskarżonego. Ale zeznania Giny Terisi nie pozostawiały właściwie żadnego wyboru, a co ważniejsze – gubernator w istocie załatwił całą sprawę.

– Nie, Wysoki Sądzie, obrona zakończyła swoje przesłuchania.

– Czy zabierze pan głos, panie McCue? – sędzia zwróciła się do prokuratora.

Oskarżyciel spojrzał na zegarek.

– Pani sędzio, jest prawie pierwsza, zeznania gubernatora zaszokowały chyba wszystkich, także mnie. Nie jestem przygotowany do wygłoszenia polemiki. Wnoszę o ogłoszenie przerwy do jutra rana.

Był to dość niezwykajny wniosek i sędzia skrzywiła się z niezadowoleniem.

– Jak pan chce – zgodziła się niechętnie – ale w tej sytuacji proszę, aby obie strony były gotowe do wygłoszenia przemówień końcowych. Nie życzę sobie

dalszych opóźnień. Ogłaszam przerwę do jutra, do godziny dziewiętej – zamknęła posiedzenie uderzeniem młotka o pulpit.

– Proszę wstać, Sąd idzie! – zawołał woźny, co spowodowało taki sam skutek, jakby krzyknął: „Pożar, ratuj się kto może!” Wszyscy rzucili się do wyjścia, wymieniając uwagi, komentując sensacyjne wydarzenia. Dziennikarze ruszyli hurmem, jedni do telefonów, aby przekazać wiadomości do redakcji, inni do obrońcy i prokuratora, prosząc o wypowiedzi, a jeszcze inni pobiegli za gubernatorem. Nieliczni przyjaciele, a wśród nich Mike Mannon i Neal Goderich, pośpieszyli uścisnąć dłoń Jacka, jakby wyrok był już pewny.

Jack wiedział, że sprawa jeszcze się nie skończyła, wiedział o tym również Manny i jeszcze ktoś w sali rozpraw, ktoś kto trzymał się z tyłu, przysłaniając łysą czaszkę ciemną peruką i kryjąc twarz w cieniu kapelusza z wielkim rondem.

Ów ktoś spoglądał na Jacka spuchniętym okiem.

– Tak powinno być z Raulem – mruzczał do siebie – a nie z tobą, Swyteck. Spojrzał jeszcze raz na Jacka, wyobrażając sobie, jak to niebawem Jack będzie opowiadał o wszystkim swojej pięknej narzeczonej, i po chwili wyszedł z sali z mocnym postanowieniem, że dostarczy rodzinie Swytecków zupełnie nowego tematu do rozmyślań.

Parking przed barem Jiggles był zatłoczony – w czwartki zaczynał się ruch w interesie – więc Rebecca musiała poszukać miejsca dla auta na ulicy. Ubrana była w obszerne dzinsy i podkoszulek, jak zwykle w drodze do pracy. W barze znajdowała się garderoba, jedna dla wszystkich dziewcząt, co nie było specjalnie wygodne, ale też zawsze bezpieczniej przebierać się w środku niż prowokować los paradując po parkingu w „służbowym” stroju. Zerknęła na zegarek: dziesięć po dziesiątej. – Kurczę! – zaklęła uświadamiając sobie, że spóźniła się na wieczorną zmianę. Zamknęła auto i ruszyła przez parking, trzymając w jednej ręce torbę z rzeczami, a w drugiej pojemnik z gazem. Na wszelki wypadek.

– Hej, Rebecca! – zawołał ktoś cichym, chrapliwym głosem.

Wystraszyła się. Rebecca to pseudonim, naprawdę miała inaczej na imię, więc ktoś, kto wołał, musiał ją znać wyłącznie z pracy. Przyspieszyła kroku, trzymając gaz w pogotowiu. Wmurowało ją w ziemię, gdy spomiędzy zaparkowanych samochodów wyskoczył raptem jakiś mężczyzna.

– Z drogi! – zawołała grożąc gazem.

– To ja, Buzz – usłyszała w odpowiedzi.

Przyjrzała się uważnie, bo w mroku w wielkim kapeluszu i ciemnych okularach trudno go było rozpoznać.

– Przepuść mnie – zażądała.

– Poczekaj – odezwał się tonem zachęty – mam pewną sprawę.

– Nie tutaj – odmówiła, nerwowo żując gumę – muszę być w robocie o dziesiątej, bo mnie wyrzucą. Jak chcesz, to chodź do środka.

– Nie o to chodzi. Mam propozycję. Musisz mi pomóc.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, a zresztą nie chodzi o mnie, ale o Raula.

– O czym ty mówisz? – wzrok jej zabłysnął. To imię coś znaczyło w jej życiu.

– O zemście. Chcę załatwić skurwieli, którzy posłali go na krzesło.

Westchnęła ciężko, a po chwili pokręciła przecząco głową.

– Człowieku, to dawne sprawy, nie wracaj do nich. Raul też nie był w porządku. Traktował mnie jak szmatę, choć nie brałam od niego pieniędzy. Sam sobie winien.

Buzz zezłościł się. Mógłby jej uświadomić, że dla Raula była zwykłą dziwką, ale w ten sposób niczego nie wskóra, więc się opanował.

– Niech ci będzie – wzruszył ramionami – że nie szalałaś za nim, ale jeśli nie dla niego, to zrób to dla szmalu.

Trafił w dziesiątkę. Wzmianka o pieniądzach wyraźnie ją zainteresowała.

– Ile?

– Dziesięć procent mojej działki.

– Znam takie propozycje – skrzywiła się – dziesięć procent od zera to zero.

– Taak? Policz inaczej: dziesięć procent od ćwierci bańki to więcej, niż zarobisz przez całe życie ciągnąc druta facetom.

Spurpurowiała ze złości, ale ciekawość wzięła górę.

– Nie robisz mnie w konia? Skąd chcesz wziąć taki szmal?

– Poważnie mówię, sprawa jest pewna, a od ciebie nie chcę nic wielkiego. Wykonasz jeden telefon i tyle.

– Nie wierzę – powiedziała z wahaniem.

– Uwierzysz, jak ci powiem, że już załatwiłem sześćdziesiąt tysięcy. Mogę ci pokazać. Mam w aucie. A to tylko początek. No jak, wchodzisz w interes?

Rebecca wydeła usta, zwlekała.

– W porządku – powiedziała po chwili – ale dasz mi zaliczkę, dziesięć procent od tych sześćdziesięciu. Chcę mieć pewność.

– Zgoda – uśmiechnął się – dostaniesz sześć kawałków, ale musisz ze mną zaraz iść.

Ugryzła się w język, żałując, że nie zażądała więcej.

– Teraz nie mogę, muszę iść do roboty.

– Sześć patoli – kusił – pieprz robotę i chodź ze mną.

Wypluła gumę.

– No dobra, idę, ale najpierw szmal.

Zaśmiał się i głową wskazał furgonetkę.

– No to wsiadaj.

– I chcę, żebyś mi wszystko dokładnie powiedział. Chcę wiedzieć, w co się pakuję – dodała, zarzucając torbę z rzeczami na ramię.

Obserwował, jak idzie kołysząc biodrami. Oczy mu się zwięzły, a na twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. Wszystkiego nie dowiesz się nigdy, powiedział w duchu.

Kiedy w piątek rano Cindy przyszła do pracy, czekał na nią wielki bukiet kwiatów. Od Jacka.

„Przyjdź dzisiaj do sądu, zależy mi na tym, jesteś mi potrzebna” – napisał na bileciku.

Próbowała udawać sama przed sobą, że nic ją to nie obchodzi, ale bez skutku. Odeszła od niego, ale nadal go kochała. Odejść było łatwo, znacznie trudniej wytrzymać bez niego. We wtorek, choć usilnie starała się nie myśleć o Jacku, poczuła, że zaczyna ulegać. Śmierć Giny sprawiła, iż zaczęła się zastanawiać, jak krótkie jest ludzkie życie i że szkoda czasu na dąsy i żale. Gina zapewne odeszła w przekonaniu, że Cindy jej nienawidzi, nie chciała, aby coś podobnego spotkało Jacka.

Gdy o dziesiątej zadzwonił telefon, była już zdecydowana jechać do sądu.

– Miss Paige – rozległ się w słuchawce damski głos – tu sekretariat pana Manuela Cardenala. Przepraszam, że panią niepokoję, ale pan mecenas prosił, aby pilnie do pani zadzwonić.

– Słucham – odparła z niepokojem, że może już ogłoszono wyrok, a ona nie zdążyła.

– Pan Cardenal i pan Swyteck są już w sądzie, więc nie mogą porozmawiać z panią osobiście, ale proszą, zwłaszcza pan Swyteck, żeby pani zaraz przyjechała. Chcą jeszcze raz powołać panią na świadka, bardzo im zależy na pani zeznaniach.

Cindy nie bardzo wiedziała, o co chodzi, nie rozumiała, co takiego ma zeznać, co mogłoby pomóc Jackowi.

– I tak miałam tam jechać – zerknęła na zegarek – myślę, że będę na miejscu o dziesiątej dziesięć. Wystarczy?

– Sądzę, że tak, ale proszę się pośpieszyć.

Gdy usłyszała trzask odkładanej słuchawki, chwyciła torebkę i wybiegała do samochodu. Opony pontiaca sunbirda zapiszczały o jezdnię, gdy pełnym gazem ruszyła z parkingu. Wymuszając pierwszeństwo, skierowała się w stronę Frontage Road, choć nigdy tamtędy nie jeździła, bo droga wiodła przez podejrzone dzielnice, ale teraz zależało jej na szybkości.

Zwykle prowadziła ostrożnie, teraz wyciskała z pontiaca wszystko, na co było go stać. Zerknęła na licznik: ponad osiemdziesiąt pięć mil na godzinę, o dwadzieścia więcej, niż wolno, ale szosa wydawała się pusta, więc była raczej

spokojna. Nie zwolniła nawet na zakręcie, ale tam właśnie silnik zakrztusił się i zaczął przerywać. Auto zwolniło.

– Jedźże – szepnęła ni to do siebie, ni to do maszyny, naciskając pedał gazu. Auto przyspieszyło, ale tylko na chwilę, silnik zakasłał i zaległa cisza. Siłą rozpędu zjechała na pobocze. Dociskając gaz do końca przekreśliła kluczyk. Rozrusznik kręcił się, ale silnik nie zaskakiwał. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze. Na próżno.

– O Boże, nie teraz – jęknęła, jakby chcąc przekonać maszynę. W zasięgu wzroku nie widać było nikogo, zaczęła żałować, że nie zainstalowała w samochodzie telefonu komórkowego. Spojrzała w lusterko, wystraszyła się widząc w nim obcą twarz.

– Może pani pomóc? – spytał nieznajomy przez zamkniętą szybę.

Cindy zawahała się. Głos brzmiał nawet sympatycznie, ale dziwne było to, że człowiek objawił się tak niespodziewanie i nie wiadomo skąd. Spojrzała jeszcze raz w lusterko. Zobaczyła szarą furgonetkę stojącą nie opodal na poboczu. Przeniosła wzrok na nieznajomego, ale z jego twarzy nic nie potrafiła wyczytać. Miał na nosie wielkie, ciemne okulary, a na głowie czapkę baseballową z dużym daszkiem. Jack mnie potrzebuje, powtórzyła w duchu i odkreśliła szybę o parę centymetrów.

– Samochód mi na...

– Nawalił, wiem – przerwał jej w pół słowa – cukier w benzynie.

– A ja muszę dostać się...

– Do sądu – znów dokończył za nią.

Przeraziła się, ale nim zdołała cokolwiek zrobić, szyba rozprysnęła się od uderzenia, posypały się odłamki szkła. Zaczęła krzyczeć i naciskać klakson, ale w ułamku sekundy przestała, gdy ciężka dłoń chwyciła ją za gardło.

– Jaack... – wykrztusiła resztką tchu.

– To nie Jack, dziecińko – zasyczał napastnik, sięgając po nóż. Błysnął jej przed oczami ostrą stalą, która zdążyła już dobrze ostygnąć, od czasu gdy zatopiła się w ciele Giny Terisi.

Jack chciał się zobaczyć z ojcem przed wznowieniem sprawy w piątek rano, ale Manny upierał się, aby to odłożyć. Uważał, że do formalnego zakończenia procesu nie powinni spotykać się ani rozmawiać, ponieważ McCue zarezerwował sobie prawo ponownego przesłuchania. Możliwe więc, że zechce jeszcze raz powołać gubernatora na świadka, i mógłby wykorzystać ewentualną rozmowę ojca z synem do własnych celów.

Okazało się jednak, że prokurator zrezygnował z przesłuchania, nie wezwał też innych świadków. O pierwszej było już po końcowych przemówieniach stron. Manny błysnął talentem. Rozwinął to, co powiedział już w czasie przesłuchania gubernatora, przypomniał przysięgłym, że prawo nie nakłada na oskarżonego obowiązku udowodnienia własnej niewinności, przeciwnie – sprawą prokuratora jest wykazanie winy podsądnego w sposób nie pozostawiający wątpliwości.

McCue też robił, co mógł, a później, gdy sędzia ogłosiła przerwę, prokurator zamknął się w swoim gabinecie. Jack z Mannym poszli do poczekalni dla adwokatów w głębi korytarza. Wreszcie o piątej piętnaście zjawiała się urzędniczka.

– Przysięgli zakończyli naradę – oznajmiła.

Obaj poderwali się i niemal biegiem ruszyli do sali rozpraw. Wszyscy już wiedzieli, że przysięgli uzgodnili werdykt, i tłum wlewał się do sali. Wilson McCue był już na miejscu. Adwokat i jego klient usiedli za swoim stołem. Jack spojrzał na ławy publiczności. Z dziesiątego rzędu Neil Goderich mrugnął porozumiewawczo. Mike Mannon, który siedział w tym samym rzędzie, ale po drugiej stronie przejścia, miał co prawda zatroskany wyraz twarzy, ale dał znak dłonią z podniesionym w górę kciukiem, że wszystko będzie dobrze. Nie było tylko Cindy, co Jack stwierdził ze ściśniętym sercem. Kwiaty nie pomogły.

– Proszę wstać, Sąd idzie! – zawołał woźny.

W drzwiach pokazała się najpierw sędzia Tate. Jack zerknął, jak zasiada na swoim czarnym fotelu. Pilniej obserwował dwunastkę, która po raz ostatni zajmowała miejsca w ławie przysięgłych. Dobywał z pamięci wszystko, na podstawie czego, przynajmniej wedle psychologów, można odgadnąć powziętą przez ławników decyzję, a więc kogo spośród siebie wybrali na rzecznika, czy zerkają na oskarżonego, czy raczej na prokuratora. Ale nie potrafił się skupić, czuł tylko ciężar tego, co się dzieje. Całe jego życie znajduje się w rękach dwunastu obcych ludzi.

- Czy przysięgli uzgodnili werdykt? – spytała pani Tate.
- Tak jest – odparł rzecznik.
- Proszę podać akt woźnemu.

Rzecznik podał dokument woźnemu, ten przekazał go sędzi Tate, która w milczeniu zapoznała się z treścią i oddała woźnemu, aby odczytał i oficjalnie ogłosił postanowienie ławy przysięgłych. Taka jest procedura. Wszyscy czekali niecierpliwie. Panowała przy tym cisza tak głęboka, że Jackowi wydawało się, iż słyszy szmer świetlówek pod sufitem.

Właśnie, myślał, śmierć albo życie. Starał się opanować podniecenie. Jeszcze przed chwilą, gdy z Mannym wazyli szansę, był spokojny o wyrok, ale teraz nie wiedział, czego się spodziewać, bo tak zwane szansę mogą zawodzić. Pamiętał, jak przed rokiem lekarze orzekli, że matka Cindy zapadła na raka piersi. Wszyscy pocieszali się, że matka ma osiemdziesiąt procent szans na przeżycie. Brzmiało to optymistycznie, ale wystarczy wyobrazić sobie setkę kobiet i pomyśleć, że dwadzieścia z nich umrze, a sprawy nabierają innego wymiaru. Jack miał przed oczami tę właśnie dwudziestkę.

- Oskarżony, proszę wstać! – zawołał woźny.

Jack spojrział na swego obrońcę, obaj wstali jednocześnie. Manny w napięciu zaciskał pięści.

– My, sędziowie przysięgli – odczytał woźny werdykt – uznajemy, że Jack Swytek oskarżony o morderstwo z premedytacją jest niewinny!

Sala zawrzała. Jack z wrażenia objął Manny'ego. Nigdy w życiu nie ścisnął tak serdecznie mężczyzny, nawet ojca, choć gdyby to był ojciec, pewnie złamałby mu parę żeber w jeszcze mocniejszym uścisku.

– Proszę o spokój! – zawołała sędzia, kładąc kres spontanicznej radości. Gwar ucichł. Manny z Jackiem pokornie wrócili na miejsca.

– Panie i panowie przysięgli – zwróciła się sędzia Tate do ławników – dziękuję za rzetelne wypełnienie obowiązku. Są państwo wolni. Sentencja wyroku zostanie wpisana do protokołu. Panie Swytek – spojrzęła z wysokości swego sędziowskiego fotela – został pan uniewinniony. Rozprawa zakończona – oznajmiła uderzając po raz ostatni młotkiem w pulpit.

Zewsząd dobiegały gratulacje. Neil, Mike oraz kilku innych przyjaciół, którzy nigdy nie zwątpili w niewinność Jacka, przechylali się przez barierkę oddzielającą aktorów sądowego widowiska od publiczności, poklepując Jacka po plecach, ściskając dłoń człowieka uwolnionego od winy i kary. Jack rozglądał się po sali, ciągle miał nadzieję zobaczyć Cindy. Pomyślał także o drugiej bliskiej mu osobie,

która też była nieobecna.

– Gdzie ojciec? – spytał Manny'ego. Głos utonął we wrzawie.

– Mamy w planie drobną uroczystość – zaśmiał się obrońca. – U mnie w biurze – mrugnął porozumiewawczo.

Jacka ogarnęła euforia. Czuł się jak skazaniec, którego po latach wypuszczono z lochu na pełne słońce. Chyba pierwszy raz w życiu nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć się z własnym ojcem. Gdy wreszcie ruszyli z Mannym do wyjścia, zatrzymał ich McCue.

– Nie cieszyłbym się na waszym miejscu – syknął złowrogo. Mówił cicho, żeby nikt poza nimi nie usłyszał groźby. – To dopiero pierwsza runda, chłopcy. Druga rozpocznie się, gdy tylko zbiorę wielką ławę przysięgłych i przygotuję akt oskarżenia. Ostrzegam cię, Swyteck, że odpowiesz za śmierć Giny Terisi, a twój stary za Eddy'ego Gossa. Pytanie tylko, który pierwszy.

Jack poczuł, że wszystko się w nim gotuje.

– Odpieprz się, McCue, bo...

– Jack – ostrzegł Manny – nic nie mów.

– Racja, lepiej zasłonić się piątką – zakpił prokurator, mając na myśli oczywiście piątą poprawkę do konstytucji. – Jak wszyscy w tej rodzinie – pokiwał głową z obrzydzeniem, obrócił się na pięcie i wtopił w tłum reporterów czekających za barierką.

Jack chciał się za nim rzucić, ale obrońca go powstrzymał.

– Spokojnie – odciągnął go na bok – on może sobie pozwolić na złość, ale ty nie, więc lepiej będzie, jeśli to ja porozmawiam z prasą, a ty jedź od razu do mnie do biura. Musimy zmobilizować siły, pogadać z ojcem.

– Z ojcem... – powtórzył Jack wolno, jakby z tego słowa czerpał siły. – Dobrze, spotkamy się w biurze – zaczął przebijać się przez tłum dziennikarzy. Szedł w milczeniu, udając, że nie słyszy pytań i nagabywań. Dotarł do windy i kilka chwil później siedział już w mustangu.

Właśnie miał ruszyć, gdy zadzwonił telefon. Cindy, pomyślał z nadzieją, czy już wie, jaki jest wyrok? Wyłączył silnik, wziął słuchawkę.

– Jack to ja, Cindy.

Nie wiedział, co powiedzieć. Milczał przez chwilę.

– Cindy – rzekł wreszcie, ciesząc się, że może wypowiedzieć jej imię – gdzie jesteś?

– Na balkonie, jak Julia, drogi Romeo – rozległ się w słuchawce ponury męski głos, ten sam, który Jack zapamiętał z bójki w autobusie. – Twoja Cindy jest ze

mna.

Jack struchlał z przerażenia. Sprężył się na siedzeniu, jak do skoku.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic, na razie!

– Ona nie ma nic do tego, ty sukinsynu, zostaw ją w spokoju.

– Zamknij się, Swyteck, dość zabawy! Ta wasza sprawiedliwość znów okazała się do dupy. Teraz zagramy na moim terenie i o prawdziwe pieniądze. Chcę dwieście pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, i żeby to były czyste pięćdziesiątki.

Jack poczuł zawrót głowy. Z całej siły starał się jednak myśleć racjonalnie.

– Posłuchaj, zrobię, co chcesz, ale to duża suma, muszę mieć czas...

– Jak chcesz, ale twoja dziewczyna nie ma czasu. Zwróć się do ojca, kutasie, tatuś pomoże.

– Dobrze, tylko proszę, nic jej nie rób. A jak chcesz dostać pieniądze?

– Pojedziesz z ojcem na Key West – szantażysta wymienił nazwę miasta, a zarazem ostatniej wysepki w łańcuchu wysp i ciągnącym się jak sznur koralu na południe od krańca Florydy.

– Z ojcem?

– Tak.

– A nie mogę sam?

– Masz zrobić tak, jak ci mówię – syknął szantażysta. – Chcę mieć was obu na oku, bo obaj wiecie, co jest grane. I żadnych numerów – ostrzegł – żadnej policji, FBI, Gwardii Narodowej, a nawet straży miejskiej, bo nie zobaczysz już tej swojej ślicznotki. Jeśli tylko zauważę, że coś się szykuje, że policja urządza blokadę dróg, że są helikoptery albo że pismaki coś zwęszyły, słowem: jeśli tylko poczuję, że coś śmierdzi, to po twojej lali. Zabiję ją i już.

– Rozumiem – odparł Jack ze ściśniętym sercem. – Kiedy mam być w Key West?

– W sobotę, dwudziestego dziewiątego, wieczorem.

– Już jutro? – zaprotestował Jack.

– Właśnie jutro zaczyna się Festiwal Fantazji w Key West, wielki bal uliczny, jak karnawał w Rio. Maskarada, wszyscy będą się przebierać, ja też, więc nie licz, że mnie znajdziesz w tłumie, Swyteck. Nawet nie próbuj.

– To jak się spotkamy?

– Ja was znajdę. Wystarczy, że weźmiecie pokój w którymś z większych hoteli. Jeszcze coś?

– Nic – odparł Jack, ciężko wzdychając.

- To dobrze. A więc do jutra i jeszcze jedno...
- Co?
- Miłego weekendu – zakpił rozmówca i przerwał połączenie.

Miał to być wieczór zwycięstwa. Na początek mieli z ojcem wznieść toast najlepszym francuskim szampanem, a potem liczył na spotkanie z Cindy. Tymczasem zaczął się koszmar.

Jack powlókł się do Manny'ego. Z ojcem zasiedli w salce konferencyjnej i zastanawiali się, co robić.

– Pieniądze to najmniejszy problem – zapewnił gubernator. – Z pomocą Agnes możemy zebrać potrzebną sumę. Mogę też zmobilizować najlepszych policjantów. Wystarczy jeden telefon.

Jack pokręcił przecząco głową.

– Nie, tego nie możemy zrobić. On zabije Cindy, wiem, że to zrobi. Z miejsca zorientuje się, jeśli tylko zawiadomimy policję.

– Pewnie masz rację – westchnął gubernator – to psychopata, ale niezwykle sprytny. Jestem pewien, że już podsłuchuje rozmowy radiowe na policyjnym zakresie, a z własnego doświadczenia wiem, że nie ma takiej tajemnicy, która nie przeciekłaby z policji.

Spojrzeni po sobie w milczeniu.

– No dobrze – przerwał milczenie gubernator – nie zawiadamiamy policji. Mam jednak sporo przyjaciół, którzy pracowali w FBI i Secret Service, a teraz robią co innego. Mogą nam pomóc, a przynajmniej doradzić.

Jack zastanowił się chwilę.

– To ma sens, ale ograniczmy się tylko do zasięgnięcia rady. Później to już moja sprawa.

– Nasza – poprawił go gubernator.

Jack spojrzał na ojca. Gubernator uśmiechnął się wymownie, jakby chciał podkreślić, że na starego ojca zawsze można liczyć.

– Dobrze, tak zrobimy, razem przygwoździmy skurwysyna.

V

Sobota, 29 października

Z Miami do Key West jedzie się szosą U.S.1, biegnącą mostami i groblami przez wszystkie wyspy i wysepki tego dziwnego archipelagu wysuniętego w głąb Zatoki Meksykańskiej. Innej drogi nie ma. Było sobotnie południe, gdy Jack z Harrym dotarli do granic najbardziej na południe wysuniętego miasta Stanów Zjednoczonych. Jadąc dalej ocienioną palmami, nadmorską aleją skierowali się ku Duval Street, głównej ulicy Key West, przecinającej śródmiejską dzielnicę handlową, pełną sklepów z pamiątkami, galerii i antykwariatów w odnowionych, zabytkowych domach, pamiętających czasy, gdy Florydą władali Hiszpanie. Obok swoje usługi polecały firmy turystyczne, oferując podwodne wyprawy na rafy, wypożyczanie rowerów i co tam jeszcze. Z licznych kawiarni pod gołym niebem dobiegały dźwięki rocka, calypso i country. Key West – wiadomo – żyje z turystów.

Od północy Duval Street zamyka plac Mallory, gdzie turystów przyciągają jeszcze inne atrakcje: występy artystów, kioski, w których na oczekaniu można zrobić sobie portret, oraz tańce i śpiewy. Codziennie wieczorem, a zwłaszcza w czasie Festiwalu Fantazji, na Mallory Square odbywa się bal.

Sobota była dziewiątym dniem nieustannej zabawy. Wszyscy szykowali się do wieczornej kulminacji – wielkiej parady przebierańców, którą tradycyjnie organizuje się w Halloween – przeddzień Wszystkich Świętych. Choć było dopiero południe, wielu ludzi już spacerowało w kostiumach, a co śmielsi zamiast kostiumów obnosili goliznę ledwie zakamuflowaną fantazyjnymi rysunkami na ciele.

– Spójrz na tego typu – Jacka zainteresował człowiek ubrany w lila przepaszkę na biodrach i różowy czepek.

– Pewnie burmistrz – zauważył sarkastycznie starszy Swytek.

Znaleźli kryty parking nie opodal hotelu i tam zostawili wynajętego forda taurusa, a resztę drogi odbyli piechotą, chroniąc się przed tropikalnym słońcem w cieniu rozłożystych dębów okalających ulicę. W czasie festiwalu trudno było o miejsce w hotelu, ale gubernator miał stosowne znajomości i apartament czekał. Zameldowali się w recepcji, wzięli klucz i pojechali na szóste piętro, niosąc skromne bagaże.

Z góry roztaczał się wspaniały widok na zatokę, wliczony zresztą w cenę apartamentu – osiemset dolarów za dobę. Jack wyszedł na balkon, spojrzął w dół,

na Pier Point – portową knajpę pod gołym niebem, gdzie płaciło się nie tyle za jedzenie, co za atmosferę i widoki. Miał wrażenie, jakby wszystko, co go otaczało, było dziełem malarza surrealisty. Wyobrażał sobie, że lada chwila otworzą się drzwi, zjawi się Cindy, wmieszają się w rozbawiony tłum na ulicy, pójdą na spacer po plaży albo zajrzą do słynnego baru u Joego Brudasa, gdzie ongiś siadywał sam Ernest Hemingway, gdy mieszkał w Key West pisząc „Starego człowieka i morze”. Ale rzeczywistość była inna i wcale nie taka słoneczna jak sobotnie październikowe popołudnie. O pierwszej mieli z ojcem umówione spotkanie i rzeczywiście punktualnie rozległo się pukanie do drzwi.

– Peter Kimmell – gubernator przedstawił gościa. – A to mój syn – dopełnił formalności.

Jack zamknął balkon, zasunął zasłony.

– Miło mi pana poznać.

Przybysz był wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt, szczupły, wysportowany. Twarz niczego nie zdradzała, ale wzrok miał czujny, wręcz badawczy, co odrobinę peszyło Jacka.

Powiada się, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Kimmell przesłużył prawie ćwierć wieku w Secret Service, wycofał się dwa lata temu, przeniósł na Florydę i odtąd zażywał wypoczynku łowiąc ryby. Znudził się jednak rychło, porzucił wędkowanie i zaczął namiętnie jeździć na rowerze, potem uprawiał pływanie, a jeszcze później wziął się do biegów. Wszystko to czynił z zapałem i właściwą sobie energią, dzięki której zyskał w przeszłości opinię jednego z najlepszych agentów Secret Service, a obecnie – stał się wybitnym zawodnikiem w „triathlonie żelaznych ludzi”, w kategorii powyżej pięćdziesięciu lat. W wolnych chwilach udzielał się jako prywatny detektyw. Harry Swytek korzystał czasami z jego rad i usług, gdy w grę wchodziły względy bezpieczeństwa. Uważał go za najlepszego specja w branży. Co ważniejsze, Kimmell był dyskretny, więc razem z Jackiem mogli spokojnie skorzystać z jego doświadczenia i pomocy, mając pewność, że nie będzie żadnych przecieków do prasy czy policji.

– A więc to pan jest Jack – uśmiechnął się Kimmell na powitanie. – Ojciec wiele mi o panu opowiadał, same dobre rzeczy, oczywiście – przeniósł wzrok na Harry'ego. – Podtrzymujecie swój zamiar?

– Tak jest – odparli obaj.

– Dobrze. Na początek pokażę parę zabawek, jakie dla was wybrałem – mrugnął porozumiewawczo, kładąc na łóżku sporą metalową walizkę. – Voila – otworzył wieko.

Obaj Swyteckowie spoglądali w milczeniu na zawartość.

– Zamieniłeś się z Jamesem Bondem na walizki? – zażartował gubernator po chwili.

– Zapewne skorzystacie tylko z części tego, ale jest tu wszystko, co może się przydać, od mikrofonów do podsłuchu, po lornetki na podczerwień.

– Uważam, że lepiej nie komplikować – wtrącił Jack.

– Im prostsze środki, tym lepiej – zgodził się były agent. – Zacznijmy od broni. Umiesz strzelać, Jack?

Jack zaśmiał się, wyobrażając sobie, co Wilson McCue odpowiedziałby na to pytanie.

– Tak, a przynajmniej trochę. Miałem kiedyś dziewczynę, jeszcze w czasie studiów, strasznie się bała i domagała się, żebyśmy mieli broń, więc wziąłem kilka lekcji.

– To dobrze. Polecilibym ci, synu, tę oto sztukę – wyjął z pochwy zgrabny, czarny pistolet – to glock seventeen safe action, kaliber dziewięć milimetrów. Konstrukcja austriacka, w całości z polimerów, twardszych od stali, a przy tym znacznie lżejszych. Waży mniej niż kilogram, i to z pełnym magazynkiem. Świetnie leży w dłoni i jest niezwykle skuteczny. Nawet nie musisz specjalnie celować, żeby załatwić tego psychopatę. Dodatkowa zaleta tej broni polega na tym, że ma stosunkowo niewielki odrzut, jak na swoją siłę rażenia. Masz siedemnaście sztuk amunicji, kul ze ściętym czubkiem, takich jakich używa policja. Jedna taka kula kładzie łosia w biegu – podał pistolet Jackowi. – Jak ci leży?

– Czy ja wiem... – wzruszył ramionami Jack.

– Chłopie, to jakby druga ręka – obruszył się Kimmel. Odebrał pistolet i znów pogrzebał w przepastnej walizce. – A teraz pogadamy o zabezpieczeniu. Jest co prawda gorąco jak diabli, ale nie ma rady, musisz założyć kamizelkę. A to najlepsze, co do tej pory wymyślono w tej dziedzinie: kamizelka z kevlaru 121 specjalnie wzmacnianego. Osłania piersi, plecy i boki, a specjalne zapięcia gwarantują, że nie będzie się przesuwac na ciele. Wytrzymuje bezpośredni strzał z magnum 44. Krótko mówiąc, to doskonała ochrona przeciwko wszystkiemu, co strzela, ale – mrugnął porozumiewawczo – jeśli ten drab wyciągnie uzi, to lepiej jednak dać dyla. Poza tym kamizelka jest naprawdę znakomita. Waży wszystkiego dwa kilogramy, nie krępuje ruchów, można ją założyć pod koszulę, tak że ten wasz porywacz nawet się nie zorientuje. Dla gubernatora mam to samo. Wiem co prawda, że nigdy nie nosiłeś kamizelki kuloodpornej, ale...

– ... ale tym razem założę – dokończył Harty bez wahania.

– To dobrze. A teraz – ciągnął ich gość – opracujmy plan. Jeśli mam wam pomóc, muszę wszystko wiedzieć. Zaczniemy więc od początku. Opowiedzcie najpierw o morderstwie, do którego się przyznał. Chodziło o kobietę?

– Dziewczynę – odparł Jack – nie miała jeszcze osiemnastu lat. Przyszła do nocnego lokalu posługując się sfałszowanym dowodem. Napadł na nią na parkingu, gdy wychodziła z klubu. Rano znaleziono ją na plaży z podciętym gardłem.

– Co jeszcze? – dopytywał się były agent, ale dalsze pytania przerwał dzwonek. – Spodziewaliście się telefonu? – zdziwił się były agent.

– Nie – odparł gubernator.

Rozległ się drugi i trzeci dzwonek.

– Odbierz – polecił Kimmell Jackowi.

– Halo – Jack słuchał przez chwilę, powiedział „dziękuję” i odłożył słuchawkę. Spojrzeli pytająco.

– W recepcji jest jakaś paczka dla nas.

– Od kogo? – spytał Kimmell.

– Nie wiadomo, nie ma nadawcy, ale pewnie od niego. Kiedy zadzwonił do mnie wczoraj, powiedział, że wystarczy, jeśli zameldujemy się w którymś z większych hoteli, a on sam nas znajdzie i da znać. Wygląda na to, że właśnie nas zlokalizował.

– Zadzwoni do recepcji, żeby przynieśli pakiet tu, do pokoju.

Jack połączył się z kierownikiem i poprosił, aby ten osobiście przyniósł przesyłkę. Dwie minuty później kierownik zastukał do drzwi, Kimmell odebrał paczkę. Był to pakiet wielkości pudełka na buty.

– Myślisz, że to bomba, czy coś takiego? – spytał gubernator.

– Nie sądzę. Gdyby chciał was wykończyć, zrobiłby to już dawno. Otwieramy.

Jack ostrożnie przeciął sznurek i taśmę. Podniósł wieko. W środku znajdował się telefon komórkowy, opakowany w ochronny plastik, a obok koperta z napisem: „Włączyć o północy”.

– Jedno jest pewne, że porywacz działa tak, jak działał, nadal prowadzi grę, to dobrze, to znaczy, że można mieć nadzieję.

– A co jest w kopercie? – spytał gubernator.

Kimmell otworzył kopertę, wyjął złożony arkusik papieru.

– Świadcstwo zgonu!

– Cindy? – zatrwożył się gubernator.

– Nie, Raul Fernandez – odczytał pierwszą linijkę dokumentu. – Wystawiony przez urząd powiatowy. Wierna kopia oryginału poza jednym. W rubryce

„przyczyna zgonu" wytarto pierwotny wpis, który brzmiał – obejrzał dokument pod światło – „zatrzymanie pracy serca na skutek porażenia prądem elektrycznym", i wpisano... – Podał dokument gubernatorowi.

– ... Jack Swyteck – odczytał Harry na głos.

Zaległa cisza. Nikt nie powiedział ani słowa. Po dłuższej chwili Kimmell jeszcze raz obejrzał dokument.

– Czemu to zrobił?

– Od samego początku uważa, że to ja ponoszę winę za śmierć Fernandeza – wyjaśnił Jack.

– Nie o to mi chodzi – rzekł Kimmell – jest tu coś jeszcze. To raczej dziwne, być może nie zamierzone. Rubryka siedem: dane osoby podającej informacje o zmarłym. Jest tu nazwisko i imię: Alfonso Perez.

– Któż to taki? – spytał Jack.

– Nazwisko jest pospolite, imię też, są setki Alfonsów Perezów, ale pamiętam z czasów służby w Secret Service, że tego właśnie imienia i nazwiska używał czasami facet, którego w latach osiemdziesiątych wszyscy funkcjonariusze federalni znali w Miami jako Estebana. Był to wyjątkowo inteligentny typ, dwujęzyczny, mówił po angielsku równie dobrze jak po hiszpańsku. Raz po raz zmieniał nazwisko i tożsamość. Trudno było za nim nadażyć. Słyszałem, że miano go zatrzymać dwa lata temu, ale ponoć dał nogę i znikł gdzieś na Karaibach, a jest poszukiwany u nas za co najmniej pięć morderstw.

– Czy to znaczy, że ścigają go także w innych krajach? – spytał Jack.

– Przybył do Stanów z Kuby, gdzie wcześniej służył w wojsku. Szkolił się u Rosjan w czasie wojny w Angoli i wyróżnił się, jeśli chodzi o torturowanie więźniów politycznych. Skurwysyn nie znał żadnej litości. Awansowano go do Batalion Especial de Seguridad, elitarnego oddziału służby bezpieczeństwa Fidela Castro, ale powiadają, że gdy odsunięto go od tortur i maltretowania więźniów, zwariował. Był sadystą, uwielbiał przemoc. Zdezerterował i zaczął mordować na własną rękę. Ponoć w samej Hawanie zgwałcił i zamordował z tuzin kobiet, prostytutek zresztą. Kubańczycy zakiblowali go na parę lat, ale w 1980 roku, w czasie słynnej operacji „Mariel", kiedy Castro wypuścił z więzień kryminalistów, ów Esteban trafił do nas razem ze zwykłymi emigrantami. Pamiętacie, że Ameryka przyjęła wtedy sto pięćdziesiąt tysięcy uchodźców z Kuby. FBI i władze imigracyjne poszukują go od samego początku.

– Raul Fernandez dostał się do Ameryki w tym samym roku, też w czasie operacji „Mariel" – zauważył Jack.

– Co pewnie nie było zwykłym przypadkiem – dodał były agent – choć wcale nie znaczy, że Fernandez też był kryminalistą. W istocie tylko ułamek spośród stu pięćdziesięciu tysięcy imigrantów to przestępcy.

– A więc myślisz, że porywacz to Esteban.

– Trudno powiedzieć. Dla was byłoby lepiej, gdyby nie.

Jack podszedł do okna, odsłonił rąbek zasłony i spojrzął na ocean.

– Nie boję się o siebie – powiedział posepnym głosem – ale o...

Po drugiej stronie miasta, niedaleko tablicy informującej turystów, że znajdują się w najbardziej wysuniętym na południe punkcie Stanów Zjednoczonych, pod przegniłą podłogą opuszczonego drewnianego domu, Cindy Paige odzyskała wreszcie przytomność, choć nadal nie wiedziała, czy to tylko koszmarny sen, czy wszystko dzieje się na jawie. Otworzyła oczy, ale nic nie widziała. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Chciała dotknąć oczu, przekonać się, czy są otwarte, ale nie dała rady. Ręce miała spętane. Chciała się poruszyć, ale na nogach też miała więzy. Chciała krzyknąć, ale nie słyszała własnego głosu, jakby ktoś zaciskał jej usta dłonią. Kto? Jest tu ktoś? Kryje się w mroku? I nagle wróciła jej cała świadomość. Przypomniała sobie kaptur zarzucany na głowę i bolesne ukłucie w ramię.

Struchlała słysząc kroki. Coraz głośniejsze. Nagle oślepiło ją światło i owiała fala świeżego powietrza, co tylko uświadomiło jej, w jakim śmierdzącym piekle ją zamknęto. Oczy z trudem przywykały do blasku, a gdy je wreszcie otworzyła, struchlała jeszcze bardziej, widząc przed sobą twarz człowieka w wielkich przeciwsłonecznych okularach i baseballowej czapce z daszkiem – tego samego, który napadł na nią w samochodzie.

– Cicho, mój aniele – szepnął. Siedział na podłodze i pochylał się nad uwięzioną. – Nikt ci nic złego nie zrobi.

Nigdy nie była tak przerażona. Ze strachu i trwogi przygryzała knebel. Z trudem łapała powietrze, a wzrokiem błagała o litość.

– Obiecuj, że nie będziesz krzyczeć, to wyjmę ci knebel, a jak dasz słowo, że nie zaczniesz uciekać, wyciągnę cię z tej dziury, zgoda?

Kiwnęła głową bez wahania.

Skrzywił się w złowrogim uśmiechu.

– Nie wierzę.

Cindy jeszcze raz dała znak, że zgadza się na wszystko.

– Nie miej do mnie pretensji, bo nie ja jestem winien, tylko twój narzeczony. Swytek zmusił mnie do tego, choć wcale nie chciałem. Tysiące razy mogłem zrobić ci krzywdę, a jednak nie zrobiłem i nie zrobię... jeśli Jack Swytek wypełni moje warunki. Wierzysz mi?

Słuchała z przerażeniem, ale kiwnęła głową, że tak.

– To dobrze – skwitował – nie mogę cię wypuścić z tego schowka, ale

umówmy się w jednej sprawie. Widzisz – podsunął jej przed oczy strzykawkę – to jest seconal, właśnie po tym spałaś jak zabita. Widać dałem ci dobrą dawkę, ale teraz mamy kłopot. Nie wiem, ile tego świństwa zostało jeszcze w twoim organizmie. Jeśli damy za dużo, nigdy się nie obudzisz, więc co zrobimy? Jeśli przyrzekniesz, że będziesz leżeć jak trusia, ale naprawdę jak trusia, obejdzie się bez zastrzyku. No więc?

Kiwnęła głową.

– Mądra dziewczynka – pochwalił. Wstał i zaczął zasuwać deski podłogowe. Słyszając, że Cindy zaczyna łkać, przerwał pracę i pogroził jej palcem jak ojciec: – Ani mru-mru.

Cindy przełknęła łzy. Udało jej się stłumić płacz.

– Dobra dziewczynka. Leż spokojnie i nic się nie martw. Znalazłem już coś lepszego dla nas. Niedługo zabiorę cię stąd.

Leżała drżąc z przerażenia, modląc się o cud. On tymczasem zasunął deski do końca i znów ogarnęła ją ciemność.

– Dobranoc, aniele – usłyszała stłumiony głos.

Wstał, zdjął czapkę i okulary. W całym zabitym deskami domu było równie parno i gorąco jak pod podłogą. Siedział w dawnym salonie pośród śmieci, puszek po napojach i niedopałków zostawionych tu przez przypadkowych lokatorów. Sam przyniósł ze sobą niewiele przedmiotów, tylko to, co naprawdę niezbędne: składany leżak, lodówkę turystyczną z zapasami, radio i trzy wentylatory na baterie, żeby w ogóle móc oddychać. Zabitych dyktą okien bał się otworzyć, żeby ktoś go nie wypatrzył, choć właściwie niewiele na to było szans. Dom stał na uboczu, porósł chwastami, i ktoś, kto chciałby zajrzeć do środka, musiałby wycinać przejście maczetą. A tymczasem, sądząc z tego, co słyszał na policyjnych falach radiowych, nikt go nie szukał.

– Coś taki czuły? Aniele... ? – spytała Rebecca. Zaskoczyła go. Stała w drzwiach i wszystko słyszała.

Spojrzał na nią badawczo. Ubrana była w niebieskie dzinsy z obciętymi krótko nogawkami, luźną bluzkę na ramiączka. Była bez stanika, boso i bez makijażu. Mocno opalona, jak większość dziewczyn, które pracują nocami, ale nie miała zdrowej cery.

– Taka kurwa jak ty nigdy tego nie zrozumie – burknął.

– Co ty powiesz? – odparła zaczepnie. Wyjęła z lodówki puszkę coli. – Jeśli taki z niej anioł, to dlaczego trzymasz ją pod podłogą?

– Ona żyje, rozumiesz, żyje! – powiedział z błyskiem w oku. – A wiesz,

dłaczego?

– Bo trup nie jest ci do niczego potrzebny – zakpiła.

– Nie – odrzekł poważnie – nie dlatego. Obserwuję ją od wielu miesięcy i wiem, że nie jest dziwką, jak ta jej przyjaciółka, jak ty i wszystkie kurwy z tej twojej budy.

Rebecca oparła się o ścianę, przestępując z nogi na nogę. Starła się nie okazywać strachu, choć nie było to łatwe.

– Ja tam nie wiem, o co ci naprawdę chodzi, a jeśli ktoś może mieć pretensje, to raczej ja. Prosiłeś, żebym zadzwoniła, zgodziłam się. Zatelefonowałam do tej zdziry. W porządku, dostałam za to sześć patyków, ale nie uprzedziłeś mnie, że po resztę będę musiała jechać aż do Key West. Nie powiedziałaś, że będziemy wieźć Śpiącą Królową i – do cholery – nie uprzedziłeś, że będę musiała sterczeć w tej zaplutej dziurze czy jeszcze gdzie indziej, gdzie chcesz się przenieść, więc uważaj, bo w każdej chwili mogę rzucić to w diabły.

Spojrzał na nią badawczo.

– Zrobisz wszystko za pieniądze, co nie?

– A tobie nie chodzi o szmal?

– Nie. Robię to dla Raula, bo był niewinny!

Cindy zadrżała z przerażenia pod podłogą. Słyszała każde słowo, choć wolałaby nic nie słyszeć. Ton, jakim mówił ów mężczyzna, napawał ją trwogą.

Rebecce też przeszło mrowie, choć starała się niczego nie okazywać.

– Spoko – powiedziała ze ściśniętym gardłem – dasz mi, co moje, i do widzenia.

Podszedł do niej wolnym krokiem, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Dostaniesz – sięgnął do kieszeni – dam ci, ale musisz zarobić. – Rzucił jej w twarz zgnieciony banknot dwudziestodolarowy. – Bierz się do roboty, kurwo – spojrzał jej w oczy.

Rebecca cofnęła się przerażona, oparła się o ścianę.

– Sam sobie zrób!

Otwartą dłonią uderzył ją w twarz.

– Zaczynaj!

Chciała się wymknąć, ale chwycił ją mocno za rękę, zatrzymując w miejscu.

– Jazda!

Chciała krzyknąć, ale coś w jego wzroku kazało jej milczeć. Przeżyła niejedno w swoim krótkim życiu. Grożono jej, przystawiano nóż do gardła, znęcano się, wykorzystywano na różne sposoby. Wyrosła na ulicy i miała doświadczenie.

Wiedziała, kiedy krzykiem można coś wskórać. Teraz zamilkła. Ukłękła, drżącymi rękami rozpięła mu spodnie. Zaczął pojękiwać z rozkoszy, a ona starała się zakończyć sprawę tak szybko, jak się da. „Minutówki” to było jej rzemiosło. Ileż ich zrobiła w życiu? Setki, tysiące. Miała zasadę, żeby nie połykać rezultatu swoich wysiłków; bała się zarażenia. I teraz też, słysząc przyspieszony oddech Estebana szykowała się, żeby cofnąć usta, ale się nie udało. Chwycił ją mocno za włosy, przyciągnął do siebie. Był ogromny, dusiła się. Jęczał, dysząc z rozkoszy, jej zaś brakowało powietrza. Chciała się wyzwolić, ale przyciągnął ją jeszcze mocniej. Wpadła w panikę i ugryzła.

Esteban uderzył ją w głowę na odlew. Zwaliała się na podłogę.

– Tylko nie zębami, kurwo!

Z trudem łapała powietrze.

– Dusłam się – spojrzała nań przeproszająco.

Złapał ją znowu za włosy i potrząsnął jak szmatą.

– To najmniejsze twoje zmartwienie – spojrzał na nią pustym wzrokiem.

Pod podłogą Cindy dygotała z przerażenia. Zacisnęła oczy, żeby wstrzymać łzy. Słuchu jednak nie dało się wyłączyć.

– Mam pewne plany związane z tobą, Rebecca – usłyszała i zaraz potem dobiegł ją śmiech, od którego poczuła mróz w całym ciele.

Tymczasem Kimmell, Jack i Harry spędzili cały dzień omawiając i dopracowując plany działania w różnych wariantach: plan główny i awaryjny. Każdy zasadzał się na tych samych trzech elementach: Jack i Harry wychodzą na zewnątrz zgodnie z poleceniem porywacza, Kimmell zostaje w hotelu, koordynuje akcję, pełniąc funkcję głównego łącznika. Do dyspozycji są telefony i aparaty przywoławcze.

O dwudziestej drugiej, po kolejnej analizie, doszli do wniosku, że nic więcej już nie wymyślą. Zamówili kolację do pokoju i posilali się w milczeniu. Ciszę przerywały tylko wybuchy sztucznych ogni towarzyszące zabawie na pobliskiej Duval Street, gdzie robiło się coraz tłumniej i głośniej. Do północy i zapowiedzianego telefonu zostały już tylko dwie godziny.

Kimmell skończył jeść, odstawił talerz, odłożył serwetkę i wstał od stołu. Właściwie nie palił – dwa, trzy papierosy na rok – i choć wyczerpał dziś cały roczny limit, znów sięgnął po papierosa. Przeszedł do sąsiedniego pokoju, aby jeszcze raz przejrzeć zdjęcia i dokumenty, jakby chciał, by wszystkie zawarte w nich informacje wryły się w jego pamięć.

Jack z ojcem został przy stole. Gubernator patrzył na syna, który bez apetytu kończył kolację.

– Tak mi przykro, Jack – powiedział z głębi serca. Jack nie był pewien, do czego ojciec nawiązuje.

– Mnie też – odparł – modłę się o Cindy, żeby wróciła do nas.

– Ja też. To w tej chwili najważniejsze. Ale nie z tego powodu mi przykro. Chciałbym ci coś opowiedzieć, musisz to wiedzieć – słowa nie przychodziły mu łatwo. – To opowieść o chłopcu, od którego ciągle czegoś wymagano, ciągle go naciskano, choć chłopak był naprawdę wspaniały. Kiedy jednak nie spełnił wygórowanych oczekiwań, po prostu go odepchnięto, rozumiesz mnie, Jack? A zresztą co tu dużo mówić! Gdy sięgnę pamięcią, to zdaję sobie sprawę, że postępowałem wobec ciebie okropnie. Wyobrażam sobie, że gdybyś był – powiedzmy – Michałem Aniołem i gdybym raptem wszedł do Kaplicy Sykstyńskiej, pewnie zlekceważyłbym freski na suficie i skarcił cię, że jeszcze nie zrobiłeś malowideł na ścianach – Harry zaśmiał się nerwowo i znów spoważniał. – Myślę – ciągnął najtrudniejszą chyba spowiedź w życiu – że po śmierci twojej matki wszystkie ambicje ulokowałem w tobie, chciałem, żebyś był ideałem,

cokolwiek to znaczy. Nie ma innego wytłumaczenia. Przepraszam cię za wszystkie cierpienia, których ci nie oszczędziłem. Dawno już myślałem, żeby ci to powiedzieć.

Jack milczał, szukając w myślach słów, którymi mógłby wyrazić własne uczucia.

– Wiesz – rzekł głosem drżącym ze wzruszenia – poza porwaniem Cindy jedyna sprawa, o której w ogóle jestem w stanie myśleć od dwóch dni, to jak mógłbym ci podziękować za wystąpienie na procesie.

– Wystarczy, jeśli mi wybaczysz – odparł Harry z prostotą.

Jackowi serce się ścisnęło. Czy wybaczy? Sam chciał błagać ojca o wybaczenie.

– Wiem, że ty pokochasz Cindy, gdy ją poznasz – powiedział, nie znajdując innych słów.

– Jestem pewien, że tak – gubernatorowi zwilgotniały oczy.

– Chłopcy – wrócił Kimmell – już czas. Zbieramy się.

Jack z ojcem wymienili pełne ufności spojrzenia. Czuli się silni jak nigdy.

– Do roboty! – rzekł Jack, a gubernator tylko kiwnął głową. Przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie Kimmell już wszystko przygotował. Obaj założyli ciemne ubrania, na wypadek gdyby trzeba było się ukryć w mroku; adidas, gdyby musieli uciekać, i wdziali kuloodporne kamizelki, gdyby kryjówka okazała się zawodna, a na ucieczkę mieli za mało czasu.

– A to co? – spytał Jack, gdy były agent zaczął mu przypinać dziwne urządzenie z baterią i drucikami.

– To naprowadzacz, jednowatowy nadajnik, który automatycznie wysyła przerywany sygnał, dzięki czemu w każdej chwili możemy sprawdzić, gdzie jesteś. To na wszelki wypadek, gdyby wszystko zaczęło się przeciągać.

Kimmell umocował antenkę, podawał właśnie Jackowi broń, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

Była dokładnie północ.

Jack wziął głęboki oddech i sięgnął po słuchawkę. Kimmell powstrzymał go.

– Pamiętaj, spokojnie, rzeczowo i koniecznie powiedz, że chcesz usłyszeć Cindy.

Jack skinął głową na znak, że rozumie, i włączył telefon.

– Słucham?

– Jesteś gotów do zabawy, Swyteck?

„Spokojnie i rzeczowo” – powtórzył w myślach instrukcję.

– Mamy pieniądze. Gdzie i jak chcesz przeprowadzić wymianę?

– Wymiana – rzekł porywacz przeciągle – pewnie wiesz, że nie ma gwarantowanego patentu na wymianę. Wymiana to chwila, kiedy wszystko może się zdarzyć i wszystko popsuć. Właśnie, Swytek, ostrzegam cię, najmniejszy błąd i wszystko na nic, rozumiesz mnie?

– Rozumiem.

– To dobrze. A oto mój plan. Po pierwsze pójdziecie osobno. Ojciec dostarczy pieniądze, odbiorę je w bardzo ruchliwym miejscu, a ty dostaniesz dziewczynę zupełnie gdzie indziej. Wspaniały plan, co nie?

– Więc co mamy robić?

– Powiedz ojcu, żeby stanął z pieniędzmi przy magazynie E, to niedaleko placu Mallory. Niech czeka przy budce telefonicznej. Gdy będę gotów, podejść. Przebiorę się, ale daję głowę, że mnie pozna.

– A co z Cindy, gdzie mam ją spotkać?

– Weź ze sobą telefon i idź na ulicę Simonton, w kierunku przeciwnym niż hotel. Gdy ojciec wręczy mi pieniądze, skieruję cię bezpośrednio do niej i mam nadzieję, że zdążysz.

– Co to znaczy – zdążę?

– A jak myślisz?

– Chcę usłyszeć Cindy – odparł Jack stanowczym tonem – chcę wiedzieć, czy nic jej nie jest.

W słuchawce nastąpiła cisza. Minęło dobre dziesięć sekund, dwadzieścia, Jack pomyślał, że rozmówca przerwał połączenie. Okazało się jednak, że nie.

– Jaack... – odezwała się Cindy.

– Kochanie!

– Błagam cię, Jack, rób to, co on mówi.

– Dość tego! – przerwał porywacz. – Jeśli chcesz ją jeszcze usłyszeć, musisz grać, jak ci każe. Żadnych numerów, żadnej policji, a wszystko będzie dobrze, nikomu nic się nie stanie. A teraz w drogę, Swytek! – Połączenie zostało przerwane.

Jack westchnął głęboko.

– I żadnych obaw – mruknął do siebie.

Po błyskawicznej naradzie z Kimmellem i wzajemnych przestrożach, by zachować ostrożność, Jack z Harrym wyszli z hotelu i każdy ruszył w swoją stronę. Gubernator skierował się w stronę placu Mallory, wokół którego wznosiły się dawne magazyny portowe, gdzie ongiś licytowano jedwab, wino i co tam jeszcze znajdowano we wrakach statków, które nie docierały do portu, rozbijając się na okolicznych rafach. W czasie festiwalu plac stanowił jakby granicę między szaleństwem Duval Street a dostojnym spokojem wód Zatoki Meksykańskiej. Jack udał się na południe, ku ulicy Simonton, która biegła równolegle do Duval, ale miała absolutnie inny charakter. Po jej obu stronach wznosiły się okolone białymi parkanami domy w wiktoriańskim stylu. Przed stu laty mieszkali tu marynarze, poławiacze gąbek, poszukiwacze skarbów, a dziś większość domostw pozamieniano na pensjonaty.

W szybkim tempie przeszedł dwie przecznice i zwolnił, zdając sobie sprawę, że w istocie nie wie, dokąd iść. Minęła go roztańczona grupa przebierańców w strojach jaskiniowców z popularnego serialu telewizyjnego. Doszedł do wniosku, że chyba całe miasto zdążyło w jednym tylko kierunku, ku Duval Street, pieszo, na rowerach, na motocyklach. Nie widać było tylko aut, bo podczas Festiwalu Fantazji mało kto jeździ samochodem.

Jack zadrzał, gdy nagle odezwał się brzęczyk telefonu komórkowego.

– Tak? – potwierdził odbiór.

– Skręć w lewo w ulicę Caroline – usłyszał – i nie wyłączaj telefonu, odzywaj się przy każdej kolejnej przecznicy.

Jack przeszedł na drugą stronę Simonton i zagłębił się w ulicę Caroline, jak mu kazano. Gwar z Duval cichł, a ulica stawała się coraz bardziej wyludniona i ciemna. Mniej było tu lamp, a światło księżycy przysłaniały gęste korony drzew. Między nierównymi płytami chodnika wyrastały korzenie. Palmy i dęby szumiały cicho, poruszane wieczorną bryzą. Stare, drewniane domy z wysokimi na piętro gankami i okiennicami z serduszkami zdawały się trzeszczeć od wiatru. Jack szedł nie oglądając się na nic.

– Nie chodzi o dziewczynę – odezwał się głos w telefonie.

Jack wstrzymał oddech. Telefon widać miał służyć jeszcze innym celom, nie tylko po to, aby kierować go na miejsce.

– Jestem przy Elizabeth Street.

– Idź dalej prosto – polecił porywacz i zaraz wrócił do głównego wątku – chodzi o Raula Fernandeza i chyba o tym wiesz?

Jack szedł dalej. Nie chciał prowokować porywacza, ale dał się ponieść własnej ciekawości.

– Opowiedz mi o nim.

– Najważniejsze już i tak wiesz: to nie był jego pomysł, żeby załatwić tę małą.

– Rozumiem, ale opowiedz mi coś więcej.

W słuchawce zapadła długa cisza. Jack z doświadczenia wiedział, bo przecież był adwokatem i nieraz rozmawiał z klientami o trudnych sprawach, że tamten albo teraz całkowicie zamilknie, albo przeciwnie, popłynie niepowstrzymany potok zwierzeń. Na razie usłyszał, że rozmówca chrząka.

– Raul odsiedział na Kubie dziewięć lat, zanim dostał się tutaj, i jak myślisz, czego może chcieć facet, który ląduje w Miami po dziewięciu latach w kiblu?

Jack zawahał się. To, co usłyszał, zdawało się potwierdzać hipotezę Kimmella, że ma do czynienia z Estebanem. Nie był wszakże pewien, czy pytanie było zaproszeniem do rozmowy, czy tylko cezurą w monologu.

– Sam mi powiedz.

– Kurwy, ty głupi chuju, kurwy. Gotów był zapłacić, ale po co? Jest dużo takich dup, co za skarby nie przyznają się, że są kurwami. Wystarczy taką poderwać. Tak mu poradziłem i tak miał zrobić, ale był nieśmiały, więc poszedłem z nim, żeby mu pokazać, jak to się robi.

– To znaczy, że załatwiliście ją wspólnie, Fernandez i ty?

– Raul nikogo nie zabił. Nóż był tylko po to, aby ją wystraszyć, ale głupia dupa wpadła w panikę i zerwała mu maskę. Nawet wtedy nie chciał jej zabić. Ja ją wykończyłem, żeby go ratować. Więc jak myślisz, jak on się musiał czuć, gdy zamknęli go za morderstwo? Zrobiłem wszystko, żeby go uratować od krzesła elektrycznego, nawet przyznałem się do zabójstwa, ale ty, Swyteck, ty nie zrobiłeś tego, co do ciebie należało. Człowiek, który mógł wstrzymać egzekucję – gubernator – był twoim rodzonym ojcem, a tyś nawet palcem nie kiwnął.

Jack stłumił w sobie pokusę, żeby wyjaśnić, jak to było naprawdę. W świetle tego, co usłyszał, wyrok i egzekucja miały jednak uzasadnienie. Skoro Raul Fernandez dopuścił się gwałtu, a przynajmniej próby gwałtu, to ponosił taką samą odpowiedzialność jak ten, kto fizycznie poderznął gardło ofiary. Wedle prawa każdy, kto bierze udział w przestępstwie, w wyniku którego ginie człowiek, jest winien morderstwa, choćby sam akt zabójstwa został dokonany przez inną osobę. Nazywa się to zabójstwem w wyniku czynu przestępczego i zagrożone jest

najwyższym wymiarem kary. W sumie zaś oznaczało to, że ojciec nie podpisał nakazu egzekucji niewinnego człowieka.

– A więc ty i Raul byliście kumplami w więzieniu, tak?

– Kumplami w kiblu – powtórzył jego prześladowca obrażonym tonem – co ty sobie wyobrażasz, że byliśmy parą pedałów, czy co? On był moim bratem. Zabiłeś mi brata, skurwysynu!

Jack wstrzymał oddech. Stawka rosła.

– Dochodzę do Williams Street.

– Zatrzymaj się. Stań twarzą na południe. Widzisz?

– Co mam widzieć?

– Dom na rogu.

Za żelaznym parkanem wznosiło się wiekowe domiszczce w wiktoriańskim stylu, ledwie widoczne za gęstwiną tropikalnej roślinności. Dom był dwupiętrowy, z wielką werandą, oblaży z farby, ale w dość dobrym stanie, z niebieskimi okiennicami, które służyły raczej ozdobie, okna bowiem zabezpieczono aluminiowymi żaluzjami, jakie stosuje się w tych okolicach zwłaszcza w okresie jesiennych huraganów, gdy właściciele wyjeżdżają gdzie indziej na cały sezon.

– Widzę, dom jest zabezpieczony przed huraganem.

– Właśnie – brzmiała odpowiedź – pozamykany, ale twoja dziewczyna jest w środku. Sama nie wyjdzie, musisz po nią pójść i żeby ci do głowy nie przyszło dzwonić po policję. To stary, wielki dom, a dziewczyna jest dobrze schowana. Może być na strychu albo pod podłogą, na razie nie powiem ci, gdzie. Masz jedyną szansę, żeby znaleźć ją żywą. Musisz słuchać poleceń przez telefon. Będę cię kierował. Ale musisz się pośpieszyć, Swytek. Dokładnie pięć minut temu zaaplikowałem jej solidną dawkę arszeniku.

– Ty skurwysynu, obiecałeś, że nic jej nie zrobisz.

– I nic nie zrobiłem – warknął przestępca – wszystko zależy od ciebie. Zabijesz ją, jeśli nie będziesz mnie słuchał. Dziewczyna może przeżyć dwadzieścia minut bez odtrutki. Tak więc, im szybciej ją znajdziesz, tym szybciej będziesz mógł wezwać pogotowie. Furtka jest otwarta, wejdź do środka, chłopcze. I nie wyłączaj telefonu.

Gniew, wściekłość, a zarazem wzruszenie ścisnęły Jacka za gardło. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego wyboru. Pchnął żelazną bramę, która otworzyła się z piskiem, biegiem przedarł się przez chaszczce do drzwi na zapleczu, bo tylko tamtędy mógł dostać się do opuszczonego domu.

Harry Swytek dreptał nerwowo przed portowym magazynem, gdzie miał przekazać okup. Był sam, w pobliżu żywej duszy, natomiast zewsząd dobiegały odgłosy muzyki i festiwalowej zabawy. Mimo że stał sam, miał wrażenie, iż jest pośrodku gwarne tłumy, a zresztą od Duval Street raz po raz zjawiały się a to pary przebierańców, aby w cieniu magazynu dać sobie dowody nagłej miłości, a to pojedyncze postacie, aby wypróżnić napęczniałe od napitków pęcherze, a to jeszcze ktoś, aby względnie spokojnie zaciągnąć się trawką.

Gubernator spojrzał na zegarek. Pierwsza. Nadal żadnego sygnału ani od Jacka, ani od porywacza. Dziwne, pomyślał. Stał w ciemnościach z walizką pieniędzy, ale nie odczuwał strachu, to znaczy nie bał się o siebie ani o pieniądze, martwił się natomiast o Jacka. Przestał dreptać, zatrzymał się, sprawdził telefon komórkowy, czy jest włączony i czy działa. Wszystko w porządku.

Westchnął głęboko. Starał się pilnie obserwować okolicę i nadśłuchiwać, co było trudne, bo gwar festiwalu: śmiechy, piski, muzyka we wszystkich stylach i gatunkach rozpraszały uwagę. Z pobliskiego hotelu Pier House pobrzmiwała orkiestra rockowa, a nad wszystkim przebijał dźwięk trąb i łomot perkusji. Najpierw irytowało go to mniej więcej tak, jak człowieka denerwuje kapiąca z kranu woda, z czasem jednak hałas zaczął mu się dawać mocno we znaki i w uszach dudniło mu tak, jakby były pioruny. Marzył, żeby wreszcie nastąpiła cisza, pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z otepienia, gdy nagle zdał sobie sprawę, że dudnienie dochodzi wcale nie od hotelu, ale z przeciwnej strony i że to nie perkusja, ale coś zupełnie innego. Obrócił się na pięcie. Rzeczywiście łomot dochodził z tej strony, a źródło znajdowało się gdzieś w pobliżu budki telefonicznej.

– Jest tam ktoś?! – zawołał. Żadnej odpowiedzi. Tymczasem łupanie rozległo się jeszcze głośniejsze i gwałtowniejsze, jak bicie wystraszonego serca. Postąpił dwa kroki w tę stronę i zatrzymał się. Za budką stała stara, porzewiała furgonetka i właśnie coś lub ktoś walił od środka w tylne drzwi, jakby chciał się wydostać na zewnątrz. Drzwi trzęsły się w zawiasach, aż w pewnej chwili zamek puścił. Gubernator sięgnął po broń.

– Nie ruszać się! – zawołał. – Kto tam?

Łupanie ustało, ale odpowiedzi nie było. Gubernator milcząc podszedł bliżej. Zdawał sobie sprawę, że nie ma co powtarzać pytania. Jeśli chce poznać

odpowiedź, musi zajrzeć do środka.

Jack szarpnął za klamkę, otworzył kuchenne drzwi i skoczył w mroczne wnętrze. Przesunął ręką po ścianie, szukając kontaktu, żeby zapalić światło. Znalazł, przekręcił włącznik, ale ciemność nie ustąpiła. Nie widział nic. Nie było prądu, a wszystkie okna szczelnie przysłaniały metalowe żaluzje przeciwburzowe.

– Nie ma światła! – krzyknął do telefonu.

– Prąd wyłączony – usłyszał – na stole w kuchni jest latarka.

Potyając się o sprzęty, Jack odszukał stół. Włączył latarkę. Adrenalina we krwi robiła swoje, ale uświadamiał sobie własny strach. Biały snop światła ciął ciemność jak laser i Jack poczuł się jak intruz, który wdziera się do obcego domu, ba, do innego świata. Drewniany budynek zdawał się żyć własnym życiem, trzeszczał, pojękiwał i skrzypiał. Zabytkowy dom z czasów królowej Wiktorii przepełniała woń stęchlizny i zastalego powietrza. Wszystko tu było wiekowe: meble, tapety, ręczna pompa nad zlewem w kuchni, jakby nikt tu nie mieszkał od stu lat, albo przeciwnie – jakby lokatorzy, którzy wprowadzili się przed stuleciem, nigdy tego domu nie opuścili.

– Gdzie jest Cindy?! – krzyknął do mikrofonu.

– Idź w prawo, do jadalni.

Oświetlając drogę latarką Jack rzucił się do drzwi. Podłoga skrzypiała pod nogami. Chwycił za klamkę i wszedł do jadalni. Snop światła wyłowił z ciemności mahoniowy stół, krzesła, ale Cindy nie było. Spojrzał w górę, ale tylko kryształowy żyrandol zamigotał odbitym światłem. Przesunął latarką po ścianach, zatrzymując się na chwilę na starym malowidle – portrecie czerstwego człowieka w mundurze kapitana marynarki, który zapewne mieszkał tu i tu umarł. Jack miał wrażenie, że portret spogląda nań z najwyższą przyganą.

– Gdzie ona jest? – rzucił do telefonu.

– Spokojnie – odparł Esteban – masz czas, masz tyle czasu, ile ja miałem, żeby cię przekonać, iż Raul powinien żyć. Teraz twoja kolej. No, przekonaj mnie.

Jack struchlał. Uświadomił sobie po raz kolejny, że stąpa po grząskim gruncie, że jest pionkiem w rękach szaleńca. Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło, gdy nerwowo przyciskał słuchawkę do ucha.

– Proszę...

– No, przekonaj mnie, udowodnij, że nie powinna umrzeć!

– Dam ci wszystko, co chcesz, wszystko, powiedz tylko słowo.

– Chcę, żebyś się poczuł jak ja tamtej nocy, tak samo bezsilny i bezradny. Zacznijmy od skamlenia. Błagaj mnie, Swyteck, błagaj, żeby nie doszło do egzekucji.

Jack stał jak oniemiały. Strach ścisnął mu serce, że traci cenny czas. Oświetlił latarką salon i hali. Chciał biec, szukać Cindy, ale dom był ogromny i z pewnością nie zdążyłby odnaleźć jej na czas.

– Proszę, puść ją – powiedział drżącym głosem.

– Mówiłem, że masz błagać.

– Proszę, ona nic ci nie zrobiła, nigdy nikogo nie skrzywdziła.

– Sprawdź kredens pod ścianą.

Jack rzucił się we wskazanym kierunku, potykając się o perski dywan. Szarpnął drzwiczki kredensu, oświetlił wnętrze.

– Tu jej nie...

– Oczywiście, że jej nie ma. Błaganiem i zaklinaniem nic się nie wskóra, pamiętasz? Spróbuj inaczej!

Jack wstał, serce waliło mu jak młotem, spazmatycznie łapał powietrze.

– Ty nędzy skurwysynu, mów, gdzie ona jest.

– Gniew, złość – szydził porywacz – no, no, zobaczymy, co to nam da. Idź do salonu, jest tam taki schowek pod schodami na górę.

Jack skierował latarkę we wskazane miejsce, wyławiając z ciemności szerokie schody niczym w rezydencji Scarlett O'Hary z „Przeminęło z wiatrem”. Skręcały majestatycznym łukiem na piętro, a wyżej zwięzały się, wiodąc na kolejną kondygnację.

– Schowek – powtórzył Esteban, jakby wiedząc, że Jack nie rusza z miejsca.

Jack niemal fizycznie czuł upływ czasu. Był tylko marionetką, pionkiem, ale też ściśle wykonywanie poleceń dawało przynajmniej cień nadziei. Ruszył ku schodom, klucząc pośród antycznych mebli. Znalazł schowek, szarpnął drzwi. Pusto.

– Ty skurwysynu – głos odbił się echem po mrocznej czeluści klatki schodowej.

– Czas ucieka, co teraz poczniesz? – rozległo się w słuchawce.

– Dość tej zabawy! Przecież chodzi ci o mnie, więc weź mnie, mnie, rozumiesz!

– No właśnie! – syknął prześladowca z wyraźną satysfakcją. – Przyznanie się. To ostatnia szansa i dokładnie taki sam wniosek, do jakiego i ja doszedłem, Swyteck! No, zobaczymy, czy tym razem to pomoże. Wyznaj swoją winę, wyznaj wobec mnie!

– Do niczego się nie przyznam. Chcesz mnie załatwić.

– Dlaczego? – Porywacz ciągnął grę. – A więc co takiego popełniłeś?

– Wszystko, co chcesz. Popełniłem to, co mówisz.

– Nie – odrzekł Esteban z przyganą – musisz sam się przyznać i musisz wierzyć. Przyznaj się sam z siebie!

– A więc zrobiłem to.

– Zabiłeś Raula, powiedz, że zabiłeś Raula.

– Gdzie ona jest?

– Przyznaj się!!!

– Tak, tak! – krzyczał Jack. – Zabiłem Raula Fernandez. Zrobiłem to! A teraz mów, GDZIE JEST CINDY?

– Tuż za tobą.

Jack obrócił się na pięcie, spojrzał w górę klatki schodowej i zobaczył ciało mknące na dół jak pocisk.

– Cindy! – zawołał. Jedyłą odpowiedzią był straszny trzask łamanych kręgów. Stopy nie sięgnęły podłogi, bezwładne ciało zawisło w powietrzu, na sznurze. Jack krzyknął z przerażenia i trwogi. Poznał ubranie, twarzy nie widział, przysłaniał ją czarny kaptur z otworami na oczy, jak w czasie prawdziwych egzekucji. – Wielki Boże, nie pozwól... ! – zawołał odchodząc od zmysłów. Rzucił telefon i skoczył na schody, aby ją zdjąć, czy raczej odciąć. Nie sięgnął jednak. Wspiął się wyżej, wyciągał przed siebie ręce, ale ciągle na nic. Zbiegł na dół, do salonu, po krzesło i znów pośpieszył na schody.

– Wszystko na nic – gdzieś z mroku dobiegł niski, chrapliwy głos. – Nie żyje!

Jack struchlał. A więc nie był tu sam.

Puścił krzesło, wyciągnął broń. Obrócił się, oświetlił latarką przestrzeń za sobą, potem przed sobą i powyżej. Nikogo nie zobaczył.

– Zabiję cię! – krzyknął w ciemność.

– Zemsta – padła gromka odpowiedź, odbijając się echem od schodów i ścian. – Obaj tego chcemy, Swyteck. No, chodź, chwyć mnie.

Jack myślał tylko o Cindy, wiszącej bez życia w ciemności, i przez jedną krótką chwilę gotów był zapłacić cenę własnego życia za życie oprawcy. Rzucił się na schody, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie. W jednej ręce ścisnął rewolwer, w drugiej latarkę. Pędem wbiegł na samą górę, a gdy się obrócił, żeby zerknąć w dół, ogłuszający huk i potężne uderzenie zwały go z nóg. Ból... upadek... utrata świadomości.

Uderzając ciałem o drewnianą poręcz wypuścił z rąk latarkę i pistolet. Spadał jakby w zwolnionym filmie. Usłyszał własny krzyk, gdy zwałił się na stół w

salonie i stoczył na podłogę. Nie mogę oddychać... Boże, jak to boli – przeleciało mu przez głowę.

Minęły sekundy. Zapanowała całkowita ciemność. Po chwili jasny promień światła uderzył go w oczy.

Zbrodniarz spoglądał ze szczytu schodów w dół. Uśmiechnął się widząc dygocące ciało na podłodze. Ucieszył się, że Jack żyje. Skierował snop światła ku górze, jakby jeszcze raz chciał się zachwycić swoim dziełem. Bezwolna postać wisiała na sznurze, obracając się wolno wokół własnej osi. Wsunął pistolet za pas, wyjął sprężynowy nóż i ruszył w stronę Jacka. Uśmiech znikł z jego oblicza, ofiara bowiem zniknęła gdy podziwiał swe poprzednie dzieło.

Omiótł salon światłem latarki. Skrzywił się, nie rozumiejąc, co się stało. Na podłodze nie było krwi, w ogóle nigdzie nie widział krwi. Zgrzytnął ze złości zębami, zdając sobie sprawę, że niedoszła zdobycz musiała mieć na sobie kuloodporną kamizelkę. Błyskawicznie skierował strumień światła na podest schodów. Pistolet Jacka i latarka nadal tam leżały.

Uspokoił się i znów na jego obliczu pojawił się złowrogi uśmiech. A więc jego ofiara nie ma broni i nie mógł odejść daleko. W domu panowały ciemności jak w piekle. Esteban nie słyszał, aby Jack potknął się o coś, a więc musi być gdzieś tu, w zasięgu światła latarki. Morderca położył latarkę na podłodze, tam gdzie stał, na podeście. Snop światła wytyczał granicę ewentualnej ucieczki Jacka. Poświata oblewała salon i sąsiedni pokój na dole oraz hali wiodący do biblioteki, przestrzeń wystarczająco dużą, aby zabawić się za wszystkie czasy. Esteban schował nóż, wyciągnął pistolet. Tym razem Jack Swyteck już się nie wyłga.

Trzy przecznice dalej, w pobliżu dawnego magazynu portowego, gubernator Harold Swytek skradał się ostrożnie w stronę starej furgonetki. Broń trzymał w pogotowiu, serce waliło mu jak młotem. Podszedł na jakieś trzy metry i zamarł na widok tego, co zobaczył w środku. Był to wór sporej wielkości. Podrygiwał, podskakiwał i skręcał się jak oszalały na metalowej podłodze furgonu.

– Nie ruszać się! – krzyknął gubernator.

Ruchy ustały, ale z wnętrza worka jeły dobywać się dziwne, przytłumione i jakby rozpaczliwe dźwięki. Harry podszedł bliżej i zerknął na tablice rejestracyjne wozu. Furgonetka pochodziła z Miami, a przynajmniej tam była zarejestrowana.

– Jestem Harold Swytek! – zawołał półgłosem, podchodząc bliżej.

W worku zajęczało jakby głośniejsze i natarczywiej.

– Leżeć bez ruchu! – rozkazał. – Mam broń. – Wskoczył do furgonetki, ukląkł i błyskawicznie rozwiązał worek, cały czas trzymając broń w pogotowiu. – Cindy?! – krzyknął poznając dziewczynę, którą widział w relacji telewizyjnej z procesu.

Spoglądała na niego przerażonym wzrokiem.

– Już dobrze – uspokajał ją. – Jestem ojcem Jacka – zaczął ściągać z niej worek. Speszył się widząc, że jest całkiem naga. Zdjął jej knebel.

Zaczerpnęła głęboki oddech, próbowała poruszać zdrętwiałą szczęką.

– Dzięki Bogu – szepnęła drżącym głosem.

– Nic ci nie jest?

– Nie, nic, ale trzeba natychmiast zawiadomić policję. On chce zabić Jacka. Tak powiedział, zanim straciłam przytomność po zastrzyku. Powiedział też, że przynosi się do innego domu. Pan miał mnie znaleźć w furgonetce, abym wszystko panu przekazała – wypowiedziała to wszystko jednym tchem, nabrała pełne płuca powietrza i dodała: – Powiedział, że zabije Jacka i że chce, aby pan sam odszukał ciało. Zapewniał, że gdy odzyskam przytomność, Jack będzie martwy.

– A gdzie oni są?

– Nie wiem. Chce uniknąć spotkania z panem, chce tylko, żeby pan zaczął szukać Jacka w nadziei, że może uda się go uratować, ale jest pewien, że pan nie zdąży i znajdzie pan tylko ciało.

Gubernator chwycił telefon komórkowy i wduśił przycisk automatycznego połączenia.

– Alarm. Odnalazłem Cindy. Jest zdrowa i cała, ale z Jackiem źle. Muszę

wiedzieć, gdzie go szukać. Odbiór.

– W porządku – potwierdził Kimmell, włączając ekran urządzenia naprowadzającego. Za chwilę pokaże się sygnał nadajnika Jacka. Tymczasem na ekranie nie było nic. Były agent jeszcze raz uruchomił urządzenie. Cisza. Jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi.

– Cholera jasna, nic nie widzę – zaklął.

– Co? – denerwował się Harry.

– Nadajnik Jacka milczy.

– Ale dlaczego? Co się stało?!

– Nie wiem. Może wypadł albo odłączyła się antena, nie mam pojęcia. Nie jestem w stanie go zlokalizować.

Wiadomość ugodziła gubernatora w samo serce.

– Boże – szepnął – miej go w swojej opiece. Błagam...

Morderca myślał tylko o jednym. Zsunął się bezszelestnie na dół i przycupnął pod dyndającym na sznurze ciałem dziewczyny. Latarkę zostawił na schodach, kierując snop światła ku górze, uczynił to specjalnie, bo gdyby nadal trzymał ją w ręku, Jack wiedziałby, gdzie jest i dokąd zmierza jego przeciwnik. W żółtawym półmroku wysoka sylwetka Kubańczyka rzucała cień na salon. Pistolet trzymał w pogotowiu. Nie odczuwał podniecenia, serce biło równo – no cóż: zwykły dzień w życiu doświadczonego mordercy. Miał dwie możliwości: albo poczekać, aż Jack sam wyjdzie z ukrycia, albo samemu próbować go dopaść. Wybór był prosty. Esteban uwielbiał polowania z naganką.

Za schodami, w ciasnej łazience przy końcu długiego, mrocznego korytarza, było duszno nie do zniesienia. Jack spływał potem. Kamizelka kuloodporna parzyła jak puchowa kurtka, ale nie myślał nawet, żeby ją zdjąć. Już raz uratowała mu życie, choć ostry ból świadczył, że nie obyło się bez kontuzji. Kula złamała żebro. Oddychał krótko i płytko, aby nie potęgować bólu, ale najgorsze było co innego: nie miał broni ani latarki, ani żadnego kontaktu ze światem. Latarkę i pistolet stracił, gdy zwałił się ze schodów, a kula zgruchotała nadajnik. Jedyna broń, na jaką mógł ewentualnie liczyć, to zaskoczenie. Trwał więc bez ruchu, kryjąc się za uchylonymi drzwiami do łazienki. Nasłuchiwał kroków swego oprawcy, świadom brutalnej prawdy, że z tego domu tylko jedna osoba wyjdzie żywa.

Trzymając broń w pogotowiu Esteban skradał się, zagłębiając w coraz mroczniejszy korytarz. Po każdym kroku przystawał. Zanim przybył tu Jack, obszedł kilkakrotnie cały dom i wiedział, gdzie co jest. Tuż przed sobą, tam gdzie nie docierało już światło latarki, miał po prawej sypialnię, a na wprost – łazienkę. Przyłgnął do ściany. Od łazienki dzieliło go półtora metra, a może mniej.

Wzrok Jacka oswoił się z ciemnością. Wypatrywał mordercy przez szparę między drzwiami a ścianą. Widział światło w salonie, cała reszta tonęła w mroku. Oczy coraz bardziej przyzwyczajały się do ciemności i po chwili był już w stanie wyłowić z mroku ciemniejszy kształt – sylwetkę jego prześladowcy z bronią w ręku.

Czuł drżenie rąk, pośpieszny rytm serca i słony smak krwi na przeciętej wardze. Ciemny kształt zbliżał się nieubłaganie. Jack stał oko w oko ze śmiertelnym wrogiem, ale nie widział ani oczu, ani rysów prześladowcy, bo wszystko tonęło w mroku. Na nieco jaśniejszym tle korytarza malował się tylko niewyraźny cień. Jack

zastanawiał się, czy Esteban go nie widzi, czy też bawi się, wiedząc, że ofiara jest bezbronna. Muszę wyczuć najważniejszy moment, pomyślał. Na razie jednak czekał wstrzymując oddech. Prześladowca nie wie, gdzie się ukryła jego ofiara, musi więc sprawdzić dwa pomieszczenia: sypialnię i łazienkę.

Wejść do sypialni, modlił się Jack w duchu.

Czas zatrzymał się w miejscu. Morderca przesunął się o kilka centymetrów. Zbliżał się. Wybrał jednak łazienkę.

Był tak blisko, że Jack słyszał jego oddech. Sam zaś nie śmiał oddychać, ale lada chwila przeciążone płuca nie wytrzymają. Tymczasem zamarł pod ścianą, tuż za drzwiami. Esteban był już na progu, rękę z pistoletem wyciągnął przed siebie. Jeszcze krok, jeszcze pół i morderca znajdzie się w środku ciasnego pomieszczenia.

Jack pchnął drzwi z całą mocą, na jaką było go stać. Napastnik zawył z bólu. Ręka z pistoletem uwięzła w drzwiach. Rozległ się huk i trzask odłamków lustra sypiących się na podłogę. Druga kula trafiła w umywalkę. Morderca strzelał na oślep, śląc kulę za kulą w ciemne wnętrze łazienki. Jack napał na drzwi całym ciężarem ciała. Esteban wypuścił pistolet z ręki. Był w pułapce.

Jack nie zwalniał nacisku, a jednocześnie stopą próbował odnaleźć broń na posadzce. Udało się, ale w tym momencie usłyszał ostry trzask łamanego drewna, jakby ćwiek albo gwóźdź wbijał się w deski. Powtórzyło się to jeszcze raz i Jack krzyknął z bólu. Stalowe ostrze sprężynowego noża przeszło przez drzwi i trafiło go w ramię. Jack odskoczył, kucnął chwytając pistolet. Był pewien, że morderca pchnie teraz drzwi i rzuci się do środka. Wymierzył więc w mrok i dwa razy nacisnął spust. Nie trafił? To już koniec? Ale w tej chwili usłyszał pośpieszne kroki na korytarzu. Esteban uciekał. Jack szarpnął drzwiami i posłał jeszcze jeden strzał. Na próżno, cel już znikł za rogiem korytarza.

Jack wypadł z łazienki i rzucił się w pościg. Usłyszał szcęk otwieranych drzwi w kuchni. Morderca uciekał na ulicę. Jack skoczył w ślad za nim, wybiegł na ganek, ale zobaczył już tylko ciemną sylwetkę biegnącą w stronę Duval Street. Jeśli Esteban zdoła wmieszać się w festiwalowy tłum, Jack straci go z oczu na zawsze. Złamane żebra doskwierały boleśnie, ramię, gdzie trafił nóż – też, z rany na czole sączyła się krew, ale nogi na szczęście były w porządku. Jack wcisnął broń za pas i zaczął biec.

Pędził jak nigdy w życiu i choć kamizelka utrudniała ruchy, zaczął doganiać Estebana. Tymczasem im bliżej Duval i centrum zabawy, tym więcej przechodniów. W ślad za ściganym Jack kluczył między pajacami, pawiami, kominiarzami i innymi przebierańcami w najbardziej fantastycznych strojach, omijał

pijaków, którzy z trudem znajdowali drogę, a wszystko przy ogłuszających dźwiękach rocka, wśród huku sztucznych ogni, śmiechów i radosnych wrzasków rozbawionego tłumu.

– Hej, uważaj – oburzyła się dama w stroju Kleopatry, gdy zabójca przemknął obok, nie bacząc na nic. Wtopił się w paradę przebierańców na Duval. Jack zagłębił się w tłum tuż za nim, starał się za wszelką cenę nie stracić go z oczu, ale morze malowanych twarzy, piór, koralu i strojów przysłoniło wszystko. Gdy przedarł się wreszcie przez ludzki gąszcz na drugą stronę ulicy, po mordercy nie było już śladu.

– Co za głupi kretyn! – dobiegł go oburzony krzyk. Spojrzał w tamtą stronę. Uciekający przedzierał się przez długiego jak dżdżownica chińskiego smoka, rujnując kilka tygodni przygotowań do występu na festiwalowej paradzie. Wyglądało na to, że wcale nie chce skryć się w tłumie, lecz wyraźnie gdzieś zmierza. Biegł ku nabrzeżu, w stronę przystani dla jachtów i motorówek w pobliżu placu Mallory. Jack pojął wreszcie. Łódź! Esteban chce uciec morzem. Jack zawahał się na sekundę, pomyślał o Cindy i puścił się dalej w pościg, roztrącając czwórkę Beatlesów, Napoleona, Marylin Monroe i Myszkę Miki, którzy właśnie stali na drodze.

Gdy dobiegł do drewnianego mola przy końcu Duval, Kubańczyk rzucił właśnie cumy rasowej regatowej motorówki. Potężny silnik zapalił z ogłuszającym łośkotem. Jack zatrzymał się, wyciągnął pistolet, wymierzył. Jakiś clown krzyknął przeraźliwie. Pistolet wyglądał zbyt prawdziwie, nawet jak na Festiwal Fantazji. Jaskiniowiec z ambicjami bohatera wytrącił mu broń z ręki celnym uderzeniem maczugi.

– Neeee! – krzyknął Jack nie panując nad sobą, gdy pistolet potoczył się po kamiennym nabrzeżu i z pluskiem wpadł do wody.

Motorówka meandrowała między zacumowanymi łodziami, kierując się w stronę wyjścia z przystani, jeszcze chwila i ruszy pełnym gazem. Nie namyślając się ani sekundy skoczył z mola prosto na dziób motorówki, akurat wtedy, gdy silniki zawyły na pełnych obrotach. Dziób uniósł się w górę. Jack z trudem utrzymał równowagę na śliskim pokładzie z włókna szklanego. Łódź pomknęła w mrok.

Zauważywszy Jacka, morderca sięgnął po długi bosak. Prowadził motorówkę jedną ręką, a drugą, uzbrojoną w bosak, starał się zepchnąć nie chcianego pasażera. Silniki wyły na coraz szybszych obrotach. Wysmukła motorówka nabierała szybkości, skacząc na falach: czterdzieści, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt węzłów.

Esteban pchnął ster ostro w prawo, dziób szarpnął ostro w lewo. Jack spadł z pokładu. Wylecieć za burtę łodzi pędzącej z szybkością siedemdziesięciu węzłów to jak uderzyć o bruk.

Jack pogrążył się w słonym odmiecie. Wynurzył się oszołomiony, zaczął płynąć, ale stopą wyczuł dno. W ciągu dziewięćdziesięciu sekund rasowa motorówka pokonała milę od brzegu, Jack wypadł za burtę w miejscu, gdzie rozpościerała się rafa koralowa i było stosunkowo płytko. Stał więc po szyję w spienionej wodzie i patrzył, jak łódź niknie w dali. Zamarł widząc, że uciekinier zmienia zamiar i zaczyna zawracać. Łódź pełną mocą silników kierowała się prosto na Jacka.

Sukinsyn chce mnie staranować – pomyślał przerażony.

Dał nurka i przylgnął do rafy. Poranił się o ostre jak igły korale, ale uratował życie. Łódź przemknęła górą, a śruby silników o centymetry minęły jego głowę. Wynurzył się, łapiąc powietrze. Motorówka zawracała, aby powtórzyć atak. Jack znów przylgnął do dna. Tym razem jednak Esteban płynął wolniej. Chciał się widać upewnić, czy plan się udał. Po dwóch latach oczekiwania łaknął krwi.

– Już cię żrą rekiny, Swydeck! – zawołał w ciemnościach. Był niemal pewien, że motorówka rozcięła nieszczęsnego prawnika na pół. Wyczuł co prawda uderzenie, ale nie mógł wykluczyć, że łódź otarła się tylko kadłubem o dno na płyciźnie, więc chciał sprawdzić. Rozglądał się pilnie w mroku, szukając wzrokiem szczątków ofiary.

Jack zamarł pod wodą, ale płuca domagały się powietrza. Łódź była tuż nad nim. Silniki pracowały leniwie na wolnych obrotach. Czuł, że za chwilę płuca eksplodują, nie mógł dłużej wytrzymać. Wychynął na powierzchnię i nie zauważony przez szaleńca zdążył chwycić za drewniany pomost do nurkowania za rufą łodzi. Nawet na wolnych obrotach silniki grzmiały potężnie. Jack wsunął się na pomost i ukradkiem zerknął do kokpitu. Zabójca wpatrywał się w morze, licząc, że fale wyrzucą poszarpane ciało.

Jack przeczołgał się bliżej silników. Sięgnął ręką, szukając przewodów paliwowych. Chciał je zerwać, bo inaczej za minutę lub dwie łódź znajdzie się na pełnym morzu, a tam nie będzie już szans. Ale w mroku zamiast na przewody paliwowe trafił ręką na rozgrzany blok silnika. Krzyknął z bólu. Morderca usłyszał.

– Koniec z tobą! – zawołał, uderzając Jacka bosakiem w plecy.

Jack jęknął pod potężnym uderzeniem, ale zdołał chwycić bosak. Pociągnął mocno i obaj wpadli do płytkiej wody, uderzając o ostre koralowce. Esteban wynurzył się pierwszy. Rzucając się jak marlin na wędce, starał się przytrzymać Jacka pod wodą. Ten rozpaczliwie szukał oparcia na dnie, aby odbić się i wypłynąć

na powierzchnię. Nie zdążył. Morderca stalowym uściskiem chwycił go za gardło. Jack próbował się bronić, kopał, wymachiwał rękami, ale woda osłabiała ciosy. Brakowało mu powietrza, płuca paliły, otworzył usta, aby złapać oddech, ale wokół była tylko woda.

W desperacji sięgnął ręką na dno, aby znaleźć odłamek koralowca, którym można by zadać cios. Na litej skale nie było jednak nic, ale wyczuł palcami ostry kawałek koralu, który jak igła strzelał w górę. Chwycił mocniej, szarpnął, rafa puściła. Zamachnął się jak nożem, mierząc w głowę napastnika. Nie widział skutków uderzenia, bo wszystko przysłaniała spieniona od walczących ciał woda, ale chyba trafił. Czuł, że ostry jak brzytwa korał zagłębił się w coś miękkiego. Uderzył jeszcze raz, też celnie, bo śmiertelny ucisk na gardle zelżał. Półprzytomny zdołał wreszcie wysunąć głowę na powierzchnię. Prychając i kaszłąc nabrał w płuca haust ożywczego powietrza.

Ocknął się w samą porę, gdy morderca, stojąc jakieś trzy metry dalej, szykował się do zadania ostatecznego ciosu bosakiem. Podniósł drzewce wysoko do góry i wtedy Jack zobaczył krwawą ranę na jego szyi.

– Skurwysynu! – krzyknął Esteban chrapliwie. – Ty pierdolony skurwysynu! – pchnął bosak w stronę Jacka i byłby go przebił na wylot, ale Jack w ostatniej chwili zdołał uskoczyć i sam chwycił za drzewce. Napastnik tracił siły, oczy mu zmętniały, chwyt zelżał. Stracił dużo krwi, ale nie zaprzestał walczyć.

– Dość! – krzyknął Jack.

Kubańczyk albo nie słyszał, albo wściekłość nie pozwalała mu się poddać. Jack uderzył tępym końcem bosaka prosto w szczękę wroga. Zęby nie wytrzymały, drzewce utknęło głęboko w przelyku. Ciało przeszył śmiertelny skurcz. Jack pchnął jeszcze raz. Głowa Estebana zniknęła pod powierzchnią. Jack przytrzymał ciało przeciwnika bosakiem jeszcze dobrą minutę. Zwolnił, gdy na powierzchni nie widać już było pęcherzy powietrza. Wpław dostał się do motorówki.

Z wysokości pokładu patrzył na miejsce, gdzie przed sekundą rozegrał się śmiertelny bój, nie wierząc, że to już koniec. Wypatrywał tak dobre dziesięć minut, jakby oczekiwał, że wróg wychynie jeszcze z otchłani, jak mechaniczny rekin w filmie „Szczęki”. Ale to nie była filmowa fikcja, to była żywa rzeczywistość, a w niej płaci się życiem. Księżyc w pełnej krasie wisiał w zenicie, rozpraszając nocny mrok. Spadająca gwiazda rozświetliła na krótko horyzont. Fale uderzały łagodnie o kadłub motorówki i wszystko wokół wyglądało tak, jakby żaden dramat nie naruszył odwiecznego rytmu natury.

W górze rozległ się warkot silników. Jack podniósł wzrok. Od strony przystani

nadlatywał śmigłowiec Straży Przybrzeżnej. Jack siedział bez ruchu, patrząc bezmyślnie, jak prąd rozmywa ciemną szkarłatną plamę nad rafą, unosząc ją gdzieś w mrok. Myślał o setkach i tysiącach nieszczęsnych Kubańczyków, którzy uchodząc przed terrorem panującym we własnym kraju wyruszyli na morze na łodziach, tratwach, a nawet na pompowanych dętkach samochodowych i nigdy nie docierali do celu. Potężny i bezlitosny Golfstrom porывał ich, rzucając na bezmiar Atlantyku, i ich losu nie zmieni fakt, że oto jeden z ciemżycieli legł na dnie i zostanie tam na zawsze, jeśli taka będzie wola Pana.

Śmigłowiec wyposażony w pływaki w miejsce płóz zawisł w powietrzu tuż nad motorówką, a po chwili usiadł na wodzie. Przeszklona kabina pilotów połyskiwała w świetle księżyca. Obok pilota siedział gubernator. Jack pomachał ręką na znak, że jest zdrowy i cały, ojciec odpowiedział tym samym gestem.

– Jej też nic nie jest! – zawołał przekrzykując szum łopat wirnika. – Cindy jest cała i zdrowa.

Jack usłyszał, ale nie pojmował. Przecież Cindy nie żyje – myślał. Widział na własne oczy. Widział ciało wiszące nad schodami. W jego sercu pozostanie nie zagojona rana. Z rozpaczą chwycił się jednak słów ojca. Choć wiedział, jednak chciał wierzyć. Wiedział, ale łaknął nadziei.

– Nic jej nie jest – powtórzył Harry widząc rozpacz w oczach syna – przed chwilą z nią rozmawiałem.

Harry rzucił linę, ale Jack był zbyt oszołomiony, żeby zareagować. Z wolna słowa ojca jednak zaczęły docierać do jego świadomości. Cindy żyje, a tuż obok jest ojciec, niebezpieczeństwo minęło. Zsunął się do wody i popłynął do śmigłowca. Powietrze pchane w dół łopatami wirnika wzbijało w górę fontanny wody, ale nie zwracał na to uwagi. Wszystko bowiem: stłuczenia, rany i zadrapania, złamane żebra świadczyły tylko o jednym, że żyje, serce zaś podpowiadało coś jeszcze: że ma po co żyć.

Tyle przynajmniej wyrażał wzrok ojca, choć w oczach lśniły łzy. Łzy radości i szczęścia.

Epilog:

styczeń 1995

Nim jeszcze morskie prądy zabrały ciało Estebana, wieść o tym, co się stało, rozlała się na lądzie jak powódź. W mediach szaleństwo rozpoczęło się już w niedzielę i trwało pełne dwa tygodnie. Pierwsze szczegóły wydarzeń przedostały się do publicznej wiadomości w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wszystkie gazety na Florydzie pisały o tym na czołówkach i od tego tematu zaczynały się dzienniki radiowe i telewizyjne. CNN nadała w sumie kilka godzin bezpośrednich relacji z Key West.

W poniedziałek po południu Swyteckowie ujawnili całą historię na konferencji prasowej i cały świat dowiedział się, jak Esteban przez dwa lata szykował zemstę za śmierć brata. Było jasne, że Eddy Goss nie zginął z ręki Jacka ani jego ojca, że zabójcą był kubański psychopata, który starał się rzucić podejrzenie na syna gubernatora, aby w ten sposób doprowadzić do egzekucji za zbrodnię, której Jack nie popełnił. To Esteban zabił Ginę Terisi, też po to, aby doprowadzić do wyroku skazującego Jacka. Ponadto opinia publiczna przekonała się, że gubernator Swyteck wcale nie podpisał nakazu egzekucji niewinnego człowieka. Wedle tego, co morderca powiedział Jackowi, Raul Fernandez zgwałcił dziewczynę, a jego brat ją zamordował. Obaj doczekali się zasłużonej kary.

W poniedziałek wieczorem obu Swytecków obwołano bohaterami, uznając ich zasługę nie tylko w tym, że uwolnili społeczeństwo od mordercy-psychopaty, ale także od jednego z najokrutniejszych oprawców spod znaku Fidela Castro. Na ręce gubernatora nadeszło wiele depeš gratulacyjnych od czołowych osobistości w kraju. W Małej Hawanie – kubańskiej dzielnicy w Miami – zaczęto zbierać podpisy pod petycją, aby jedną z głównych arterii przemianować na „Bulwar Swytecków”. Natomiast biuro prokuratora stanowego wydało dość pokrętnie sformułowane oświadczenie o rozwiązaniu wielkiej ławy przysięgłych, która miała postawić obu Swytecków w stan oskarżenia.

We wtorek (a był to pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada, a więc uświęcony tradycją dzień wyborów powszechnych) wyborcy tłumnie ruszyli do urn. W całej historii Florydy nie notowano tak wysokiej frekwencji ani tak zasadniczego zwrotu, jeśli idzie o preferencje wyborcze.

– Jedna kadencja to coś, ale dwie to wspaniała sprawa – oświadczył Harry Swyteck z trybuny w czasie drugiego w swoim życiu balu inauguracyjnego, co

trzystu zaproszonych gości – przyjaciół i znajomych – skwitowało burzliwą owacją, wznosząc toast za drugie zwycięstwo gubernatora. On zaś skłonił się przed małżonką, prosząc ją do tańca. Płynęli po parkiecie w takt ulubionej melodii, jakby to było ich srebrne wesele, gubernator w smokingu, Agnes w powłóczyściej długiej sukni.

Za nimi na parkiet ruszyły inne pary, czemu Jack i Cindy przyglądali się z wysokości swoich miejsc przy stole dla honorowych gości. Dawno nie byli tak szczęśliwi, choć nie wszystkie rany zdały się zabliznić. Cindy ciągle jeszcze przeżywała nocne koszmary i za skarby nie zgadzała się zostawać sama w domu. Oboje myśleli o Ginie i o koszarze, jaki przeżyła przed śmiercią. Z wolna jednak życie wracało do normy, a siłę czerpali z wzajemnej miłości. Cindy znów pracowała w studiu fotograficznym, Jack otworzył własną kancelarię adwokacką, ceniąc sobie możliwość wyboru klientów. Przed Bożym Narodzeniem zaczęli odyskiwać równowagę psychiczną i emocjonalną, a co najważniejsze – zbliżyli się do siebie.

Jack patrzył z zachwytem na Cindy. Wyglądała naprawdę wspaniale w kreacji w kolorze głębokiego fioletu, z seksownym dekoltem. Blond włosy upięła wysoko, twarz jej promieniała, w uszach połyskiwały diamentowe kolczyki pożyczone od Agnes.

– Chodź – wziął ją za rękę – chcę ci coś pokazać. Wyszli z tłumnej sali balowej na cichy dziedziniec, jakby żywcem przeniesiony z Riviery. Hotel zbudowano w stylu śródziemnomorskim, co bardzo podobało się gościom.

Przez otwarte drzwi dobiegały dźwięki muzyki. Księżyc i gwiazdy dodawały romantycznego nastroju owej styczniowej nocy. Przeszli przytuleni do siebie pośród winorośli, obok fontanny i palm na taras wielkości kortu tenisowego, skąd roztaczał się widok na basen położony trzy piętra niżej. Jack postawił kieliszki szampana na kamiennej balustradzie, wziął dziewczynę w ramiona.

Cindy się przytuliła.

On zaś ukradkiem, bo miała to być niespodzianka, wrzucił jej do kieliszka brylantowy pierścionek.

– Tu jesteście – z uśmiechem rzekł gubernator, który nagle pojawił się na tarasie. – Szukałem was przez cały wieczór, aby zamienić dwa słowa na osobności.

Jack nie był specjalnie zachwycony towarzystwem. Miał trochę inne plany.

– A ja – wdzięcznie odparła Cindy – cały wieczór czekałam na okazję, aby wznieść z panem, gubernatorze, prywatny toast.

– Wspaniały pomysł – rzekł Harry – tylko że nie mam szampana.

– To się podzielimy – sięgnęła za siebie.

– Sekundę! – struchlał Jack.

Spóźnił się, Cindy już brała kieliszek, ale jakoś tak niezręcznie, że strąciła szkło z balustrady.

– Jezus Maria! – jęknął Jack z przerażeniem. Kielich z cenną zawartością poszybował w dół i rozbił się o kamienne nabrzeże basenu.

– Jestem taka niezręczna – przepraszała Cindy.

Jack patrzył w osłupieniu na drobiny szkła na dole. Bez słowa odwrócił się na pięcie i pomknął schodami w dół. Kucnął i zaczął nerwowo szukać wokół w mizernym świetle latarni. Czynił to drobiazgowo i wytrwale, jak emerycy, którzy wieczorami szukają drobnych monet pozostawionych na plaży przez nieuważnych gości. Bez skutku. Pierścionka nie było.

– Tego szukasz? – spytała Cindy z pozorną obojętnością. Stała nad nim, wyciągając rękę, w której połyskiwał klejnot.

Jack zrobił głupią minę, jak bohater skeczu w „Ukrytej kamerze”.

– Widziałas, że wrzuciłem go do kieliszka? – ni to spytał, ni to stwierdził.

Przytaknęła.

– I cały czas go miałaś, nie spadł razem z kieliszkiem.

– Wyciągnęłam ukradkiem, gdy rozmawiałeś z ojcem – uśmiechnęła się.

Jack też się zaśmiał, potrząsając głową. Spojrzał na nią.

– I co teraz?

– Cóż, skoro już klęczysz...

Jack przełknął ślinę.

– Czy...

– Czy co?

– Czy wyjdiesz za mnie?

– Hmmmm – mruknęła Cindy niby zaskoczona, po chwili uśmiechnęła się szeroko. – Wiesz, że tak – wyciągnęła rękę. Jack wstał z klęczek i chwycił ją w ramiona.

Przez długą chwilę nie widzieli świata poza sobą, gdy nagle gromkie oklaski uprzytomniły im, że są w miejscu publicznym. Z wysokości tarasu uśmiechał się gubernator z Agnes i dziesięć innych par. Cindy pokazała pierścionek.

Jack skłonił się głęboko przed dostojną widownią.

– Ojciec jest z ciebie dumny – Cindy spojrzała mu prosto w oczy – a gdy w naszym domu zaczniesz raczkować mały Jack lub mała Jackie, ty też będziesz dumny.

– Niech będzie Jackie, ale jeśli urodzi się chłopiec, nazwiemy go Harry, na cześć dziadka.

Przytuliła się jeszcze mocniej.

– Cieszę się, że Harry zostanie dziadkiem.

– Ja też.

Doczekał się przebaczenia gubernatora i sam też wybaczył, jakby nawzajem skorzystali z prawa łaski...